



Napad stulecia, porwanie, morderstwo.
Już wkrótce zacznie się
BEZLITOSNE POLOWANIE.



F A T U M

WILLACRUEK



**MICHAŁ
LAREK**

FATUM

M CZY
ARTY
STRÓ
NA



Copyright © Michał Larek, 2018
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk
Redakcja: Paulina Jeske-Choińska
Korekta: Agnieszka Czapczyk
Łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka
Inspiracja typograficzna: Szymon Kaczmarek

Fotografie na okładce:
Nik Keevil / Arcangel.com
MillaF / Shutterstock.com

Fotografia autora: Karol Małolepszy / Koninfo.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz
Nowacki

eISBN 978-83-7976-068-8

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

„Przez całe życie tańczymy na cienkim lodzie, pod nim jest zimno i szybko się umiera. Pod niektórymi lód pęka i zaczynają tonąć. Ten moment mnie właśnie ciekawi”.

Ferdinand von Schirach

CZĘŚĆ

PIERWSZA

– Zamknij się!!!

Gdy bandzior w kominiarce wrzasnął, zdrętwiała i natychmiast ucichła. Dopiero teraz doszło do niej, że to nie sen, że to dzieje się naprawdę. Mężczyzna zamachał pistoletem i wbił w nią wzrok. Zrobiło jej się zimno. Na plecach poczuła krople potu. Mimowolnie napięła mięśnie.

Odwróciła się w stronę okna i zamknęła oczy.

– Grzeczna dziewczynka. – Usłyszała i zaczęła się spazmatycznie trząść.

Przez chwilę nie mogła złapać oddechu. Okrzyk bandziora cały czas wybrzmiewał w jej głowie, przyprawiając ją o silne bóle brzucha. *Zaraz zwymiotuję* – pomyślała i przeraziła się jeszcze bardziej. Przyłożyła drżącą dłoń do ust i nieobecnym wzrokiem przyglądała się mijanym gospodarstwom i domkom jednorodzinny.

Samochód jechał coraz szybciej i coraz agresywniej. Przez głowę przeleciały jej nagle obrazy z dzisiejszego poranka. Chcąc osłabić grozę sytuacji, próbowała się w nich całkowicie zanurzyć.

Najpierw kłótnia przy śniadaniu z Arkiem, jej świeżo upieczonym narzeczonym. O co poszło? O bzdurę, o mycie naczyń. Zarzuciła mu, że to robi na odpieprz, on jej odburknął, ona mu odpyskowała, no i zaczęli na siebie warczeć przez parę minut.

Boże – pomyślała. *Co za głupota! Kłócić się o takie rzeczy, zamiast cieszyć się sobą, miłością, przyszłym wspólnym życiem! Dlaczego? Dlaczego tracimy cenne chwile?* Ania załkała cicho. Zrobiło jej się żal, że nie może cofnąć czasu, uniknąć awantury z ukochanym i... nie wsiąść do

samochodu, który okazał się pułapką.

Wytarła łzy i przypomniała sobie, że gdy Arek wyszedł zachmurzony do pracy, trzaskając drzwiami, odebrała telefon od serdecznej przyjaciółki, która właśnie znalazła w kieszeni garnituru jej śpiącego męża miłosny liścik od jakiejś kobiety. Przez dziesięć minut musiała ją uspokajać i zarazem przekonywać, że może to jakaś pomyłka i wszystko da się wytłumaczyć.

Gdy odłożyła słuchawkę, była ósma dziesięć. „Kiepski początek kiepskiego dnia” – mruknęła wówczas do siebie, nie mając zielonego pojęcia, że słowo „kiepski” za parę godzin wyda jej się pobożnym życzeniem. Dopiła kawę, ubrała się i poszła na przystanek autobusowy. Do firmy weszła parę minut po dziewiątej. Zapukała do kanciapę pana Józka i wręczyła mu torbę z ciepłymi pączkami.

– Dzień dobry – powiedział jej ulubiony strażnik, po czym dodał, zaczesując swoją gęstą czuprynę starym plastikowym grzebykiem: – Zapowiada się bardzo spokojny dzień. Załatwimy ten bank, a potem już pójdzie z górki.

Ania znowu zadrżała i nagle uświadomiła sobie, że wjechali do lasu. Samochód zatrzęsł się okropnie. Niespokojnym wzrokiem omiotła okolicę. *To koniec* – pomyślała, czując, że żołądek podchodzi jej do gardła. *Zaraz nas zabiją. Boże, to koniec.*

Zacisnęła pięści i spojrzała na kierowcę, który nieoczekiwanie zanucił lejtmotyw z „Gangu Olsena”. Siedzący obok niego mężczyzna uderzał do rytmu dłonią o kolano. Ciągle nie mogła uwierzyć, że ten całkiem przystojny czterdziestolatek o łagodnym głosie okazał się przestępcą.

Przeniosła wzrok na pana Józka, który trzymał zakajdankowane ręce na kolanach. Był blady. Ciężko oddychając, spozierał na kierowcę. Chyba poczuł na sobie jej spojrzenie, bo zerknął na nią. Westchnął przeciągle, uśmiechnął się z trudem i szepnął:

– Będzie dobrze, pani Aniu, będzie dobrze.

Nie odpowiedziała, nie była w stanie.

Zakwiliła tylko cichutko.

– Zatrzymaj się. – Padł rozkaz z tyłu. – No mówię, żebyś się zatrzymał, kurwa!

To był głos mężczyzny w kominiarce, który zdominował całkowicie wnętrze samochodu. *Kim on jest?* – pomyślała rozpaczliwie. *Czego on chce?*

Nagle wydało jej się, że wszyscy, bez wyjątku, odczuwają przed nim strach. Splotła dłonie i położyła je pod piersiami. Serce biło jak oszalałe. Czuła na plecach oddech bandyty, w którym dało się wyczuć alkohol.

Samochód zahamował. Zaczęło jej się kręcić w głowie. Przed oczami stanęła jej postać Arka. Chciała zawołać go, znowu wydała z siebie tylko nieśmiały jęk.

Zerknęła na pana Józka, który próbował zapanować nad swoim niespokojnym oddechem. Postanowiła go naśladować. Wdech i wydech, wdech i wydech, wdech i wydech.

Przystojniak podniósł się na siedzeniu i odwrócił w ich stronę. Wyciągnął z kieszeni kurtki kluczyk.

– Podaj, pan, dłonie – rzucił do strażnika, unikając jego wzroku.

Ten wysunął w jego stronę drżące ręce. Po chwili został oswobodzony z kajdanek.

Mężczyzna wysiadł z samochodu i sprawnym gestem odsunął drzwi.

– Wsiadajcie – mruknął, spoglądając w bok. Najwyraźniej chciał mieć już to za sobą.

Ania otworzyła szeroko oczy. *Boże święty, wypuszczą nas, przeżyjemy!* – zawołała w myślach i mimowolnie wyobraziła sobie, że biegnie w stronę narzeczonego i rzuca mu się w ramiona. Miała wielką ochotę przeprosić go i wspólnie wyjechać na weekend, na przykład do Szklarskiej Poręby albo Karpacza. Albo gdzie indziej. Byle daleko stąd.

Pan Józek chwycił ją za rękę. Była lodowata. Uśmiechnęła się do niego przez łzy. *Już po wszystkim* – pomyślała. *Już po wszystkim*.

Wyskoczyli z busa na ziemię porośniętą trawą. Wciągnęła powietrze, pachniało żywicą. Gdzieś w oddali usłyszała ptasi szczebiot. *Już po wszystkim*.

Po chwili na zewnątrz wyszedł mężczyzna w kominiarce. Splunął i chrząknął. Jakos tak dziwnie, zaczepnie. *O co chodzi?* Spojrzała na niego spłoszona. *Co się dzieje?*

Bandzior wyciągnął broń i wycelował w ich kierunku.

– Cipcia jedzie z nami. – Wyszczерzył zęby i otaksował ją pożądlwym spojrzeniem.

Ania poczuła, że uginają się pod nią nogi. Gdyby nie pomoc pana Józka, upadłaby na ziemię. Świat zaczął wirować jak zwariowany. *To koniec* – przemknęło jej przez głowę. *To koniec*.

II

Trzeciego marca 1993 roku Paweł Kowalski zerwał się bladym świtem z łóżka, dokonał w łazience ablucji, założył dresy, na głowę wcisnął czapkę i poszedł pobiegać. Nie chciało mu się, ale zacisnął zęby i siłą woli zwalczył narastającą niechęć do fizycznego wysiłku. *Tym razem się nie poddam* – pomyślał, wychodząc z klatki. Zignorował zdziwione spojrzenie sąsiadki, która wyprowadzała właśnie psa na spacer.

Parę dni temu spojrział w lustro i oniemiał. W lustrze dostrzegł swoją okrągłą twarz z podwójnym podbródkiem. *Boże, tak źle jeszcze nigdy nie było* – szepnął i obiecał sobie, że znowu przystąpi do walki ze swoim skłonny do tycia ciałem. Póki co, trwał w postanowieniu i codziennie o poranku przebiegał parę kilometrów.

Zerknął na zegarek, była szósta trzydzieści. Wyszedł na zewnątrz, zawiązał mocniej sznurówki i ruszył truchtem przed siebie. Wróciwszy, wykapał się, zjadł lekkie śniadanie, ubrał w garnitur i ruszył tramwajem do komendy na Kochanowskiego, gdzie pracował jako dochodzeniowiec w stopniu sierżanta. Zasiadłszy za biurkiem, wziął się do papierkowej roboty, której w ostatnich czasach było coraz więcej. O jakiejś jedenastej został wezwany do szefa.

– Wchodź i siadaj – mruknął podinspektor Jerzy Rambert, naczelnik Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego, wysoki, całkiem przystojny mężczyzna ubrany w białą koszulę i niebieską marynarkę. Starsi rangą zwracali się do niego „Dżery”. Siedział za swoim biurkiem i przeglądał jakieś dokumenty, raz po raz poprawiając oprawki swoich czarnych okularów. Wyglądał w nich trochę jak analityk z CIA. – Zaraz

skończy – oznajmił.

Kowalski posłusznie usiadł w fotelu przy ławie. Prześlizgnął się nieuważnym wzrokiem po rozłożonej płachcie „Expressu Poznańskiego”, na którym stała filiżanka oraz popielniczka pełna niedopałków, i zaczął gorączkowo dociekać, dlaczego szef wezwał go przed swoje oblicze. *Opieprz? Pochwała?*

Zerknął raz jeszcze na gazetę. Gdy dostrzegł w tytule jednego z artykułów słowo „USA”, przypomniał sobie, że za miesiąc grupa dochodzeniowców reprezentujących kilka poznańskich jednostek policji wybiera się do Stanów na szkolenie z zakresu oględzin miejsca przestępstwa. *Może któryś z nich zachorował i ja go mam zastąpić?* – pomyślał i natychmiast podniecił się tą wizją. *Byłoby bosko! Od oględzin miejsca do profilowania seryjnych zabójców nie jest wcale tak daleko.*

Rozsiadł się wygodnie w fotelu, wyobrażając sobie, że dumnym krokiem wmaszerowuje do gmachu FBI w Quantico, mijając po drodze Jodie Foster, czyli agentkę Starling.

– Dwie sprawy – odezwał się nagle Rambert, przerywając Kowalskiemu marzenia o karierze genialnego tropiciela groźnych przestępców.

Sierżant spojrzał wyczekująco na naczelnika.

– Właśnie otrzymałem informację o napadzie.

Kowalski uniósł brwi.

– O napadzie na konwój przewożący gotówkę przeznaczoną na wypłaty pracownicze. Dużą gotówkę. Poszkodowanym jest Markiza, znana fabryka czekolady, która ma swoją siedzibę w Biedrusku. Pewnie kojarzysz?

Kowalski kiwnął głową. A jakże, kojarzył. Jedną z największych jego słabości był pociąg do słodczy. Mimowolnie oblizał usta, przypominając sobie cudowny smak karmelowo-orzechowej czekolady, którą produkowała właśnie Markiza.

– Akcja jak z filmu – kontynuował Rambert. – Trzeba przyznać, że sprawcy odrobili lekcję.

– To znaczy?

Podinspektor spojrział na sierżanta swoimi zmęczonymi oczami.

– Dowiedzieli się, jak wygląda dokładnie procedura przewożenia pieniędzy z banku do firmy, i skutecznie zastosowali się do tego – odpowiedział i spokojnym, jednostajnym głosem kontynuował rekonstrukcję wydarzenia:

– Podeszyli się pod firmę ochroniarską Ares, podjechali białym bussem do fabryki, zabrali kasjerkę oraz strażnika i udali się do banku na ulicę Paderewskiego. Gdy pracownicy Markizy odebrali pieniądze, ruszyli z powrotem. W okolicach Koziegłówek zatrzymali się na chwilę. Wtedy do samochodu wszedł uzbrojony mężczyzna w kominiarce. Bandyci obezwładnili strażnika i skonfiskowali pieniądze, ponad pięć miliardów złotych. Na wysokości Owińsk wjechali na chwilę do lasu, kazali strażnikowi wysiąść i pojechali dalej.

Pauza.

– Póki co tu się trop urywa.

Rambert przerwał, zdjął okulary i przetarł je końcówką krawata.

– A co z kasjerką? – zapytał Kowalski, mimowolnie wyobrażając sobie twarz przerażonej młodej kobiety.

– Zabrali ją ze sobą.

– Po co?

– Nie wiem.

Podinspektor wypuścił głośno powietrze.

– Dwadzieścia parę lat – mruknął. – Było świeżo zaręczona.

Na moment zapadła cisza.

– Chciałbym, żebyś poprowadził tę sprawę – odezwał się Rambert po chwili.

Uniósł się lekko nad biurkiem i obdarzył podwładnego przewiercającym spojrzeniem, jakby chciał się upewnić, że ten przyjmuje rozkaz z należytą powagą.

– Weź Ostrowskiego, wypytajcie o szczegóły Miszcza, który

już zaczął w tym grzebać, i przesłuchajcie najważniejszych świadków. Jasne?

Kowalski skinął głową.

– Jasne – odpowiedział i podniósł się z fotela.

Miał wrażenie, że ktoś mu nagle zrobił zastrzyk adrenaliny. Od jakiegoś czasu tak właśnie reagował na wieść o nowej sprawie.

– W takim razie jesteście wolni.

Sierżant podszedł do drzwi, dotknął klamki i się odwrócił.

– A ta druga sprawa? – zagadnął.

Naczelnik przymrużył oczy.

– A tak, byłbym zapomniał – powiedział i złożył dłonie jak do modlitwy. – Jeśli dobrze poprowadzicie z Ostrowskim tę sprawę, to wyślę was na kurs dla aspirantów.

Kowalski drgnął.

– Gdzie?

– Jak to gdzie? Do Piły, chłopie.

No tak, do Piły.

– No co, nie cieszysz się?

– Bardzo się cieszę – odpowiedział. – Po prostu jestem zaskoczony. Dziękuję, panie naczelniku.

Zapiął guzik marynarki i wyszedł z gabinetu.

Uśmiechnął się do pani Kasi, sekretarki Ramberta, wyszedł na korytarz i rażnym krokiem ruszył w stronę pokoju, który dzielił z Ostrowskim.

Przed oczami znowu stanął mu obraz przerażonej kobiety, którą jego wyobraźnia obsadziła w roli zaginionej pracownicy Markizy. Miała potargane czarne włosy, bladą, wykrzywioną twarz i zaczerwienione oczy. Podniecenie ustąpiło dojmującemu smutkowi.

Przypomniał sobie nagle zdarzenie sprzed paru miesięcy. Wszedł do jednego z pokoiów mieszczących się w Wydziale Kryminalnym. Na ścianie wisiała tablica korkowa z fotografiami kilku uśmiechniętych licealistek, które zostały

zgwałcone i zamordowane przez nieznanego wówczas sprawcę. Zbladł wtedy, wydusił z siebie kilka słów i pospiesznie wyszedł. Tamtej nocy nie mógł zasnąć. Brutalna śmierć młodych dziewczyn całkowicie wytrąciła go z równowagi. Potem przez tydzień zastanawiał się, czy naprawdę chce być policjantem i na co dzień obcować z ludzkim nieszczęściem.

III

Godzinę później Ostrowski i Kowalski wjechali do Koziegłów. Ten pierwszy uderzał palcami o kierownicę do rytmu żywiolowej piosenki AC/DC i raz po raz wykrzykiwał „Thunder”, a ten drugi pochłonięty był lekturą „Głosu Wielkopolskiego”.

Gdy opuścili senną podpoznańską miejscowość, Ostrowski zerknął na kolegę i zagadnął:

– Co tam, panie, w polityce?

Kowalski poślinił palec i przerzucił stronę, nie odrywając wzroku od gazety.

– Dzieje się.

– Jakież szczegóły?

– Wczoraj na Sołaczu eksplodował mercedes z biznesmenem w środku.

– Ożeż!

– No, też tak pomyślałem.

– Ale zaraz, zaraz. To nie było tydzień temu?

– Było. Ale się powtórzyło. Kolejny samochód i kolejny biznesmen. Facet był podobno w przeszłości oficerem Służby Bezpieczeństwa, dość mroczna postać.

– Kto za tym stoi?

– Nikt nic nie wie.

– No tak.

Kowalski wrócił do lektury.

Po dwudziestu minutach dojechali do Biedruska, gdzie mieściła się siedziba fabryki. Zaparkowali przy nowoczesnym niewielkim biurowcu. Wszedłszy do środka, zatrzymali się przy przeszklonej portierni, w której siedział siwowłosy mężczyzna ubrany w szary workowaty garnitur. Pokazali mu

legitymacje służbowe i się uśmiechnęli.

– Komenda Wojewódzka – powiedział Kowalski. – My do prezesa. Jesteśmy umówieni.

– Panowie w sprawie napadu na konwój?

– Uhm.

Portier chwycił słuchawkę.

– Policja przyjechała, chcą do szefa – mruknął i spojrzał na sierżanta. – Schodami na pierwsze piętro, drugie drzwi na prawo. Będzie napis. Sekretarka panów ugości. Prezes powinien przyjść za jakiś kwadrans.

Odłożył słuchawkę i pociągnął głośno nosem.

– Oni mi się wydali podejrzeni – oznajmił niespodziewanie, wyciągając z kieszeni brązową chustkę do nosa.

Kowalski spojrzał na Ostrowskiego.

– Kto?

– Ochroniarze, którzy przyjechali z konwojem.

– Dlaczego?

Portier skrzywił się, wydmuchał głośno nos, a potem odpowiedział lekko poirytowanym głosem:

– Proszę pana, zawsze przyjeżdżała ta sama ekipa. Pan Zbyszek, pan Leoś i pan Włodek. Zawsze, bez wyjątku. A dzisiaj pojawiły się zupełnie obce chłopy. Dziwne mordy, czarne okulary, źle im z oczu patrzyło.

– Tych też było trzech?

– Tak.

– Cała trójka wyglądała podejrzenie?

Portier się zamyślił.

– Rzeczywiście, jeden się odróżniał. Na plus. Całkiem przystojny, miły, elegancko ubrany. Mignął mi tylko na chwilę, więc pewnie dlatego zapomniałem o nim.

– Zapytał pan ich, skąd to zastępstwo? – zapytał Ostrowski.

– A zapytałem, proszę pana.

– I co odpowiedzieli?

– Jeden z nich mruknął, że chłopcy musieli pilnie pojechać

w innym konwoju.

– I co?

– Nic. Wszyscy przyjęli to do wiadomości. Nikomu poza mną nie wydało się to podejrzanym. No, ale kto poważny słucha ciecia, co nie?

Portier rozłożył bezradnie ręce.

– Gdyby ktoś się tym zainteresował, sprawdził legitymacje, dowody, może nie doszłoby do napadu?

Westchnął i dodał markotnie:

– Nawet nie chcę myśleć, co się stało z panią Anią. To bardzo bystra, śliczna, uczynna kobietka. Strasznie ją lubiłem... – Pociągnął nosem i poprawił się: – To znaczy lubię...

Chciał coś dodać, ale machnął ręką, zamilkł i spojrzał przez okno.

Po chwili ciszę przerwało trzaśnięcie drzwiami.

– Dzień dobry!

Sierzanci odwrócili się i zobaczyli młodą, ładną dziewczynę, ubraną w czarny płaszczyk, bordową skórzaną miniówkę i czarne kozaki do kolan. Miała długie brązowe włosy, szczupłą twarz o dużych czarnych oczach i usta podkreślone czerwoną szminką.

– Tata jest? – zapytała, zamachawszy ręką.

Portier uśmiechnął się do niej.

– W sali konferencyjnej – odparł. – W tej mniejszej.

– Świetnie – odparła i spojrzała przelotnie na sierżantów, którzy kiwnęli jej głowami.

Odgarnęła włosy i podeszła do windy. Gdy zniknęła w jej wnętrzu, portier nachylił się do nich i rzekł konfidenckim tonem:

– Córka prezesa.

– No tak.

– Ola ma na imię.

– Ładnie.

– Studiuje ekonomię.

Sierżanci pokiwali głowami, podziękowali i skierowali się w stronę schodów. Gdy dotarli do odpowiedniego pomieszczenia, sekretarka wprowadziła do ich eleganckiego gabinetu i poprosiła o chwilę cierpliwości. Zdjęli płaszcze, usiedli na skórzanych krzesłach ustawionych naprzeciwko biurka i zaczęli się rozglądać po minimalistycznie zaaranżowanym wnętrzu.

Po dziesięciu minutach pojawił się prezes, wysoki przystojny mężczyzna po czterdziestce. Miał na sobie dzinsy, białą koszulę i marynarkę. Sierżanci zwrócili uwagę na jego intensywną opaleniznę.

– Dzień dobry, kłaniam się, przepraszam za chwilę zwłoki, miałem ważny telefon z kupcem z Brazylii, już jestem do panów dyspozycji – oznajmił na jednym oddechu.

Spojrzał na nich badawczo, uściśnął dłonie.

– Tobiasz Maryl – przedstawił się. – Zawiaduję całym tym interesem.

Uśmiechnął się, odsłaniając swoje śnieżnobiałe zęby.

– Kawusi? – zapytał.

Sierżanci podziękowali.

– To może czegoś słodkiego? – podszedł do barku i wydobyl z niej salaterkę, na której leżały kawałki czekolady. Postawił ją na biurku i usiadł w ogromnym fotelu. – Nasz wyrób, polecam, pyszności.

Kowalski wbił wzrok w miseczkę i głośno przełknął ślinę. *Nie, nie zrobię tego* – pomyślał rozpaczliwie.

Prezes spojrzał na policjantów i mruknął:

– Spryciarze. Mieli fantazję i filmowy polot, to im trzeba oddać, cholera jasna.

– To znaczy? – zapytał Ostrowski i spojrzał na partnera, który drżącą ręką sięgnął po kostkę czekolady, ale zaraz ją cofnął. *Twardziel* – zaśmiał się w duchu.

– Jakąś godzinę temu, po tych wszystkich przesłuchaniach i rozmowach, ułożyłem sobie w głowie całą historię –

odpowiedział prezes. – No i brzmi to jak scenariusz. – Pokręcił głową. – Mam opowiedzieć?

– Jasne – odparł Kowalski, wyciągając z wewnętrznej kieszeni marynarki notes i długopis. – Proszę mówić.

– Wczoraj późnym popołudniem dostaliśmy telefon, że termin konwoju zostanie przesunięty z godziny dwunastej trzydzieści na dziewiątą trzydzieści. W miarę sensownie to uzasadniono. Przyjeliśmy zmianę do wiadomości. Jedna z moich asystentek miała zadzwonić do firmy ochroniarskiej, żeby to potwierdzić. Niestety, nie mogła tego zrobić, ponieważ w całym Biedrusku nagle zniknął sygnał. Jak się dzisiaj okazało, ktoś celowo przeciął kable w jednej ze studzienek i przez to nie można się było nigdzie dodzwonić. Nie potwierdziliśmy więc zmiany ani jej nie odwołaliśmy.

Westchnienie.

– Wasi ludzie mówią, że prawdopodobnie ma to związek z napadem. Kiedy przyjechał prawdziwy konwój o zwyczajowej dwunastej trzydzieści, było już... Było już po zawodach i... i po pięciu miliardach złotych, kur...

Maryl urwał gwałtownie i pokręcił gniewnie głową.

– Przepraszam, ale dopiero teraz powoli dochodzi do mnie, że ukradziono mi pięć miliardów i dwieście tysięcy złotych, które były przeznaczone na wypłaty pracownicze.

Ostatnia część zdania wybrzmiała bardzo gwałtownie.

– Będę musiał wziąć pożyczkę z banku.

Maryl zerwał się z fotela, podszedł ponownie do barku, sięgnął po butelkę whisky i wypełnił do połowy szklaneczkę.

– Przepraszam, ale muszę się napić. Nie proponuję panom, bo przecież jesteście na służbie.

Wziął alkohol na dwa łyki i wrócił za biurko.

– A najbardziej wkurza mnie to, że po części jest to nasza wina. Nikt ich nie wylegitymował!

Sapnął ciężko.

– Ktoś mi powiedział, że te ich ciuchy wcale nie były podobne

do mundurów, jakie noszą pracownicy agencji... No i teraz wszyscy mi pieprzą na wypródki, że napad był grubymi nićmi szyty. Bezczelność! A wtedy – nikt nawet nie mrugnął. Nikt!

Zacisnął dłonie i położył je na biurku, z trudem powstrzymując się od uderzenia w blat. Zerknął na sierżantów i wycedził:

– Mam zamiar ufundować nagrodę za wskazanie sprawców napadu. Pięćset milionów! Mówię poważnie, pięćset milionów. A może nawet sześćset!

Sierzanci spokojnie patrzyli na prezesa, który zamilkł i zapadł się w fotelu. Był cały czerwony na twarzy.

Kowalski sięgnął po kostkę czekolady, zjadł ją pospiesznie i odezwał się:

– Sprawcy zabrali ze sobą kasjerkę...

– Tak – wszedł mu w słowo Maryl. – Panią Anię Radziędę. Zapomniałem o tym. Pewnie to jest najgorsze w tym wszystkim. Ostatecznie, pieprzyć te pieniądze, ważne, żeby ona się znalazła... Żywa. Lubiłem ją, fajna babka z niej była... to znaczy, jest fajną babką. Mam nadzieję, że...

Kowalski odczekał chwilę i zapytał:

– A może ona była jakoś zamieszana w ten napad? Może nadała komuś temat? Takie rzeczy się zdarzają przecież.

Maryl szeroko otworzył oczy.

– Oszalał pan? – Podniósł głos. – Pani Ania? W życiu! To uczciwa osoba. Ręczę za nią. Świeżo zaręczona, zakochana, w przyszłym roku wychodzi za męża. Rodzice to porządni ludzie, ojciec jest radnym, matka nauczycielką...

Mężczyzna uniósł się na fotelu i przejechał dłonią po twarzy. Przez chwilę się namyślał.

– Jeśli miałbym kogoś typować, to raczej powęszyłbym wśród pracowników agencji – rzucił. – To byłoby bardziej prawdopodobne. Tego rodzaju firmy różnych dziwnych ludzi zatrudniają u siebie.

Zapadła cisza, którą po paru sekundach przerwało pukanie do drzwi. W progu stanęła sekretarka.

– Panie prezesie, taksówka już czeka.

Maryl skinął jej głową i spojrzał na policjantów.

– Panowie wybaczą, ale interesy wzywają – powiedział, podnosząc się energicznie z fotela. – Ale przy okazji chcę podkreślić, że zamierzam zrobić wszystko, żebyście złapali tych drani – dodał poważnie.

Podrapał się po brodzie.

– Wiem, że ostatnimi czasy policja stoi kiepsko z forszą – dodał. – Więc zamierzam wam się odwdziżyć. Jeśli wykryjecie sprawców i odzyskacie moje miliardy, kupię wam wypasione auto służbowe. Będziecie mogli skutecznie ścigać się ze zbójami, ha, ha!

Mężczyźni stanęli naprzeciwko, uścisnęli sobie dłonie.

– Ale o tym będę jeszcze rozmawiał z waszym komendantem. Znam go, byczy gość.

Sierzanci założyli płaszcze i podeszli do drzwi.

– Jutro od rana jestem do dyspozycji, możemy spisać protokół przesłuchania.

Ostrowski uśmiechnął się ironicznie i zerknął na Kowalskiego, który właśnie wkładał do ust kolejną kostkę czekolady.

– No to klawo – rzucił i nacisnął kławkę. – Będziemy w kontakcie.

IV

Sierzanci opuścili Biedrusko i pojechali do Chłudowa, gdzie mieszkał Józef Szarota, strażnik, który towarzyszył Annie Radziędzie w konwoju. Zajechawszy na miejsce, zaparkowali i podszli do płotu okalającego skromny jednorodzinny dom. Na środku podwórka wypatrzyli mężczyznę, który rąbał energicznie drewno. Był ubrany w kufajkę, czapkę z daszkiem i kalosze.

– W zdrowym ciele zdrowy duch – mruknął Ostrowski.

Gdy podszli do niego, ze zdziwieniem stwierdzili, że ma co najmniej siedemdziesiąt lat. Przedstawili się i wyjaśnili cel wizyty. Spojrzał na nich smutnym wzrokiem i odłożył siekierę.

– Mam w dupie te wszystkie zrabowane miliardy – mruknął.

– Nie mogę przestać myśleć o pani Ani.

Przez jego twarz przebiegł skurcz.

– I nie mogę sobie podarować, że nic nie zrobiłem, że nic nie mogłem zrobić, że...

Zamilkł i podniósł z ziemi kawałek kory. Poobracał go w dłoniach i rzucił na stos porąbanego drewna.

– Mam nadzieję, że te zbiry ją wypuszczą... – Złapał się wpół.

– Że... – Spojrzał na nich. – Myślicie panowie, że ją wypuszczą?

Sierzanci mruknęli coś niewyraźnie, zerkając na własne buty. Szarota pokiwał głową i westchnął. Kowalski wyjął z kieszeni długopis i notes.

– Niech nam pan opowie, co się wydarzyło w drodze powrotnej – poprosił.

– Do pewnego momentu wszystko wyglądało normalnie – powiedział Szarota. – W miarę normalnie, bo rzeczywiście ci ochroniarze byli jacyś... dziwni... No, ale nikt wtedy nie

zwrócił na to uwagi. Łącznie ze mną. – Splunął pod nogi z niesmakiem.

– Do którego momentu wszystko wyglądało normalnie? – zapytał Kowalski, rozglądając się po zadbanym podwórku.

– Do Koziegłów – odparł Szarota. – Gdy wyjechaliśmy z miasteczka i znaleźliśmy się na wysokości lasu, samochód nagle zwolnił, zjechał na pobocze i się zatrzymał. Nie zdażyłem jakkolwiek zareagować, bo do środka wparował nagle jakiś facet w kominiarce. Warknął coś o napadzie, przyłożył mi pistolet do głowy, a jeden z tych cholernych przebierańców odebrał mi broń, TT 33, i założył kajdanki na łapy. Pani Ania zaczęła krzyczeć.

Cisza.

– To było straszne, panowie – szepnął i pokręcił głową. – To było straszne. Ja do teraz mam podniesione ciśnienie. Nie wiem, co ze sobą zrobić... Żona każe mi się położyć, ale ja nie mogę uleżeć. Muszę czymś zająć myśli.

Ściągnął czapkę i podrapał się po głowie.

– Wejdziecie do domu na kawę? – zapytał. – Córka przywiozła ciasto, całkiem smaczne, może skosztujecie?

– Dziękujemy – odparł Kowalski. – Ale mamy jeszcze mnóstwo roboty dzisiaj.

– No tak, jasne.

– Chcemy za chwilę odwiedzić rodziców pani Radziędy.

Strażnik westchnął.

– Rozumiem... O czym to ja mówiłem?

– O tym, że pani Ania zaczęła krzyczeć – podsunął Ostrowski.

– A tak. No więc właśnie, zaczęła krzyczeć. Facet w kominiarce wrzasnął na nią straszliwie, a ona wtedy zapadła się w sobie. Zakryła dłonią usta i jak zahipnotyzowana patrzyła przez okno. Z jej oczu ciurkiem płynęły łzy...

Zamilkł.

– Do końca życia nie zapomnę tego widoku.

Cisza.

– Po prostu czysta rozpacz...

Policjanci patrzyli na niego ze współczuciem. Mężczyzna przygarbił się jakby pod naporem przykrego wspomnienia.

– Czysta rozpacz – powtórzył szeptem.

Jego usta na moment wygięły się w podkówkę. Znowu umilkł. Wsunął rękę do kieszeni marynarki, wyjął małą buteleczkę, z której wysypał garść tabletek. Połknął je. Wziął duży oddech i zapatrzył się w dal.

– Według mnie – odezwał się po chwili, podnosząc nieoczekiwanie głos – bandyci rozpracowali wszystkich psychologicznie. Cwane skurwysyny.

Ostrowski zerknął na niego z zainteresowaniem.

– Co pan ma na myśli?

– Oni działali na pewniaka, na bezczelnego. To po pierwsze...

Znów się zamyślił.

– A po drugie?

– Po drugie... Kiedy jechaliśmy do banku, przez radio nadano komunikat, że drugi samochód mający nas konwojować uległ wypadkowi.

Sierzanci patrzyli z uwagą na Szarotę, który kontynuował:

– Nie wiem, czy panowie wiecie, ale przepisy mówią, że sumę większą niż pięć miliardów złotych muszą zabezpieczać dwa samochody. No więc gdy pojawiła się ta informacja, oczywiście fałszywa, jeden z przebierańców spojrzął na panią Anię i zapytał, co robimy. Czy zawracamy, czy jednak jedziemy dalej? Cwaniak dodał, że decyzja należy do niej, że oni się dostosują...

Cisza.

– Z całej tej trójki – dodał po chwili – wyglądał najprzyzwoiciej... Tamci to byli penerzy, a ten... Hm, prawdę mówiąc, wzbudzał zaufanie. Taki trochę elegancik... Miał miły, ciepły głos... więc... – Szarota cmoknęła. – Więc gdy

zapytał tym swoim sympatycznym głosem, co robimy, pani Ania po chwili namysłu zdecydowała, że jednak jedziemy dalej... Prawdę mówiąc, nie podobała mi się ta decyzja, ale nic nie powiedziałem. To nie moja działka przecież.

Westchnienie.

– Dzięki temu bezczelnemu pytaniu zdobyli zaufanie dziewczyny. To po drugie.

– Co było potem, panie Józefie? – zapytał Kowalski, pospiesznie zapisując w notesie słowa mężczyzny.

– Potem?

– Pojawił się czwarty klient, wsiadł do samochodu, wrzasnął – odparł sierżant, zerkając do notesu. – I co było dalej?

– No cóż – padła odpowiedź. – Samochód ruszył w stronę Kicina. Chwilę później wjechaliśmy do lasu. Zatrzymaliśmy się. Kazano nam wysiąść. Ściągnięto mi kajdanki. Poczuję niewyobrażalną ulgę. Chwyćm za dłoń panią Anię, uśmiechnąłem się do niej – i nagle ten w kominiarce mówi: „Suczka jedzie z nami”.

Szarota skrzywił się i urwał. Zacisnął szczęki.

– Suczka jedzie z nami?

– Albo jakoś tak... Spojrzałem na niego przerażony – podjął. – Przytrzymałem dziewczynę, bo zachwiała się biedulka. „Co? – krzyknąłem. – Nie pozwalam!”. Ten elegancik też zaprotestował. „Nie tak się umawialiśmy – powiedział poruszony. – To miał być tylko napad!”. „Zamknij się, nie ty tu decydujesz” – warknął ten w kominiarce i wycelował we mnie broń. „Cofnij się” – wycedził. Zerknąłem na dziewczynę. Była blada jak śmierć. Nagle bandzior schował pistolet, chwycił panią Anię i wsadził do samochodu. Po chwili odjechali.

Szarota urwał i spojrzał na swoje dłonie: drżały.

– A ja zostałem sam w lesie... Usiadłem na jakimś pieńku i poczułem, że zaczyna kręcić mi się w głowie. Zebrało mi się na wymioty. Wstałem z trudem i wyrzygałem śniadanie...

Chyba dostałem ataku paniki... Jakimś cudem doczłapałem do szosy i tam ktoś mnie zabrał na komisariat...

Szarota nagle złapał się za pierś.

– Muszę iść do domu i jednak się położyć, bo zaraz wykituję – powiedział słabym głosem. – Możemy przerwać na dzisiaj?

Sierzanci spojrzeli na niego przestraszeni.

– Jasne – szepnął Ostrowski. – Jutro się odezwiemy w sprawie rysopisów.

Szarota kiwnął.

– To cześć – mruknął i wolnym krokiem ruszył w stronę domu.

Sierzanci odprowadzili go wzrokiem, a gdy zniknął za drzwiami, wrócili w milczeniu do wozu.

Godzinę później zajechali pod blok, w którym mieszkali rodzice zaginionej dziewczyny. Nie zdążyli zapukać, gdy nagle drzwi otworzyły się i w progu stanął mężczyzna o zaczerwienionych oczach. Miał mniej więcej pięćdziesiąt lat. Był ubrany w kurtkę, sztruksowe spodnie i sztyblety. W prawej dłoni trzymał sportową torbę.

– Słucham? – mruknął i spojrzał nich podejrzliwie.

Kowalski wyciągnął po raz kolejny tego dnia legitymację służbową.

– Sierżant Kowalski i sierżant Ostrowski – powiedział. – Jesteśmy z Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu.

Mężczyzna skinął głową.

– O co chodzi? – zapytał.

– Pan Zbigniew Radzięda?

– Tak. O co chodzi?

– O pańską córkę. Przesłuchujemy świadków w sprawie napadu na konwój...

Radzięda zbladł.

Odstawił torbę na podłogę.

– Prowadzicie sprawę napadu?

– Tak.

W jego oczach pojawił się lęk.

– Znaleźliście Anulkę? – szepnął i oparł się dłonią o futrynę.

– Nie.

Chwila ciszy.

Mężczyzn wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

– Wiecie coś? – zapytał, patrząc na nich z przestrochaniem. – Przynosicie jakąś nową informację?

Pokręcili głowami.

– Niestety nie.

Mężczyznę zacisnął szczęki i się wyprostował.

– To kiedy ją znajdziecie, do cholery?! – Podniósł nieoczekiwane głos. – Gdzie ona jest? Co się w ogóle z nią stało?! Jak sobie...

Radzięda z trudem zdusił w sobie szloch. Ostrowski zrobił uspokajający ruch dłonią i zagadnął:

– Możemy wejść i porozmawiać? Zajmiemy tylko chwilę.

– Teraz? – zapytał oburzony.

– No cóż, im szybciej, tym lepiej – powiedział Kowalski łagodnie i uśmiechnął się przyjaźnie.

Radzięda pociągnął nosem.

– O czym chcecie rozmawiać, jak nic ważnego nie macie do powiedzenia? – rzucił zaczepnie. – Właśnie wybieram się do żony, do szpitala – dodał zirytowany. – Dostała zawału, kiedy dowiedziała się o... napadzie i... – Załkał. – I o zniknięciu córki. – Urwał. Przełknął głośno ślinę i potarł oczy, w których zaszkliły się łzy. – Muszę jej zawieźć różne rzeczy – dodał. – Jak najszybciej. Przełożmy rozmowę na jutro, dobrze? Będę w domu do południa.

Ostrowski zerknął na Kowalskiego, który pokiwał akceptująco głową i odezwał się nieśmiało:

– Potrzebujemy aktualnej fotografii pana córki. Możemy prosić?

Radzięda westchnął.

– Przyniosę – szepnął i zniknął w mieszkaniu.

Po minucie wręczył im drżącą dłonią zdjęcie rozpromienionej młodej dziewczyny. Kowalski schował je do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Byliście już u Arka? – zapytał Radzięda.

– U Arka?

– Jej narzeczonego.

Jeszcze nie byli, zostawili go sobie na koniec. Bali się tego spotkania. Chcieli je jak najbardziej odwlec w czasie.

– Nie.

– Rozmawiałem z nim godzinę temu przez telefon. Jest w kiepskim stanie...

– Wybieramy się do niego.

Cisza.

Kowalski poruszył się, chcąc zakończyć rozmowę, gdy nagle Radzięda zapytał:

– Czy ona żyje?

Kowalski zamarł w bezruchu. Ostrowski zakaszłał nerwowo.

To pytanie zawsze budziło w nich panikę. Nie było na nie dobrej odpowiedzi. Zresztą ten, kto je zadaje, nie oczekuje przecież, że ktoś mu uczciwie odpowie. Kowalski nazywał je „emocjonalną zasadzką”. Przerabiali to już nie raz. Z biegiem lat nauczyli się je ignorować.

– Odwiedzimy pana jutro – powiedział Kowalski. – Może będziemy mieli jakąś informację na ten temat. Do widzenia.

Radzięda pokiwał głową i potarł zaczerwienione oczy.

VI

Henryk Misiński, najpopularniejszy dziennikarz kryminalny w całej Wielkopolsce, westchnął ciężko, chwycił płachtę „Gazety Wyborczej” i poszedł do kuchni przygotować sobie kawę. Kartkując dziennik, zobaczył na „kulturalnych stronach” rozmowę z kolegą ze studiów polonistycznych. Facet wydał właśnie powieść, która stała się bestsellerem. *Powieść fantasy, podróbka „Conana Barbarzyńcy”, ble, to jakaś dziecinada* – zadrwił w myślach. Zalewając kawę, czuł, że jednocześnie zalewa go krew. *Ten wypierdek napisał bestseller* – warknął w duchu, zmiął gazetę i wyrzucił ją do kosza. *Ja też chcę*. Sięgnął po kubek, podmuchał go, wypił parę łyków i ruszył z powrotem.

Gdy zbliżał się do swojego boksu, zza zakrętu wyłonił się naczelny, czterdziestoletni wysoki mężczyzna w modnych okularach. Pachniał zagranicznymi perfumami. Podał rękę Misińskiemu i spojrział mu głęboko w oczy.

– Kochany, jest prośba do ciebie! – odezwał się swoim afektowanym głosem. – Wielka prośba!

Misiński zacisnął szczęki.

– Jaka?

– Chodzi o to, żebyś spróbował przesiąść się z maszyny do pisania na komputer! Na to piękne nowoczesne urządzenie, które czeka na ciebie w dziale informatycznym. OK? Ja doskonale rozumiem, że to nie jest proste, stare przyzwyczajenia, szacunek dla tradycji, ale dziewczyny się buntują i nie chcą już przepisywać twoich tekstów. Mówią, że sam możesz to robić własnymi doświadczoneymi łapkami, i, cholera, mają jednak rację. Zgodzisz się, co nie? Tu i tu masz klawiaturę przecież!

Naczelny poklepał po ramieniu naburmuszonego redaktora.

– Misiu, zlituj się! – zawołał. – Spróbuj wskoczyć na nowego konia, on naprawdę jest o wiele łatwiejszy w obsłudze.

Misiński prychnął.

– Przez dwa pierwsze miesiące będę ci więcej płacił za wierszówkę, o dziesięć procent – oznajmił naczelny. – To jak? Mamy deal? No bądźże rozsądny, daj przykład młodym, pokaż, że stara gwardia jest otwarta na teraźniejszość, że się cały czas rozwija. Mamy?

Redaktor westchnął ciężko.

– Mamy – mruknął. – Jutro po niego pójde, a teraz wybacz, mam pilny tekst do napisania.

To powiedziawszy, wyminął uśmiechniętego szefa i poczłapał do siebie, dusząc w sobie wiązkę siarczystych przekleństw, których nauczył się dawno temu od znajomych policjantów.

Trzasnął drzwiami, zapalił papierosa i wbił wzrok w Erikę, starą, wysłużoną maszynę do pisania, na której wystukał setki artykułów o wielkopolskich przestępstwach. Gdy zaczął przechodzić od fazy wściekłości do fazy uzalania się nad sobą – *Nic nie osiągnąłem, nic nigdy nie napiszę dobrego, jestem tylko lokalnym grafomanem, przegrałem swoje życie* – zadzwonił nagle telefon.

Podniósł słuchawkę.

– Misiński – burknął. – Słucham.

– Serwus, Misiu! – Gdy usłyszał dobrze znany głos zaprzyjaźnionego szefa Wydziału Kryminalnego, podinspektora Buryły, uśmiechnął się mimowolnie. Jego telefony zawsze zwiastowały informacje, które można przerobić na ciekawe artykuły, a czasami nawet na całą serię artykułów.

– Kłaniam się legendzie poznańskiej policji – zawołał, wrzucając na wpół wypalonego papierosa do kubka. – Co słyhać, co widać, co się szykuje, Buryś?

– Mam bardzo gorącą historię. Po prostu niesamowitą!

– Naprawdę?
– No mówię, jak jest, chłopie!
– Nawijaj!
– Pamiętasz ten słynny napad na pociąg na trasie Glasgow–Londyn?

– Ten z lat sześćdziesiątych?
– Dokładnie z 1963 roku, właśnie sprawdziłem.
– Co mam nie pamiętać? Słynna historia!
– No właśnie. – Buryła mlasnął podniecony. – Mamy powtórkę z rozrywki.

– Zamieniam się w słuch – szepnął dziennikarz, czując rozkoszne mrowienie na plecach.

Takie chwile uwielbia! Kiedy na horyzoncie pojawia się smakowita historia.

Chwycił długopis i zamarł w oczekiwaniu na opowieść.

Gdy naczelnik zakończył skrótową rekonstrukcję napadu na konwój Markizy, Misiński powoli wypuścił powietrze, podrapał się po swojej bujnej czuprynie i szepnął:

– Ja cię sunę, to rzeczywiście powtórka z rozrywki!
– No i te kable telefoniczne, prawda? I wtedy, i teraz!
– Jasny gwint!
– Po prostu kino amerykańskie!
– Bury, to brzmi jak... – Misiński przez chwilę szukał w pamięci odpowiedniej formuły. – Jak... jak napad doskonały!

Podinspektor zaśmiał się gromko.

– Napad doskonały! – powtórzył zachwycony. – Ty to masz łeb jak sklep, Misieńku! Jesteś prawdziwym czarodziejem słowa.

Misiński uśmiechnął się i zerknął na korytarz, na którym para młodych ludzi rozmawiała ze sobą półszepem, żywo przy tym gestykułując. Dziewczyna była stażystką, a chłopak całkiem znanym dziennikarzem, którego teksty zdobywały coraz większą popularność. Wróżono mu ogólnopolską

kariere. Mówiono na niego „Pisarz”, bo uwielbiał podkoloryzowywać fakty. Misiński skrzywił się i wrócił do rozmowy.

– Podziękować – mruknął do słuchawki.

– Materiał na soczystą powieść albo nawet film – rzucił z ekscytacją naczelnik kryminalnego. – Zdaje się, że jest nawet osobna nazwa na film o napadzie.

– Heist movie.

– Właśnie!

– Wygląda mi to na perfekcyjnie przygotowaną akcję – powiedział Misio, przetrząsając pamięć w poszukiwaniu dobrych kryminałów, których tematem był napad. „Rififi”, „Vabank”?

– Coś w stylu Arsena Lupina – podsunął podinspektor.

Misiński sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej małą gorzką żołądkową. W końcu jakaś dobra nowina – pomyślał, oblizał spierzchnięte usta i upił parę łyków.

– Rozumiem, że Arsen Lupin przegra w starciu z poznańskimi policjantami? – zagadnął.

– Drogi panie redaktorze, ależ oczywiście, że tak! Taka jest karma przestępców. Zawsze przegrywają w starciu z poznańskimi gliniarzami!

Redaktor zarechotał gromko.

– Aha, możesz dodać, że w Suchym Lesie znaleźliśmy ich busa. Niemal doszczętnie spalonego.

Misiński zamienił jeszcze z oficerem parę słów, odłożył słuchawkę i zasiadł przed maszyną do pisania.

Wkręcił kartkę, uniósł ręce jak pianista, pomyślał chwilę i wystukał: „Napad doskonały”.

Spojrzał krytycznym okiem na tytuł.

– Za słabo – szepnął.

Wymienił kartkę na czystą i zapisał nowy tytuł: „Napad stulecia”.

Uśmiechnął, zatarł ręce i zaczął zamaszyście uderzać w klawiaturę. Po piętnastu minutach tekst był gotowy. Wykręcił kartkę, przeczytał pospiesznie urobek i mruknął:
– Elegancko.

VII

Podinspektor Buryła odłożył słuchawkę, wsunął stopy w laczki i przeszedł do salonu, nalał sobie koniaku. Zerknął na ścienny zegar. Była dziewiętnasta trzydzieści pięć. Włączył telewizor i usiadł na swojej ulubionej, niezwykle miękkiej sofie. Akurat nadawano wiadomości.

Główną atrakcją był news o zatrzymaniu przez bydgoską policję Mariusza Sz., dwudziestoosmioletniego mężczyzny podejrzanego o zamordowanie dziesięciu kobiet. Zabójca urodził się w Baniach, w województwie szczecińskim. Gruby, zaniedbany, niezwykle brzydki. Był upośledzony umysłowo. Zabijał ofiary, żeby uprawiać z nimi seks. To był jego jedyny sposób na dostęp do rozkoszy cielesnych. Wędrował po całej Polsce i polował na kobiety. Dziennikarze, którzy od jakiegoś czasu śledzili jego poszukiwania, nadali mu pseudonim „Wampir”. Jakżeby inaczej – skwitował w myślach Buryła. *Kolejny wampir, jeszcze chwila, a Polska zamieni się w jedną wielką Transylwanię. No kurde, mogliby się bardziej postarać. To już Misio lepiej kombinuje.*

Pokręcił z niesmakiem głową, obejrzał do końca wiadomości i wyłączył telewizor. Dolał sobie złotego płynu. Wziął małego łyka i wrócił na sofę. Zamyślił się. Przypomniał sobie słowa któregoś z kolegów, który powiedział kiedyś, że najłatwiejsze do wykrycia są „polskie pseudoseryjne zabójstwa”. Buryła się z tym zgadzał. Ich sprawcami są przecież zazwyczaj prości mężczyźni, którzy nie panują nad swoim libido i – co istotne – nie przywiązują większej wagi do zacierania śladów. Idą niezdarnie przez życie, dokonując raz po raz okrutnych czynów. Paradoksalnie, nie stanowią większego zagrożenia dla społeczeństwa. Ich złowroga popularność to przede wszystkim

zjawisko medialne. „Dziczki” – tak właśnie nazywał ich Harry, jego najlepszy człowiek.

Prawdziwą groźną przestępczością jest przestępczość zorganizowana, za którą trzeba się wziąć na poważnie, póki jeszcze nie wymknęła się spod kontroli. Od jakiegoś czasu wśród komendantów i naczelników najważniejszych krajowych jednostek policyjnych krążył pomysł stworzenia specjalnych wydziałów, których zadaniem byłaby walka z tego rodzaju przestępczością. Podinspektor był jego gorącym zwolennikiem. Kiedyś w rozmowie z komendantem głównym zasugerował, że chętnie pokierowałby w Poznaniu takim wydziałem.

Westchnął. Dopił alkohol i odłożył kieliszek na ławę. Oparł się o oparcie sofy i przymknął oczy. Pod powiekami zobaczył scenę, która prześladowała go od czterech lat:

Pędzi polonezem przez las jak szalony. Dojeżdża do leśniczówki, zatrzymuje samochód, wysiada z niego pospiesznie. Wyciąga z kabury pistolet, wbiega do środka drewnianego budynku i zamiera w bezruchu.

Na podłodze leży młody chłopiec z nożem wbitym w brzuch.

W kałuży krwi.

Trzynastoletni Patryk.

Syn jego brata, zamożnego biznesmena.

Buryła otworzył oczy i głośno wypuścił powietrze. Zerknął na zegarek. Była dwudziesta piętnaście. Musi wstać, przebrać się w garnitur i pojechać do Radia Merkury, żeby pogadać o „napadzie stulecia”.

VIII

Kowalski zerknął na zegarek.

– Która jest? – zapytał Ostrowski, rozglądając się po opustoszałej knajpie. Jego wzrok zatrzymał się na ścianie, na której wisiały fotosy filmowe. Większość pochodziła z filmów gangsterskich. „Człowiek z blizną”, „Chłopcy z ferajny”, „Ojciec chrzestny”, „Samuraj” i jeszcze parę innych.

– Zbliża się północ.

Ostrowski zerknął na kolegę, który właśnie wyjął z kieszeni płaszcza fotografię Ani Radziędy i położył ją na stole.

– Schowaj to, chłopie, mieliśmy się zresetować.

Kowalski pokręcił głową.

– Nie potrafię się zresetować. Cały czas o niej myślę. To silniejsze ode mnie – odparł i zaczął przyglądać się z uwagą portretowi zaginionej dziewczyny, uśmiechniętej dwudziestoparolatki z burzą kręconych czarnych włosów.

– Zastanawiam się też, jak powinniśmy odpowiedzieć jej ojcu, który zapytał nas, czy ona żyje – dodał Kowalski i wbił wzrok w Ostrowskiego.

Ten wzruszył ramionami.

– Tak, jak odpowiedzieliśmy – mruknął. – A co innego mieliśmy niby powiedzieć?

– Może dodać otuchy?

– To byłoby jednak nieprofesjonalne.

Ostrowski wypuścił powietrze, odgarnął włosy z czoła i wskazał ręką dwa napełnione kieliszki, które zamówili do piwa.

– To co? Po kielichu i rozchodzimy się do domów?

Stuknęli się i wypili.

– Myślisz, że ona żyje? – zapytał Kowalski.

– Myślę, że nie wiem.

– Może ją zgwałcą i wypuszczą? A może po prostu wypuszczą? Może się rozmyślili, cokolwiek im przyszło do głowy?

Ostrowski spiorunował go wzrokiem.

– Co cię napadło, człowieku? Jesteś policjantem, a nie widzimy jakiejś łzawej opery mydlanej!

Kowalski schował zdjęcie, wstał i zaczął nakładać na siebie płaszcz.

– Nie wiem, co mnie napadło – burknął.

Ostrowski dopił piwo i również wstał. Z głośników popłynęła znana piosenka Róż Europy. Kowalski pomyślał, że to chamstwo ze strony rzeczywistości. W takim dniu opiewać piękną, młodą dziewczynę, która kojarzy się wokaliście z jedwabiem. Pozdrowili barmana i wyszli na ulicę.

Godzinę później Kowalski leżał w łóżku i w ciemnościach odtwarzał sobie przejmujące przesłuchanie narzeczonego Ani, inżyniera, który pracował w elektrowni. Facet naszprycowany był środkami uspokajającym, ledwo kojarzył. W czasie rozmowy kiwał się w fotelu, jakby miał chorobę sierocą. Niewiele z niego wydobyli. Po kilkunastu minutach uścisnęli jego zimną dłoń i wrócili do komendy, żeby uzupełnić dokumentację.

Gdzieś na granicy między jawą i snem Kowalski dostrzegł postać zaginionej dziewczyny. Śmiała się do kogoś, kiwając figlarnie palcem. „Złap mnie, złap!” – wołała.

Obudził się o szóstej. Złany potem. *Czy ona żyje?* – to była jego pierwsza myśl o poranku.

IX

Dwie godziny później w jednej z salek konferencyjnych Komendy Wojewódzkiej zaczęła się odprawa, na którą wezwano także funkcjonariuszy operacyjnych z pomniejszych jednostek. Dwadzieścia parę osób wpatrywało się w podinspektorów Ramberta i Buryłę, którzy sprawnie rekonstruowali zdarzenia nazwane przez wielkopolskie media „napadem stulecia” tudzież „napadem doskonałym”.

Na dużej korkowej tablicy wisiały portrety pamięciowe czterech mężczyzn.

Czterdziestoparoletni mężczyzna, o regularnych rysach, całkiem przystojny, o ujmującym uśmiechu. Troszkę młodszy, okrągła, pryszczata twarz. Czarne okulary przeciwsłoneczne. Trzydziestolatek, szczupła, pociągła twarz. Cwaniacki uśmiech. Również czarne okulary. No i postać w kominiarce. Najbardziej tajemniczy i zarazem najbardziej niebezpieczny członek grupy.

Większość ze słuchaczy, którzy dopiero teraz zapoznawali się ze szczegółami, była pod wielkim wrażeniem pomysłowości przestępców. Raz po raz patrzyli po sobie i kręcili głowami.

– Nic, tylko film z tego zrobić – mruknął ktoś, zyskując aprobatę kolegów i koleżanek.

Gdy Rambert mówił o przecięciu kabli, co było kluczowym elementem operacji, po salce rozszedł się szmer uznania.

– Nadaliśmy tej sprawie kryptonim Konwój – odezwał się Buryła, gdy Rambert podsumował najważniejsze ustalenia spisane wczoraj późnym wieczorem przez Kowalskiego. – Sięgnął po „Głos Wielkopolski” i zamachał nim. – Dziennikarze przypominają dzisiaj, że liczba tego rodzaju przestępstw wzrasta – dodał, po czym otworzył gazetę

i zacytował fragment artykułu: – „Napad [...] jest ważnym ogniwem w dyskusji na temat wzrostu przestępczości w Polsce. Trzeba przyznać, że krzywa obrazująca ten proceder w ostatnich latach znacznie poszła w górę”.

Naczelnik Wydziału Kryminalnego spojrzął na zebranych.

– Co tu kryć – powiedział, odkładając dziennik. – Media wzięły nas na celownik. Na razie wielkopolskie, ale sprawa jest tak emocjonująca, że lada chwila poczujemy na naszych plecach wzrok całej Polski. – Upił łyk kawy i wytarł usta. – Komendant Bossowski mówił mi wczoraj, że Warszawa wykazuje silne zainteresowanie tą sprawą.

Wzniósł palec.

– Do czego zmierzam? Do tego, że musimy ostro wziąć się do roboty i zawalczyć o sukces. Jeśli to spartaczymy, dziennikarstwo nas zje, jeśli wygramy, zrobią z nas bohaterów. A nie muszę wam mówić, że dzisiaj jak nigdy potrzebujemy dobrej prasy.

Urwał i spojrzął po sali. Gdy usłyszał chrząknięcie Ramberta, oddał mu głós.

Naczelnik Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego pokiwał głową i ściągnął lekko usta. W przeciwieństwie do Buryły zachowywał nienaganny spokój. Można było odnieść wrażenie, że przed chwilą opuścił świat swoich myśli, do którego już za chwilę znowu wróci. W jego oczach widoczny był cień smutku.

– Nie zapominajmy o niesłychanie ważnej rzeczy – powiedział, zmieniając na chwilę klimat odprawy. – Przestępcy zabrali ze sobą dziewczynę. Bóg jeden wie, dlaczego to zrobili. Tak czy owak, musimy jak najszybciej ich namierzyć, żeby ocalić jej życie.

– Według pana naczelnika ona żyje? – zapytał jeden z młodych policjantów ściągniętych z zewnątrz.

Rambert zerknął na niego.

– Działamy tak, jakby żyła – odezwał się.

Kowalski poruszył się na krześle.

– Myślałem o tym – powiedział, podnosząc rękę.

– I?

– Przez chwilę rozważałem taki oto scenariusz. Porwano ją dla szantażu, żeby wyciągnąć jeszcze więcej forsy. Ale później wróciłem do notatek z przesłuchania strażnika. Wynika z nich, że to porwanie nie było zaplanowane, że to był nagły pomysł tego czwartego klienta, który dołączył do nich później, w drodze powrotnej.

Sierżant podrapał się po brodzie.

– Podkreślmy, że reszta grupy próbowała oponować, ale szybko odpuściła – dodał z naciskiem.

– No właśnie – wszedł mu w słowo Ostrowski. – Ten czwarty klient dominował nad nimi.

– Co nam to mówi? – zapytał Rambert.

– Że to jest jakaś większa ryba z półświatka? Uważam, że trzeba jeszcze raz przesłuchać strażnika pod kątem relacji czwarty klient – pozostała trójka. Może znajdziemy tu jakiś ciekawy trop?

– Niegłupie – mruknął Buryła i usiadł na krześle.

– Wracając jeszcze do tej dziewczyny – odezwał się Kowalski, wbijając wzrok w Ostrowskiego. – Chciałem tylko zaakcentować, że ona wpadła w oko – sierżant zrobił w powietrzu znak cudzysłowu – czwartemu. Więc albo po prostu poczuł na nią ochotę i postanowił ją gdzieś wywieźć, żeby zgwałcić, albo... może...

Cisza.

– Albo może chce ją przerobić na kurwę i wywieźć za granicę – wypalił nagle Mischczu, ściągając na siebie liczne spojrzenia. – No wiecie – dodał, widząc, że nie wszystkim spodobały się jego obcesowe słowa. – Handel żywym towarem, burdele. Polki są cenione w tej branży...

Wątek wprowadzony przez brzuchatego podkomisarza zachęcił innych do zabrania głosu. W efekcie odprawa nabrała

cech energicznej burzy mózgów, której celem było wytyczenie głównych kierunków śledztwa.

W pewnym momencie wszyscy zamilkli i spojrzeli na drzwi, które otworzyły się z impetem.

Do salki wkroczył rażnym krokiem komisarz Harwey, pseudonim Harry. Wysoki, dobrze zbudowany brunet z charakterystyczną szramą na twarzy. Kierownik Sekcji Zabójstw i Rozbojów Wydziału Kryminalnego, charyzmatyczna postać, świetny operacyjny, no i alkoholik. W kącikach ust tkwił niezapalony papieros.

Wszyscy jak na komendę pociągnęli nosami, chcąc się zorientować, czy czuć od niego wódkę. Wieść gminna niosła, że Harry na skutek ostatnich dramatycznych przeżyć postanowił rzucić alkohol. Ku ogólnemu rozczarowaniu wydzielał z siebie tylko woń tytoniu i wody kolońskiej.

– Spóźniłeś się – mruknął Rambert, poprawiając oprawki okularów.

– To prawda – odpowiedział komisarz i usiadł na krześle

– Dlaczego? – burknął Buryła.

– Miałem spotkanie ze swoim ucholem.

– W trakcie odprawy?

– Facet o tej porze jeszcze jest trzeźwy.

Sala zarechotała.

– Ma to związek z napadem?

Harry skinął głową.

– Jak najbardziej. Chciałem go podpytać, czy ktoś na mieście nie przechwala się czasami, że zdobył wielką forszę. Często ma dobre informacje.

– I co?

– Na razie nic – odparł komisarz, bawiąc się papierosem. – Ale dzisiaj poumawiam się na randki z innymi informatorami, może coś znajdę.

Rambert zerknął na zegarek, stwierdził, że czas kończyć, i wydał dyspozycje. Przede wszystkim trzeba przesłuchać

pracowników Markizy oraz Aresa, przejrzeć akta spraw dotyczących rozbojów i napadów oraz wytypować potencjalnych sprawców wśród nadzorowanych przez policję przestępców, którzy mają podobne czyny na koncie.

Gdy zadania zostały przydzielone, podinspektor Buryła przejechał wzrokiem po zebranych.

– Ktoś chce coś jeszcze dodać? Zasugerować? – rzucił. – Może coś przegapiliśmy, walić mi tu śmiało.

Po krótkim wahaniu rękę podniosła starsza posterunkowa Katia Domagała. Szczupła, młoda dziewczyna z włosami upiętymi w kitkę. O bystrym, przenikliwym spojrzeniu. Przypominała trochę wokalistkę z rockowej kapeli. Flanelowa rozpięta koszula, tiszert, obcisłe spodnie, glany.

– Jaki masz pomysł, dziewczyno? – zapytał Buryła, który w październiku zeszłego roku zaproponował jej przejście z Komisariatu Grunwald do Komendy Wojewódzkiej. Dużo sobie obiecywał po niej. Póki co, wszystko wskazywało na to, że bardzo dobrze obstarwił. Dziewczyna była pracowita, zacięta, no i nad wyraz produktywna. Jej największy dotychczasowy sukces to zatrzymanie seryjnego zbrojcy, Grzegorza Kramerskiego. Trochę przypadkowy, ale co z tego? Policyjna robota bardzo dużo zawdzięcza przecież przypadkom. – Słuchamy.

– Myślę o tym transporterze, którym posłużyli się nasi zbóje – odezwała się Katia, poprawiając sobie kitkę.

– Tak?

– Oni musieli go kupić specjalnie na tę akcję.

– To chyba oczywiste? – rzucił Mischu i rozłożył ręce.

Posterunkowa spojrzała na niego, lekko zwięzając oczy.

– Warto więc założyć, że sprawcy przed akcją trzymali go na jakimś parkingu – mówiła dalej, ignorując uwagę kolegi. – Gdzieś go przecież musieli trzymać.

Rambert przypatrywał jej się z uwagą.

– Co proponujesz? – zapytał.

– Uważam, że trzeba przeszukać wszystkie parkingi w Poznaniu. Może ktoś go zauważył, zapamiętał? Byłoby super, gdyby stał na jakimś strzeżony parkingu. Istniałaby wtedy szansa, że cieć zanotował numery rejestracyjne.

Miszczu prychnął.

– Sprawcy, który przeprowadzili „napad doskonały”, mieliby zostawić samochód na parkingu strzeżonym? – zaśmiał się. – Przecież to absurd!

Katia zagryzła usta i spojrzała na naczelników.

– Uważam, że warto to sprawdzić – powiedziała, po czym przerzuciła wzrok na Harry’ego, który uśmiechnął się do niej lekko. Odwzajemniła uśmiech. – Każdy przecież popełnia błędy – dodała twardo.

Buryła cmoknęła i pokiwała głową.

– Dobry pomysł – stwierdził.

Podinspektor zerknął na Katię i Miszcza.

– Zajmiecie się tym – oznajmił. – Przeczescie parkingi.

Posterunkowa i podkomisarz skrzyżowali spojrzenia. Miszczu chrząknął i mruknął:

– Przecież wiesz, że się z tobą zgadzam, po prostu cenię sobie rzetelną dyskusję.

Katia parsknęła śmiechem.

Buryła zerknął na grupkę młodych policjantów, którzy siedzieli w pierwszej ławce i pilnie wsłuchiwali się w słowa naczelników.

– Ale parkingi to nie wszystko – oznajmił. – Trzeba przeszukać wszystkie miejsca w Poznaniu i okolicach, gdzie się handluje samochodami. To będzie wasza działka.

Młodzież skinęła głowami.

– Ktoś jeszcze chce coś zasugerować? – zapytał Rambert, rozglądając się po sali.

Nikt już się nie odezwał.

– W takim razie koniec audiencji – oznajmił Rambert. – Możecie wracać do roboty.

X

Po wyczerpującej odprawie podinspektorzy Buryła i Rambert zostali wezwani do komendanta, inspektora Bossowskiego. Pokręcili głowami i niechętnie ruszyli do jego gabinetu.

Szef siedział za swoim doskonale uporządkowanym biurkiem, palił cygaro i wpatrywał się w telewizor. Nadawano jakiś program publicystyczny. Na widok naczelników wstał, wyłączył odbiornik o imponujących kształtach i wskazał im ręką skórzane fotele przy ławie. Gdy mężczyźni zajęli miejsce, obdarzył ich surowym wzrokiem, usiadł naprzeciwko, zaciągnął się i założył nogę na nogę.

Po krótkim milczeniu odezwał się:

– Byłem wczoraj w Warszawie na kilku ważnych spotkaniach. Na jednym z nich minister spraw wewnętrznych zapytał mnie o sprawę Grandowskiego. Marszcząc przy tym brwi. Wymownie.

Boss zamachał cygarem. Rambert wymienił się spojrzeniem z Buryłą.

Sprawa Wiktora Grandowskiego, młodego poznańskiego dziennikarza, który zaginął we wrześniu zeszłego roku, znalazła w styczniu dramatyczny finał. Po pierwsze, okazało się, że redaktor został jednak zamordowany. Po drugie, dwóch gangsterów podejrzanych o uprowadzanie chłopaka obciążyło o jego zabójstwo komisarza Drekowskiego, znanego jako Kozak.

Bossowski zaciągnął się, wypuścił kółeczko i doprecyzował poprzednią kwestię:

– A właściwie zapytał mnie o wątek Kozaka.

Naczelnicy patrzyli na niego uważnie. Robiło się coraz nieprzyjemniej.

Niestety, istniały przesłanki uwiarygadniające oskarżenie Kozaka o tak straszliwy czyn. Oficer był bardzo dobrym gliniarzem, utalentowanym operacyjniakiem, ale w pewnym momencie przekroczył granicę i zaprzyjaźnił się z przedstawicielami półświatka. Ważnym dowodem na to były znalezione przez sierżantów Ostrowskiego i Kowalskiego zdjęcia z orgii, którą zorganizował Kowboj, znany poznański gangster. Pijany Kozak zabawiał się z prostytutkami w towarzystwie bandytów. Pojawiło się więc przypuszczenie, że dziennikarz zginął, ponieważ wszedł w posiadanie materiałów dokumentujących kompromitujące relacje Kozaka z kryminalistami.

Sam Kozak, gdy dowiedział się o tym oskarżeniu, zaprzeczył wszystkiemu, ale potem popełnił samobójstwo. Dlaczego? Czy w ten sposób przyznał się do winy? Póki co, poznańskiej policji udało się zablokować przeciek do mediów wątku Kozaka. Oficjalna wersja brzmiała następująco: „zabójca Grandowskiego pozostaje nieznany, cały czas trwają czynności operacyjne”. Ale należało się liczyć z tym, że w każdej chwili sprawa wyjdzie na jaw i polecą, być może, głowy.

– Nie wierzę tym skurwysynom – wysyczał komendant. – Temu całemu Nikiemu i Bejzbolowi. Nie wierzę im. Chcą tylko oczernić naszego człowieka. Taka jest prawda, panowie. Te gnidy chcą go bezpodstawnie oczernić!

Zapadła cisza. Przerwał ją Rambert.

– Rozumiem – odezwał się, poprawiając okulary. – W tym, co mówisz, jest sens. – Bossowski skrzywił się ironicznie. – Gangsterom nie należy ufać – mówił dalej naczelnik dochodzeniówki. – Łgają jak z nut, donoszą na siebie wzajemnie, oskarżają innych. Faktycznie, pod tym względem nie znają umiaru... – Urwał na moment. – Ale... ale... coś w tym przecież może być. Nie oszukujmy się.

Zerknął niepewnie na Buryłę, który chrząknął nerwowo

i mruknął:

– No cóż, nie był grzecznym policjantem, niestety.

Komendant sapnął gniewnie.

– Bury, to był twój człowiek, do kurwy nędzy! Nie upilnowałeś skurczybyka!

Zadzwoił telefon. Bossowski zerknął na niego, wyduł wargi i spojrzał na naczelników.

– Będę z wami szczerzy, panowie – powiedział. – Słyszałem, że chcą mi dać generała. – Spojrzał na nich groźnie i pokijał głową. – Tak, chcą mi dać generała. – Oparł cygaro o trójkątną popielniczkę z kryształu. – Rozumiecie, chłopaki, co to oznacza?

Naczelnicy poruszyli się niespokojnie w skórzanych fotelach. Komendant podniósł palec w górę.

– Po pierwsze, macie odpowiednio zamknąć sprawę nieszczęsnego Kozaka. Albo znajdziecie coś, co ostatecznie go uniewinni, albo – jeśli okaże się, że był jednak uwikłany w zabójstwo Grandowskiego – tak sporządźcie dokumentację, żeby... żeby...

Buryła zmarszczył brwi.

– Żeby? – zagadnął.

– No, żeby, kurwa, jak najmniej szkód było!

– Czyli?

– Tak jak powiedziałem! Najmniej szkód. Ja rzucam koncept, który staje się rozkazem, a wy to realizujecie. Proste jak budowa cepa.

Cisza.

– A po drugie? – zapytał Rambert po chwili.

Komendant podrapał się po wąsie.

– A po drugie, koncertowo rozwiążecie mi sprawę napadu – warknął. – W ciągu paru tygodni!

Sapnął.

– Sprawa przypomina filmowy scenariusz, więc pismaki i publika będą z zapałym tchem śledzić kolejne doniesienia –

podjął spokojniejszym głosem. – Jeśli uda się szybko wykryć sprawców, osiągniemy spektakularny sukces. Zapiszą nam to w annałach. Ja zostanę generałem, a wy, wy...

Znowu zadzwonił telefon. Bossowski westchnął ciężko i podszedł do biurka. Podniósł słuchawkę. Na jego twarzy momentalnie zakwitł serdeczny uśmiech.

– Witam pana ministra – odezwał się, siadając na swoim wielkim krześle i jednocześnie dając ręką znak naczelnikom, żeby opuścili jego gabinet. – Tak jest, wszystko mamy pod kontrolą. Moi ludzie zabrali się ostro do roboty, więc niebawem złapiemy bandziorów i odzyskamy pieniądze. To tylko kwestia czasu, proszę mi wierzyć, panie ministrze.

Podinspektorzy spojrzeli na siebie kwaśno i wyszli na korytarz, ostrożnie zamykając drzwi.

XI

Misiński przystanął przed hotelem Merkury, dopalił papierosa i wszedł do środka, mijając w przejściu brunetkę w czerwonej miniówce. Ukłonił się recepcjoniście, przeciął hall wypełniony niemieckimi turystami i ruszył w stronę restauracji. Przystanął w progu. Mrużąc oczy, próbował wypatrzyć na sali Harry'ego, z którym umówił się na kawę. *Muszę w końcu sprawić sobie okulary* – skarcił się w myślach. *Bo osłepnę jak mój stary.*

Po parunastu sekundach dostrzegł przystojnego bruneta, który siedział przy oknie, popijał kawę i wertował jakąś gazetę. Uśmiechnął się mimowolnie. Lubił komisarza. Więcej, był nim zafascynowany. Ilekroć o nim myślał, odnosił wrażenie, że jest w nim coś nierzeczywistego. Kiedyś przyłapał się na tym, że traktuje go bardziej jak powieściowego czy filmowego bohatera niż człowieka z krwi i kości. Ta oklepana fraza – „legenda poznańskiej policji” – mówiła coś prawdziwego o Harrym. Był czymś w rodzaju opowieści, którą wszyscy jego znajomi lubili sobie podczytywać w wolnej chwili z wypiekami na twarzy.

Misińskiemu marzyła się długa szczerza rozmowa, w której komisarz otworzyłby się na tyle, żeby opowiedzieć historię swojego sensacyjnego życia. Byłby z tego kawał soczystej literatury. Ale pewnie coś takiego nigdy się nie wydarzy, Harry był zbyt skrytym człowiekiem i pewnie zbyt wiele mrocznych tajemnic krył w sobie.

Zanim ruszył w stronę oficera, dziennikarz przerzucił wzrok na sąsiedni stolik, przy którym siedziały dwie panie w garsonkach, na oko czterdziestoletnie, może jakieś urzędniczki. Mówiły coś do siebie ściszonymi głosami i raz po

raz zerkały na Harry'ego. Ewidentnie wpadł im w oko. *Ciekawe, jak to jest, kiedy się tak magnetycznie oddziałuje na kobiety?* – przeszło mu nagle przez myśl. *Może to wcale nie jest takie dobre? Być nieustannie kuszonym?*

Postanowił zacząć od wspomnienia sprawy porwania młodego dziennikarza. Poznańska policja, w dużej mierze dzięki Harry'emu, jakiś czas temu odnalazła w końcu miejsce zakopania zwłok chłopaka, a także dwóch gangsterów, którzy byli zamieszani w jego zabójstwo.

Podszedł do Harry'ego, przywitał się i przywołał kelnera.

– Chciałem ci pogratulować, panie kolego – odezwał się, gdy złożył zamówienie: piwo plus pięćdziesiątka. – Nie było dotąd okazji.

– Czego?

– Sukcesu w sprawie zaginięcia dziennikarza.

Harry skrzywił się i wbił wzrok w pudełko papierosów.

– Jakiego sukcesu? – mruknął. – Gdzie tu dostrzegasz sukces?

Misiński wznosił ręce.

– No jak to? – obruszył się. – Wykryliście prawdę o jego losie. Znaleźliście go, mimo że w pewnym momencie sprawa utknęła w miejscu i wszyscy stracili nadzieję na jej pozytywne rozstrzygnięcie.

Harry wyjął papierosa, powąchał go i włożył do ust. Dziennikarz sięgnął do kieszeni marynarki i podsunął mu zapalniczkę. Oficer zaciągnął się i wypuścił kłęb dymu.

– Pozytywne rozstrzygnięcie – powtórzył, po czym zerknął ironicznie na redaktora. – My tylko znaleźliśmy jego zwłoki – dodał po chwili. – Potwierdziliśmy zaledwie nasze przypuszczenia, dość oczywiste.

Na stole pojawił się alkohol. Harry palił i milczał. Misiński postukał palcami w kufel i wziął sporego łyka.

Postanowił, że nie zagadnie o Patrycję, kochankę Harry'ego i zarazem Kowboja, która została zabita przez gangstera

o ksywie Bejzbol i zakopana w tym samym miejscu co Grandowski. Podobno komisarz przeżył strasznie jej śmierć. Rzeczywiście, w jego oczach dostrzegł o wiele więcej smutku niż zazwyczaj.

– Według mnie to jest jednak sukces – powiedział redaktor. – Wykryliście prawdę. Cholernie nieprzyjemną, ale jednak prawdę. Takie było wasze zadanie i wykonaliście je. Koniec, kropka...

Zamilkł i się zamyślił.

– Chociaż...

– No?

– Zastanawiam się, kto go zabił.

– Bury ci nie mówił?

– Wspomniał, że ganguski obciążą Kozaka, waszego kumpla z kryminalnego. Ale zastrzegł, że nie wierzycie w to, i jednocześnie zakazał mi przekazywania na ten temat jakichkolwiek informacji. Milczę więc jak grób, ale zżera mnie ciekawość, co będzie dalej z tym wątkiem.

Harry zerknął na panie w garsonkach, które coraz głośniejszymi głosami rozmawiały między sobą. Misiński zastrzygł uszami. Były chyba na lekkim rauszu. Właśnie stuknęły się kieliszkami.

Oficer uśmiechnął się do nich przyjaźnie, po czym ponownie przeniósł wzrok na swojego rozmówcę.

– Nic tu się nie ruszyło. Niki i Bejzbol siedzą w areszcie i podtrzymują swoją wersję. Chociaż...

– Chociaż?

Westchnienie.

– Mam wrażenie, że mówią coś, co... hm... brzmi fałszywie... A może to tylko moja podświadomość próbuje za wszelką cenę bronić niewinności kolegi z pracy?

Misiński poruszył krzaczastymi brwiami.

– Wierzysz w jego winę? – zapytał, wyjmując z kieszonki kieszeni długopis.

Harry wzruszył ramionami.

– Po co to drażnić, skoro facet popełnił samobójstwo? – odezwał się po dłuższym namyśle.

– Harry, ale to był policjant! – Misiński podniósł głos. – Nie chcesz wiedzieć, czy wasz człowiek był zdrajcą? Pomagierem gangsterów? W końcu tyle się dzisiaj mówi o podejrzanym relacjach pomiędzy policją a miastowymi.

Harry wzruszył ramionami, zdusił niedopałek w popielniczce i zamilkł.

– Co się tak podniecasz? Są przecież prowadzone czynności operacyjne w tym zakresie.

Z sąsiedniego stolika doszedł ich kobiecey chichot.

– Ale co właściwie oni wam powiedzieli?

– Misiu, nie mogę o tym mówić.

– Streść temat w trzech zdaniach i kończymy.

– Kiedy Kozak zorientował się, że to Grandowski ukradł zdjęcia z orgii, wpadł w panikę. Namówił Nikiego i Bejzbola do uprowadzenia dziennikarza. Chłopak grał twardego, groził policją. Kozak się wkurwił, uderzył raz, drugi, ten upadł. Gdy go podnieśli, znowu zaczął pyskować. Powiedział, że ma więcej materiałów, które mogą całkowicie pograć Kozaka. Ten wściekł się, zabrał jednemu z gangusów pistolet i zastrzelił chłopaka.

Misiński otworzył szeroko oczy.

– To wygląda mi na scenę z jakiegoś tandetnego kryminału.

Harry wzruszył ramionami.

Na chwilę zapadła cisza.

– A opowiesz mi, jak zmusiłeś Nikiego i Bejzbola, żeby wyjawili miejsce zakopania ciała Grandowskiego?

Komisarz pokręcił głową.

– Misio, to już przeszłość, my się zajmujemy teraz napadem na pięć miliardów złotych. Na wspominki przyjdzie czas na emeryturze.

– No ale macie pomysł, jak dowiedzieć się, kto naprawdę zabił?

Harry się zaśmiał.

– Są tacy, którzy uważają, że pomoc nam może Spielberg.
Redaktor uniósł brwi.

– Spielberg? Steven Spielberg?

Śmiech.

– O czym ty pieprzysz?

– Nie, nie Steven. Spielberg to ksywa faceta, który robił zdjęcia na tej imprezie – wyjaśnił komisarz. – Podobno od jakiegoś czasu pracował dla Kowboja. Pstrykał foty, kręcił filmy... No wiesz, materiały do ewentualnych szantaży... Mamy nadzieję, że i zabójstwo Grandowskiego zarejestrował.

– To możliwe?

– Wiesz, wszystko jest możliwe. Kowboj to sadysta, podobno lubi oglądać przemoc. Dostaliśmy informację, że facet nakręcił kiedyś film, na którym zgwałcił jakąś młodziutką kurewkę.

Misio zerknął na Harry'ego. Chciał o coś dopytać, ale w tym momencie panie z sąsiedniego stolika przeszły obok nich, chichocząc jak nastolatki. Mężczyźni odprowadzili je wzrokiem do drzwi.

– Na mnie już czas – rzucił Misiński, wstając. – Muszę jeszcze wdepnąć do redakcji.

– Ja jeszcze zostanę – mruknął Harry i sięgnął po kolejnego papierosa.

XII

– Ale się zasapałem – mruknął Miszczu i zlustrował wzrokiem dość rozległy parking, kolejny, który dzisiaj przeszukali w ramach czynności operacyjnych. Zaczynało zmierzchać. – To jest jak szukanie igły w stogu siana – jęknął po chwili, wycierając spocone czoło. – Nigdy nie znajdziemy naszego busa.

Stali właśnie na osiedlu Kopernika, w samym środku wielkiego blokowiska. Obok nich przechodzili mieszkańcy, którzy energicznie maszerowali z przystanku autobusowego do swoich mieszkań. Do uszu policjantów dochodziły uderzenia szpilek o chodnik, głośne nawoływanie dzieci, szum wjeżdżających na osiedle samochodów.

– Ale ty jesteś maruda – rzuciła Katia, zerkając na zegarek. – Pamiętam, że mój ojciec po czterdziestce też się zamienił w męczybułę.

Miszczu prychnął, usiadł na ławce i przez chwilę wpatrywał się w jadącego powolutku czerwonego „garbusa”.

– Ciekawe, jak poszło innym? – rzuciła posterunkowa i usiadła na ławce. Zdjęła but i wyrzuciła z niego kilka kamyczków. – Może mieli jakieś trafienie?

– Szczerze wątpię, kurna jego mać – burknął. – Która jest godzina? – zapytał, gdy warczący samochód zniknął za narożnym sklepikiem.

– Szósta dochodzi.

– Dobra, kończymy na dzisiaj. Nogi wchodzą mi w dupę. Czas na odpoczynek. Jutro wznowimy poszukiwania. – Podkomisarz spojrział wymownie na posterunkową. – Mam nadzieję, że nie na darmo, choć ja i tak uważam, że oni tego busa skitrali w jakimś garażu i dlatego nigdy nie znajdziemy

po nim żadnego śladu.

Katia wzruszyła ramionami.

– Dziękuję za lekcję cierpliwości – odpowiedziała, zachowując dla siebie obserwację, że mężczyźni są o wiele mniej odporni na zmęczenie niż kobiety.

Miszczu prychnął w odpowiedzi na zaczepkę.

– Podwieźć cię gdzieś? – zagadnął.

– Nie.

Miała już go dosyć na dzisiaj. Co za dużo, to niezdrowo. Trzeba dawkować sobie obecność wąsatych, brzuchatych i szowinistycznych kolegów z pracy.

– To pa.

– Pa.

Katia wstała i nagle poczuła ból pleców. W tym samym momencie uprzytomniła sobie, że i ona jest potwornie zmęczona. Nic dziwnego, w końcu łazili po poznańskich parkingach od mniej więcej jedenastej. Ledwo skończyła się odprawa, a oni ruszyli w teren. Czyli jakieś sześć, siedem godzin byli bezustannie na chodzie. Miszczu miał jednak rację. Nogi rzeczywiście wchodzą w dupę.

Katia pożałowała, że nie poprosiła o podwózkę do domu. Westchnęła ciężko i po chwili ruszyła w stronę przystanku autobusowego. Po przejściu dwustu metrów spojrzała w bok. Przed nią zatrzymał się niebieski maluch. Przystanęła i ze dziwieniem stwierdziła, że w środku siedzi Ostrowski i macha do niej ręką. Uśmiechnęła się szczerze i podeszła do samochodu.

Sierżant pochylił się i otworzył drzwi.

– Wsiadaj – zawołał. – Podwiozę cię!

Boże, jak cudownie – pomyślała. Spadłeś mi z nieba, sierżancie.

– Co ty tu robisz? – zagadnęła, sadowiac się na miejscu pasażera.

Poczuła intensywny zapach męskich perfum, całkiem

seksowny. Pociągnęła nosem i przymrużyła lekko oczy.

– Byłem z wizytą u siostry – odparł.

– To ty masz siostrę? – zdziwiła się.

– I piętnastoletniego siostrzeńca – powiedział, sięgając do schowka. – Młody miał dzisiaj urodziny.

Wyjął kasetę i umieścił ją w kieszeni magnetofonu.

– A ty? – zagadnął.

Katia oparła głowę o zagłówek i wyciągnęła przed siebie nogi. Z głośników popłynęła ostra gitarowa muzyka. Po chwili rozległ się kobiecy zachrypnięty głos: „One of them / Gonna teach you / How to drink”.

Ostrowski ściszył magnetofon.

– Przeszukiwaliśmy z Miszczem parkingi.

– Ano tak. I co, jakieś rezultaty?

– Nic.

– Może jutro będzie lepiej?

– Może. A ty co robiłeś dzisiaj?

Sierżant uderzył palcami o kierownicę, rozejrzał się wokoło i dynamicznie skręcił w lewo. Po parunastu sekundach wyjechali z osiedla. Samochód przyspieszył.

– Najpierw przesłuchałem raz jeszcze strażnika – odpowiedział, spoglądając na Katię. Zamyślił się. – Nic nowego nie powiedział, ale umocniliśmy się w podejrzeniu, że ten czwarty to jakiś mocny gość. Pozostała część ekipa czuła do niego duży respekt... – Urwał na chwilę. – A potem przesłuchiwalismy z Kowalem pracowników Aresa – dopowiedział.

– Jakiś trop?

Pokręcił głową.

– Zrobiliśmy dopiero połowę. Póki co, nic. Ale działamy dalej.

Przez kilkanaście minut przyglądali się miejskiemu pejzażowi i wsłuchiwali się w kolejne piosenki. Katia próbowała sobie przypomnieć nazwę kapeli. Miała ją na końcu języka, była krótka i brzmiała jak zawołanie. Kojarzyła wokalistkę, mądrą,

utalentowaną dziewczynę, chyba ze Szczecina.

Nagle muzyka ucichła. „Teraz słyszę” – z głośników wydobył się niespodziewanie przenikliwy kobiecy głos. Katia położyła ręce na kolanach i skupiła się na smutnym kawałku wyśpiewanym po angielsku. Wydawało jej się, że tekst dotyczy pedofilii. Wzdrygnęła się.

Gdy dojechali do centrum, Ostrowski zerknął na nią i zapytał:

– Gdzie cię podrzucić, moja droga?

– Do domu – odpowiedziała i natychmiast przypomniała sobie, że kiedy ostatni raz ją odwiózł, pocałowali się, całkiem namiętnie.

Kiedy to było? W październiku zeszłego roku. Do niczego więcej nie doszło, nie było wtedy czasu, klimatu – za bardzo była zaangażowana w śledztwo w sprawie Grzegorza Kramerskiego, gwałciiciela i seryjnego zabójcy. Ostatecznie ich relacja mocno się rozluźniła. Wychodzi więc na to, że gdy zamienia się w śledczego psa, jej życie emocjonalne ulega zamrożeniu.

Ostry był całkiem przystojny. Nie, nie całkiem, po prostu przystojny. Wysoki, długowłosey, o łobuzerskiej nieco twarzy. I te niebieskie oczy. Uspokajały ją, wprowadzały w pozytywny nastrój.

Skrzyżowali na moment spojrzenia. Odniosła wrażenie, że zmężniał przez te ostatnie miesiące.

– Pewnie – odparł.

Do domu, czyli na ulicę Konarskiego, gdzie mieszkała w jednym ze starych bloków, dojechali po dwudziestu paru minutach.

– Wejdiesz na chwilę? – zapytała, gdy zaparkował pod ścianą z napisem „Life is full of zasadzka”.

Spojrzał na nią uważnie, jakby chciał wy badać, co się kryje za tym zaproszeniem.

– Chętnie – mruknął.

Co on taki lakoniczny ostatnio? – pomyślała.

Gdy wysiadła z samochodu, wiatr przyjemnie ostudził jej rozgrzane policzki. Ruszając w stronę klatki, usłyszała energicznie trzaśnięcie drzwiami.

XIII

Dziewczyna zakwiliła głośniej. Harry poczuł ciarki na plecach i zerknął na lustro, w którym podrygiwały jej pełne brązowe piersi. Nasyciwszy się tym widokiem, zamknął oczy i przyspieszył tempo. Miał wrażenie, że pędzi na oślep w stronę przepaści. Dlaczego akurat w stronę przepaści, nie miał pojęcia, ale takie właśnie miewał od jakiegoś czasu katastroficzne skojarzenia. Gdy usłyszał krzyk, który przewiercił go na wskroś, napiął się cały i po chwili poczuł, jak zalewa go fala rozkoszy. Zwolnił, założył ręce na tył głowy i delikatnie odepchnął dziewczynę, która osunęła się na skołtunioną kołdrę.

Przez chwilę trwał w bezruchu, kontemplując jej piękną zaczerwioną pupę. W końcu przetarł dłonią czoło, ściągnął prezerwatywę, którą rzucił pod stół, sięgnął po butelkę coli i wypił parę łyków. Przepasał się ręcznikiem i w milczeniu poszedł do łazienki. Po orgazmie lubił ukryć się na chwilę w samotności.

Gdy wrócił, dziewczyna siedziała na wersalce i przyglądała się swoim zgrabnym stopom.

– Uwielbiam ten zawód – mruknęła, spoglądając na niego. – Czasami oprócz niezłej forsy można dostać niezły orgazm.

Uśmiechnęła się i dodała figlarnie:

– Zostań moim stałym klientem, przystojniaku.

Harry sięgnął po paczkę marlboro leżącą na stoliku.

– Właśnie to rozważałem – odpowiedział i usiadł obok niej. – Zapalisz? – zapytał.

– Koniecznie.

Podsunał jej papierosy, obdarzając pełnym ciekawości spojrzaniem. Miała długie czarne lśniąco włosy, szczupłą

twarz, usta podkreślone karminową szminką i pieprzyk na lewym policzku. Wiek oszacował na jakieś dwadzieścia dwa, trzy lata.

Zaciągnęła się mocno. Odszukała wzrokiem popielniczkę i umieściła ją we wgłębieniu tapczanu. Położyła się na plecach, wypuściła dym i spojrzała na żyrandol.

– Ty jesteś policjant, co nie? – zapytała. – Dobrze pamiętam?

– Tak – odpowiedział, zerkając na jej płaski brzuch.

Miał ochotę go dotknąć, ale się powstrzymał. Próbował przypomnieć sobie jej imię. Przed oczami stanęła scena sprzed jakichś dwóch godzin. Siedział sobie w knajpie i pił grzecznie kawę przy kontuarze. Był akurat świeżo po spotkaniu z ucholem. Wtedy podeszła ona, wysoka, szczupła czarnula, w której dostrzegł niepokojący ogień.

Przerzucił wzrok na ścianę, na której wisiał obraz Matki Boskiej.

– Pieprzyłam się wczoraj z jakimś z facetem, który pochwalił się, że udaremnił napad na konwój z pieniędzmi – powiedziała i strzepnęła popiół.

Harry otworzył szeroko oczy.

– Udaremnił napad na konwój z pieniędzmi?

Zachichotała jak nastolatka.

– Wiedziałam, że cię zainteresuje!

– Opowiedz.

Zaciągnęła się i podała mu papierosa.

– Dopal za mnie – rzuciła władczo. – Zapomniałam, że niedawno rzuciłam to badziewie.

Harry posłusznie przyjął spalonego do połowy peta. *Jak ona ma na imię?* – zastanawiał się, spoglądając na dłonie, w których trzymał dwa papierosy. *Albo raczej jakie imię mi podała? Kamila albo Klaudia, jakoś tak.*

Dziewczyna wstała z łóżka, założyła czerwone figi i usiadła w fotelu, podwijając nogi pod siebie. Wypuściła głośno powietrze, związała włosy w kitkę.

Lubił kitki. Lubił patrzeć na nie i bardzo lubił pociągać za nie w czasie seksu. Sylwetka kobiety, która idzie ulicą i potrząsa przy tym kitką, działała na niego jak afrodyzjak.

Komisarz spojrzął na jej piersi, pomiędzy którymi lśniło kilka kropel potu. Chyba Klaudia – stwierdził, dopalił podarowanego papierosa i zabrał się za swojego.

– Ten mój klient pracuje w jakiejś firmie ochroniarskiej – odezwała się dziewczyna. – Podobno w firmie tego słynnego biznesmena, Barnaby. No i któregoś razu jechał w konwoju przewożącym pieniądze do banku.

Komisarz wyprostował się i zdusił papierosa w popielniczce. Usiadł na brzegu wersalki.

Dziewczyna spojrzała na jego podbrzusze i cmoknęła głośno.

– No, no, panie policjancie. Chyba na dzisiaj jeszcze nie skończyliśmy.

Harry zaśmiał się i lekko zaczerwienił.

Rzeczywiście, znowu poczuł ochotę na kobiece ciało.

– Jaki masz stopień? – zapytała, wysuwając lekko język. – Pewnie porucznik?

– Nie ma już poruczników.

– Serio?

– Serio.

– Szkoda. To kim jesteś?

– Komisarzem.

– Też fajnie.

Harry wypuścił dym i zdusił w popielniczce papierosa.

– Co z tym z konwojem? – zagadnął, przyglądając się jej mocnym, zgrabnym nogom.

– W sumie to gościu niewiele mi powiedział – mruknęła dziewczyna, bawiąc się włosami. – Jechali sobie panowie konwojenci z grubszą forszą z jakiejś firmy do banku i nagle zobaczyli na szosie patrol policji – powiedziała. – Dostali sygnał, żeby się zatrzymać... – Urwała po chwili, wysunęła nogi spod siebie i zaczęła się drapać po łydce.

Harry zerknął na jej stopy i przez chwilę wpatrywał się w czerwone paznokcie. Ciało kobiety to jest arcydzieło – przemknęło mu przez głowę.

– Zjechali na pobocze i zatrzymali się...

Cisza.

– I co dalej?

Klaudia cmoknęła przeciągle.

– No właśnie nie pamiętam.

– Nie pamiętasz?

– Nie. – Klaudia wzruszyła ramionami.

Harry wciągnął głośno powietrze.

– Nic? Absolutnie nic?

Chwila namysłu.

– Wspomniał coś o przebierańcach...

Przebierańcy? – komisarz powtórzył w myślach słowo, które podłapali dziennikarze i z lubością odmieniali przez wszystkie przypadki w kolejnych swoich publikacjach na temat napadu na konwój *Markizy*. *Może to ci sami? Trzeba to sprawdzić. Koniecznie.*

Dziewczyna uniosła się lekko, kołysząc piersiami. Harry przymrużył oczy, czując mrowienie na karku. Z trudem oderwał od niej wzrok. *Skup się, idioto, na sprawie. Chociaż na chwilę.*

Nagle ktoś głośno zapukał do drzwi.

– Kochanie – zza drzwi rozległ się kobiecy głos. – Wychodzę do pracy, wrócę jutro po południu. Buziaki, moja cipeczko!

Dziewczyna spojrzała na drzwi i się uśmiechnęła.

– Buziaki, laska!

Śmiech, odgłos szpilek i trzask wyjściowych drzwi.

Klaudia ponownie rozpuściła włosy i potrząsnęła głową.

– To moja współlokatorka, Daga – wyjaśniła. – Poszła na randkę z jakimś biznesmenem, który bardzo dobrze płaci.

Harry pokiwał głową.

– O czym to ja mówiłam?

- O podejrzanym patrolu. Konwój zatrzymał się i...
- A tak, no właśnie, zatrzymał się i... i dalej nie pamiętam, co było.

Klaudia wybuchła śmiechem, jakby usłyszała znakomity żart.

- Facet wspomniał, że to mogli być ci sami, którzy napadli na konwój Markizy - dodała, gdy dostrzegła rozczarowaną minę komisarza.

- Skąd ten wniosek?

- Nie mam zielonego pojęcia.

Komisarz pokiwał głową. *Trzeba znaleźć tego delikwenta* - stwierdził w myślach i po chwili poczuł, że po jego ciele przemknął dreszcz. Klaudia położyła mu dłoń na podbrzuszu.

- Może zaciekawi to twoich kolegów, którzy się tym zajmują? - powiedziała, wbijając wzrok w jego penisa. - Może to jest jakiś trop?

Przechwycił jej spojrzenie i uprzytomnił sobie, że ma wzwód. Wypuścił powoli powietrze.

- Może - mruknął.

- Ale ty chyba jesteś myślami gdzie indziej, panie komisarzu? A może się mylę?

- Bingo. Nie mylisz się.

W jej oczach błysnęła figlarny ognik.

- Wiedziałaś - szepnęła i zaczęła powoli zdejmować figi.

Gdy rozłożyła nogi, Harry poczuł, że załomotało mu serce. Przetykając ślinę, pożerał łapczywym wzrokiem ciało dziewczyny.

- Zaraz twoja nabrzmiała pała poczuje moje słodkie usta. Chcesz tego, prawda?

Harry westchnął w odpowiedzi.

- Przyznaj, komisarzu, że chcesz tego. Muszę to usłyszeć.

- Chcę tego.

Klaudia zagryzła usta, rzuciła figi w kąt pokoju i podeszła do komisarza.

– Następnym razem zaprosimy Dagę do wspólnej zabawy – oznajmiła, kucając.

Harry zamknął oczy, opadł na wersalkę i po chwili poczuł cudowny ucisk w dole brzucha. *Słodki Boże* – westchnął myślach i postanowił, że dane klienta spisze po kolejnym orgazmie.

XIV

Gdy Katia wyszła z pokoju, Ostry potrząsnął głową i wypuścił powoli powietrze. *Co tu się dzieje?* – pomyślał, wpatrując się w opróżnioną butelkę czerwonego wina. Był zdumiony obrotem sprawy.

Parę godzin temu był pewien, że wieczór spędzi przed telewizorem na oglądaniu filmów „na widelcu”, popijaniu zimnego lecha oraz podgryzaniu orzeszków solonych. I to w dodatku w pojedynkę. Tymczasem dobiega właśnie dwudziesta pierwsza, a on siedzi rozwalony na tapczanie w mieszkaniu Katii i czuje, że serce wali mu jak szalone.

Jakiś czas temu stracił nadzieję na to, że pomiędzy nim a nią dojdzie w końcu do czegoś ważniejszego. Nie wiedział, jak to określić, nie był pewny swoich uczuć, ale wciąż miał na coś nadzieję.

Po obiecującym początku znajomości wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że mają się ku sobie, ale potem Katia nagle odsunęła się i zaczęła go unikać. Przynajmniej takie odniósł wrażenie.

Ostrowski westchnął i oblizał wargi, na których czuł jeszcze wilgoć jej ust o poziomkowych zapachu. Spojrzał na zegarek. Dziesięć minut temu siedziała mu na kolanach i...

Pokręcił głową. Jednak mechanik, u którego naprawia swojego wysłużonego malucha, miał rację, kiedy po kłótni z małżonką wysyczał mu do ucha: „Panie, za babami nie trafisz! Nigdy! Na mur beton. One mówią jedno, myślą, kurwa, drugie, a robią trzecie albo nawet dziesiąte”.

Po wejściu do mieszkania usiedli w kuchni przy stole. Katia wyciągnęła z lodówki dwie butelki piwa, a z szafki jakieś chipsy. Zaczęli rozmawiać. Trochę o napadzie na konwój

Markizy, trochę o Kramerskim. Katia w pewnym momencie wyrzuciła z siebie, że co jakiś czas śni się jej scena zatrzymania zabójcy – za każdym razem jej finał wygląda inaczej, raz dobrze, raz źle, na przykład kończy się jej śmiercią albo gwałtem na Uli, policjantce, która razem z Katią powaliła przestępcę na ziemię i doprowadziła do jego pojmania.

Na chwilę zrobiło się markotnie, ale zaraz potem pogawędka zeszała na studia, na sprawy rodzinne i wróciły im dobre humory. Opowieści o rodzicach rozbawiły ich do łez.

Rozmowa rozkręciła się, przeszli do pokoju.

Katia przebrała się w leginsy i wyciągniętą bluzkę, wyglądała cudownie. Gdy stanęła przed nim i zaproponowała wino, dostrzegł, że nie ma na sobie stanika. Lekki zarys sutków wbijających się w materiał przyprawił go o gęsią skórkę. Mruknął coś o taksówce i z narastającym podnieceniem oczekiwał na dalszy rozwój wypadków. Siedzieli obok siebie, popijali wino i wybuchali śmiechem.

Konwersacja nieuchronnie grawitowała w stronę związków damsko-męskich. On opowiedział jej o wielkiej sympatii z zerówki, a ona o starszym kuzynie, w którym podkochiwała się pod koniec podstawówki.

W którymś momencie musnęli się dłońmi. Poczuł jej oddech, ciepły, orzeźwiający. Zastygli w bezruchu na kilka sekund. A potem nagle przysunęli się do siebie, powoli, nieśmiało i zaczęli się całować.

Po paru minutach usiadła mu na kolanach i pozwoliła mu włożyć rękę pod koszulkę, z czego skrzętnie skorzystał. Na jej cudownie miękkiej skórze poczuł krople potu. Katia zaczęła głośno oddychać i ocierać się o jego nabrzmiałe podbrzusze. Gdy położył ręce na jej małych, spiczastych piersiach, jęknęła i niespodziewanie zerwała się na nogi.

– Muszę na chwilę do łazienki – zawołała i natychmiast zniknęła mu z oczu.

Ostrowski zadrżał, wspominając widok jej nagich piersi. Chwycił butelkę i wypił ostatnie krople wina. Przymknął oczy i wyobraził sobie, że Katia dalej siedzi mu na kolanach, powoli ściąga bluzkę, nachyla się nad nim, a on zaczyna pieścić językiem jej czerwone sterczące sutki.

Chrząknięcie.

Gdy otworzył z powrotem oczy, dostrzegł Katię stojącą w progu drzwi i wpatrującą się w niego z uwagą. Przełknął ślinę i wbił w nią zachwycony wzrok. *Ja chyba śnię* – pomyślał i jednocześnie przypomniał sobie sen sprzed paru miesięcy, który zaczął się podobnie, a skończył pełnym ognia seksem. *Nie, nie! Mam nadzieję, że tym razem to nie jest sen.* Ostrowski dotknął dłonią rozpalonych policzków.

Katia miała mokre rozpuszczone włosy. Była owinięta w ręcznik, który kończył się na wysokości jej ud. Szczupłych, białych, przepięknych ud. Przeniósł wzrok na stopy. Jedna nastąpiła na drugą.

Cudowne nogi – jęknął w myślach. *Cudowne ciało.* Poprawił się na tapczanie i westchnął. Spojrzał jej prosto w oczy i dostrzegł w nich coś drapieżnego. *Ona jest naprawdę dzikim kotem.*

Katia zrobił parę kroków do przodu i zrzuciła ręcznik.

– Rozbierz się, Damian – mruknęła, podrapała się po płaskim umięśnionym brzuchu i ruszyła w jego stronę.

Sny się jednak spełniają – pomyślał Ostrowski i chwycił drżącą ręką sprzączkę od pasa.

Miszczu odłożył piątkowy numer „Expressu Poznańskiego”, w którym Misiński opisywał geniusz sprawców napadu na konwój Markizy i rozejrzał się po firmowej stołówce. Jego wzrok zatrzymał się na chwilę na dwóch pulchnych dziewczynach z prewencji siedzących pod oknem. Gdy zorientowały się, że spogląda na nie, zamachały mu energicznie dłońmi. *Niczego sobie* – stwierdził w myślach.

Zadowolony skinął im głową, potem zerknął na czekoladowy budyń, który zamierzał spożyć na deser, i przysunął do siebie talerz z zupą. Dzisiaj serwowano ogórkową, jego ulubioną. *To może być jednak dobry dzień* – pomyślał, z trudem odpychając od siebie wspomnienie porannej kłótni z trzynastoletnią córką.

Młoda uparła się, że pójdzie do szkoły w miniówce, czego on kategorycznie jej zabronił. Kto to widział? Takie rzeczy w podstawówce? Chyba jednak trochę za wcześnie! Jego oburzenie wzrosło dramatycznie, gdy przypomniał sobie znieścacka, że właśnie jako trzynastolatek oszalał na punkcie koleżanek z klasy, które nagle zaczęły nosić kuse spódniczki, podnosząc skutecznie ciśnienie swoim rówieśnikom.

– Duża wódka dla mnie – usłyszał nagle niski, chrapliwy głos.

Podkomisarz leniwie podniósł wzrok znad parującego talerza i dostrzegł postawnego mężczyznę z wielkim brzuchem oraz blond kucykiem. To był Wiking, kolega z Wydziału Kryminalistyki. Przełknął zupę i odłożył łyżkę.

– Bo? – mruknął niezbyt przyjaźnie.

Technik usiadł przy stoliku.

– Bo zasłużyłem.

– Czyżby? – powiedział Miszczu, wycierając przybrudzone wąsy.

– Uhm.

Wiking położył masywne dłonie na blacie i uśmiechnął się tajemniczo.

– Mówiąc „duża wódka”, mam na myśli co najmniej „krowę” – dodał.

– Facet, gadaj, o co chodzi, przerwałś mi jedzenie, do cholery!

Cisza.

Podkomisarz wywrócił oczami.

– Zrobiłem wam przełom w śledztwie – rzucił Wiking, po czym założył ręce z tyłu głowy i cmoknął przeciągle.

– O czym tych mówisz, chłopie?

– Sprawdziłem dokładnie tego waszego spalonego busa.

– No i?

– No i znalazłem.

– Co znalazłeś?

– Numer silnika.

Miszczu otworzył ze zdumienia oczy.

– Żartujesz?

– Nie.

Podkomisarz odsunął od siebie talerz z zupą.

– Jak to możliwe? – zapytał, podnosząc głos. – Przecież samochód był niemal doszczętnie spalony!

– Jak słusznie mówisz: niemal.

– Aleś ty zagadkowy.

– Znasz mnie.

– Nie zeszlifowali numeru seryjnego?

Technik uśmiechnął się promiennie, rozejrzał po sali, po czym nachylił w stronę operacyjniaka.

– Ja mówię o numerze silnika, nie o numerze seryjnym. A tego, i owszem, nie zeszlifowali.

Cisza. Miszczu przejechał dłonią po zarumienionej twarzy.

– Takie buty – szepnął.

– Ano takie.

Wiking wyciągnął z kieszeni służbowej koszuli kartkę papieru i podał ją podkomisarzowi. Ten łapczywym wzrokiem odczytał jej zawartość i zachichotał jak nastolatek.

– Może oni wcale nie byli tacy perfekcyjni, jak twierdzą podniecone pismaki? – odezwał się po chwili technik, zerkając ukradkiem na talerzyk, na którym leżał pączek. Oblizał się. Podniósł go i wziął solidnego kęsa.

Miszczu w pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale ostatecznie się powstrzymał. Deser za ważny trop w śledztwie to jednak całkiem niezła cena.

Wiking przeżuł pączka i wstał.

– W takim razie czekam na zaproszenie na wódkę, panie podkomisarzu – odezwał się i podał Miszczowi rękę.

– Na wódkę? Za taką robotę masz u mnie łyskacza.

– Dziękować!

– Dwa łyskacze, kurna!

– Zadzwonię niebawem.

Wiking skinął głową i ruszył przed siebie, nucąc jakąś melodię, chyba „Stepie szeroki” z „Przygód Pana Michała”. *To będzie jednak bardzo dobry dzień* – stwierdził Miszczu w myślach i wyobraził sobie, że zaraz wmaszeruje do gabinetu Buryły i pochwali się, że wpadł na obiecujący trop. Dzięki temu będzie mógł rzucić przeszukiwanie tych pieprzonych parkingów i skupić się na poważnych sprawach. *Niech Katia to przejmie, jest dobra w tym, ma psi węch.*

Poklepał się po brzuchu, schował kartkę i zerknął na dziewczyny z prewencji, które właśnie opuszczały stołówkę, żywo dyskutując między sobą. *Ciekawe, o czym?*

Odprowadził je wzrokiem, podziwiając ich pulchne kształty. Nikt o tym nie wiedział, ale uwielbiał puszyste kobiety. Im więcej ciała, tym lepiej – tak brzmiało jego sekretne erotyczne credo.

Uderzył się w uda i wstał energicznie z krzesła.

– Do roboty – mruknął, machnął ręką paru znajomym i wyszedł na korytarz.

Po kilkunastu sekundach marszu skupił się w myślach na spalonym samochodzie.

XVI

O trzynastej Katia poczuła straszliwy głód i zarazem potem irytację. Cztery godziny szwendania się po parkingach i nic. *Miszczu miał rację – pomyślała. To był naiwny pomysł. Jak można było wierzyć, że sprawcy sprytnego napadu będą trzymać samochód na publicznym parkingu? Pewnie ukryli go w jakimś garażu i nigdy nie znajdziemy po nim śladu.*

Pokręciła głową, wydobyła z kieszeni batonika i łapczywie go ugryzła. *Mam za swoje – kontynuowała coraz bardziej podrażniona swoje rozważania. Miszczu tropi poprzedniego właściciela, a ja uganiem się za widmami jego klientów.* Wyrzuciła papierek do kosza i skierowała się w stronę przystanku tramwajowego. Postanowiła wrócić do firmy na obiad.

Pół godziny później siedziała w policyjnej stołówce i z rozkoszą pochłaniała strogonowa. Gdy odsunęła od siebie talerz i wytarła usta, przy jej stoliku stanął Harry.

– Najadłeś się? – zapytał z uśmiechem.

– Tak – opowiedziała, czując, że powoli poprawia się jej humor. Nie była tylko pewna, czy z powodu dobrego obiadu, czy widoku przystojnego kolegi.

Skinął głową i usiadł.

– Dostaliśmy sygnał, że na parkingu na osiedlu Orła Białego stał przez jakiś czas transporter – powiedział. – Może to nasze autko?

Katia się wyprostowała. *Byłoby cudownie – przeszło jej przez głowę. Miała już dosyć tego łożenia po mieście, z którego nic nie wynika. Bolały ją stopy, nabawiła się odcisków.*

– Pojedź tam i pogadaj z cieciami, dobrze?

– Jasne.

Harry wyjaśnił jej, jak tam dotrzeć, i wrócił do swoich obowiązków. Katia napiła się kompotu, po czym energicznym krokiem opuściła stołówkę. Na korytarzu spotkała Ostrego oraz Kowala, którzy zawzięcie o czymś dyskutowali. Zignorowała wyczekujące spojrzenie tego pierwszego, odpowiedziała na grzecznościową zaczepkę tego drugiego i wyszła na ulicę.

Wsiadając do tramwaju, zaczęła przypominać sobie migawki z poprzedniej nocy. To było bardzo miłe, przyjemne, a przede wszystkim potrzebne, od jakiegoś czasu odczuwała przecież potrzebę męskiego ciała, ale... Ale nie była pewna, czy chce na poważnie zbliżyć się do Damiana. Czy to jest ten facet? Czy jest gotowa na związek? Czy...

Wypuściła głośno powietrze, próbując odepchnąć od siebie te myśli. Wyciągnęła z plecaka walkmana, założyła na uszy słuchawki i zatopiła się na jakieś dwadzieścia minut w muzyce Jeana-Michela Jarre'a, który swoimi elektronicznymi dźwiękami uspokajał ją jak żaden inny muzyk.

Wysiadłszy na odpowiednim przystanku, pomaszzerowała na parking ulokowany między blokowiskami.

Podeszła do budki, w której siedział ochroniarz. Był to niewysoki, otyły mężczyzna, ubrany w grupy czarny polar i szare dresowe spodnie. Dziwnie pachniał.

Spojrzał na nią pytająco. Powiedziała, co ją sprowadza.

Ochroniarz ściągnął czapkę i podrapał się po głowie.

– Pani jest z policji? – upewnił się.

W odpowiedzi pokazała mu odznakę. Skinął głową na znak, że czuje się usatysfakcjonowany.

– He – mruknął po chwili. – Stoi tutaj taki, rzeczywiście.

Katia otworzyła szerzej oczy.

– Stoi? – zapytała. – Cały czas?

– Ano.

– Transporter?

– A tak, biały busik.

Mężczyzna podniósł się z krzesła i stanął w progu. Przymrużył oczy i zaczął lustrować teren parkingu wypełniony najrozmaitszymi samochodami.

Po chwili wyciągnął rękę przed siebie.

– O tam – powiedział. – Przy ogrodzeniu, w cieniu tego rozłożystego drzewa.

Katia spojrzała we wskazanym kierunku. Pomiędzy niebieskim dużym fiatem a szarym golfem stał biały transporter na poznańskiej rejestracji.

Posterunkowa ciężko westchnęła. *Boże* – pomyślała. *Dlaczego mi to robisz?*

Z obowiązku podeszła, obejrzała ze wszystkich stron i wróciła do dozorca.

– Zna pan właściciela? – zapytała go, tracąc ponownie dobry humor.

– Tak, mieszka tutaj niedaleko, w jednym z tych bloków. Wuefista, który dorabia sobie, zakładając domofony. Czasami podchodzi i zagaduje. Miły człowiek.

– Rozumiem, że żaden inny transporter tutaj nie stał?

– Nie.

– W innym kolorze na przykład?

– Niestety.

– No trudno.

Dozorca zmierzył ją wzrokiem.

– A o co właściwie chodzi? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Szukam samochodu, którego tu nie powinno być – wypaliła, nie bardzo wiedząc, jak wyjaśnić sens swoich poszukiwań.

Mężczyzna wysunął język, zagryzł go i położył dłonie na biodrach.

– Nie rozumiem – mruknął.

Katia machnęła ręką.

– Nieważne.

– Szuka pani czegoś, czego nie chce pani znaleźć? – zapytał i zaśmiał się.

Wyszczrzyła do niego zęby.

– Mnie więcej. No dobrze, nie będę panu więcej przeszkadzać. Dziękuję, do zobaczenia – rzuciła i opuściła parking.

Przeszedłszy kilkadziesiąt kroków, usiadła na ławce. Zrobiło się całkiem ciepło, rozpięła więc kurtkę. Wyjęła z plecaka colę i upiła parę łyków. Solidna dawka cukru dobrze jej zrobiła. Poczowała przyływ sił witalnych. Uśmiechnęła się do siebie. Zerknęła na plan Poznania i ustaliła trasę dalszych poszukiwań. Włożyła do uszu słuchawki i ruszyła w stronę przystanku tramwajowego.

XVII

Strażnik, o którym wspomniała mu czarnowłosa prostytutka, pracował w firmie ochroniarskiej Conan, będącej własnością Wiesława Barnaby, poznańskiego biznesmena o niejasnych powiązaniach ze światem przestępczym. Według uzyskanych przez Harry'ego informacji facet lubił przesiadywać w dość znanej knajpie na Łazarzu. Podobno zaczynał popijanie lokalnego browaru już wczesnymi wieczorami. Nazywał się Bogusław Stasiak.

Gdy Harry przekroczył próg lokalu, zbliżała się dziewiętnasta. To była typowa mordownia, do której przychodziła miejscowa żulernia. Niechlujny wystrój, smród papierosów i potu, dużo dymu, kilkanaście stołów obciążonych szarą ceratą, no i gromada kiepsko ubranych mężczyzn, burczących wulgarnie nad kuflami z piwem. Z głośników wybrzmiała „Beata z Albatrosa” Laskowskiego.

Komisarz przymrużył oczy i zaczął wypatrywać Stasiaka, nucąc refren piosenki. Lubił ją. Pierwszy raz usłyszał ten kawałek, gdy miał 18 lat. Chodził wtedy do liceum. Wpadł w oko nauczycielce plastyki, młodziutkiej absolwentce Akademii Sztuk Pięknych, która w kontaktach ze swoimi uczniami była bardzo bezpośrednia, szybko przechodziła z nimi na ty. Któregoś razu zaprosiła do siebie Harry'ego, który wtedy był po prostu Tomkiem, zbuntowanym, ale i szalenie przystojnym licealistą. Poczęstowała go winem, ustawiła na adapterze pocztówkę dźwiękową i usiadła obok niego. Gdy rozległa się „Beata”, zaczęli się całować. Nieśmiało, lękliwie. Do dzisiaj ta scena przyprawiała go o gęsią skórę.

Nagłe uderzenie w plecy przerwało Harry'emu sentymentalne wspominki. Jakiś menel bardzo chwiejnym krokiem szedł

w stronę kontuaru, machając bezładnie rękami.

Harry stanął przed telewizorem ustawionym w rogu sali. Na ekranie Kacper Duszek rozmawiał z brodatym jaskiniowcem.

– Może pan przełączyć? – Usłyszał nagle.

Odwrócił się.

– Na pierwszy program? – dodał mężczyzna, uśmiechając się i wskazując palcem telewizor.

Miał mniej więcej czterdzieści lat, czarne krótkie włosy, szczupłą, ogorzałą twarz. Ubrany był w kamizelkę w kratę, koszulę flanelową i brązowe sztruksy. Bingo – pomyślał komisarz.

– Bogusław Stasiak?

Mężczyzna otworzył szeroko oczy.

– Pan mnie zna? – zdziwił się.

Harry kiwnął głową, przełączył telewizor na pierwszy program i usiadł obok Stasiaka. Poczęstował go papierosem i wyjaśnił w paru słowach, kim jest i dlaczego go szuka.

Stasiak przyłożył kufel do ust i wypił całą jego zawartość.

– Boże, jakie to dobre – westchnął.

Wytarł usta i zerknął na policjanta.

– Rzeczywiście, było coś takiego – powiedział i zaraz dodał, unosząc brwi: – Ale ja przecież nie zgłaszałem tego na policję.

Nagle gdzieś za ich plecami zrobiło się zamieszanie. Ktoś krzyknął, coś szklanego upadło na ziemię. Harry odwrócił się i zobaczył, że pijanego w sztok mężczyznę ciągnie za rękaw jakaś drobna, chuda kobiecina, przeklinając przy tym energicznie.

Stasiak zarechotał.

– To się powtarza co wieczór – powiedział. – Małżonka przyszła po Kiepskiego Henryczka.

Spojrzał na pusty kufel, oblizał usta i przeniósł wzrok na Harry'ego.

– Kto pana skierował do mnie? – zapytał zaciekawiony.

Harry uśmiechnął.

– Taka jedna kurewka – rzucił.

Strażnik zmarszczył czoło.

– Klaudia – powiedziała i się rozmarzyła. – Piękna, namiętna, bezwstydną Klaudia. Najlepsza w mieście.

Harry przypomniał sobie cudowne pojękiwania dziewczyny, kiedy brał ją od tyłu. Rzeczywiście, miała w sobie coś, co nie pozwalało o niej tak łatwo zapomnieć.

– No cóż – westchnął Stasiak. – Jak się człowiek zrelaksuje z dobrą dziwką, to mu się bierze na zwierzenia. – Przejechał językiem po ustach. W oczach pojawił się błysk. – To silniejsze ode mnie – mruknął. – Kiedy skończę, włącza mi się słowotok. Nic na to nie poradzę.

– Rozumiem.

– Też pan tak ma?

– Odwrotnie – odpowiedział Harry.

Gdyby jednak miał być szczery, musiałby dodać, że po orgazmie opanowywał go smutek.

Znowu przypomniał sobie plastyczkę z liceum. W czasie ich krótkiego romansu lubiła mu czytać melancholijne wiersze erotyczne. Ta młoda nauczycielka po seksie miała w zwyczaju palić papierosy i opowiadać jakieś dziwne rzeczy o nienasyceniu, niebycie, nirwanie. Nie za wiele z tego rozumiał, ale być może to właśnie wtedy rozkosz seksualna i melancholia złączyły się w jego głowie w coś nierozzerwalnego?

Jak ona się nazywała? – nie pamiętał. Jej personalia uleciały z pamięci dawno temu. *Ciekawe, co robi dzisiaj? Gdzie mieszka?*

Przełknął ślinę, uświadamiając sobie, że jego organizm zaczyna domagać się alkoholu. Zagryzł usta. Na plecach pojawiły się krople potu. *Muszę stąd zaraz wyjść* – pomyślał, czując skręcanie w żołądku.

Nagły trzask drzwi do łazienki przywrócił go rzeczywistości zewnętrznej. Zerknął na Stasiaka, który patrzył na telewizor.

– Niech pan powie ze szczegółami, jak wyglądała cała ta akcja – poprosił.

Zaczął wolno i głęboko oddychać. Po chwili się uspokoił.

– Dobrze, tylko przyniosę sobie piwo – powiedział strażnik, odrywając wzrok od ekranu. – Przynieść panu też?

– Nie, dziękuję.

Jak ona się nazywała? – Harry znowu wrócił myślami do plastyczki. *Ola, Ala? A może Jola? Tak, chyba Jola...*

Gdy strażnik wrócił, zwilżył usta i odezwał się:

– Jechaliśmy z trzema miliardami. Jednym samochodem. Minęliśmy Koziegłowy i nagle zobaczyliśmy patrol policji. Jeden z funkcjonariuszy dał nam znak, żebyśmy się zatrzymali. Zjechaliśmy na pobocze. Uchyliłem szybę. Zerknąłem na klienta, który podszedł do nas. Dziwny był.

– Dziwny?

– Taki trochę penerowaty. Duże okulary przeciwsłoneczne na mordzie. Wyglądał śmiesznie. Ale nie pamiętam szczegółów. Tylko ogólne wrażenie.

Harry skinął głową.

– Wyczułem w jego zachowaniu jakąś nerwowość, która wydała mi się podejrzana. Coś mnie wtedy tknęło i sięgnąłem po pistolet, SFM, który położyłem na kolanach. Stara zagrywka, której nauczył mnie dawno temu starszy kolega... Ten ściągnął usta, pomyślał chwilę i powiedział, że to pomyłka i że możemy jechać dalej.

Stasiak prychnął.

– Pomyłka, kurwa. – Pokręcił zniesmaczony głową. – Pomyłka to jest moja była żona.

– Dlaczego nie zgłosił pan tego na policję?

– Nie byłem pewien, co o tym myśleć. Reszta załogi, czyli kierowca i kasjerka, w niczym się nie zorientowali. Nie miałem zamiaru ich denerwować, więc trzymałem język za zębami. Gdy się z tym przespałem, stwierdziłem, że coś mi się ubzdurało. Machnąłem ręką, i zapomniałem o tym.

– Aha.

– Dopiero po tym, jak usłyszałem w radiu o napadzie na konwój Markizy, stwierdziłem, że coś musiało być na rzeczy. Dwa razy Koziegłowy? To nie mógł być przypadek. Olśniło mnie, gdy byłem z wizytą u Klaudii, naszej wspólnej znajomej. – Strażnik mrugnął porozumiewawczo okiem na komisarza i mówił dalej: – Leżałem sobie na łóżku i nagle na krześle dostrzegłem perukę. „Założ ją”, powiedziałem. Założyła i z brunetki stała się blondynką. „Ładnie mi w tym przebranku?” – zapytała. Doszło do mnie, że ci policjanci byli przebierańcami tak samo jak ci ochroniarze. Powiedziałem jej o tym...

Strażnik upił trochę piwa.

– A później ona z panem komisarzem – zachichotał, po czym oznajmił sentencjonalnie: – I to jest dowód, że warto raz na jakiś czas pójść na dziewczynki. Zawsze coś dobrego z tego może wyjść. Co nie?

Harry się uśmiechnął.

– Fakt – mruknął i rozparł się na krześle.

Jola Halska – przypomniał sobie nieoczekiwane nazwisko nauczycielki. *To była Jola Halska, a mieszkała na... Wilczaku, tak na Wilczaku.*

Spojrzał na Stasiaka, który opróżnił kufel i energicznie postawił go na stole.

– Może pan dokładniej opisać wygląd tego niby policjanta? – zapytał.

– Nie. To, co zapamiętałem, to powiedziałem.

Mężczyzna rozłożył ręce.

– Nic więcej nie dodam bez zmyślenia – oznajmił.

Harry pokiwał głową, pożegnał się i opuścił knajpę. Miał wielką ochotę pojechać na Wilczak i stanąć przed domem, w którym kiedyś mieszkała jego kochanka. Może ciągle tam mieszka? – przeszło mu przez głowę.

Po krótkim marszu wsiadł do samochodu, włączył radio

i ustawił je na Dwójce. Nieznany mu aktor czytał wiersze polskich poetów. Miał przyjemny, niski, zmysłowy głos. Harry uruchomił silnik i ruszył w stronę centrum miasta.

Jadąc, przyglądał się mijanym kamienicom, ludziom, którzy spacerowali chodnikami, samochodom, które jechały w przeciwnym kierunku. W jednym z zaułków zobaczył kłócącą się parę.

Ulica Głogowska była jego ulubioną. Zabębnił palcami o kierownicę. Gdy był na wysokości Targów, usłyszał, że aktor czyta wiersz, który wyrecytowała mu kiedyś lekko podpita Jola: „Lubię, kiedy kobieta omdlewa w objęciu, / kiedy w lubieżnym zwisa przez ramię przegięciu, / gdy jej oczy zachodzą mgłą, twarz cała blednie / i wargi się wilgotne rozchylą bezwiednie”.

Erotyczne obrazy, które aktor świetnie zarysował swoimi głosem, poruszyły jego wyobraźnię. Harry westchnął, czując ciarki na skórze.

Przypomniał sobie wieczór, kiedy po raz pierwszy odwiedził Jolę w jej mieszkaniu. Przypomniał sobie drżenie całego ciała, które go ogarnęło, kiedy zaczęli się namiętnie całować. Suchość w ustach, kiedy jego nauczycielka, zarumieniona, z błyszczącymi oczami, uniosła ręce i zaczęła ściągać z siebie bluzkę. Przyspieszone bicie serca, gdy położyła jego dłoń na swojej ciepłej piersi.

O właśnie – pomyślał Harry, mijając Kaponierę. To lubię. Lubię, kiedy kobieta unosi ręce, ściąga bluzkę i odkrywa swoje nagie piersi. A potem patrzy mi głęboko w oczy. To właśnie lubię.

Zatrzymał samochód na światłach. Spojrzał na zegarek. Było parę minut po dwudziestej. Poruszył nozdrzami i powoli wypuścił powietrze. Nie miał najmniejszej ochoty wracać do domu. Zmienił stację radiową. Z głośników poleciało „Listen to Your Heart” Roxette.

Zapaliło się zielone, wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu.

XVIII

– Przynoszę smutną nowinę – oznajmił Ostrowski, wchodząc do pokoju.

Kowalski podniósł głowę znad dokumentacji, którą właśnie wypełniał w pocie czoła.

– Jaką znowu nowinę? – burknął.

Miał dzisiaj kiepski dzień. Źle spał, ledwo zdążył na czas do pracy, do tej pory nie zdołał zjeść niczego konkretnego i cały czas ślęczał nad papierkową robotą. Ale nie tylko o to chodziło. Drugą noc z rzędu śniła mu się zaginiona kasjerka. Za każdym razem budził się zlany potem z poczuciem, że dziewczyna błaga o pomoc.

Odchylił się na krzesło i zerknął na kolegę, który usiadł za biurkiem i zaczął czegoś szukać w szufladzie.

– Jaką nowinę? – powtórzył zirytowany, że kolega ociągał się z dokończeniem zdania.

– Znalezione ciało Anny Radziędy – wypalił Ostrowski i wyciągnął z szuflady jakąś mapę.

Kowalski drgnął.

– Co?

– No niestety.

Kowalski wstał z krzesła.

– Gdzie ją znalezione? – zapytał.

– W Baborówku, niedaleko Szamotuł. W lesie. Leżała w świeżo wykopanym dole. Nieprzysypanym.

– Nieprzysypanym?

– Uhm. Może ktoś ich przestraszył i nie dokończyli roboty. Pechowi grabarze.

Cisza.

– Ciało przewieziono do Zakładu Medycyny Sądowej – dodał

Ostrowski, rozkładając kolorową płachtę. – Prawdopodobnie uduszona i zgwałcona. – Podniósł głowę znad mapy i zerknął na Kowalskiego. – To znaczy najpierw zgwałcona, a potem uduszona.

Kowalski wbił w niego wzrok i uniósł brwi.

– Byłem u medyceuszy właśnie.

– Medyceuszy?

– No w Zakładzie Medycyny, Rambert mnie wysłał, jak się gdzieś kręciłeś po mieście. – Ostrowski zaczął jeździć palcem po mapie. – Oglądałem trupa. Smutny widok.

– Ktoś widział tych... grabarzy?

– Nie. Jeden ze świadków mówił, że widział w okolicy jakiś „zagraniczny, drogi samochód”, ale nie potrafił podać szczegółów, niestety.

Kowalski wstał i popatrzył na Ostrowskiego, który jak gdyby nigdy nic gapił się na mapę. Miał ochotę go trzasnąć w mordę. *To humanoid, nie człowiek* – przeszło mi przez głowę. *W ogóle się nie przejął*. Podszedł do okna, oparł łokcie na parapecie. Popukał w niego. Westchnął.

– Czyli sprawa robi się bardzo poważna – rzucił nagle. – Napad, gwałt, zabójstwo...

Przed oczami stanął mu obraz uśmiechniętej Ani Radziędy.

– Ano tak – odpowiedział Ostrowski, składając z powrotem mapę. – Bossowski przycisnie nam jeszcze bardziej śrubę. Czeka nas ostry zapierdół.

Niemal równocześnie spojrzeli na zegar ścienny. Dwudziesta dwadzieścia pięć.

– Idziesz do domu?

Cisza.

– Idziesz? – zapytał powtórnie Ostrowski.

– Tak.

Sierzanci uporządkowali swoje biurka w rytm jakiejś rockowej piosenki, która sączyła się z radia, zgasili światło i wyszli w milczeniu na korytarz. Na ulicy zamienili niemrawo

parę słów i się rozstali.

Gdy Kowalski wrócił do domu, ściągnął kurtkę, usiadł przy kuchennym stole i zapalił papierosa. Muszę się napić – pomyślał, wypuszczając kłąb dymu. Rzeczywiście, poczuł wielką ochotę na alkohol. Musiał coś zrobić z pustką, która zaczęła go uwierać w momencie, gdy dowiedział się o odnalezieniu ciała dziewczyny. Mały, czarny, pulsujący nieprzyjemnie gdzieś w środku punkt.

Na szczęście nie jemu przypadł w udziale obowiązek powiadomienia rodziców o śmierci córki. Podobno rozsypali się zupełnie. Ale nie dopytywał nikogo o szczegóły, nie chciał ich znać.

Wyjął z lodówki pół litra Wyborowej i nalał do kieliszka. Powąchał, skrzywił się i wypił. Wypuścił powoli powietrze. Wbił wzrok w pusty kieliszek i zamarł. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego akurat ta śmierć tak go przejęła. Nie miał zielonego pojęcia. Ponownie wypełnił kieliszek. Wypił, syknął.

Przypomniał sobie, że ktoś opowiadał mu kiedyś o jakimś operacyjniaku, który pewnego dnia stwierdził, że ma już dość trupów i przeniósł się do Wydziału do Walki z Przestępczością Gospodarczą.

Nagle usłyszał dzwonek do drzwi. Zdziwił się trochę. Nie spodziewał się żadnych gości, nie miewał niezapowiedzianych wizyt. Wstał, wyszedł na korytarz i przekręcił tkwiący w zamku klucz. Otworzył.

W progu stała kobieta. Ładna czterdziestolatka. Uśmiechnięta. Miała długie do ramion brązowe włosy, czerwoną obcisłą bluzkę, granatowe legginsy i tenisówki.

To była jego sąsiadka z trzeciego piętra, bibliotekarka, rozwódka. Czasami w nocy słyszał jej pojękiwania, który żywo pobudzały jego wyobraźnię.

– Cześć, sąsiad – rzuciła wesoło.

Miała bardzo przyjemny orzeźwiający głos.

– Cześć – odpowiedział.

– Przeszkadzam?

Pokręcił głową.

– Nie, nie.

– Mogę wejść? – zapytała. – Mam sprawę.

Spojrzał na nią zdezorientowanym wzrokiem.

– Jasne, zapraszam – odpowiedział i zrobił jej miejsce.

Sąsiadka przeszła przez próg, drażniąc jego nozdrza jakimś miłym, słodkim zapachem. Zerknęła w lustro, poprawiła włosy i spojrzała na Kowalskiego.

– Ostatnio dowiedziałam się, że jest pan policjantem – powiedziała.

Miała duże brązowe oczy.

– To prawda? Czy tylko plotka?

– Prawda.

– Cudownie! – Zaklaskała jak nastolatka.

Uśmiechnął się do niej.

– Może wejdźmy do kuchni? – zaproponował, wskazując dłonią kierunek.

Tak zrobili.

– Ciężki dzień? – zagadnęła sąsiadka, gdy dostrzegła na stole butelkę wódki i kieliszek.

Sierżant westchnął i kiwnął głową.

– Rzeczywiście – mruknął.

Usiedli.

– Polejesz mi? – zapytała.

– Pewnie.

Kowalski wyciągnął z szafki drugi kieliszek i rozlał alkohol.

– Nie pamiętam, czy my jesteśmy na ty? – powiedziała sąsiadka, unosząc szkło.

– Też nie pamiętam, ale wiem, że jesteś Ania – odparł, uzmysławiając sobie nagle, że zabita kasjerka nosiła takie samo imię. Znowu zrobiło mu się smutno.

– A ty?

– Ja jestem Paweł.

Stuknęli się kieliszkami i wypili.

Sierżant sięgnął po paczkę papierosów i podsunął ją sąsiadce, której policzki zarumieniły się od alkoholu. Pokręciła głową.

– Dziękuję, nie palę.

Kowalski odłożył papierosy.

– To jaką masz sprawę? – zapytał, czując lekki szum w głowie. Wypiwszy trzeci kieliszek, przekroczył swoją wewnętrzną granicę trzeźwości.

Ania pochyliła się lekko nad stołem, pokazując kawałek całkiem pokaźnego biustu ubranego w czarny biustonosz. Poruszył niespokojnie nozdrzami i natychmiast przeniósł wzrok na jej twarz.

– Mam koleżankę, która pracuje jako pielęgniarka w Domu Pomocy Społecznej w Puszczykowie – zaczęła. – To niezbyt przyjemny budynek stojący na uboczu, przy lesie. Od jakiegoś czasu w tamtejszej okolicy grasuje złodziej. Ktoregoś razu zakradł się do środka i ukradł jednej babeczce portfel z połową wypłaty.

Kowalski pokiwał głową.

– Rozumiem. Ale dlaczego do mnie się z tym zwracasz? – zapytał. – Przecież to robota dla tamtejszego komisariatu. Mnie nic do tego.

Ania się uśmiechnęła.

– Teoretycznie tak. Ale miejscowi policjanci to dupy wołowe. Przyjechali, popatrzyli, coś tam zapisali i zniknęli. Mówiąc szczerze, mają to gdzieś.

Wskazała ręką butelkę.

– Nalejesz jeszcze?

– Pewnie – odparł, po czym ponownie napełnił kieliszki.

Spojrzał na zegarek, dochodził dwudziesta druga. Czuł, że poprawia mu się humor.

– Mają to gdzieś – powtórzyła, unosząc ręce. – A wczoraj ten

facet znowu się pojawił. I znowu nieźle wystraszył dziewczyny.

– Naprawdę?

– Jedna z salowych otworzyła drzwi do gabinetu, gdzie pracujące tam babki zostawiają kurtki i torebki. Ku swojemu przerażeniu stanęła twarzą w twarz z zamaskowaną mężczyzną. Zbaraniała. On chyba też się trochę zdziwił. Odepchnął ją i pobiegł korytarzem ku wyjściu.

Urwała i westchnęła.

– No i tyle go widzieli, cholera jasna.

– A zawiadomili policję? – zapytał.

– A po co? – odparła. – Przecież i tak nic nie zrobią. Łajzy jedne.

– No nie, tak nie można do tego podchodzić.

Ania wzruszyła ramionami.

– Gdy się wczoraj dowiedziałam, że jesteś policjantem, pomyślałam sobie, że poproszę cię o pomoc.

– Niby jak miałbym pomóc?

– Chodzi o to, żebyś pojechał tam któregoś razu późnym wieczorem na parę godzin. W piątek albo w sobotę, bo on podobno w te dni działa. Może akurat facet pojawiłby się? Zatrzymałbyś go i byłoby po sprawie!

Sąsiadka się uśmiechnęła. Kowalski odniósł wrażenie, że jej brązowe oczy zrobiły się większe.

Cmoknął i pokręcił głową.

– Wziąłbyś ze sobą jakiegoś kumpla, żeby ci było raźniej, i złapiecie gnojka! – dodała, kładąc prawą stopę pod swoje lewe udo. – Nie daj się prosić! – Podniosła głos. – Powalcz o honor policji!

Kowalski się zaśmiał. Ona też. Spojrzeli na siebie przeciągle.

Propozycja sąsiadki wydała mu się tak absurdalna, że wbrew rozsądkowi postanowił się zgodzić. Nie bez znaczenia był fakt, że zaczynała mu się coraz bardziej podobać. *Niepotrzebnie piłem wódkę* – skarcił się w myślach. *Teraz na pewno nie odmówię.*

Ania przyglądała mu się wyczekująco.

– Dobrze – mruknął w końcu. – Jeśli będę miał luźniejszy przyszyły piątek albo sobotę, podjadę tam i się pokręcę.

Kobieta zaklaskała i podskoczyła na krześle.

– Świetnie! Wiedziałam, że dasz się na mówić – zawołała i sięgnęła po butelkę. – Musimy to oblać.

Kowalski potrząsnął głową.

– Ale to już ostatni – zastrzegł. – Niewiele dzisiaj jadłem i zaraz padnę na pysk.

– W takim razie ostatnia kolejka na pożegnanie – powiedziała Ania i naląła wódki do kieliszków.

XIX

W poniedziałkowy poranek Kowalski siedział w swoim pokoju z nogami na biurku i w wielkim skupieniu chrupał kawałki marchewek, po które sięgał do plastikowego pudełka. Gdy skończył, upił parę łyków wody mineralnej i sięgnął po „Express Poznański”. Wertując dziennik, zatrzymał wzrok na ogłoszeniu, z którego wynikało, że prezes Markizy ufundował nagrodę w wysokości pięciuset milionów złotych „za wskazanie sprawców napadu na konwój”. Sięgnął po kubek, ale nie dotknął go.

Zadzwonił telefon, podniósł wzrok znad gazety. Kolejny dzwonek. Ściągnął nogi z blatu biurka i odebrał.

– Komenda Wojewódzka...

– Dzień dobry. – Rozległ się głos, który zabrzmiał mu znajomo. – Czy rozmawiam z sierżantem Pawłem Kowalskim?

– Tak jest, przy telefonie.

– Świetnie, z tej strony Tobiasz Maryl.

Kowalski drgnął.

– Czym mogę służyć, panie prezesie?

– Hm, dzwonię, bo...

Prezes chrząknął.

– Nie wiem, czy mnie pan nie wyśmiej, ale jedna z moich asystentek odebrała dzisiaj dość dziwny telefon.

Kowalski otworzył szufladę i wyciągnął z niej batonik.

– Co to za telefon? – zapytał i umieścił słuchawkę aparatu pomiędzy barkiem a szyją. Rozerwał papierek, ugryzł kawałek batonika i odłożył go.

– No wyśmiej mnie pan.

– Oczywiście, że nie. Proszę mówić, zaciekał mnie pan.

– No dobrze. – Prezes nabrał powietrza i zaczął opowiadać: –

Zadzwoił jakiś facet i zaczął pytać o nagrodę. Podobno mówił, że coś wie o zrabowanych pieniądzach. Ale jakoś tak bełkotliwie, że moja asystentka niewiele zrozumiała. Na koniec powiedział, że jeszcze się odezwie i przerwał połączenie.

Kowalski chwycił długopis, zanotował na gazecie „dziwny telefon” i obramował to grubą kreską.

– Pomyślałem sobie, że warto o tym was powiadomić – dodał prezes. – Nie wiem, co pan na to? Wydaje mi się, że to bardzo interesujące.

– Rozumiem, że to jedyny telefon o takiej treści?

– Jedyny, ale przecież informacja o nagrodzie dopiero dzisiaj została puszczona w eter.

– No tak – mruknął sierżant i zaczął gorączkowo myśleć, jak wykorzystać tę informację. Informację niepozorną, ale jednak całkiem intrygującą. *Kto to mógł być?* – zastanawiał się, pstrykając długopisem. *Wariat, jajcarz, a może...*

– Jest pan tam, panie sierżancie?

– Tak, jestem, przepraszam, dał mi pan do myślenia.

– Cieszę się.

– To wszystko?

– Tak, ale chciałem podkreślić, że według mojej sekretarki ten facet sprawiał wrażenie kogoś, kto się boi... kto próbuje się... przemoc...

– Będę miał to na uwadze – powiedział Kowalski, po czym pożegnał się uprzejmie i odłożył słuchawkę.

Odsunął się lekko od biurka.

Kowalski odwrócił się, do pokoju wszedł Ostrowski z jakimiś papierzyskami pod pachą.

– Kto dzwonił?

Streścił koledze sens rozmowy z Marylem, po czym sięgnął po kolejną marchewkę. Gdy schrupał ją, Ostrowski zmarszczył brwi.

– A gdzie masz drożdżówkę?

- Nie mam, zerwałem z tym – oznajmił Kowalski z naciskiem, po czym zerwał się z krzesła.
- Chodź do starego, trzeba mu o tym zameldować.
Ostrowski przejechał dłonią po włosach.
- Może byśmy założyli podsłuch, w razie gdyby klient jeszcze raz zadzwonił? – zaproponował.
- Otóż to, chłopie. Otóż to.

XX

Podinspektor Rambert, wysłuchawszy Kowalskiego, splótł ręce i oparł o nie podbródek.

– Ciekawa informacja – odezwał się po chwili. – Ale muszę wam powiedzieć, że mieliśmy dzisiaj dwa telefony od krzepkich staruszków, którzy zaklinali się, że wiedzą, kto dokonał napadu...

Westchnienie.

– Zostali przesłuchani i okazało się, oczywiście, że bezpodstawnie chcieli oskarżyć jakichś osiedlowych łobuzów. Takich zgłoszeń pewnie będzie więcej. Niestety, tak działają nagrody. Pobudzają ludzką wyobraźnię.

Zapadła cisza. Kowalski poprawił się na krześle.

– Rozumiem – odparł. – Ale w tym telefonie ciekawe było napięcie, które wyczuła sekretarka.

– No i facet się rozłączył – dodał Ostrowski. – Tak jakby się... przestraszył?

Kowalski spojrzał na kolegę.

– To chyba nie był typ popędliwego staruszka, któremu coś się skojarzyło, ani żaden dowcipniś...

Zwierzchnik milczał. Potem popatrzył na nich uważnie i potarł kciukiem zmarszczone czoło.

– To był ktoś, kto potrzebuje pieniędzy – powiedział po chwili namysłu. – Bardzo.

Cisza.

– Zgoda – odezwał się Kowalski. – To był ktoś, kto potrzebuje pieniędzy... – Spojrzał na naczelnika i dodał: – I czegoś się boi.

– Czego?

– Nie wiem.

– Sprawców?

Rambert przypomniał sobie, że jakieś dwa lata temu na komendę zadzwonił facet, który doniósł na swojego szwagra trudniącego się przemytem alkoholu. Upierał się przy tym, że należy mu się sowita nagroda za tę informację. Trzeba było wezwać Harry'ego, żeby wyjaśnił klientowi, że tak to nie działa i żeby zmotywował go do wyśpiewania wszystkiego, co wie, za darmo.

Poprawił się na fotelu.

– Macie rację, chłopaki, musimy chwycić się tej nitki – mruknął. – Nie możemy wybrzydzać.

Spojrzał na sierżantów i powiedział:

– Zredagujcie dla mediów krótką prośbę w imieniu Maryla o ponowny kontakt skierowaną do... – naczelnik rozłożył ręce – do tej tajemniczej osoby. Ustalcie z prezesem numer telefonu do tego kontaktu, a my założymy na niego podsłuch. Kto wie, może klient się przełamie i zadzwoni ponownie.

– Tak jest.

– W takim razie zabierajcie się do roboty.

Sierżanci wstali.

– A jak idą przesłuchania pracowników Markizy i Aresa? – zagadnął ich, gdy byli już przy drzwiach.

– Żadnego punktu zaczepienia.

– Na razie.

Rambert pokiwał głową, ściągnął okulary i przetarł oczy. Potem sięgnął po słuchawkę telefonu, ale numer był zajęty.

Wstał z fotela, otworzył drzwi i poprosił sekretarkę, żeby zrobiła kawy. Wróciwszy, zaczął przeglądać stare tygodniki, który trzymał na parapecie. W jednym z nich znalazł rozmowę z prezesem Markizy zatytułowaną „Kraina słodkości”. Na środku strony dostrzegł Maryla z córką, piękną brunetką, która miała pieprzyk nad ustami. Obnażając swoje śnieżnobiałe zęby w promiennych uśmiechach, prezentowali wielkie świąteczne czekolady. Inspektor przełknął ślinę.

Poczuł ochotę na coś słodkiego.

Gdy sekretarka przyniosła kawę i ciasteczka, uśmiechnął się i podziękował. Umoczył ciasteczko w kawie, ugryzł kawałek, przymrużył na moment oczy, a potem sięgnął po słuchawkę telefonu.

XXI

We wtorek wieczorem Miszczu dostał informację na temat mężczyzny, który sprzedał sprawcom napadu spalonego potem transportera. Nazywał się Zygmunt Dolata i mieszkał w Rzeszowie.

W środę rano podkomisarz wszedł do swojego opla i ruszył w drogę. Podróż trwała bardzo długo, jakieś dziesięć godzin, i strasznie go wyczerpała. Gdy zatrzymał się na stacji paliw na przedmieściach, zegarek wskazywał godzinę osiemnastą.

Zatankował, skorzystał z toalety, zerknął na plan miasta i ruszył dalej. Zirytowany błędził przez co najmniej pół godziny, zanim dotarł pod odpowiedni adres. Zaparkował pod szarym blokiem. Zbliżała się wtedy dziewiętnasta. *Jeśli przyjechałem tu na darmo, to... – pomyślał. To palnę sobie w łeb. Albo lepiej komuś innemu.*

Chwycił skórzaną torbę i wysiadł, trzaskając drzwiami. Rozejrzał się po okolicy, na którą składały się gierkowskie bloki. Zmierzchało już. *Jak ja nienawidzę bloków – zamarudził w duchu.*

Przy śmietniku dostrzegł dwóch pijaczków, którzy łapczywie pociągali z butelki. Pewnie jabole. Miszczu westchnął. Był wykończony. Nigdy więcej nie pojedę sam w taką trasę – obiecał sobie. *To już nie ten wiek na motoryzacyjne szaleństwo.*

Gdy namierzył odpowiednią klatkę schodową, ruszył przed siebie. Zrobił parę kroków i poczuł, że ktoś go potrącił brutalnie w ramię. Odwrócił się błyskawicznie.

Przed nim stało dwóch młodzieńców. Łyse głowy, kurtki typu flyers, obcisłe džinsy, glany. Stanęli naprzeciwko niego z drwiącymi uśmieszkami.

– Ty, dziadek, kurwa! – powiedział jeden z nich, wysoki i napakowany. – Dlaczego się szwendzisz pod nogami? – Wypiął pierś i zrobił groźną minę.

Podkomisarz uśmiechnął się. *Świetnie się składa* – pomyślał. *Już wiem, na kim się rozładuję. Pierdolone skinheady.*

– Chyba szwendasz, miszczu – powiedział, wbijając w niego wzrok.

– Przypierdol mu z półobrotu – syknął drugi, niższy i grubszy.

Policjant przeniósł na niego wzrok, czując zastrzyk adrenaliny.

– Zobacz go, kurwa – warknął pierwszy. – Jaki kurwa, mądry. Zaraz mu, kurwa, pokażę, cwaniakowi, kurwa.

– Jak na mój gust, za dużo tych kurew w jednej wypowiedzi – mruknął podkomisarz i położył torbę na chodniku.

– Co za, kurwa, kolo! Zaraz mu...

– No, uderz, synku – mruknął podkomisarz i zrobił zachęcający gest dłonią. – Dawaj, dawaj.

Chłopak splunął w odpowiedzi.

Miszczu wziął głęboki oddech i obserwował go uważnie, czekając na nadchodzący cios.

– Patrz na to, dziadku – warknął chłopak i ruszył do ataku, wyprowadzając prawy sierpowy.

Podkomisarz przyblokował cios, uderzył go w brzuch i kopnął w jądra. Chłopak zgiął się wpół i padł na kolana.

– Ożeż ty, chuju – mamrotał pod nosem. – Ożeż ty...

Miszczu wypuścił powietrze, rozpiął kurtkę i odchylił jej poję, pokazując kaburę z bronią. Spojrzał na drugiego chłopaka, który zrobił wielkie oczy i zbladł momentalnie.

– Weź kolegę pod ramię i wypierdalajcie stąd, harcerzyki – mruknął, czując, że złość na uciążliwą podróż zaczyna mu mijać.

Chwycił torbę.

– Zaraz tu się zjadą koledzy z komendy – pogroził na

odchodnym.

Pokręcił głową i skierował się w stronę klatki. Rozbawiony wsłuchiwał się w zduszone przekleństwa upokorzonych skinów. Wesoło podśpiewując, wszedł do budynku.

Dolata, który mieszkał na czwartym piętrze, powitał go zdumionym wzrokiem.

– Tak, sprzedałem taki samochód – odparł, drapiąc się po głowie. – A co?

– Mogę wejść?

– Proszę.

Gdy usiedli w kuchni, Miszczu poprosił o wody.

Wypił duszkiem szklankę i zapytał:

– Może mi pan pokazać umowę sprzedaży?

Męczycyżna zmarszczył brwi.

– No mogę, pewnie, ale po co? – Poruszył się niespokojnie na krześle. – Jestem o coś podejrzanym?

Miszczu pokręcił głową.

– Ależ skąd, oczywiście, że nie!

– Tamci faceci?

– Tamci faceci?

– Po auto przyjechało dwóch.

– Aha.

– Oni coś przeskrobali?

Miszczu się uśmiechnął.

– Proszę po prostu przynieść dokument, okej?

– No dobra.

Dolata wyszedł niechętnie z kuchni i zniknął na korytarzu. Wrócił po paru minutach z teczką w dłoniach. Usiadł na krześle, odwiązał sznureczek, wyjął ze środka kilka spiętych zszywaczem kartek i położył je na stole.

– Proszę – odezwał się i spojrzał na policjanta, który zaczął się uważnie przyglądać umowie.

Podrapał się za uchem.

– Zrobić panu kawy? – zagadnął, wysuwając język.

– Jeśli to nie problem, to tak. Dziękuję.

Miszczu wyjął z torby notes oraz długopis. Zanotował najważniejsze dane.

Z umowy wynikało, że kupcem samochodu był niejaki Henryk Walewski z Krakowa. Podkreślił nazwisko, a potem spojrzął na palce. Były upačkane tuszem.

– Ale badziewne długopisy teraz robią, złodzieje – mruknął i spojrzął na Dolatę, który przyniósł dwie filiżanki z kawą.

– Data transakcji prawdziwa? – zapytał.

– No jasne! – zaperzył się mężczyzna. – Wszystko legalne, wszystko jak trzeba.

– Uhm.

Miszczu posłodził kawę, upił parę łyków. Przymknął oczy. Tego potrzebował. Ciepłej, mocnej, słodkiej kawy. Przez chwilę rozkoszował się jej smakiem.

– Czyli przyjechali tutaj siedemnastego stycznia bieżącego roku, tak?

– Tak.

– I zabrali ze sobą samochód?

– Tak jest.

Miszczu spojrzął na Dolatę, marszcząc brwi.

– To ważne dla śledztwa, więc jeśli to trochę inaczej wyglądało, proszę teraz to sprostować, obiecuję, że nie poniesie pan żadnych konsekwencji – powiedział.

– Tak to właśnie wyglądało, proszę pana.

– Na pewno?

– Słowo honoru, kurde.

Miszczu pokiwał głową, dopił kawę i odsunął filiżankę.

Spojrzął na mężczyznę, bawiąc się łyżeczką.

– Może pan opisać tych mężczyzn? – zagadnął.

– Hm...

– Z grubsza chociaż.

– Najbardziej to pamiętam samochód, którym podjechali pod garaż, w którym trzymałem busa.

Miszczu drgnął.

– Samochód? – powtórzył, patrząc uważnie na rozmówcę.

– Zajebisty mercedes, panie – odparł Dolata, wyraźnie się ożywiając. – Bardzo drogi, podejrzewam. Nie na naszą kieszeń, z całą pewnością. Srebrny. Wypucowany. Lśnił się w słońcu jak psu jajca! Naprawdę! Przyznaję, oko mi zbiegło z zazdrości.

Pięknie, pięknie, pięknie – ucieszył się w duchu podkomisarz.

– Jaki to był model? – zapytał.

– Nie wiem, nie znam się na mercedesach, ale wydaje mi się, że to był jakiś nowy model.

– Pamięta pan rejestrację?

Dolata przymrużył oczy i po chwili potrząsnął głową.

– Nie.

– Nic pan nie pamięta? Absolutnie nic? Niech pan się dobrze zastanowi.

Chwila namysłu.

– No nie, coś tam zapamiętałem, rzeczywiście.

– Świetnie, a co?

– Że to były poznańskie blachy.

– A konkretnie?

– PZN.

Miszczu zastukał długopisem o blat stołu.

– PZN? – upewnił się.

– Tak, PZN – coś tam, coś tam...

– Dobrze, dobrze. – Miszczu poprawił się na krześle.

– Na pewno to była poznańska rejestracja. – Dolata podniósł w górę palec. – Zapamiętałem, bo się zdziwiłem.

– Czym.

– No wie pan, adres zamieszkania to Kraków, a blachy z Poznania. Nie do końca to się zazębia, co nie? Ale nie dociekałem. Dzisiaj wszystko jest możliwe. Teraz jest syf.

– Teraz?

– W tej tak zwanej demokracji, kurde. Za komuny było lepiej.

Miszczu cmoknął i pomyślał chwilę.

– Może pan opisać mężczyzn, którzy przyjechali po auto? – zapytał.

– Jasne. – Dolata wziął głęboki oddech, podrapał się po głowie i wypuścił powietrze. – Kierowca mercedesa to elegancki czterdziestak. Zachowywał się jak szef tego drugiego.

– A jak wyglądał ten drugi?

Mężczyzna złożył ręce i przybliżył je do twarzy. Wyraz nabożnego skupienia rozbawił podkomisarza.

– Nie pamiętam.

– W ogóle nic?

– No, niestety. Pustka w głowie.

Miszczu skinął głową i powoli zaczął się zbierać do wyjścia.

Dolata zaproponował pięćdziesiątkę wódki, ale policjant odmówił, założył kurtkę i opuścił mieszkanie. Chciał jak najszybciej znaleźć się w hotelu i wziąć prysznic.

O tej samej mniej więcej porze Harry wszedł do mieszkania jednego ze swoich uchołi. Klient miał ksywę Gangster, trzydziestkę na karku i dobre informacje. Ksywa wzięła się stąd, że w latach osiemdziesiątych lubił przysiadawać się do hotelowych prostytutek i bezceremonialnie je zagadywać: „Jestem groźnym gangsterem i co wy na to powiecie, cipcie?”. Czasami dzięki takim tekstom udawało mu się dostać dobrą zniżkę.

Harry wszedł do salonu, który najwyraźniej przeszedł ostatnio generalny remont. Białoszare wnętrza, dwa skórzane fotele, kafelki i butelka whisky na podłodze. Brakowało tylko kominka z trzaskającym ogniem. Zamiast niego był jednak duży telewizor firmy Panasonic, na ekranie którego Harry dostrzegł stop-klatkę z „Ojca chrzestnego”.

Komisarz się uśmiechnął. Gangster rozlał alkohol i podał szklaneczkę Harry’emu. Harry wbił w nią wzrok, przygryzł usta i po krótki wahaniu pokręcił głową.

- Daj mi kawy – mruknął. – Czarnej.
- Kawy? – zdziwił się. – Jak to kawy?
- Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia, muszę być trzeźwy.
- Jakich rzeczy? Przecież jest wieczór. – Zerknął na zegarek.
- Dochodzi dwudziesta pierwsza.
- No, tak wyszło.
- Kurwa, Harry, przychodzisz do mnie po informacje i nie chcesz wypić? Będziemy pracować o suchym pysku? Pojebało cię? Jak tu gadać na trzeźwo?

Harry patrzył na niego. No właśnie – pomyślał i poczuł, że jego robota bez alkoholu rzeczywiście traci smak. Skrzywił się.

– Daj mi kawy i już – odparł. – Masz kawę?

Gangster podrapał się po szyi.

– Chyba mam – mruknął i poczłapał niechętnie do kuchni.

Wrócił po paru minutach z uśmiechem na twarzy i wręczył swojemu gościowi filiżankę wypełnioną parującym płynem. Ten upił łyk i nagle nieruchomiał. Wbił wzrok w Gangstera, który zarechotał głośno.

– Dodałem trochę prądu!

Harry oparł się o oparcie fotela i powoli wypuścił powietrze.

– Przynieś mi normalną kawę – burknął, uprzytamniając sobie, że będzie mu trudno spotykać się ze swoimi zaufanymi informatorami, takie nasiadówki zawsze były powiązane z piciem alkoholu. Przypomniał sobie zabawne spotkanie z pewnym podstarzałym złodziejem. Gdy zaczęli pić, klient był bardzo lakoniczny. Po pierwszej flaszcze zrobił się całkiem rozmowny. Po drugiej sprzedał ważną informację na temat gangu włamywaczy, a po trzeciej zaczął nadawać na samego siebie.

Gdy Harry dostał nową, bezalkoholową kawę, zapytał szorstko:

– Masz coś dla mnie?

– Uhm.

– Co?

– Podobno taki jeden chwalił się niedawno, że zna ekipę, która napadła na konwój Markizy.

– Jaki jeden?

Gangster wzruszył ramionami.

– Nie wiem – mruknął i sięgnął po butelkę. Nalał sobie do szklaneczki i wzniosł ją.

– Napij się ze mną.

Harry się skrzywił.

– Jak to nie wiesz?

– To informacja z drugiej albo trzeciej ręki.

– Sprzedajesz mi niesprawdzony towar?

– Sprzedaję ci świeży towar, chłopie – oburzył się Gangster. – Mówiłeś, że potrzebujesz na gwałt jakiejś informacji w sprawie napadu. Usłyszałem, to ci przekazuję. Podziękowałbyś, a nie krzyczał na mnie.

– Coś jeszcze?

– Nie, nic.

– Gdzie się przechwalał, komu się przechwalał?

– Nie wiem.

Harry wypuścił powietrze.

Zapach whisky coraz mocniej drażnił jego nozdrza. Poczuł, że musi jak najszybciej stąd pójść. Za dużo razy przebywał tu po pijaku. Przyjemne wspomnienia alkoholowych doznań zaczęły być nieznośne. Poczuł pot na plecach. Zwinął dłonie w pięści i uderzał nimi lekko o oparcie.

– Dodasz coś do tych rewelacji?

– Nie.

– Szkoda.

– Chociaż nie, dodam.

Harry posłał mu zirytowane spojrzenie.

– Gadaj.

– Podobno ten, co się przechwalał, to pedał jest.

– Uhm.

– Podobno dobierał się do jakiegoś młodzika. Nawalił się jak messerschmitt, próbował go obmacywać. No i taką właśnie gadkę zaczął sprzedawać. Podobno wziął z nimi udział w jakimś napadzie, który nie doszedł do skutku.

Harry drgnął.

– Podobno teraz też mu proponowali, ale się nie zgodził...

Komisarz się wyprostował.

– Podobno, podobno... – mruknął i wbił w niego wzrok. – Jednak dużo wiesz, Gangster.

– No mówię, że to wszystko „podobno”.

Harry zrobił poważną minę.

– Nazwisko tego klienta – warknął.

- Nie znam!
- Pierdolisz!
- Pod Bogiem!
- Kiedy je poznasz?

Westchnienie.

- Postaram się jak najszybciej – mruknął, sięgnął po butelkę i przyłożył ją do oczu. – Pusta – powiedział z żalem.

Harry wstał.

- Czas na mnie – powiedział i spojrzał na Gangstera. Podał mu dłoń. – Czekam na informację – mruknął i wyszedł na korytarz.

XXIII

W czwartek wieczorem Miszczu zameldował się u podinspektora Buryły, który w osowiałym nastroju wertował jakieś dokumenty.

– I co masz?

Podkomisarz się skrzywił.

– Tak jak można było się spodziewać. Umowa na busa była podpisana na fałszywe papiery. Henryk Walewski zamieszkały w Krakowie na osiedlu Niepodległości. To jest lipa. Nie ma kogoś takiego, pod tym adresem mieszka stuletnia babuszka z synem pijakiem, który nazywa się Jan Kowalski.

Naczelnik westchnął i zerknął zmęczonym wzrokiem na podkomisarza.

– Czyli nic? – odezwał się, opierając głowę o zagłówek fotela.

Podkomisarz pokręcił głową i się uśmiechnął.

– Tak bym nie powiedział.

– A jak byś powiedział?

– Otóż przywożem parę ciekawostek, z których da się ukłęcić dobry trop.

Buryła się wyprostował.

– Mów.

Miszczu pokrótce streścił rozmowę ze sprzedawcą transportera, a następnie spointował swój wyjazdowy urobek:

– Po pierwsze, po busa przyjechało dwóch facetów. Szef z pomagierem. Po drugie, jeden z nich ma mercedesa, chyba jakiś nowy model... – Miszczu urwał i zerknął na szefa. – Może uda się ustalić model? – dodał po chwili. – Gdyby to był rzeczywiście nowy, wypasiony, lista poznańskich czy wielkopolskich właścicieli będzie łatwa do sprawdzenia.

– Świetnie.

– Sprawdzę nowe i najnowsze modele mercedesów i skontaktuję się jeszcze raz z tym całym Dolatą. Może odświeży sobie pamięć?

Buryła rozpromienił się, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zadzwonił telefon. Skrzywił się i sięgnął po słuchawkę.

– Tak jest – mruknął i dał znak ręką Mischzowi, że jest już wolny. – Ostro pracujemy. Pojawiają się kolejne tropy. Namierzamy klientów... – Pokiwał głową. – Tak, tak, wykrycie sprawy murowane, tak jak twój generał! Możesz mi wierzyć.

Po paru minutach odłożył słuchawkę, czując, że podniosło mu się ciśnienie. *Czy każdy, kto zostaje komendantem, automatycznie staje się kabotynem, kuźwa jego mać?* – warknął w myślach. *Mam nadzieję, że ze mną będzie inaczej.*

Poprawił krawat i się zadumał. Było dla niego oczywiste, że prędzej czy później zostanie Komendantem Wojewódzkim Policji w Poznaniu. A przynajmniej było to oczywiste dla jego niezwykle ambitnej małżonki.

XXIV

– Od razu panu mówię, nic nie wiem – powiedziała księgową, tęga pięćdziesięciolatka ubrana w buraczkową garsonkę, z wielkimi okularami na nosie. – Po prostu nic wiem. Zajmuję się tylko liczbami. Rozumie pan? Żadnych plotek pan ode mnie nie wyciągnie.

Pokiwała palcem i spojrzała surowym wzrokiem na sierżanta Ostrowskiego, który właśnie od niej zaczął przesłuchiwać ostatnich pracowników firmy Ares.

Przytakiwał, z trudem powstrzymując się od śmiechu. *Będzie dzisiaj trudno* – pomyślał i rozejrzał się po ascetycznie urządzonej salce, którą udostępnił mu prezes agencji.

– Rozumiem. Ale mnie nie interesują żadne plotki – odparł i spojrzał na listę pracowników.

Księgową nazywała się Pelagia Miauczyńska. *No tak.*

– Mój mąż też tak mówił, i co? – zaskrzeczała pięćdziesięciolatka, poprawiając oprawki okularów. – Przed wszystkim zajmował się plotkami!

– Hm...

– Też był policjantem. Tak jak pan. Chociaż nie. Milicjantem, bo to za komuny jeszcze było. A potem padł na zawał i tyle z tego miał. Cały czas się szlajał po knajpach i pił wodę z podejrzanymi typami. A jak go ściera waliłam po mordzie, gdy nieprzytomny wracał o świcie do domu, to mi pyskował, że z informatorami rozmawiał. – Miauczyńska zaśmiała się ironicznie. – Z informatorami! Z plotkarzami, cholera jasna. On na oczy nie widział porządnej informacji.

Ostrowski przez chwilę zastanawiał się, czy słyszał kiedyś o milicjancie, który nazywał się Miauczyński. Nie kojarzył. *Może ona urwała się z „Miasteczka Twin Peaks”?* – pomyślał.

Powinna mieć jeszcze pieniek albo inny gadżet.

– Rozumiem – mruknął, bawiąc się długopisem.

– Co tam pan może rozumieć.

– Rozumiem, że nie ma pani wiedzy o czymś podejrzanym w firmie?

Księgowa zrobiła wielkie oczy.

– Ja niby nie mam wiedzy o podejrzanym rzeczach w tej firmie? – zaperzyła się.

Ostrowski zbaraniał.

– A ma pani? – wykrztusił po chwili.

Zarechotała.

– Panie... – Zmarszczyła brwi i zapytała: – Jaki ma pan stopień?

– Sierżant.

– Młodzieniec – skwitowała, poprawiając się na krześle. – No więc, panie sierżancie, wiem dużo o podejrzanym rzeczach w tej firmie.

Ostrowski chrząknął.

– Uhm... To proszę o nich opowiedzieć.

Pokręciła głową.

– Mówiłam panu, że nie będę roznosić tutaj plotek.

– Mówiła pani, że nic nie wie.

– No bo nie wiem!

– Przed chwilą mówiła pani też, że ma wiedzę – cytuję – o podejrzanym rzeczach w tej firmie.

– No zgadza się.

Zaraz ją jebnę – pomyślał Ostrowski i wyobraził sobie, że chwyta ją za tę tłustą szyję i zaczyna dusić.

– No to jak jest? – jęknął. – Bo już nic nie rozumiem.

– A co można w tym wieku rozumieć?

Ostrowski nabrał powietrza i powoli je wypuścił. Policzył do pięciu, przybrał surowy wyraz twarzy i poważnym głosem zapytał:

– Czy wie pani coś o związkach któregoś z pracowników tej

firmy z napadem? – zapytał i wbił w nią wzrok. – Coś pani słyszała? Może coś podejrzanego zwróciło pani uwagę? Ktoś coś komuś powiedział?

Cisza.

Miauczyńska poprawiała oprawki okularów.

– Nie.

– Na pewno?

Zastanowiła się.

Na czole pojawiły krople potu.

– Gdyby zapytał mnie pan, kto według mnie ma związek z napadem na konwój pieniędzy, to może bym kogoś... jak to mówił mój świętej pamięci stary?...

– Wytypowała? – podsunął policjant.

– O to to!

– No dobrze, to kogo by pani wytypowała.

– Śliwińskiego – wypaliła i przejechała językiem po ustach.

Ostrowski przestał bawić się długopisem.

Spojrzał zaciekawiony ma rozmówczynię.

– Śliwińskiego? – powtórzył nazwisko i zerknął na listę pracowników. Był. Mariusz Śliwiński. Kierowca.

– Tak jest.

– Dlaczego?

– Dziwkarz, pijak, szlaja się po mieście z jakimiś dziwnymi typami. – Księgowa nachyliła się nad stołem i szepnęła: – Raz widziałam go, jak wychodził z Merkurego i wsiadł do bmw.

– Wsiadł do bmw.

– Otóż to.

– A co w tym podejrzanego?

– Jak to co? – zdziwiła się. – Takim samochodami jeżdżą tylko gangsterzy. Podejrzewam, że jest w zмовie z nimi.

– W zмовie?

– Nadał im temat.

Księgowa pokiwała głową i przymrużyła oczy.

Podrapawszy się po nosie, zerknęła na sierżanta.

– Chociaż nie, to nie było bmw, to był mercedes. Hm... coś mi się pomyliło. A może... – Urwała, przygryzła usta, wzruszyła ramionami. – A może nie jest z nimi w znowie? No ale na pewno zdradza swoją narzeczoną. Widziałam kiedyś, jak się całował z jakąś inną dziewczyną w samochodzie...

Sierżant westchnął.

– To wszystko? – zapytał rozczarowany. Przez chwilę miał nadzieję, że księgowa podpowie coś sensownego.

– Tak.

– A co z tymi podejrzanymi rzeczami w firmie, o których pani wspomniała?

– Pyta pan, który z żonatych ochroniarzy korzysta z burdelu położonego ulicę dalej?

– To właśnie pani miała na myśli, mówiąc o podejrzanym rzeczach w firmie?

– Dokładnie to.

Ostrowski obdarzył ją uśmiechem i odchylił się na krześle. Wypuścił powietrze, pstryknął długopisem i powiedział:

– Rozumiem, dziękuję pani, to wszystko.

Kobieta skrzywiła głowę, świdrując go jednocześnie wzrokiem.

– Na pewno?

– Na pewno, dziękuję – odpowiedział grzecznie.

Miauczyńska wstała, szepnęła coś pod nosem i wyszła, głośno trzaskając drzwiami.

Ostrowski popatrzył na drzwi.

– I od księgowych racz uchronić mnie, Panie – mruknął i zrobił w powietrzu znak krzyża.

CZĘŚĆ

DRUGA

Ostrowski przetarł dłonią spocone czoło i odprowadził wzrokiem czterdziestoletniego mężczyznę, którego przed chwilą skończył przesłuchiwać. Na próżno. Małomówny, trochę gburowaty ochroniarz, który cały czas drapał się po łokciach, wydawał się całkowicie poza podejrzeniem. Tak jak wszyscy zresztą. Wychodziło na to, że agencja ochrony Ares jest czysta jak łąka. Dziwne, ale prawdziwe.

Gdy usłyszał trzaśnięcie drzwiami, wypuścił powietrze. Zerknął na listę nazwisk, która leżała przed nim na biurku. *Świetnie* – pomyślał. *Koniec*.

Spojrzał na zegar ścienny. Zbliżała się dziewiętnasta. *Młoda godzina* – stwierdził w duchu, przypominając sobie, że wczoraj wrócił z pracy do domu przed północą.

Dopił zimną kawę i się zamyślił. Po chwili stwierdził, że sytuacja wcale nie jest świetna. Wykonali z Kowalskim mnóstwo mozolnej roboty, przesłuchując pracowników Markizy oraz Aresa, z której nic nie wynikało. Nic. Zero. Mniej niż zero. Żadnego tropu, żadnego punktu zaczepienia.

Odchylił się na krzesło, w tle pogrywało radio. Usłyszał znane dźwięki. Nadstawił uszu. „Take my Breath Away”, piosenka z „Top Gun”. Mimowolnie wyobraził sobie Katię, przymknął oczy. Kiedy w myślach chwycił ją za rękę i szedł z nią na parkiet w którejś z poznańskich knajp, rozległo się pukanie do drzwi.

Otworzył oczy.

– Proszę! – krzyknął, rozczarowany tym, że nie doszło do tańca. Tak bardzo chciał się do niej przytulić. Ostatnio śniła mu się bardzo często. Niemal każdej nocy.

Zabębnił palcami o blat biurka.

W progu stanął młody chłopak, dwudziestoparoletni. Plereza, dresy z kreszu, białe adidas. Średni wzrost, dobrze zbudowany. *Komandos z lat osiemdziesiątych* – przeszło mu przez głowę. Uniósł brwi.

– Miałem się stawić. – Usłyszał. – Pracuję w Aresie.

– A tak – mruknął Ostrowski i jeszcze raz sięgnął po listę, która zawierała nazwiska pracowników agencji ochrony.

Rzeczywiście, została jeszcze jedna osoba. Facet, o którym niebyt przychylnie wyrażała się pani Pelagia. Zupełnie o nim zapomniał. Zerknął na niego ciekawie.

– Mariusz Śliwiński? – zagadnął.

– Tak.

– Proszę usiąść, panie Mariuszu.

Sierżant założył ręce za głowę. Żeby mi się tak chciało, jak mi się nie chce – pomyślał i nagle poczuł pustkę w głowie. Nie miał pojęcia jak zacząć, o co zapytać. Był po prostu wykończony. Zamarzyła mu się ciepła kąpiel. Napuściłby sobie gorącej wody, zapalił świeczkę, zgasił światło, puścił jakąś ostrą muzyczkę, na przykład Sodom, fajną deathmetalową kapelę z Niemiec, ułożył się wygodnie w wannie. I właśnie w ten sposób pożegnał kolejny cholernie pracowity dzień.

Potarł dłonią nos i zerknął na chłopaka, który siedział sztywno i w napięciu przypatrywał mu się. W uchu miał kolczyk, a na szyi mały tatuaż przedstawiający skorpiona.

– Wie pan coś o napadzie na konwój? – zapytał Ostrowski machinalnie.

Chciał mieć to już najszybciej z głowy.

– Ale co?

– Cokolwiek.

– Nie.

– Nic podejrzanego pan nie słyszał, nie widział?

– Ale że co?

– No właśnie o to „coś” wszystkich wypytujemy.

Kierowca pokiwał przecząco głową.

– Żaden z pana kolegów nie obraca się w podejrzanym towarzystwie?

– Nie.

Sierzant popatrzył uważnie na przesłuchiwanego.

Wydało mu się, że przez jego twarz przebiegł skurcz.

A może to było przywidzenie? Pewnie tak, ale faktem było również to, że policzki kierowcy nabiegły krwią. Ciekawe – pomyślał Ostrowski. *Może jednak coś słyszał?* Postanowił, że go pomęczy. Kto wie, może uda się wpaść na coś? Jakiś trop, maleńką wskazówkę, na cokolwiek?

W czasie dyskusji z Kowalskim mówili o tym, że może ktoś z pracowników Aresa sprzedał komuś z półświatka informację o konwoju, który co miesiąc przewozi grubszą gotówkę według ściśle określonych procedur.

– Niech pan się zastanowi na spokojnie – powiedział życzliwym głosem.

– Niczego takiego nie kojarzę.

– Naprawdę nic?

– Nic.

Ostrowski westchnął, chwycił długopis i wbił wzrok w kartkę.

Nieświadomie zaczął podkreślać nazwisko Śliwińskiego.

– W tamtym roku aresztowaliśmy faceta pracującego w jednej z agencji ochrony – powiedział nagle, wymyślając naprędce jakąś brednię. – Okazało się, że klient prowadzi potrójne życie. Jest ochroniarzem, dorabia sobie jako malarz pokojowy i ponadto okrada niektóre z tych mieszkań.

Zerknął na Śliwińskiego i cmoknął.

– Takie rzeczy się zdarzają – powiedział. – Dlatego pytam.

– Nic nie wiem – odparł chłopak i zaczął klepać się po udzie.

– Szkoda.

– Mogę już iść?

Ostrowski milczał.

- Spieszy mi się trochę.
- Aha, a gdzie?
- A co to pana obchodzi? – zirytował się Śliwiński. – To moja prywatna sprawa!
- Rozumiem.
- To jak, mogę już iść?
- Rozumiem, że pana pośpiech nie ma nic wspólnego ze sprawą napadu?
- Nie, kurwa!
- Ostrowski zmarszczył brwi, odgrywając zdziwienie.
- Niczego pan sobie nie pokorzył i chce wyjść na świeże powietrze, żeby sobie wszystko dokładnie przemyśleć? – zapytał poważnym głosem.
- Nie! Po prostu chcę już iść do domu. Wreszcie.
- Ostrowski poczuł nagle dreszczyk podniecenia. Zdenerwowanie Śliwińskiego zafrapowało go. Być może, rzeczywiście, nie miało nic wspólnego z przedmiotem przesłuchania, ale warto jeszcze trochę podokazywać. *Powierzę mu dziurę w brzuchu* – postanowił. *A co mi tam.*
- Jest pan absolutnie pewien, że nie wie nic o napadzie?
- Kurwa mać – sapnął mężczyzna. – O co panu chodzi?
- Zdenerwował się pan?
- No bo mnie pan wypytuje namolnie o jakieś bzdury.
- Taka robota.
- Podejrzewa mnie pan o coś, do chuja?
- Panie Mariuszu, proszę jednak nie używać wulgaryzmów, dobrze? Zapiszę to w notatce służbowej i wyjdzie pan na podejrzanego typka. Chce pan tego?
- Przepraszam – powiedział Śliwiński, z trudem panując nad oddechem.
- Zapadła cisza.
- Nie – odezwał się Ostrowski.
- Ale że co?
- Nie podejrzewam pana.

– No jak nie, to mogę iść?

Ostrowski wypuścił powietrze.

– Nie mam razie żadnych podstaw – dodał, udając, że nie dostrzega zaniepokojenia na twarzy chłopaka.

Wyjął z szuflady notes i zapisał parę zdań. Chciał, żeby ten gest wyglądał poważnie.

Podniósł wzrok i wbił go w Śliwińskiego. Postukał długopisem po biurku. Spojrzał raz jeszcze na notes, a potem przeniósł wzrok na rozmówcę.

– Teraz już tak – mruknął. – Jest pan wolny.

Śliwiński uderzył dłońmi o uda.

– To spadam – burknął i wstał.

Gdy podszedł do drzwi i położył rękę na klamce, Ostrowski powiedział głośno:

– Jeden z pracowników powiedział, że to pan.

Kierowca się odwrócił. Był blady na twarzy.

– Co ja?

– Że to pan jest zamieszany w napad.

Cisza.

– Kto tak powiedział?

– Nie mogę tego ujawnić.

Cisza.

– To prawda?

– To głównie prawda. Mogę już iść?

– Tak.

Śliwiński wyszedł, trzaskając głośno drzwiami.

Sierżant rozparł się na krześle i przez dłuższą chwilę trwał w bezruchu. *Wkręcą sobie czy nie wkręcą?* – zastanawiał się gorączkowo, czując coraz silniejszy ból w plecach. *Ma coś wspólnego z napadem czy nie?*

Zamknął oczy. Przed oczami stanął mu tatuaż przedstawiający skorpiona. A potem usłyszał głos portiera z Markizy: „Dziwne mordy, czarne okulary, źle im z oczu patrzyło”. *Śliwińskiemu też nie najlepiej z oczu patrzy –*

pomyślał.

W końcu wstał z krzesła, wyłączył radio, urywając w połowie „Lambadę”. *Wkręcam sobie* – stwierdził w duchu, założył kurtkę, zgasił światło i wyszedł.

Przed północą zadzwonił do Kowalskiego i podzielił się wrażeniami z rozmowy ze Śliwińskim.

– Hm – mruknął w odpowiedzi kolega. – Myślę, że sobie wkręcasz. Tendencyjnie poprowadziłeś to przesłuchanie.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak. Na siłę chciałeś znaleźć sprawcę.

Ostrowski się zastanowił. Chyba rzeczywiście próbował wmówić facetowi coś, z czym ten nie miał nic wspólnego.

– No to cześć.

– Cześć.

Odłożył słuchawkę, poszedł do pokoju, włączył sobie na wideo „Nagą broń” i po kilkunastu minutach zasnął kamiennym snem.

Leslie Nielsen zdawał się ignorować ten fakt i dalej działał na ekranie na swój charakterystyczny sposób. Właśnie zaparkował nieostrożnie nad rzeką, spychając wędkarza do wody.

Nazajutrz sierżanci postanowili jednak z braku innych tropów powęszyć przy Śliwińskim. Zdobyli jego fotografię i pojechali z nią do Biedruska, do siedziby Markizy.

– Mówi coś panu ta twarz? – zapytali portiera, pokazując mu zdjęcie.

Ten zmarszczył czoło, długo się namyślał i mruknął:

– Nie, chyba nie.

– Chyba?

– Raczej nie.

– Jest pan pewien?

– Źle mu z oczu patrzy, ale wydaje mi się, że go nie widziałem.

Sierżanci westchnęli, pokazali fotografię paru osobom, ale nikt nie rozpoznał Śliwińskiego jako członka konwoju podstawionego przez przestępców. Wcale ich to nie zdziwiło, sprawdzili to tylko tak na wszelki wypadek.

Potem pojechali do Chludowa do Szaroty. Zapukali do drzwi. A gdy otworzyła im żona Szaroty, starsza, pulchna pani, dowiedzieli się, że ochroniarz leży u siebie pokoju bardzo przygnębiony.

– Jest załamany – wyjaśniła im żona. – Cały czas myśli i mówi o tej biednej dziewczynie.

– Co mówi?

– Obwinia się.

– Ale o co?

– Że nie spełnił swojego obowiązku, że nie ochronił jej, choć przecież to była jego praca i za to mu płacą.

– Ale przecież to nie jego wina!

– On twierdzi, że to jego wina.

– No tak.

Po tej krótkiej wymianie zdań weszli do pokoju, przywitali się i pokazali Szarocie zdjęcie. Ten założył okulary, połknął jakieś tabletki i wbił wzrok w postać Śliwińskiego. Wpatrywał się w nią chyba z dziesięć minut. Na koniec ściągnął okulary, wsunął je do kieszonki koszuli i pokręcił głową.

– To nie ten.

Sierzancie westchnęli.

– Jest pan absolutnie pewien?

Szarota pokiwał głową.

– Niestety, jestem tego absolutnie pewien. To nie ten gość – westchnął. – Choć bardzo bym chciał, żeby to był jeden z nich.

Spojrzał na nich smutnym wzrokiem.

– Nie macie żadnych innych tropów?

– Sprawdzamy różne tropy – mruknął Ostrowski.

– To jeden z nich – dodał Kowalski.

– Oby inne były lepsze.

– Też mamy taką nadzieję.

Cisza.

– Musicie ich złapać.

Policjanci uścisnęli mu dłoń, pożegnali się z żoną, wsiedli do samochodu i skierowali się w stronę Poznania. Po drodze zjedli obiad, całkiem smaczny.

Wróciwszy na komendę, przekonali się, że wszyscy skoncentrowani są na napadzie na konwój pieniędzy. Każdy w tej sprawie gdzieś dzwonił, coś sprawdzał, z kimś gorączkowo dyskutował, kogoś poganiał.

Gdy znaleźli się w swoim pokoju, zadzwonili do sekretariatu Aresa, żeby upewnić się, że w dzień napadu Śliwiński był w pracy. Był, naprawiał z mechanikiem samochód, widziało go parę osób.

– Śliwiński to błędny trop – powiedziała Ostrowski.

– No przecież ci mówiłem – odparł Kowalski.

Ostrowski spojrział na niego krzywo.

– Ty zawsze wiesz lepiej! – zirytował się. – Przecież trzeba było sprawdzić.

– Wiem.

– To też wiesz?

– Uhm. – Kowalski wydawał się rozbawiony.

Wtedy zadzwonił telefon.

Kowalski sięgnął po słuchawkę.

– Tak?

To był oficer dyżurny.

– Jakaś pani do was.

– Jaka pani?

– Mówi, że w sprawie napadu.

Kowalski znieruchomiał.

– W sprawie napadu?

– No mówię przecież.

Ostrowski zerknął na Kowalskiego i kiwnął pytająco głową.

– Coś powiedziała?

– Że ma ważną informację.

– Dobrze, za chwilę jesteśmy – powiedział Kowalski, czując mrowienie na plecach.

Pięć minut później siedzieli w jednym z pomieszczeń do przesłuchań naprzeciwko młodej dziewczyny o zaciętej twarzy. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat. Spalona na solarium, długie czerwone paznokcie, przesadny makijaż. Była ubrana w obcisłą różową bluzeczkę z czarnym serduszkiem na piersiach, bardzo dużych, czarną miniówkę i srebrną kurtkę. Nazywała się Sylwia Gawrysiak.

– Podobno ma pani informację dotyczącą napadu na konwój pieniędzy Markizy? – zagadnął Ostrowski.

Dziewczyna przełknęła ślinę. Ewidentnie była zdenerwowana. Zagryzała usta, wyginała palce. Miała niespokojny wzrok.

– Tak, mam.

– Jaką?

– Wiem, kto jest zamieszany w sprawę tego napadu.

Sierzanci ściągnęli twarze i spojrzeli wyczekująco na Gawrysiak.

– Kto?

– Jeden z pracowników firmy Ares.

Ożeż w mordę i nożem! – pomyślał Ostrowski.

– *Ciekawe, kogo przegapiliśmy?* – zastanawiał się Kowalski.

Popatrzyli na siebie.

– Który?

Dziewczyna westchnęła.

W jej oczach dostrzegli błysk determinacji. I coś jeszcze. Wściekłość? Gniew? Odchyliła się na krześle i położyła dłonie na blacie stołu.

– Mariusz Śliwiński – wycodziła.

Sierzanci otworzyli ze zdziwienia usta.

A jednak. Ostrowski pokiwał głową. *A jednak to ten chujek!* Spojrzał na kolegę, który uporczywie się wpatrywał w rozmówczynię.

Gawrysiak wyciągnęła z kieszonki gumę, włożyła ją do ust i zaczęła żuć. Unikała ich spojrzeń.

Kowalski podrapał się po grdyce i chrząknął.

– Jakież szczegóły? – zapytał.

– Jakie szczegóły?

– Proszę nam powiedzieć, w jaki sposób Śliwiński jest zamieszany w ten napad.

Dziewczyna poruszyła ustami, głośno mlaskając.

– Nie wiem.

– Nie wie pani?

– No nie znam, kurde, konkretów. – Potrząsnęła głową. – Wydaje mi się, że... że...

– Że?

– Że nadał komuś temat.

– Nadał komuś temat?

– No tak. – Podniosła ręce i spojrzała na nich lekko zirytowana. – Powiedział komuś o konwoju, zdradził, co i jak... Potem, po wszystkim, wziął pieniądze, pewnie niemałe...

– Dobrze – powiedział Kowalski, wyciągając z wewnętrznej kieszeni notes.

Spojrzał na nią poważnym wzrokiem.

– Skąd pani o tym wie? – zapytał.

Spojrzała na niego spłoszona.

– Powiedział mi – odezwała się po chwili.

– Co powiedział?

– Że szykuje mu się świetna, choć niebezpieczna fucha.

– Fucha?

– Tak.

– Dobrze. Może to pani rozwinąć?

Pokiwała energicznie głową.

– Wiem, że przyjaźni się z bandziorami, którzy włamują się do sklepów, do bogatych domów – odparła. – A o tej fu... fu...

– Urwała zmieszana, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa.

– Fusze – podsunął jej z uśmiechem Ostrowski.

– No właśnie. – Gawrysiak się zaśmiała. – Mówił mi o niej parę dni przed napadem na konwój. A potem nagle miał mnóstwo forsy, którą szastał jak wariat. I to jego pierdolenie: „Nie mogę mówić, nie mogę mówić, ale to była ostra akcja”.

– Myśli pani, że brał w niej udział?

Pokręciła głową.

– Nie sędzę, pewnie sprzedał im tylko informacje – powiedziała. – Aż taki chojrak to on nie jest. – Prychnęła pogardliwie.

– A w tych włamaniach do sklepów i domów brał bezpośredni udział?

– Nie wiem. Wiem tylko, że się przyjaźni z tymi, którzy w tym głęboko siedzą.

Ostrowski popukał palcami w blat stołu.

– Dlaczego akurat teraz przekazuje nam pani tę informację?
– zapytał.

Dziewczyna spojrzała na jego bluzę, na której widniała ludzka czaszka i czerwony napis „Slayer”.

– Bo dopiero niedawno skumałam, o co chodzi –
odpowiedziała z pretensją w głosie.

– No tak.

– A skąd pani zna Śliwińskiego?

– Z pracy.

– Pracujecie razem w Aresie?

– Tak.

– Kim pani tam jest?

– Sprzątaczką.

– Hm... Dlaczego myśmy pani jeszcze nie przesłuchali?

– Właśnie wróciłam z chorobowego.

– A tak, kojarzę... No dobrze, co panią łączy ze Śliwińskim?

– A co niby ma łączyć?

– Pytam o to.

– Nic.

– Nic?

– No po prostu znamy się.

– Jak blisko?

– A co to was obchodzi?

– Musimy to wiedzieć.

– Niby dlaczego?

– Po prostu. Każdy detal może okazać się istotny.

– Taki detal?

– Tak – powiedział z naciskiem Kowalski i spojrzał na nią wyczekująco.

Dziewczyna się spłoszyła.

– Spotykaliśmy się przez jakiś czas – powiedziała niechętnie.

– Już się nie spotykacie?

– Nie.

– Dlaczego?

– A czy to ważne, kurwa?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie, dobrze?

Cisza.

– Nie spotykamy się i już – burknęła.

– Kto zerwał?

Sapnęła.

– Ja.

– Pani?

– No mówię przecież, że ja!

Spojrzała na nich naburmuszona.

– To ja z nim zerwałam.

Sierzanci patrzyli na nią z uwagą.

– Dlaczego zerwała z nim pani? – zapytał Kowalski, zapisując coś w notesie.

Dziewczyna przewróciła oczami.

– Bo mnie znudził – odparła. – A poza tym kiepski był w łóżku.

Cisza.

– A kiedy pani z nim zerwała?

Cisza.

– Kiedy?

– Nie pamiętam.

– Tydzień temu, miesiąc, parę miesięcy?

Wzruszenie ramion.

– Powiedzmy, że miesiąc temu.

– Okej.

Dziewczyna wypuściła głośno powietrze.

– Zaczynam żałować, że się w ogóle zgłosiłam.

Ostrowski uniósł brwi.

– Dlaczego? – zapytał.

– Bo, kurde, przyszedłam tu do was z własnej woli, żeby wskazać sprawcę napadu, a wy mnie maglujecie z naszych prywatnych spraw... – Spojrzała na nich rozeźlona. – Jeszcze mnie zapytajcie, jak się pieprzyliśmy. – Podniosła głos.

– Sama pani o tym wspomniała.

– O czym?

– O tym, że chłopak nie radził sobie najlepiej w łóżku.

Zgromiła go wzrokiem.

– Tak tylko powiedziałam – mruknęła, przyglądając się swoim długim czerwonym paznokciom.

– Czyli że był dobry w łóżku?

Gawrysiak wyduła wargi.

– Mogę już iść? – zapytała. – Nic więcej nie wiem.

Kowalski skinął głową.

– Za momencik panią wypuścimy – powiedział.

Spojrzała na niego, marszcząc czoło.

– Co jeszcze chcecie wiedzieć? – rzuciła.

– Dlaczego powiedziała pani, że był kiepski w łóżku, skoro nie był kiepski?

Cisza.

– A czy to ważne?

Ostrowski zażenowany spuścił wzrok, kręcąc głową, a Kowalski uśmiechnął się dobrotliwie.

– No wie pani, ważne jest, czy ktoś mówi prawdę, czy nie. Szczególnie wtedy, kiedy kogoś oskarża.

– No dobra, Mariusz nie jest kiepski w łóżku. – Spojrzała na nich ze złością. – Fajnie się rzną! – W jej oczach pojawił się błysk wściekłości. – Lepiej? Chcecie więcej szczegółów?

– Nie.

– Było fajnie, ale się skończyło. Przestałam się nim jarać. Zaczął podobać mi się ktoś inny. Dlatego zerwałam. Tyle.

– To dlaczego powiedziała pani, że był kiepski w łóżku? – zapytał Kowalski, lekko krzywiąc usta.

Ostrowski uśmiechnął się. *Zaraz w nas rzuci jakimś wałkiem* – pomyślał rozbawiony. Spojrzał na koleżkę, a potem na zirytowaną dziewczynę, która wycodziła:

– Bo jestem wredna, złośliwa i w ogóle.

Cisza.

– Mogę już iść?

Kowalski spojrzał na nią.

– Dlaczego nam pani o tym mówi? – zapytał, ignorując jej pytanie.

– O czym?

– O Śliwińskim, napadzie, swoich podejrzeniach?

Potrząsnęła głową.

– Jak to dlaczego?

– No właśnie, dlaczego?

– No bo to prawda! – oburzyła się. – Dziennikarze trąbią o tej sprawie, namawiają, żeby zgłaszać się, no to... zgłaszam się...

– Rozumiem. A słyszała pani o nagrodzie?

– Nagrodzie?

– Tak, prezes Markizy ufundował nagrodę dla tego, kto wskaże winnych. Pięćset milionów.

– Coś tam słyszałam – mruknęła, mrużąc oczy. – Ale, żeby nie było, nie spodziewam się żadnej nagrody.

– Rozumiemy.

– Przyszłam tu, żeby go zatrzymano.

– Aha.

– Bo jest winny. I tyle.

Zanim pozwolili jej opuścić komendę, sierżanci zapytali o adres. Okazało się, że Gawrysiak mieszka na osiedlu Batorego razem z koleżanką z liceum, Alicją Kraskowską, która pracuje w Merkurym, również jako sprzątaczką. Dali jej na odchodne numer telefonu, sugerując, że w każdej chwili może zadzwonić, jeśli będzie chciała coś dodać.

– Co myślisz? – zapytał Kowalski, gdy wrócili do swojego pokoju.

– Dziewczyna pieprzy farmazony – mruknął Ostrowski, oparł się na krzesło i spojrzał w róg sufitu, gdzie pająk tkął sobie pajęczynę.

– Bo?

– Przecież to widać jak na dłoni! Jest na niego wkurwiona

i chce się zemścić.

– Myślisz, że to on ją rzucił?

– No raczej, nie inaczej.

Zamilkli.

Ostrowski cały czas patrzył na pajęczynę.

– Cicho – szepnął nagle.

Kowalski zmarszczył brwi.

– Dlaczego?

– Mucha wpadła w pajęczynę.

Kowalski wywrócił oczami.

– Myślisz, że to wszystko wyssała z palca? – zapytał, wracając do meritum.

– Miałem kiedyś nauczyciela historii, który nazywał się Mucha i nazywał nas małymi, szkodliwymi insektami. – Ostrowski założył ręce na tył głowy i się zadumał.

– Myślisz, że dziewczyna wszystko wyssała z palca? – powtórzył pytanie Kowalski.

Ostrowski przecesał dłonią włosy.

– Tak właśnie myślę – odparł. – Przecież to, co ona mówi, brzmi strasznie mętnie. To są jakieś bzdury.

– Hm...

Sierzanci się zadumali.

Po paru minutach wstali z krzeseł, zaparzyli sobie kawy i w milczeniu zaczęli ją popijać.

– Ja bym to jednak sprawdził – odezwał się Ostrowski.

Kowalski spojrział na niego i pokiwał głową.

– Jedziemy do Merkurego – oznajmił.

– Howgh.

XXVII

Gdy zbierali się do wyjścia, zostali wezwani do naczelnika, który polecił im natychmiastowy wyjazd do Kórnika. Mieli przesłuchać pewnego mężczyznę, który po pijanemu wdał się w bójkę z sąsiadem i zakatował go na śmierć. Typowe zabójstwo po polsku, choć tym razem obyło się bez siekiery. Inni dochodzeniowcy byli zajęci, więc padło na nich. W efekcie resztę dnia spędzili na tamtejszym komisariacie, przesłuchując sprawcę oraz najważniejszych świadków.

To była żmudna i nad wyraz smutna robota. Zabity mężczyzna osierocił dwójkę dzieci i pozostawił ciężarną oraz bezrobotną żonę, która podczas przesłuchania cały czas powtarzała jedno zdanie: „Co ja teraz zrobię, co ja teraz zrobię?”.

To jej desperackie pytanie, wypowiedane drżącym głosem, nie pozwalało żadnemu z nich zasnąć przez całą noc.

Do Merkurego pojechali więc po weekendzie, w poniedziałek, 15 marca. Parę minut po dziewiątej zaparkowali samochód obok postoju dla taksówek, wyminęli Cygankę, która chciała im powróżyć, i weszli do środka. Recepcjonista poinformował ich, że Alicja Kraskowska sprząta pokoje na trzecim piętrze. Podziękowali i ruszyli w stronę windy.

Po paru minutach odnaleźli dziewczynę. Akurat wychodziła z jednego z pokojów.

– Chcieliśmy zagadnąć o Mariusza Śliwińskiego – wyjaśnił Kowalski, pokazując jej legitymację służbową.

Spojrzała na nich zciekawiona.

– Co z nim? – zapytała, odkładając brudne ręczniki na wózek.

– Zna go pani?

– Jasne, to przecież były chłopak Sylwii, mojej współlokatorki.

– Były?

– Tak, zerwali ze sobą jakieś dwa, trzy tygodnie temu.

– Zerwali?

– Tak.

– A kto zerwał?

Skrzywiła się.

– Czy musimy teraz rozmawiać? – zapytała. – Mam jeszcze dużo pokojów do posprzątania, a czas leci.

Ostrowski uśmiechnął się do niej.

– Zajmiemy tylko parę minut, naprawdę – powiedział. – Inaczej musielibyśmy wezwać panią na komendę.

Skinęła głową i oparła się o ścianę.

– No dobrze.

– Więc jak – odezwał się Kowalski. – Kto zerwał?

– On.

– On?

– Tak.

– Jest pani pewna?

– No pewnie.

– Dlaczego?

– Byłam wtedy przy niej, jak z nią... – Zamilkła nagle.

Drzwi obok otworzyły się i z pokoju wyszło sędziwe małżeństwo, rozmawiające ze sobą po niemiecku. Na ich widok ukłoniło się, mruknęło uprzejmie „Guten Morgen” i ruszyło wzdłuż korytarza w stronę windy.

Gdy zniknęło za zakrętem, dziewczyna dokończyła zdanie:

– ...jak z nią zrywał.

– Była pani przy niej, jak Śliwiński z nią zrywał?

– Uhm.

– Jak to wyglądało?

– Siedziałyśmy wtedy w domu, oglądałyśmy jakiś serial i popijałyśmy wino. W pewnym momencie zadzwonił telefon.

To był on. Mariusz. Trochę wcięty. Powiedział jej, że zrywa z nią. Tak prosto z mostu... Nie ma, że boli.

– Wyjaśnił, dlaczego?

– Podobno poznał jakąś laskę na dyskotecce, przespał się z nią i stwierdził, że chce z nią być.

– Jak na to zareagowała Sylwia?

Kraskowska westchnęła.

– No cóż, była w nim zabujana po uszy. Zaczęła histeryzować, płakać, krzyżeć, nawet grozić. Przyznam, że też mi się chciało płakać, jak tak na nią patrzyłam. Taki cios zniecka? I to jeszcze przez telefon? – Pokręciła głową. – To było okrutne, żenujące i... – Urwała na chwilę. Przekręciła parę razy pierścioneł na palcu. – Ale on był nieubłagany – mówiła dalej. – Powiedział, że to koniec, i rozłaczył się... Sylwia jeszcze parę minut siedziała ze słuchawką w dłoniach i szlochała okropnie. Zaprowadziłam ją do łóżka i dałam jakieś proszki na uspokojenie. Potem przez tydzień chodziła jak struta. Później stwierdziła, że Mariusz to głupi chuj niegodny jej osoby i przestała o nim mówić.

Cisza.

– Ale wiedziałam, że cały czas mocno to przeżywa. Zresztą do dzisiaj chodzi jak struta.

Sierżanci spojrzeli na siebie.

Przyłapała ich spojrzenie i uniosła brwi.

– Ale dlaczego o to wpytujecie? O co chodzi? – zapytała nieufnie.

Cisza.

– Mariusz coś przeszkrobał?

Nie odpowiedzieli. Wbiła w nich wzrok.

– Co zrobił?

Kowalski chrząknął.

– Próbuujemy to ustalić – odparł. – Ktoś oskarżył go o uczestnictwo w napadzie na konwój pieniędzy.

Dziewczyna otworzyła i natychmiast zakryła je dłonią.

– W napadzie?

– Uhm.

– Jakim napadzie?

Zmarszczyła brwi.

– Tym, o którym od jakiegoś czasu wszyscy trąbią naokoło? – zapytała.

– Właśnie w tym.

Wypuściła głośno powietrze.

– Można wiedzieć, kto go oskarżył?

– Wie pani coś na ten temat? – odpowiedział Ostrowski pytaniem na pytanie.

Pokręciła głową.

– Nie, nic – mruknęła.

W jej oczach malowało się bezgraniczne zdumienie.

– Czy Śliwiński miał jakieś kontakty ze światem przestępczym? – zapytał Ostrowski.

– Że co?

– Czy ma pani jakieś informacje na temat ewentualnych powiązań Śliwińskiego z przestępcami? Może coś się pani obito o uszy?

Nerwowy śmiech.

– Nie.

Usłyszeli dźwięk otwierającej się windy. Na korytarzu pojawiło się dwóch młodych mężczyzn, którzy szeptali sobie coś do ucha. Na widok sierżantów i sprzątaczkki umilkli nagle, odsunęli się od siebie i pospiesznie ich minęli.

– A czy to jest według pani prawdopodobne? – zapytał Ostrowski.

– Że Mariusz to bandzior?

– Uhm.

Zrobiła nieokreślony ruch ręką.

– Nigdy by mi to nie przyszło do głowy – mruknęła. – Wydawał się całkiem normalny... W sensie... uczciwy...

Zamyśliła się. Wzruszyła ramionami.

– Był trochę cwaniakowaty, może zbyt pewny siebie... Podejrzywałam go, że zdradzał Sylwię... Ale nigdy bym nie pomyślała, że jest przestępcą... bandziorem.

Przymrużyła oczy i zerknęła na nich.

– Kto go oskarżył o ten napad? – zapytała.

Ostrowski pokręcił głową.

– Nie możemy odpowiedzieć na to pytanie – odezwał się Kowalski.

Dziewczyna się zamyśliła. Po kilku sekundach drgnęła i wbiła w nich wzrok.

– To Sylwia?

Policjanci chrząknęli zaskoczeni.

– To ona go oskarżyła?

Ostrowski zagryzł usta.

– A co pani w ogóle wie o Śliwińskim? – zapytał, ignorując jej celne pytanie.

Kraskowska westchnęła.

– Tak naprawdę to ja go nie znam – odparła, pocierając nerwowo dłonią o policzek. – Sylwia była z nim jakieś... pół roku zaledwie... Widywali się tylko weekendy... Nigdy razem nigdzie nie bywaliśmy. Mijaliśmy się w gruncie rzeczy... Nie znam jego znajomych.

Cisza.

– Na pewno nie był harcerzykiem. – Wzruszyła ramionami. – Ale że od razu przestępcą? I to takim, co napada na konwoje? Chryste!

– Co to znaczy, że nie był harcerzykiem? – zapytał Kowalski.

– Nic takiego. Lubił wypić, dużo przeklinał. Słyszałam, że parę razy pobił się z kimś po pijaku na dyskotece... No i podejrzewałam, że zdradza Sylwię.

Sierżanci spojrzeli na nią pytająco.

– Widziałam go parę razy na mieście, jak szedł z jakimiś laskami. Trochę się ślinił do nich.

– Powiedziała pani o tym przyjaciółce?

– Nie. Zbierałam się, ale nie miałam odwagi. Nie chciałam jej denerwować swoimi podejrzeniami.

Zapadła cisza.

– Co pani myśli o tym oskarżeniu? – zagadnął Kowalski. – Jest wiarygodne?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Dziewczyna zagryzła usta. – Może ona...

Zawahała się i wypuściła głośno powietrze.

– Tak?

– Może ona powiedziała to, dlatego że...

Widać było, że dziewczyna gryzie się ze swoimi myślami.

Sierzanci czekali.

– ...dlatego, że...

Znowu zapadła cisza.

– Dlaczego? Co chciała pani powiedzieć?

Kraskowska potrząsnęła głową.

– Nie, nie, nic nie chciałam powiedzieć.

Spojrzała na nich i rozłożyła ręce.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Przepraszam, ale nie potrafię wam pomóc.

Sierzanci pokiwali ze zrozumieniem głowami.

– Muszę już naprawdę wracać do pracy – powiedziała, zerkając na zegarek.

– Oczywiście.

Pożegnali się i w milczeniu ruszyli w stronę windy, z której wyszedł jakiś ponury biznesmen z zielonym garniturze.

Parę minut później siedzieli w niebieskim maluchu Ostrowskiego.

– I co?

– Nic.

– Też myślę, że nic.

– Banalna sprawa – powiedział Ostrowski. – Dziewczyna zakochała się w chłopcu, chłopiec zdradził dziewczynę, dziewczyna zemściła na chłopcu.

Kowalski zaśmiał się i spojrzął przez szybę. Znieruchomiał.

– Patrz tam. – Wskazał ręką czarnego mercedesa, z którego właśnie wychodziła piękna długowłosa trzydziestolatka. Miała na sobie czarny krótki płaszczyk, dżinsy i czerwone szpilki.

– Ładny samochód.

– Prawda?

Ostrowski przekręcił kluczyk w stacyjce.

– To co? Dajemy spokój Śliwińskiemu?

– Dajemy. Ten wątek idzie się...

Ostrowski włączył odtwarzacz. Z głośników wybrzmiał głos Kazika Staszewskiego:

„Ty w mojej klasie uczysz języka angielskiego / I gdy idziesz korytarzem, chłopaki w milczeniu / Oni patrzą za tobą, lecz nigdy tobie w oczy / Oprócz mnie jednego, najbardziej nagrzanego”.

XXVIII

Gdy wrócili do siebie, powiesili na krzesłach płaszcze i zabrali się za wypełnianie dokumentów, których domagał się coraz natarczywiej Rambert. Po jakiejś godzinie zadzwonił telefon. Kowalski niechętnie oderwał się od papierkowej roboty.

– Tak?

– Dzień dobry, z tej strony Sylwia Gawrysiak.

Wyprostował się na krześle.

– Dzień dobry! Co się dzieje, pani Sylwio? – zagadnął i usłyszał, jak dziewczyna bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze.

– Chciałam...

Chrząknęła nerwowo.

– Słucham, słucham, proszę śmiało mówić.

– Chciałam powiedzieć, że... to znaczy, chciałam przeprosić...

– Za co?

– Za to, że... – chrząknięcie – ...minęłam się z prawdą.

– Minęła się pani z prawdą? – zapytał Kowalski i zerknął na Ostrowskiego, który wbił w niego wzrok.

– Tak.

– Nie rozumiem.

– Kiedy mówiłam, że Mariusz jest zamieszany w ten napad na konwój pieniędzy... To nie była prawda.

– Aha.

– Chciałam to sprostować.

– Zamieniam się w słuch, pani Sylwio.

Wahanie.

– Czy coś mi grozi?

– Jeśli powie mi pani teraz prawdę, to obiecuję, że nie wyciągniemy żadnych konsekwencji. Najważniejsze jest ustalenie, jak było rzeczywiście. Tylko to jest istotne. Rozumie pani?

– Tak.

– To słucham.

Kowalski przysunął sobie notes, wyjął z kieszonki długopis i zamarł w oczekiwaniu. Po chwili skrzywił się, gdy jego uszy zaatakował szloch. Dziewczyna rozplakała się na dobre. W kółko powtarzała tylko: „nie chciałam, nie chciałam”. Sierżant odczekał, aż Gawrysiak uspokoi się, i zapytał, czy jest w domu.

– Tak.

– W takim razie przyjedziemy do pani i porozmawiamy na spokojnie twarzą w twarz, dobrze?

– Dobrze.

– Świetnie – mruknął. – Wszystko będzie dobrze, proszę na nas czekać.

Godzinę później siedzieli w jej mieszkaniu i wsłuchiwali się w jej smutny, rozedrgany głos.

Rzeczywiście, Gawrysiak strasznie przeżyła nagłe i niespodziewane zerwanie. A gdy zobaczyła któregoś wieczoru Śliwińskiego całującego jakąś inną dziewczynę, przeżyła szok. W nocy miała sen, w którym jej były chłopak uprawiał dziki i namiętny seks ze swoją nową partnerką. Obudziła się złana potem. Poczowała nienawiść i zarazem pragnienie zemsty. Nazajutrz rano usłyszała w radiu informację, że policja szuka sprawców napadu na konwój pieniędzy. Przypomniał się jej jakiś film, w którym żona w akcie zemsty za zdradę doniosła na swojego męża gangstera i w ten sposób wtrąciła go do więzienia. Gawrysiak postanowiła, że postąpi tak samo. Dlatego poszła na komendę i złożyła na niego fałszywy donos.

Skończywszy swoją opowieść, znowu się rozplakała. Po paru minutach uspokoiła się. Wytarła rozmazany na twarzy tusz

i szepnęła:

– On nie ma nic wspólnego z napadem, wszystko wymyśliłam, przepraszam.

Sierzanci popatrzyli na siebie bezradnie, pożegnali się, wsiedli do malucha i ruszyli w stronę komendy.

– Ach, te kobitki – mruknął Ostrowski i cmoknął parę razy, kiedy znaleźli się na Dąbrowskiego.

– Strach się bać – pokiwał głową Kowalski.

– Może przyjaciółka przemówiła jej do rozsądku i kazała wycofać oskarżenie?

– Może.

– Wiesz, stary, co ci jeszcze powiem?

– Co mi powiesz?

– Że trochę żal.

– Czego?

– Sprawcy! Mielibyśmy fajny wynik na koniec miesiąca, gdyby Śliwiński okazał się sprawcą. Może nawet premie byśmy dostali, kurde?

– Ano.

Skręcili w Kochanowskiego i minęli czarne bmw, które zatrzymało się tuż przed nimi. Kowalski przypomniał sobie, że jego właścicielem jest paser, który mieszka naprzeciwko komendy.

– Jaką on ma ksywę? – zapytał.

– Kto?

– No ten paser, co jest naszym sąsiadem.

– A, Trzewik.

– No właśnie.

Świętej pamięci Miecio Kalupa, znakomity dochodzeniowiec, który uwielbiał gawędzić przy wódce, opowiedział kiedyś Kowalskiemu smaczną anegdotę. Otóż jechał sobie z Harrym samochodem po Jeźycach. W pewnym momencie zrównali się z tramwajem i zatrzymali się na czerwonym świetle. Spojrzeli instynktownie w lewo i za przeszkolonymi drzwiami tramwaju

dostrzegli Trzewika, który wtedy, na początku lat osiemdziesiątych, był znanym i niezwykle pracowitym kieszonkowcem. Po chwili otworzyli szeroko oczy. Trzewik właśnie wyciągał z torby jakiejś babki portfel. „Zobacz gagatka!”. Tramwaj ruszył, oni za nim. Sto metrów później tramwaj zatrzymał się na przystanku, oni też. Czym prędzej wybiegli z samochodu. Gdy drzwi tramwaju otworzyły się, oni stali już we właściwym miejscu. Zaskoczony Trzewik wylądował w ich ramionach. Gdy kajdanki zatrzasnęły się na jego słynnych i świetnych dłoniach, mruknął tylko: „A idź pan w pizdu”.

Kowalski uśmiechnął się i wyszedł z samochodu.

Sierżanci na moment wrócili do rozmowy z zapłakaną Gawrysiak. Wchodząc do budynku, właściwie byli pewni, że wątek Śliwińskiego został raz na zawsze zamknięty. Ale się mylili.

XXIX

Kolejny przełom w sprawie tego młodego kierowcy nastąpił nazajutrz, czyli we wtorek. W porze obiadowej, w firmowej stołówce. Kowalski i Ostrowski siedzieli przy stoliku i pałaszowali w milczeniu kotlety pożarskie. W trakcie posiłku przysiadła się do nich aspirantka Weronika Blamowska z Wydziału Kryminalnego, wysoka, postawna trzydziestolatka, o pseudonimie Berta.

– Czołem, chłopcy – zagadnęła ich wesoło i zamieszała łyżką zupę ogórkową.

– Cześć – odpowiedzieli niewyraźnie.

– Macie markotne miny. Dlaczego?

– Musieliśmy skasować obiecujący wątek – odpowiedział Ostrowski.

– Aha.

Machnęła ręką, zachęcając ich do zwierzeń.

– Opowiedzcie, chłopcy, lżej wam się zrobi na duchu – mrugnęła porozumiewawczo do Ostrowskiego.

– W sumie to zabawna historia – mruknął Ostrowski i streścił pokrótce historię Śliwińskiego i Gawrysiak.

Wysłuchawszy, pokiwała głową z niesmakiem.

– Powiem wam, chłopcy, że jakby mnie mój stary zdradził z jakąś inną babą, tobym mu jajca urwała.

Potrząsnęła palcem.

Sierzanci przypomnieli sobie, że jej „stary” jest drobnej postury nauczycielem języka polskiego w Liceum Sióstr Urszulanek. Na ich twarzach zakwitł szeroki uśmiech. Taka scenka miałaby swój niezaprzeczalny urok.

– Rozumiecie? Urwałabym mu jajca. I to gołymi rękami. Twierdziłabym równocześnie, że miałam prawo. A jakby zrobił

to z jakąś młodą siksą, to bym te jaja urznęła piłką do metalu. I też bym twierdziła, że miałam prawo. Rozumiecie?

Zmarszczyła brwi i spojrzała na nich wyczekująco.

– Rozumiecie.

Pokiwali głowami.

– Jasne, Berta.

– Oczywiście, Berta.

– To dobrze.

Napiła się kompotu i zaczęła wydobywać łyżką wiśnie ze szklanki.

– A macie fotkę tego łobuza? – zapytała.

Kowalski wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki zdjęcie Śliwińskiego. Aspirantka spojrzała na nie. Przejechała językiem po zębach. Odsunęła szklankę i położyła zdjęcie na blacie.

– Hm. – Zmarszczyła czoło.

Sierżanci spojrzeli na nią zaciekawieni.

– Wiecie co, chłopcy?

– No?

– Ja tego klienta chyba... – urwała na moment – chyba... właśnie poszukuję, kuźwa jego mać.

Sierżanci znieruchomieli.

– Jak to? – zapytał Kowalski, odkładając na talerz widelec z nabitym kawałkiem kotleta pożarskiego.

Berta podniosła z blatu fotkę i bardzo dokładnie jej się przyglądała.

– Twarz mniej więcej podobna – szepnęła bardziej do siebie niż do nich. – Kolczyk się zgadza... Pieprzyk na prawym policzku... – Przełknęła ślinę. – No i ten skorpion na szyi...

Wbiła w nich wzrok. Położyła z powrotem zdjęcie na stole.

– To jest mój klient – oznajmiła i popukała palcem w wizerunek Śliwińskiego. – To jest mój klient, do cholery!

Sierżanci spojrzeli na nią rozemocjonowani.

– Jesteś pewna?

– Chłopcy! – Berta zawołała. – Trzy znaki szczególne takie same plus bardzo podobny ryjek! I wy mnie pytacie, czy ja jestem pewna! A i owszem, jestem pewna. Bardzo pewna. Jestem pewna swego jak cholera.

Uśmiechnęli się.

Lubili jej słuchać. Miała gadane, używała ciekawych słów, a ponadto w jej głosie słyhać było zazwyczaj zaraźliwą energię. Rzeczywistość w jej towarzystwie nabierała blasku.

– A w jakiej sprawie go ścigasz, Berta? – zapytał Kowalski.

– Włamania do sklepów i domów jednorodzinnych – odparła Berta, której oczy nagle zajaśniały. – Paroosobowa szajka, która grasuje od jakiegoś roku na terenie całego Poznania. Najbardziej wyrazisty portret pamięciowy pasuje do tego waszego Śliwińskiego. Paru świadków wspomniało też o tatuażu skorpiona na szyi.

– Ale jaja! – zachichotał Ostrowski.

Kowalski wypuścił powoli powietrze i pomyślał chwilę.

– To może on jednak jest zamieszany w napad na konwój? – powiedział, głaszcząc się po podbródku.

Ostrowski przeniósł wzrok na kolegę.

– Widzisz, chłopie? – powiedział rozbawiony. – Rozmowy międzyludzkie przy mięchu i zupce są nie do przecenienia. Niekiedy przybierają charakter przełomowy. *Par excellence!*

– *Par excellence?* A wiesz, co to znaczy?

– Nie, ale bardzo dobrze brzmi.

Berta wybuchła śmiechem, poklepała po udzie Ostrowskiego i podniosła się z krzesła.

– Ale ty jesteś numer, Ostry – rzuciła rozbawiona.

Kowalski popatrzył na nich figlarnie.

– Wy dwoje jesteście niezłymi numerami – powiedział i wytarł serwetką usta. – Tekściarze z ulicy Kochanowskiego. Piękny tandem.

Wstał i założył marynarkę.

– Chodźmy na ćmika – zakomenderował. – Ustalimy, co

zrobić z naszym króliczkiem.

– Dobry pomysł – przytaknął Ostrowski. – Trzeba odświeżyć płuca.

XXX

Parę minut później weszli do małej salki, która od jakiegoś czasu służyła pracownikom komendy za palarnię. Otworzyli na moment okno, żeby przewietrzyć, wyciągnęli papierosy i zapalili. Po chwili pomieszczenie znowu zasnuło się kłębam dymu.

Przez chwilę trwali w milczeniu. Małe radyjko ustawione na parapecie serwowało cicho przeboje z lat osiemdziesiątych.

– Ostatnio byłam na firmowych urodzinach – zagadnęła Berta. – Pojawił się na nich Misio, ten dziennikarz, kojarzycie.

– Aha.

– No i wypytywał nas, skąd się wzięła ksywa Harry’ego.

– I co?

– Nikt nie pamiętał.

– Nie mógł zapytać jego samego?

– Harry unika teraz tego typu imprez.

– No tak.

– Podejrzewam, że to musiała być mocna historia.

– Ktoś ostatnio mówił, że wspomniany przez ciebie Misio napisał opowiadanie, w którym wyjaśnił, skąd się pojawiła szrama na jego pysku.

– I skąd?

– Akurat tego nie dopowiedział.

Zaśmiali się i zamilkli.

Gdy wypalili papierosy i zdusili niedopałki w wysokiej srebrnej popielnicy, Kowalski mruknął:

– Wróćmy do naszych baranów.

– No właśnie, chłopaki. – Aspirantka oparła ręce o biodra. – Zatrzymujemy klienta?

Sierzanci spojrzeli na nią i jednocześnie pokręcili głowami.

– Absolutnie nie – mruknął Kowalski.

– A dlaczego nie? – Zdziwiła się.

– A gdzie się tak spieszysz?

Aspirantka wzruszyła ramionami.

– Jak to, gdzie? Zdejmujemy klienta i przesłuchujemy go na ostro. Po godzinnej rozmowie z Harrym facet o wszystkim będzie śpiewał, jak trzeba.

– Spokojnie, Berta – powiedział Kowalski. – Pozbierajmy trochę materiału! Pozwólmy im się obciążyć własnymi czynami, a nie tylko jęzorem.

Zerknął na Ostrowskiego, który pokiwał głową i uśmiechnął się do koleżanki.

– Chłop ma rację. Co nagle, to po diable. Musimy się też przekonać się, czy ten cały Śliwiński ma coś wspólnego z napadem na konwój – powiedział.

– To co proponujecie?

– Założymy mu technikę – odpowiedział Kowalski.

– I to jest myśl – spointował Ostrowski, podnosząc dłoń kciukiem w górę.

Pożegnawszy się z Bertą, sierżanci pomaszerowali do Ramberta, którego bardzo łatwo namówili na założenie podsłuchu Śliwińskiemu.

– Już dzwonię – mruknął naczelnik i dał im znak, że mogą wracać do swoich obowiązków.

Siedemnastego marca na linię telefoniczną kierowcy Aresa założono podsłuch. Następnego dnia, w czwartek, do pokoju sierżantów weszła Berta. Była rozpromieniona. Zamachała teczką.

– Mój ci on – zawołała radośnie. – Nie wasz!

– Berta? O co chodzi?

– Co tam trzymasz w łapkach?

– Stenogramy z podsłuchów – odparła podekscytowana, po czym otworzyła teczkę, wyciągnęła z nich plik kartek, przewertowała je, przygryzając zębami język, i podała Ostrowskiemu kilka z nich.

– Przeczytaj zaznaczony fragment – rzuciła.

– Tak jest, szefowo.

Mrugnęła do niego, uśmiechając się promiennie.

Ostrowski upił łyk kawy, przeczesał dłonią włosy i zaczął czytać.

„– Strzała, Śliwa.

– Strzała, Major.

– Dzwoniłeś do mnie.

– Tak.

– O co się rozchodzi?

– Policja u nas w firmie węszy.

– Aha.

– Przesłuchiwali mnie.

- Dlaczego?
- W sprawie tego napadu na konwój pieniędzy Markizy.
- He, he, he!
- Śmiejesz się, kurwa! A ja się wystraszyłem.
- Bo?
- Kolo, który mnie słuchał, sugerował, że mam coś wspólnego z napadem.
- Ty - z napadem - coś wspólnego?
- No!
- Z tym, kurwa, napadem stulecia?
- No.
- Co to zajebali pięć miliardów złotych?
- No!
- A co ty masz, kurwa, z nim wspólnego?
- Nic.
- Popierdoliło ich już do reszty z tej biedy! Psiarnię jebaną!
- No, ale wiesz... przestraszyłem się... ździebko. Ten sierżant patrzył tak mnie... świdrująco..."

Ostrowski urwał i spojrzał triumfalnie na Bertę oraz Kowalskiego. Poklepał się dłonią w pierś.

- Zapamiętajcie to sobie: świdrujący wzrok - rzucił wesoło.
- Czytaj dalej, chłopie.
- Już, już, chwila.

Odchrząknął i kontynuował lekturę.

„- Bo ten gościu tak dziwnie mówił, jakby podejrzewał, że ja generalnie mam związki z gangsterką.

- Podpuszczał cię, cwaniak. Takie mają sposoby, chujki niebieskie.

- No może.

- Nie »no może«, tylko na pewno. Uspokój się. Wszystko gra. W sobotę robimy skok. Fajne mieszkanko bogatego małżeństwa. Lekarze, którzy srają forszą. Wpadnij do mnie jutro o dwudziestej, zrobimy naradę, dogadamy szczegóły. Będą wszyscy.

– Zajebicie, potrzebuję forsy! Moja nowa laska jest droższa niż mercedes, kurwa jego mać.

– Nic mi nie mów. Moja jest droga jak porsche.

– Baby.

– Żebyś wiedział, chłopie. No, ale cóż, żadna mi tak nie pompowała pindola jak ona. Nie będę jej skąpił.

– No takie są reguły gry”.

Ostry przełknął ślinę i zerknął na Bertę, która kręciła głowę z niezadowoleniem.

– Normalnie urwałabym im jaja za takie teksty.

Nagle wbiła w nich wzrok.

– Mam nadzieję, chłopcy, że jak jesteście sami, to nie wypowiadacie się w takich chamski sposób o kobietach?

Zmarszczyła brwi.

– Absolutnie nie – mruknął Ostrowski.

– Berta – dodał Kowalski. – Z ręką na sercu – nie.

Pokiwała głową.

– To dobrze, to dobrze.

Mrugnął do Ostrowskiego.

– Czytaj dalej, chłopaku.

Ostrowski wypił łyk kawy i wznowił głośną lekturę.

„ – A swoją drogą, niezłe wymyślili sobie ten napad. Słyszałeś o szczegółach?

– He, he, he! Najlepsze było przecięcie kabli, kurwa.

– Wypisz wymaluj film, kurwa.

– Łebskie chłopaki! Major, a wiesz, kto to zrobił?

– Nie.

– Masz jakieś podejrzenia?

– No, zabij mnie, ale nie mam zielonego pojęcia, co to za ekipa zrobiła.

– Muszę ci powiedzieć, że zaimponowali mi.

– Mi też... Ale, ale!

– No?

– Mówiłeś, że przesłuchali was?

– No.

– Może ktoś od was jest zamieszany w to?

– Nie, nie. Nic nie słyszałem. Pracował u nas taki jeden, były esbek i zarazem złodziej, ale wywalili go pod koniec zeszłego roku.

– Dobra, wpadnij jutro. Omówimy plan.

– Trzymaj się.

– Dobra, strzała”.

Ostrowski skończył lekturę.

– Fajne dialogi – podsumował. – Szkoda, że tak mało.

Oddał Bercie kartki, dopił resztki zimnej kawy. Zerknął na Kowalskiego i powiedział:

– Rzeczywiście, Berty ci on jest. Nie nasz. Trochę szkoda. Niezły był z niego herbatnik.

– Chłopaki, jak to cudownie się stało, że przysiadłam się do was z zupką ogórkową, kiedy wy w najlepsze pożeraliście kotlety schabowe – powiedziała aspirantka radośnie.

– Berta, to były kotlety pożarskie!

Machnęła im ręką na pożegnanie i ruszyła w stronę drzwi.

– Trzymajcie się, chłopaki.

Gdy wyszła, Ostrowski założył ręce na karku, spojrzał w sufit i zacytował fragment, który pamiętał jeszcze ze szkoły średniej:

– „Wszystko się dziwnie plecie / na tym tu biednym świecie”.

Kowalski uśmiechnął się i zacytował kolejny wers znanego mu doskonale ze szkoły średniej utworu:

– „A kto by chciał rozumem wszystkiego dochodzić, / I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić”.

– Exactly, buddy! Tak to właśnie wygląda.

Sierzanci spojrzeli na siebie i się zaśmiali.

W piątek po południu podinspektor Rambert wezwał Ostrowskiego na odprawę, na której omawiane były szczegóły dotyczące zasadzki na szajkę włamywaczy, w skład której wchodził niejaki Major, Śliwiński i dwóch młodocianych przestępców.

Z wiedzy operacyjnej wynikało, że grupa planuje włamać się do willi państwa Tarkowskich, znanych poznańskich chirurgów, położonej na Sołacz, przy ulicy Śląskiej. W sobotę, o pierwszej w nocy. Złodziejom udało się zdobyć klucze do drzwi wejściowych. Policja bardzo chciała złapać ich na gorącym uczynku.

O wszystkim powiadomiono właścicieli, którzy zgodzili się na akcję. Ku zdziwieniu wszystkich, byli bardzo podekscytowani. Na prośbę policji na czas trwania akcji nocowali poza domem, u rodziny mieszkającej w Luboniu. Ostrowski jako dochodzeniowiec miał wspomagać aspirantkę Blamowską, z czego ona bardzo się ucieszyła.

W sobotę, parę minut przed północą, Ostry, Berta oraz grupa antyterrorystów zainstalowali się w domu Tarkowskich. Aspirantka i sierżant usiedli na skórzanej, niezwykle wygodnej sofie. Położywszy nogi na pufach, czekali, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności.

Szef komandosów, Arnold, wysoki rosły mężczyzna, który był wielkim fanem filmów ze Schwarzeneggerem, spoczął w kącie salonu pod kaloryferem. Jego podwładni przykucnęli na drewnianych schodach prowadzących na piętro i szeptali między sobą. Gdy głośno parsknęli śmiechem, Arnold syknął na nich zirytowany: „Stulić gęby”. Zapadła cisza.

Popatrując na zegarki, wszyscy w coraz większym napięciu

czekali na sygnał od ekipy komandosów, którzy otoczyli posesję i dobrze ukryci wypatrywali włamywaczy. W pewnym momencie ciszę nocną zakłóciły odgłosy wściekle pędzących samochodów. Drgnęli zdziwieni. Po chwili rozległ się trzask w krótkofalówce, którą trzymał Ostrowski.

– To tylko jakieś palanty w beemkach – wyjaśnił ochrypli głos. – Urządzili sobie miejskie wyścigi. Już ich nie ma. Czysto.

– OK, rozumiem – mruknął sierżant. – Czekamy dalej.

Znowu cisza, przerywana tykaniem zegara zawieszono nad kominkiem. Berta westchnęła, Ostrowski spojrzął na nią. Uśmiechnęli się do siebie.

– Po tej akcji musimy się kiedyś napić razem wódki – zagadała Berta szeptem.

– Pewnie.

– Znamy się już parę lat, a nawet ze sobą brudzia nie wypiliśmy, do jasnej cholery.

– Faktycznie.

Berta trąciła go pięścią w ramię. Wtedy poczuł delikatny zapach jej perfum, całkiem przyjemny. Słodki.

– Musimy to nadrobić, Damian – mruknęła.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i przypomniał sobie jej groźną uwagę na temat tego, co by zrobiła swojemu małżonkowi, gdy dowiedziała się, że ją zdradza.

Zamyślił się. Przypomniał sobie, że kiedyś przez parę miesięcy spotykał się z mężatką, która była zazdrosna o swojego męża. Gdy po wszystkim leżeli zziębnięci w łóżku i palili papierosy, ona czasami opowiadała mu o swoim życiu rodzinnym. Ewidentnie bała się, że mąż, dyrektor w jakiejś agencji reklamowej, może ją zdradzać z młodą i bardzo śliczną sekretarką.

Kobiety są... – pomyślał, ściągnął nogi z pufy i zerknął na koleżankę, która położyła głowę na oparciu i zamknęła oczy.
Cholera wie, jakie...

Nagle znowu zatrzeszczała krótkofalówka.

– Zaparkowali. – Rozległ się ten sam zachrypnięty głos. – Pod domem Tarkowskich będą za jakieś dwadzieścia sekund.

– Odebrałem, dzięki – rzucił Ostrowski i zerknął na Bertę, która w jednej chwili wyprostowała się na sofie.

Skinęła mu głową i wstała. Odwrócił się i spojrzał na szefa antyterrorystów, który błyskawicznie zerwał się na równe nogi. Po chwili wszyscy stali na środku salonu w pełnym oczekiwaniu. Ostrowski i Berta zrobili parę kroków do przodu, gdy na korytarzu rozległ się odgłos przekręcanego zamka.

Zaskrzypiały drzwi. Usłyszeli kroki, a potem nerwową wymianę zdań.

– Ładujcie się.

– Ciszej, kurwa.

– Wiecie, co macie robić?

– Tak.

– W takim razie do roboty. Musimy przejść przez salon. Za mną.

Coś brzęknęło.

– Uważaj, debilu, jak łazisz!

Gdy włamywacze przestąpili próg salonu, zapaliło się nagle światło, oślepiając wszystkich zebranych.

– Cześć, chłopaki – zawołał Ostrowski i zerknął na zegarek. Było dziesięć po pierwszej w nocy. – Jesteście całkiem punktualni.

Przestępcy pobladli, wpatrując się w zdumieniu w antyterrorystów, którzy mierzyli do nich z karabinów.

– O, kurwa – szepnął jeden z nich i westchnął przeciągle.

Ostrowski wbił wzrok w Śliwińskiego i mrugnął do niego okiem.

– My to się już znamy, panie kolego, prawda?

Kierowca Aresa zerknął na niego i spurpurowiał. U nasady czoła pojawiły się krople potu.

– Mój świdrujący wzrok prześwidrował cię na wylot, chłopie.

Śliwiński skrzywił się, nie wiedząc, o co chodzi.

Berta zachichotała.

– Koniec zabawy, chłopaki – rzuciła gromkim głosem i cmoknęła głośno. – Przynajmniej na parę latek.

XXXIII

Tego samego wieczoru Kowalski pojechał pożyczonym od Ostrowskiego maluchem do Puszczykowa, żeby spełnić prośbę swojej sąsiadki i schwytać włamywacza na gorącym uczynku.

Pod Dom Pomocy Społecznej zajechał parę minut po dwudziestej drugiej. Uzbrojony w kajdanki, kilka gazet oraz butelkę coli wszedł do środka, gdzie został przyjęty przez bardzo miłą i niezwykle energiczną pielęgniarkę. Przeszli na ty, dziewczyna kazała mówić na siebie „Becia”. Przywitał się z dwiema salowymi, zwiedził budynek, posłuchał smutnych historii chorobowych kilkorga pacjentów, napił się kawy, opowiedział o swojej pracy, między innymi o napadzie na konwój pieniędzy, i zasiadł przed telewizorem w bawialni.

Coraz bardziej znudzony wpatrywał się w ekran, po którym biegali piłkarze nieznanych mu niemieckich drużyn. Po jakiejś godzinie zamknął oczy. Stadionowe odgłosy uleciały gdzieś daleko. Zasnął. Myślami przeniósł się na boisko ulokowane pomiędzy blokowiskami. W pewnym momencie wśród gromady rozwrzeszczanych chłopców w krótkich spodenkach dostrzegł siebie. Biegł z piłką w kierunku bramki przeciwników. Był niewysoki, szczupły i szybki. Minął kilku kolegów i znalazł się sam na sam z bramkarzem.

– Strzelaj, dawaj, teraz! – krzyczeli chłopcy. – No już! Na co czekasz?!

Zagryzł usta, naprężył mięśnie i z całej siły grzmotnął piłkę z czuba. Upadając na trawę, usłyszał jęk zawodu.

– Przestrzelił!

– Zmarnował taką piłę!

– Trzeba było podać.

Zamknął oczy. Chciał się zapaść pod ziemię ze wstydu.

Jestem patałachem – myślał. Przecież to była stuprocentówka! Po chwili ktoś zaczął nim potrząsać. *Zostawcie mnie!* Nagle otworzył oczy i zrozumiał, że ktoś naprawdę nim potrząsa. Tu i teraz.

Podniósł głowę i przełknął ślinę. To była Becia. Przetarł zaspane oczy. Patrzyła na niego, uśmiechając się przyjaźnie. Wyprostował się w fotelu.

– Która godzina? – zapytał.

– Dziesięć po drugiej.

Pokiwał głową, przetarł zaspane oczy. Pielęgniarka usiadła na krześle obok.

– Chyba się przestraszył ciebie – powiedziała. – Pewnie nie przyjdzie. Tak sobie myślę, że możesz już wracać. Nie ma sensu tutaj siedzieć.

Owszem, chętnie pojechałby do domu, wskoczył do łóżka i zanurzył się we śnie, ale nie pozwalało mu na to jego poczucie policyjnego obowiązku. *Nie ma co się spieszyć – pomyślał. Jak już tu jestem, to zrobię to, jak trzeba.* Wstał z fotela i rozprostował plecy.

– O której on zazwyczaj się pojawia? – zagadnął.

– Hm... – zastanowiła się dziewczyna. – Tak pomiędzy północą a drugą, trzecią.

Zerknął na telewizor. Leciał jakiś głupawy film z Dolphem Lundgrenem w roli głównej.

– Poczekam jeszcze ze dwie godziny – mruknął.

– Chcesz czegoś do picia?

– Kawy chętnie.

– Robi się – powiedziała pielęgniarka i wyszła z pomieszczenia.

Wtedy rozległ się strzał.

Kowalski odwrócił się w stronę telewizora. Zakrwawiony Lundgren wybiegł z pokoju i zaczął poruszać się po gzymsie.

Sierżant prychnął. Podeszedł do odbiornika i wyłączył go.

– Panu już dziękujemy – mruknął.

Rozejrzał się po pokoju, podszedł do okna i przyłożył głowę do szyby. *Mam nadzieję, że ten sen to nie jest wróżba* – pomyślał i wydał usta. Światła latarni oświetlały trawnik, asfaltową ścieżkę i drzewopłot.

Nagle zastygł w bezruchu. Doszedł go jakiś dźwięk z korytarza, jakby brzęk. Ktoś coś upuścił. Spojrzał na drzwi. Po chwili usłyszał krzyk, chyba Beci. Zdrętwiał na moment.

Odruchowo sięgnął do kabury, której jednak nie wziął ze sobą. Jak każdy normalny policjant unikał broni.

– Kurwa – mruknął.

Mogłem ją jednak zabrać – pomyślał zirytowany.

– Złodziej! Złodziej! – Tak, to krzyczała Becia. – Paweł, pomocy!

Wybiegł na korytarz i zobaczył wstającą z podłogi pielęgniarkę.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, tak – odpowiedziała, poprawiając fartuch.

Na końcu korytarza dostrzegł sylwetkę mężczyzny. Był ubrany na czarno, na głowie miał kominiarkę, na plecach niebieski plecak. Biegł w stronę wyjścia, ile sił w nogach. Do drzwi miał kilkanaście metrów.

– Stój, policja! – krzyknął Kowalski, ruszając biegiem za nim.

Włamywacz przyspieszył. Jego kroki dudniły po korytarzu.

– Stój, bo strzelam.

Mijając pędem stolik, sierżant chwycił kubek i rzucił nim w uciekiniera. Celnie, trafił w głowę. W odpowiedzi usłyszał zduszone przekleństwo zmieszane z brzękiem tłuczonego naczynia.

Mężczyzna dopadł drzwi, otworzył je i wybiegł z budynku.

O ty, kurwo! – krzyknął w duchu Kowalski i jednocześnie poczuł przypływ sił. Po chwili znalazł się na zewnątrz. Namierzył włamywacza, który biegł asfaltową drogą lekko oświetlaną latarniami i najwyraźniej zmierzał w stronę lasu. Miał jakieś trzysta metrów do pokonania.

Wypuścił powietrze i rzucił się w pogoń. Po przebiegnięciu dwustu metrów sierżant poczuł, że łapie go kolka. *Tylko nie to!* – jęknął.

– Stój! – krzyknął. – Słyszysz, matole?! Zatrzymaj się!

Włamywacz zbliżał się do ściany lasu. *Zaraz mi spierdoli na amen* – pomyślał Kowalski i splunął. Chciał przyspieszyć, ale coś ukłuło go w brzuchu. *Pierdolona kolka! Dlaczego akurat teraz?!* Zatrzymał się. Znow splunął. I nagle usłyszał okropny wrzask.

Wyteżył wzrok. *Co się stało?* Klient leżał na chodniku, głośno i ordynarnie przeklinając. *Ale jaja! Chyba się wykopyrtnął.*

Kowalski odetchnął z ulgą i podbiegł truchtem do leżącego na brzuchu mężczyzny. Okazało się, że w jednej z betonowych płyt chodnika, na który wskoczył tuż przed wbiegnięciem do lasu, była dziura.

– Zamknij się – burknął sierżant, usiadł mu na plecach i założył kajdanki.

Przymknął oczy i przez chwilę uspokajał oddech. Co za fart – cieszył się w duchu. *Co za pieprzony fart.*

– Co za kurestwo – syknął przestępca, jakby czytał w jego myślach.

Gdy wstali, mężczyzna zdjął z głowy przepoconą kominiarkę. Był to młody chłopak, mniej więcej dziewiętnastoletni, o ładnej, choć trochę cwaniackiej twarzy.

Trzy godziny później Kowalski wszedł do swojego mieszkania. Wykończony, ale i dumny z siebie. Zdjął płaszcz i stanął przed lustrem. Długo wpatrywał się w swoje odbicie.

W pewnym momencie zamarkował dłońmi strzał z pistoletu.

– *You talking to me?* – odezwał się zachrypniętym głosem.

Poszedł do łazienki, rozebrał się i wszedł do wanny, zanurzając się z rozkoszą w ciepłej wodzie.

Nazajutrz, przed południem, obudziło go pukanie do drzwi. Nałożył szorty i otworzył. W progu stała Ania, sąsiadka. Patrzyła na niego rozognionym wzrokiem. Była ubrana

w oliwkową szmizjerkę.

– Mogę wejść, gliniarzu?

– Pewnie.

Przekroczyła próg, owiewając go słodkimi perfumami. Stała naprzeciwko niego i zaczęła rozpinać guziki. Po chwili sukienka zsunęła się na ziemię. Ania nie miała na sobie bielizny.

– Słyszałam, że się świetnie spisałeś – szepnęła.

CZĘŚĆ

TRZECIA

Misiński wypił jednym haustem zawartość pięćdziesiątki i zerknął na komisarza, który przez szybę przyglądał się przechodniom. Wydawał się całkowicie nieobecny duchem.

Dziennikarzowi przyszło do głowy dziwne pytanie: *Kim byłby Harry, gdyby nie wstąpił kiedyś w szeregi milicji?* Żadna sensowna odpowiedź mu nie przychodziła. Poza jedną: Harry, który nie byłby oficerem, nie byłby sobą!

– Jak wam idzie tropienie sprawców napadu? – zapytał.

– Tak sobie.

– To znaczy?

– Mamy dwudziestego dziewiątego marca i utknęliśmy w dupie. To znaczy.

– A ten gość, który kiedyś zatelefonował do Markizy i podpytywał o nagrodę?

– Co z nim?

– Odezwał się potem?

– Nie.

– Kto to mógł być?

– Nie mam zielonego pojęcia.

Cisza.

Misiński pokiwał głową.

Harry najwyraźniej nie był w najlepszym humorze.

– Czyli, że to był rzeczywiście napad doskonały? – odezwał się z błyskiem w oczach.

Harry zaśmiał.

– Misiu, Misiu – mruknął. – Naoglądałeś się za dużo filmów.

– To raczej sprawcy naoglądali się filmów i zrobili bardzo fajny skok – zaripostował Misiński. – W przeciwieństwie do policjantów, którzy pogubili się w scenariuszu i gonią

w piętę.

Harry spojrział na niego z pobłażaniem.

– Daj nam trochę czasu.

Cisza. Misiński wydawał się urażony.

– Skończyłeś opowiadanie o zabójcy z pociągu? – zagadnął Harry, żeby udobruchać kolegę.

– Skończyłem.

– I co?

Misiński wzruszył ramionami.

– I nic. Wydawca mówi, żebym najpierw napisał kilka powieści, a dopiero potem zabierał się za krótsze formy. Podobno opowiadania nie sprzedają się dobrze.

Cisza.

– Ale pochwalił mnie za jedną scenę.

– Za którą?

– Za tę, w której klient zrobił ci szramę na twarzy.

Harry uśmiechnął się i mimowolnie pogłaskał się po bliźnie ozdabiającej jego twarz.

Mowa była o opowiadaniu opartym na prawdziwej historii z drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Harry i jego kolega poszukiwali brutalnego gwałciciela i zabójcy, który podróżował pociągami. Wspomniana przez redaktora scena działa się podczas wizji lokalnej. Zabójca, młody chłopak, tak się wczuł w odtwarzanie gwałtu na studentce, że w pewnym momencie rozpiął rozporek i zaczął kopulować z manekinem. Harry rzucił się na niego i wdał się z nim w bójkę, w czasie której klient chwycił kawałek szkła i przejechał nim po twarzy Harry'ego. Stąd ta legendarna blizna, prawdziwa wojenna zdobycz. Czasami opowiadał o tym swoim przyjaciółkom, które z wypiekami na twarzy wysłuchiwały tej historii. Po rozwodzie, który bardzo mocno przeżył, stwierdził, że to głupie, i przestał o tym mówić.

– Myślę więc o napisaniu powieści kryminalnej – odezwał się Misiński, przerywając mu wspomnienia.

– Masz jakiś pomysł?

– Mam.

– Jaki?

– Napad na konwój pieniędzy – oznajmił dziennikarz i ruchem ręki przywołał kelnera. Młodego, wysokiego chłopaka, o pociągłej twarzy. – Żal byłoby tego nie wykorzystać, chłopie.

– Jeszcze jedną pięćdziesiątkę poproszę.

Gdy kelner lekko uklonił się i odszedł, Misiński spojrzął na policjanta.

– Tylko musicie efektownie wykryć sprawcę, żebym miał dobrą scenę kulminacyjną – powiedział, szczerząc zęby.

Harry skrzywił się, ale nic nie powiedział.

– Nie jesteś dzisiaj rozmowny.

– To prawda.

Zapadła cisza.

Misiński wypił pięćdziesiątkę i wstał.

– Pójdę już – powiedział, sięgając po kurtkę. – Pójdę do Marycha, posłucham, co mówią stare pijaki. Czasami mają fajne anegdoty.

Harry drgnął, słysząc nazwę znanej mordowni, mieszczącej się na Jeźycach. Na początku lat osiemdziesiątych zatrzymał tam aktora, który zabił swoją żonę.

Misio podał mu dłoń i ruszył w stronę wyjścia. Rzeczywiście, Harry był dzisiaj nierozmowny. Kiepskie sny wprawiły go w melancholijny nastrój, który utrzymywał się przez cały dzień, a teraz, późnym wieczorem, tylko się wyostrzył.

Najpierw śniła mu się była żona. Patrzyła na niego ze łzami w oczach i potrząsała głową z niedowierzaniem. Potem córka, która wykrzyczała mu, że jest skurwielem. A na koniec jego umęczony mózg wyświetlił mu scenę, w której Patrycja wyrzucała mu, że nie uchronił jej przed śmiercią. „Dlaczego, Harry? – powtarzała, jakby wpadła w jakiś amok. – Dlaczego mnie nie ocaliłeś?”.

Komisarz posiedział w bezruchu kilka minut, zamówił jeszcze jedną kawę, wypił ją pospiesznie i opuścił hotel, dusząc w sobie ochotę na alkohol.

Przed wejściem zapalił papierosa. Zaciągnął się dymem i obojętnym wzrokiem prześlizgiwał się po maszerujących przechodniach. Na moment tylko drgnął, gdy zobaczył znajomego księdza wchodzącego w towarzystwie pięknej i młodej kobiety do hotelu. Był ubrany po cywilnemu, na głowie miał kaszkiet, na oczach drogie przyciemniane okulary.

– Daj pan dłoń. – Usłyszał nagle. – Powróżę panu.

Przed nim stała stara, gruba, bezzębna Cyganka.

– Dziękuję – wymamrotał. – Nie chcę.

– Daj pan, powróżę.

Harry wypuścił dym i burknął:

– Nie chcę znać swojej przyszłości.

Cyganka się uśmiechnęła.

– Będiesz pan zadowolony z wróżby – powiedziała i spojrzała mu głęboko w oczy.

Kiwnęła głową zachęcająco.

– Daj pan, co łaska, i wyciągnij dłoń.

Harry westchnął, zdusił w popielnicy niedopałek, wydobył z kieszeni banknot i wręczył go namolnej wróżce.

– Dłoń – powiedziała.

Wyciągnął rękę.

Wbiła w nią wzrok, wysunęła język i po chwili znieruchomiła.

Harry uniósł brwi, widząc, że jej oczy się zwężyły.

– Co złego zobaczyłaś? – zapytał cicho.

Cyganka zagryzła usta i puściła jego dłoń.

– Nic, nic – powiedziała. – Wszystko będzie dobrze, panie.

Wszystko będzie dobrze. Do widzenia.

I odeszła pospiesznym krokiem.

Harry odprowadził ją smutnym spojrzeniem. Po chwili poczuł, że po plecach przechodzi go dreszcz.

Smężna kolacja dobiegła końca, gdy stary zegar z kukułką wydał z siebie dźwięk, którego Katia strasznie nie lubiła. Była dziewiętnasta dwadzieścia siedem – zegar od lat spieszył się o trzy minuty.

Ojciec dopił piwo, wstał od stołu i podszedł do telewizora. Jak zawsze o tej porze zamierzał obejrzeć Wiadomości, od których był uzależniony. Polityka krajowa stała się w ostatnich latach jedyną jego pasją, albo wręcz obsesją.

– To twoje ostatnie piwo dzisiaj – rzuciła mama w jego kierunku.

– Nie sądzę – odburknął ojciec i po chwili zasiadł w fotelu ustawionym przed wielkim radzieckim odbiornikiem. Zsunął ze stóp brązowe laczki i wbił wzrok w ekran.

Mama westchnęła teatralnie i złożyła dłonie jak do modlitwy.

To był ich wieczorny rytuał. Kolacja, sączenie piwa przez ojca, wzdychania matki, potem wspólne oglądanie wiadomości, przy których ojciec wygraża całemu światu, no i na koniec mała kłótnia.

Wychodzę stąd – pomyślała, Katia, czując nasilający się ból głowy.

Mama zerknęła na córkę, która złapała się oburącz za skronie.

– Co ci jest? – zapytała.

– Nic.

– Jak nic, jak widzę, że się łapiesz za głowę? Pewno masz migrenę.

– Nie mam żadnej migreny.

– Na pewno masz migrenę, u nas to rodzinne. Na pewno.

Nieeeee – jęknęła Katia w duchu, przypominając sobie te

wszystkie babki i ciotki, które rzeczywiście cierpiały na migreny. Według niej było tak, ponieważ każda jedna bez wyjątku tkwiła w nieszczęśliwym małżeństwie. Łącznie z matką.

Zerknęła na ojca, który uważnie wpatrywał się w ekran, sączył piwo i mruczał coś pod nosem.

Gdy rozległ się charakterystyczny dzingiel, drgnęła. Chciała wstać i wyjść. Wydostać się z tego toksycznego miejsca. Zacerpnąć świeżego powietrza.

– Wiadomości wieczorne, Dorota Warakomska, dobry wieczór państwu – powiedziała jasnowłosa, krótko obcięta presenterka.

– Zjesz coś jeszcze, kochanie? – zapytała matka, kładąc rękę na barku Katii.

– Nie, dziękuję, będę się zbierała.

– Już?

– Tak.

– Tak szybko?

– Tak.

– Dlaczego?

– Jutro muszę rano wstać.

– No tak, praca jest ważniejsza od rodziny.

Katia przewróciła oczami i wstała od stołu. Ubrała się w milczeniu, uściśnięła mamę, dała buziaka ojcu, od którego poczuła nieprzyjemną woń alkoholu, i pospiesznie opuściła mieszkanie.

Gdy wyszła z bloku, który mieścił się przy ulicy Głogowskiej, przystanęła na chwilę, odetchnęła z ulgą i po chwili zaczęła iść w stronę przystanku tramwajowego.

Kiedy sprawdzała rozkład jazdy, przypomniała sobie, że nieopodal jest parking strzeżony, którego nie miała na swojej liście. Postanowiła, że skorzysta z okazji i sprawdzi go teraz. Obrzuciła wzrokiem całującą się parę nastolatków i ruszyła, nucąc jakąś rockową melodię.

Z parkingu właśnie wyjeżdżała beemka, z głośników której dobiegało ostre techno. Katia usunęła się, wchodząc pospiesznie na chodnik. Za kierownicą siedział łysy facet o twarzy buldoga, na miejscu pasażera platynowa blondynka, która poprawiała szminką usta.

Katia przypominała sobie, ku własnemu zawstydzeniu, że jako piętnastolatka też była blondynką i do tego mającą wielką słabość do miniówek. *Dyskomułka?* – pomyślała. *Tak chyba wtedy mówiono na laski z dyskotek.*

Gdy samochód odjechał, podeszła do blaszanej budki i zerknęła przez okno. W środku siedział starszy mężczyzna. Na głowie miał czerwoną czapkę z zabawnym pomponem. Kroił chleb i popatrywał kątem oka na malutki telewizor. Wciąż trwały Wiadomości.

Zapukała w okno i pomachała ręką. Mężczyzna włożył do ust kawałek kiełbasy i podniósł się z krzesła. Otworzył drzwi i wbił wzrok w posterunkową.

– Dobry – powiedziała Katia, uśmiechając się.

– Raczej zimny – mruknął stróż.

– Też prawda – rzuciła dziewczyna i zatupała energicznie głanami o ziemię. – Całkiem zimny.

Dozorca rozłożył ręce i odezwał się zachrypniętym głosem:

– W czym mogę pomóc?

– Posterunkowa Domagała z Komendy Wojewódzkiej.

– No, proszę, robi się ciekawie.

– Mam pytanie – powiedziała, pokazując legitymację służbową.

– Tak?

– Czy w ostatnich tygodniach stał tu samochód dostawczy marki Volkswagen?

Stróż zsunął lekko czapkę z czoła, zmarszczył brwi i cmoknął.

– Transporter? – upewnił się.

– Uhm, dokładnie. Transporter.

– Jakiego koloru?

– Bez znaczenia.

Na ekranie pojawiły się migawki z meczów piłki nożnej.

Mężczyzna pokiwał sceptycznie głową, zerknął na telewizor, popatrzył chwilę, skrzywił się, mruknął: „patałachy”, przeniósł wzrok na policjantkę i wyciągnął zza ucha papierosa.

– Ma pani ognia? – zapytał.

Katia wyjęła błyskawicznie zapalniczkę z kieszeni swoich marmurkowych dżinsów.

– Mówiąc szczerze – powiedział stróż, wypuściwszy kłąb dymu z ust – to pamiętam. Uhm, pamiętam... Taki samochód. Transporter, biały.

Katia otworzyła szeroko oczy.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Nie wierzę – pomyślała, czując gęsią skórkę na ciele. Po prostu nie wierzę.

– A pamięta pan rejestrację? – zapytała, ledwo panując nad swoim głosem.

– Tego akurat to nie pamiętam – stróż wzruszył ramionami.

Katia się zasępiła.

– Ale mogę sprawdzić w zeszycie – dodał mężczyzną, mrugając do niej.

– Super.

– Czego się nie robi dla kochanej milicji.

– Chyba policji, proszę pana.

– A tak! – Chichot. – Nie mogę się, kurczę pieczone, przyzwyczaić do tej zmiany. Ale prawdę mówiąc, milicja, policja, jeden pies.

– Może i tak – przytaknęła Katia. – Ma pan tę rejestrację?

– Proszę chwilę poczekać. – Dozorca przejechał dłonią po nieogolonej twarzy i zniknął w głębi ciepłego pomieszczenia.

Na ekranie pojawiła się mapka Polski przedstawiająca prognozę pogody na jutro. Zbierało się na deszcze.

– PZN, PZN – powiedział mężczyzną, kładąc zeszyt na stole.
Podrapał się po szyi.

– Kolega nagryzmił niewyraźnie – mruknął i przybliżył zeszyt do oczu. – Co tu jest napisane? Zaraz, zaraz. 7 – 4 – 0 – 2. Tak. 7402.

Spojrzał zadowolony na posterunkową.

– PZN 7402, proszę szanownej pani policjantki – powtórzył.

Katia wypuściła powoli powietrze z ust i sięgnęła do kieszeni kurtki po notes. Zanotowała sekwencję liter i cyfr. *Cudownie, cudownie* – pomyślała.

Schowawszy notes, zerknęła na swojego rozmówcę.

– A pamięta pan właściciela tego busa?

– Czy pamiętam właściciela tego busa? Hm... Niech no pomyślę...

Katia usłyszała za plecami odgłos nadjeżdżającego samochodu, z którego wydobywała się jakaś rytmiczna muzyka.

– Pamiętam, pamiętam.

– Naprawdę?

– Tak. Piąte przez dziesiąte... Podjechał tu któregoś razu zajebistym mercedesem.

– Kiedy?

– Kiedy, kiedy... Chyba w lutym...

– W lutym, na pewno?

– Nie na pewno. Tak mi się coś wydaje.

– Aha.

– Na dziewięćdziesiąt procent.

– Co to był za mercedes?

– Srebrny.

– A model?

Stróż wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odpowiedział. – Nie znam się na samochodach za dobrze. Ja je tylko tutaj doglądam. Rozumie pani?

– Rozumiem...

- Ale miał taki bajerancki dach, odsuwany.
- Czyli cabrio?
- Tak. Czarny.
- Czarny dach?
- Uhm.
- Pamięta pan rejestrację?
- A skąd! Tylko tyle, że poznańska.

Katia kiwnęła głową.

- A jak wyglądał facet? – zapytała, drapiąc się po policzku.
- Szczuły, średni wzrost. Jakies czterdzieści góra lat.
- Znaki szczególne?
- Nie kojarzę.
- Nic?

Stróż pokręcił głową.

- Widać było, że jest bogaty. Dobrze ubrany, ładnie pachniał.

Musi się podobać dziewczynom. Całkiem miły był...

Cisza.

Mężczyzna się zamyślił.

- Ciekawa sprawa... – powiedział po chwili.
- Dlaczego?
- Ten samochód stał beczynnie od lutego.
- Aha – mruknęła Katia. – A kiedy został zabrany?
- A którego dzisiaj mamy?
- Dwudziestego dziewiątego marca.

- Facet przyjechał po niego na początku marca. I więcej już go nie widziałem. Ani faceta, ani auta.

- To wszystko?
- Wszystko.

Katia pokiwała głową, wyciągnęła ponownie notes, zapisała coś w nim, wydarła stronę i podała dozorcę.

- To mój służbowy numer telefonu – oznajmiła. – Jeśli pan sobie coś jeszcze przypomni w tej sprawie, proszę zadzwonić. Każdy szczegół może nam pomóc.

Dozorca spojrział na kartkę, złożył ją na pół i schował do

kieszeni.

– A można zapytać, o co chodzi?

Katia się uśmiechnęła i pokręciła głową.

– W swoim czasie – powiedziała. – Bardzo panu dziękuję, do zobaczenia.

Gdy zapięła kurtkę, mężczyzna spojrzął na nią i powiedział:

– À propos, milicji i policji...

Katia zerknęła na niego z zaciekawieniem.

– Mój brat, który był milicjantem, opowiadał niedawno na imieninach o „nocnej zmianie”.

– Nocnej zmianie?

– O nocy, kiedy milicja oficjalnie zamieniła się w policję.

– Aha.

– Wypiliśmy po kielonku, zagryźliśmy śledzikiem, a on patrzy na nas i mówi: „Poprzedniego dnia rozchodziliśmy się do domów jako towarzysze, a następnego od rana wołaliśmy na siebie per pan”.

Dozorca zarechotał głośno.

– No, tak podobno było, kurczę pieczone.

Machnął ręką i mruknął:

– Polityka, kurwa, za przeproszeniem.

Katia się uśmiechnęła, podała mu dłoń i ruszyła w stronę przystanku tramwajowego. Była w doskonałym humorze.

Do przyjemnie zadymionego pubu wchodziły grupki roześmianych młodych ludzi, zajmując kolejne stoliki. Robiło się coraz tłoczniej i gwarniej. Z głośników sączyły się rockowe ballady. Na parkiecie kołysały się dwie długowłose dziewczyny w glanach. Pod oknem, wyłożonym czarną tekturą, siedział chłopak w dredach i uderzał apatycznie o struny gitary. Parę metrów dalej, w rogu sali, siedzieli sierżanci Kowalski i Ostrowski i w milczeniu popijali kawę. Z ich twarzy było zmęczenie. Nie zwracali uwagi na otoczenie, które coraz intensywniej oddawało się rozmowom, alkoholowi i tańcom.

– O czym myślisz? – zagadnął nagle Kowalski.

– O czym myślę? – prychnął Ostrowski i dodał po chwili: – Pytasz mnie, jak dziewczyna chłopaka po pierwszym nieśmiałym seksie.

– Wybacz, stary, ale nie przychodzi mi inne zagajenie do głowy.

– No tak, po tylu latach znajomości powiedzieliśmy sobie wszystko, co można sobie powiedzieć.

Mężczyźni zaśmiali się i spojrzeli na parkiet, na którym robiło się coraz tłoczniej. Wśród tańczących wyróżniał się wysoki brodaty chłopak ubrany w turecki sweter i dżinsowe spodnie. Próbował zagadywać pulchną dziewczynę z irokezem na głowie i piwem w ręku.

– Niemniej, zapytam raz jeszcze, o czym myślisz, bo ewidentnie coś zajmuje twoje myśli – zagadnął Kowalski.

– Rzeczywiście. Przyszło mi coś do głowy.

– Co takiego?

– A właściwie mogę powiedzieć, że mnie wręcz olśniło.

– Co niby?

– Olśniła mnie myśl.

Śmiech.

– Jaka myśl?

– Skoro nasi klienci to przebierańcy, to skądś musieli te swoje uniformy wziąć.

– Hm...

– Kupili je gdzieś?

– Ktoś powiedział, że one wcale nie były „ludząco podobne” do uniformów pracowników Aresa.

– No właśnie. Może ktoś im uszył?

– No może?

– Ale kto?

– Może złożyli po prostu zamówienie w jakimś punkcie krawieckim?

– Trzeba to sprawdzić.

Zamilkli.

– Skoro coś wymyśliliśmy, to oblejmy to zdrową, pożywną pięćdziesiątką – zaproponował Ostrowski.

– To jest bardzo dobra myśl.

– No to przynieś.

Kowalski się zaśmiał. Wyjął z płaszcza portfel i ruszył w stronę baru.

Gdy zrobił parę kroków, drzwi się otworzyły i do środka weszła otyła kobieta ubrana w kozuszek, miniówkę i kozaki za kolana. Ze swoim przerysowanym makijażem wyglądała jak aktorka wyjęta z niemieckiej komedii erotycznej. Sierżant ją kojarzył. To była Gruba Ania, stara prostytutka, którą można było spotkać niemal każdej nocy w okolicach placu Cyryła Ratajskiego. Z policyjnych plotek wynikało, że lgnęli do niej studenci gustujący w starszych rozpustnych kobietach.

Kobieta omiotła wzrokiem zatłoczoną przestrzeń i na koniec wbiła wzrok w Kowalskiego.

– Muszę przepłukać usta, chłopcze – mruknęła bardziej do siebie niż do niego i podeszła do kontuaru, ściągając na siebie

ironiczne spojrzenia.

Sierżant pokiwał głową ze zrozumieniem. Oczekał, aż prostytutka odbierze swoje piwo i odejdzie na bok, żeby je wypić jednym duszkiem, i zamówił dwie pięćdziesiątki.

XXXVII

Następny dzień Katia zaczęła od sporządzania zaległych notatek służbowych. Po dwóch godzinach żmudnej pisaniny poczuła, że ma dosyć. Wstała od biurka, żeby rozprostować plecy. Zrobiła parę skłonów, poszła do łazienki odświeżyć się trochę, zaparzyła sobie kawy i stanęła przy oknie. Przez parę minut przyglądała się zaparkowanym samochodom, próbując o niczym nie myśleć.

Ten przyjemny stan przerwał dźwięk telefonu.

Podniosła słuchawkę.

– Posterunkowa Domagała, słucham – mruknęła.

Ktoś się przedstawił niewyraźnie i dodał:

– Z parkingu dzwonię.

– Jakiego parkingu?

– Na Łazarzu. Była wczoraj pani u mnie. Rozmawialiśmy o transporterze.

Katia zastygła.

– Prosiła pani, żeby zadzwonić, jeśli sobie coś przypomnę.

– Już kojarzę – szepnęła i chwyciła długopis. Pstryknęła nim parę razy. – Coś pan sobie przypomniął?

– No właśnie chodzi, kurde, o to, że tak. Przypomniałem sobie.

– Zamieniam się w słuch.

W tym momencie rozległo się pukanie. Katia drgnęła.

– Proszę chwilę poczekać – rzuciła do słuchawki i odwróciła się w stronę drzwi.

W progu stanął Ostrowski i zamachał ręką.

– Masz chwilę? – zapytał.

Posterunkowa pokręciła energicznie głową, wskazując telefon.

– Później? – dopytał.

Rozłożyła bezradnie ręce i wróciła do rozmowy, zapominając błyskawicznie o Ostrowskim, który wyszedł z markotną miną.

– Przepraszam, już jestem – powiedziała do słuchawki. – Co pan sobie przypomniał?

– Jakies trzy tygodnie temu na parking przyjechał właściciel busa.

– Aha.

– Jaja były, bo nie mógł go otworzyć.

– Jak to?

– Klucze zgubił.

– Żartuje pan?

– Cholera jasna, nie!

Mężczyzna zarechotał.

– Mówię, jak było. Facet przyjechał, zaczął się obmacywać jak szalony, przeskakał dokładnie tego swojego mercedesa i w końcu mówi: „Ożeż ty, kurwa, klucze zgubiłem”.

– A może on wcale nie był właścicielem busa?

– Był. Widziałem jego dokumenty, wszystko się zgadzało. Gość miał po prostu pecha i zgubił klucze. Zdarza się, niestety. Takie jest życie, pani posterunkowa. Zawsze coś, zawsze! Taka jest moja teoria życia: że zawsze coś się niedobrego się wydarzy, często gęsto na półmetku.

Katia parsknęła śmiechem.

– Się pani śmieje! Nie zgadza się pani ze mną?

– Zgadzam, zgadzam.

– I słusznie.

– No tak. I co było potem?

– Podpowiedziałem mu, że tu niedaleko jest punkt dorabiania kluczy. Facet poszedł tam i ściągnął majstra, który pogmerał przy drzwiach i w końcu je otworzył.

– I co dalej?

– Co dalej?

– No po otworzeniu.

– Nie wiem, nie przypatrywałem się dokładnie. Ślusarz sobie poszedł, a właściciel wszedł do środka i siedział tam jakiś kwadrans. Nazajutrz przyjechał taksą, usiadł za kierownicą busa i się odmeldował. Ostatecznie więcej już go nie widziałem.

– To wszystko?

– Tak jest.

Katia zanotowała pospiesznie kilka szczegółów.

– Pomogłem?

– Bardzo!

– To się cieszę.

Katia ściągnęła usta.

– Chwileczkę – powiedziała.

– Tak?

– Czy może pan spróbować sobie przypomnieć jednak model mercedesa, którym jeździ ten mężczyzna, i dać mi jak najszybciej znać?

– Mogę.

– W takim razie będę czekać na kolejny telefon.

– Ale ja już go sobie przypomniałem, pani posterunkowa! A raczej zapytałem o to swojego zmiennika.

– Czyli kojarzy pan model?

– Tak. Ma pani jakieś pisadło pod ręką?

– Uhm.

– To było 500SL.

– 500SL – powtórzyła.

– Dokładnie tak.

– Dobrze pamiętam, że to było srebrne auto z czarnym dachem?

– Dokładnie.

Cudownie – pomyślała Katia, czując mrowienie na całym ciele. *Namierzam cię, ptaszku!*

Stróż zakaszłał.

– Mogę się odmeldować? – zapytał i pospieszył

z wyjaśnieniem: – Muszę wyjść na zewnątrz, bo ktoś pierdalał autem w słupek.

Uśmiechnęła się mimowolnie.

– Pewnie, dziękuję panu – odpowiedziała.

Dozorca zakaszał raz jeszcze i przerwał połączenie.

Katia odłożyła słuchawkę i wbiła wzrok w notes.

– *Hasta la vista, baby* – zacytowała ulubione filmowe powiedzonko Ostrowskiego i wyszła pospiesznie na korytarz.

XXXVIII

– Pieprzony ząb – burknął Miszczu i sięgnął po listek tabletek przeciwbólowych z szuflady. Wycisnął jedną z nich, włożył do ust i popił zimną herbatą.

Gdy zadzwonił telefon, spiorunował go wzrokiem.

– Milczeć – warknął.

Ale telefon nie zamierzał milczeć. Znowu się odezwał. Podkomisarz skrzywił się i sięgnął po słuchawkę.

– Tak?

Gdy usłyszał odpowiedź, zaczerwienił się i przełknął ślinę.

– Mówiłem ci, żebyś nie dzwoniła tutaj – powiedział, ściszej głoś.

Po chwili syknął zniecierpliwiony.

– Kochanie, przestań!

Westchnął.

– Trudno, tak to wygląda – wyrzucił oczami. – Oczywiście, że też za tobą tę...

Urwał nagle.

Ktoś zapukał i momentalnie otworzył drzwi.

W progu stanęła Katia.

– Całuję cię – wymamrotał, wpatrując się w koleżankę. – Oddzwonię później, pa.

Odłożył słuchawkę, czując pieczenie w policzkach.

Katia przywitała się skinieniem głowy i usiadła na krześle.

– Małżonka? – zapytała.

– Nie. To znaczy tak. Tak, to małżonka.

Chrząknął nerwowo i wbił w nią wzrok.

– O co chodzi?

– Mam informację.

– Tak? Jaką?

Posterunkowa otworzyła usta, ale zabrzączał telefon. Miszczu zmarszczył brwi i pokręcił zirytowany głową.

- Nie odbierzesz?
- Boli mnie ząb – jęknął. – Nie chce mi się gadać.
- Weź tabletkę.
- Wziąłem i teraz czekam na zmiłowanie.

Telefon znowu zadzwonił.

- Uparty – mruknęła Katia. – Może ja odbiorę?

Miszczu wypuścił powietrze i sięgnął agresywnym ruchem po słuchawkę.

- Kobiela, słucham – odezwał się.

Kiwnął głową.

- Może pan przypomnieć, skąd się znamy? – zapytał.
- A, Rzeszów, transporter – mruknął. – Już jestem w temacie. Co słyhać, panie Zygmuncie? O co się rozchodzi?

Miszczu wyprostował się w jednej chwili.

- Tak, tak, pytałem o tego mercedesa. Ale wtedy nie mógł pan skojarzyć modelu.

Katia zerknęła zaintrygowana na kolegę.

- No, no. I co żeście ustalili?

Podkomisarz spojrział na posterunkową.

- Naprawdę? No, znakomicie, panie Zygmuncie. Jaki to model?

Miszczu umieścił słuchawkę pomiędzy barkiem a policzkiem i sięgnął po długopis.

- Mercedes 500SL?

Katia zerwała się ze stołka.

- Może pan przypomnieć kolor?
- Srebrny? Z czarnym dachem? Na to klawo! Wielkie dzięki! Odezwe się niebawem!

Podkomisarz odłożył słuchawkę i zatarł radośnie ręce.

- Złapaliśmy trop – oznajmił i spojrział na posterunkową, która wyciągnęła z kieszeni jakąś kartkę.

- Mówiłaś, że zdobyłaś informację – zagadnął. – O co chodzi?

Pochwal się, dziewczyno.

Katia uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Nazajutrz Ostrowski i Kowalski ustalili, że w Poznaniu zarejestrowano dwadzieścia cztery mercedesy typu 500SL. Następnego dnia zawężili tę liczbę do czterech ze względu na kolorystykę. Gdy udało im się stworzyć listę ich właścicieli, Rambert zwołał odprawę u siebie w gabinecie.

– Pokażcie tę listę – mruknął Harry, przejął od Kowalskiego kartkę i przestudiował ją uważnie.

– Znasz kogoś? – zapytał Buryła.

– Tak.

Wszyscy zerknęli na komisarza, który gładził się po szramie ozdabiającej jego policzek.

– Kogo?

– Karola Witakowskiego.

– Kto jest?

– Prezes jakiejś podpoznańskiej wytwórni wódki.

– Pasuje do naszej sprawy?

Harry pokręcił głową.

– Rysopis na pewno się nie zgadza. Z tego, co pamiętam, to wielki, gruby, niezbyt przystojny facet.

Kowalski wziął od niego kartkę.

– Grażyna Bulczycka – odczytał kolejne nazwisko. – Nie wiem, kto to jest. No ale ona i tak odpada. Szukamy przecież faceta, przystojnego czterdziestolatka.

– To prawniczka, notariuszka. Właścicielka bardzo dochodowej kancelarii – odezwała się Katia. – Żona profesora z UAM-u.

– A jak wygląda jej mąż?

– Po pięćdziesiątce, gruby, łysy i brzydki.

Rambert się uśmiechnął.

– Mamy jeszcze dwóch podejrzanych – mruknął.

Kowalski pokiwał głową.

– Kolejny to Waldemar Majewski – oznajmił i zaraz dodał: – Nie mam pojęcia, kto to jest.

– Waldemar Majewski – powtórzył Buryła. – Mnie się coś kojarzy. To chyba jakiś prywaciarz. Zdaje się, że w Poznaniu ma kilka sklepów z ciuchami... I wypożyczalnię kaset wideo! Nie pamiętam, jak wygląda. Nie słyszałem o nim niczego podejrzanego.

– A czwarty? – zapytał Rambert.

Kowalski zerknął na Ostrowskiego, który zabrał głos:

– Czwarty nazywa się Janusz Obremski. Mój stary go zna. Biznesmen. Były esbek, podejrzany typ. Mówi się, że współpracuje z poznańską gangsterką. Nie wiem, czy to prawda.

– A jak wygląda? – zagadnął Buryła.

– Pasuje do naszego mglistego rysopisu. Lekko po czterdziestce, szczupły, średni wzrost. Chyba nawet całkiem przystojny.

Rambert zdjął okulary, przetarł krawatem szkła, ponownie je założył i zerknął na sierżantów.

– Zdobądźcie fotografie tych dwóch mężczyzn – zakomenderował, po czym przeniósł wzrok na posterunkową:

– Katia pokaże je ślusarzowi. Miejmy nadzieję, że majster rozpozna naszego klienta.

To powiedziawszy, upił parę łyków kawy i wstał od biurka.

– Dziękuję za uwagę, możecie wracać do swoich obowiązków – powiedział.

Po kilkunastu sekundach w gabinecie zostali tylko naczelnicy, Rambert i Buryła. Ten pierwszy zerknął na kolegę i poklepał go po ramieniu.

– Ale ty miałeś nosa, że wypatrzyłeś i zatrudniłeś Domagałę – odezwał się, kiwając w zadumie głową. – Będzie z niej świetna policjantka.

- Za parę lat wygrzcie mnie ze stołka – mruknął Buryła.
- Bardzo być może.

Naczelnicy spojrzeli po sobie i zachichotali.

- Zapalisz?
- Zapalę.

Gdy wypalili po papierosie, udali się do komendanta, żeby zameldować mu o nowym tropie. Od paru dni coraz intensywniej bombardował ich telefonami w sprawie napadu na konwój.

- Lepiej mu ulżyjmy, bo jeszcze padnie na serducho i nigdy nie zostanie tym pieprzonym generałem – mruknął Buryła.

Jeszcze tego samego dnia, wieczorem 31 marca, posterunkowa Domagała odwiedziła punkt dorabiania kluczy, o którym wspomniał stróż z parkingu.

– Tak, to prawda – odpowiedział właściciel i zarazem jedyny pracownik punktu. – Było takie wydarzenie.

Podrapał się po głowie.

– Pod koniec lutego, zdaje się. Pojechałem na tamten parking i pomogłem facetowi dostać się do jego samochodu. Mówił, że zgubił klucze.

Katia uśmiechnęła się do mężczyzny.

Był dobrze po pięćdziesiątce, miał siwe, kudłate włosy i czarne okulary. Ubrany w starte buraczkowe sztruksy, turecki sweter i rozdeptane sofiksy. Co chwilę chrząkał. Pachniał wodą kolońską Wars, taką samą, jakiej używał jej ojciec.

– Pamięta pan model tego samochodu?

– Mercedes 500SL.

– Kolor?

– Srebrny z czarnym dachem.

Mężczyzna spojrział na nią, przejechał kciukiem po ustach i powiedział:

– Uprzedzając pani pytanie: nie pamiętam rejestracji, niestety. Zakodowałem tylko, że była poznańska.

Katia skinęła głową, zdjęła placek i wyciągnęła z niego kopertę ze zdjęciami, które zdobyli Kowal i Osty.

– Mogę je rozłożyć na tym stole? – zapytała.

– Proszę uprzejmie.

Posterunkowa położyła na blacie dwie fotografie.

– Czy na tych zdjęciach znajduje się właściciel mercedesa,

któremu pomógł pan otworzyć drzwi?

Mężczyzna wbił w nie wzrok. Dotknął oprawek, zmarszczył krzaczaste brwi i postukał palcem w jedną z fotografii.

– To ten – oznajmił.

– Jest pan pewien?

– Na sto procent.

Katia nabrała powietrza, po czym wypuściła je powoli. Bingo – pomyślała podekscytowana. Schowała zdjęcia do koperty, pożegnała się i ruszyła sprężystym krokiem na tramwaj.

Wróciwszy do komendy, udała się do Miszcza. Ten wysłuchał Katii, zatarł ręce i oznajmił:

– Jutro jadę do Rzeszowa. Zobaczymy, czy to ten sam ptaszek, który kupił naszego transportera.

XLI

Następnego dnia, wczesnym wieczorem, Mischcu siedział w kuchni Zygmunta Dolaty, który wpatrywał się w fotografie dwóch mężczyzn, w tym właściciela mercedesa 500SL wskazanego przez ślusarza.

Mężczyzna drapał się po nieogolonym policzku, zagryzał usta i popijał herbatę. Trwało to strasznie długo. Podkomisarz zaczął się irytować. *A jeśli to nie ten? – zaczął się zastanawiać. Nie, to musi być ten! Inaczej wracamy do punktu wyjścia i znowu jesteśmy w dupie.*

Dolata na koniec uważnej lustracji westchnął przeciągle, pokręcił głową, spojrzął na policjanta i powiedział:

– To żaden z nich.

Mischcu się zakrztusił.

– Co? – burknął.

– Panie podkomisarzu, no mówię, jak jest. – Mężczyzna podniósł ręce w geście bezradności. – Przepraszam, ale na tych zdjęciach nie gościa, któremu sprzedałem auto.

Mischcu sapnął i natychmiast zrobił się cały czerwony.

– Pan, oczywiście, żartuje – szepnął, składając ręce jak do modlitwy.

To ja jechałem przez całą Polskę, żeby...

– Mówię serio.

Cisza.

Dolata spojrzął na Mischca.

– Chce pan sobie golnąć lufę na pocieszenie? – zapytał.

Mischcu westchnął i popatrzył na Dolatę.

– Wie pan co? – odezwał się markotnie. – Jednak bym sobie golnął. Nocuję w hotelu, więc... – Machnął ręką.

Dolata uśmiechnął się promiennie i uderzył pięścią

w kolano.

– No wreszcie podkomisarz mówi jak człowiek – zawołał, po czym wstał, wyciągnął z lodówki butelkę Wyborowej oraz słoik z kiszonymi ogórkami.

Postawił zamasyżycie na stole dwie pięćdziesiątki. Rozlał alkohol, uniósł swój kieliszek i mruknął:

– Zdrówko.

– No zdrówko – odpowiedział Miszczu i wziął haust.

Dolata wydobyl ze słoika ogórka, schrupał go i zerknął na policjanta.

– Prima aprilis – rzucił nagle.

Podkomisarz uniósł brwi.

– Słucham?

Dolata się roześmiał.

– Prima aprilis, mówię.

– Ale że co?

– Dzisiaj jest prima aprilis, więc musiałem panu zrobić psikusa.

Miszczu wbił w niego wzrok.

Gospodarz sięgnął po zdjęcie, które wskazał ślusarz, i popukał w nie palcem.

– To jest facet, któremu sprzedałem transporter.

Miszczu otworzył szeroko usta.

– Pierdolisz pan? – powiedział.

– Nie. To jest ten gość. Na tysiąc pińcet procent – odparł Dolata i zachichotał. – No musiałem pana oszukać, taka tradycja. Ale teraz już jestem serio. – Sięgnął znów po Wyborową. – Nalać panu jeszcze jednego?

– Nie, dziękuję.

Mężczyzna nalał sobie wódki, wypił i zatarł ręce.

– To ten gość – oznajmił. – Pełna powaga, panie podkomisarzu.

– Waldemar Majewski?

– Nie. Henryk Walewski. Czytał pan umowę.

– Rzeczywiście.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał Dolata, raz jeszcze proponując wypicie kolejnej lufy. Miszczu podziękował i schował zdjęcia do torby.

– Pożegnaj już pana.

– Co gościu przeszkrobał? – zapytał gospodarz.

Miszczu pokręcił głową.

– Mogę zadzwonić? – zapytał.

– Oczywiście, telefon jest w korytarzu.

Podkomisarz wyszedł z kuchni, podniósł słuchawkę telefonu, wyciągnął z kieszonki koszuli karteczkę i wykręcił numer. Odczekał kilka sekund. Uśmiechnął się.

– Jesteś już na miejscu? – odezwał się.

Kiwnął głową.

– Cudownie, będę za pół godziny – powiedział, zniżając głos.

Odłożył słuchawkę i wrócił do kuchni.

– Panie Zygmuncie – odezwał się, sięgając po torbę. – Pilne obowiązki mnie wzywają. Dziękuję raz jeszcze za pomoc.

XLII

Drugiego kwietnia Kowalski i Ostrowski zameldowali się u podinspektora Ramberta i zgłosili pomysł na założenie podsłuchu Waldemarowi Majewskiemu.

Naczelnik, wysłuchawszy ich, zdjął okulary i przetań je szmatką. Robił to wolno, z widoczną przyjemnością. Gdy skończył, pokiwał głową i spojrzał na sierżantów.

– Zgadzam się – powiedział. – Zaraz podzwonię tu i tam i postaram się o zgodę. Możecie iść do techniki i zgłosić zapotrzebowanie.

Sierżanci się uśmiechnęli. Ktoś im kiedyś powiedział, że taki szef, spokojny, solidny, rozumiejący, trafia się tylko raz życiu i że zrozumieją to dopiero wtedy, gdy on odejdzie, ustępując miejsca nowemu, który okaże się zupełnym przeciwieństwem.

Zapadła cisza.

– Coś jeszcze, panowie? – zapytał.

Pokręcili głowami.

– W takim razie... możecie wracać do pracy.

Gdy wyszli na korytarz, Ostrowski zerknął na Kowalskiego.

– Jak rozwija się znajomość z sąsiadeczką? – zagadnął.

– Ekscytująco. Przy okazji dokonałem niezłego odkrycia.

– Nadstawiam uszu.

– Najlepsze kochanki to czterdziestolatki!

Ostrowski pokiwał głową.

– Ciekawe – mruknął. – Musisz mi to przy piwie wyjaśnić.

– Z wielką przyjemnością – odpowiedział Kowalski, gdy weszli na piąte piętro i stanęli przed masywnymi drzwiami Wydziału Techniki Operacyjnej. Zadzwonili.

XLIII

Redaktor Misiński wszedł do swojego pokoju i oniemiał. Na stole zamiast jego starej wysłużonej maszyny do pisania stał komputer. Sapnął gniewnie i zmarszczył swoje krzaczaste brwi.

– Co to za urządzenie – szepnął, czując, że serce zaczyna mu szybciej bić. – Dlaczego postawiono to bez mojej zgody?

Złapał się o poręcz krzesła i świdrował ponurym wzrokiem urządzenie. *Gdzie jest moja maszyna do pisania, moja ukochana Erika?* Usiadł i sięgnął po piersiówkę, upił łyka i ponownie wbił wzrok w komputer.

Gdy usłyszał skrzypnięcie, odwrócił się gwałtownie. W progu stanął naczelny.

– Piękny, prawda? – zagadnął, uśmiechając się szeroko. – IBM PC.

– IBM PC... – powtórzył głucho Misiński, po czym westchnął przeciągle.

– Zobaczysz, Misiu, przyzwyczaisz się i pokochasz. – Naczelny poklepał go po ramieniu. – Zaraz przyjdzie tu stażystka i wprowadzi cię w temat.

Misiński wypuścił głośno powietrze i zapytał głosem pełnym rezygnacji:

– A gdzie jest Erika?

– W sekretariacie, ładnie zapakowana, będziesz mógł ją zabrać do domu.

Zadzwoił telefon.

– Nie przeszkadzam. – Naczelny chrząknął i wyszedł.

Redaktor sięgnął po słuchawkę.

– Misiński – odezwał się i po chwili się rozpogodził.

Dzwonił podinspektor Buryła z „bardzo pilną sprawą”.

– Słuchaj no, chłopie – mówił zaaferowanym głosem naczelnik kryminalnego. – Musisz napisać tekst, który wprowadzi w błąd sprawców napadu na konwój. Chodzi o to, żebyś zakomunikował, że policja jest na ich tropie prowadzącym do Kołobrzegu. Kapujesz?

Misiński wzruszył ramionami.

– A co mam nie kapować? – mruknął zaczepnie.

– Napiszesz?

Redaktor wyduł wargi.

– Maszynę mi ukradli.

– Jak to ukradli? – zdziwił się oficer. – Skąd ci ukradli? Kto ci ukradł? Z redakcji?

Misiński sięgnął po piersiówkę, wziął solidnego łyka i mlasnął.

– Naczelnny mi ukradł.

– Ale jak to?

– Pod moją nieobecność wymienił Erikę na komputer, na którym mam teraz pracować.

Buryła parsknął śmiechem.

– No cóż. Każdy nosi swój krzyż – powiedział. – A kiedy skończysz, zadzwoń, sprawdzę, czy wszystko w tekście gra. Pamiętaj, to niesłychanie ważna sprawa. A – oczywiście, nikomu nie mówisz, że tekst to lipa.

– Jasne.

Buryła się rozłączył.

Misiński nachylił się nad klawiaturą komputera i dotknął jej dłonią. Westchnął i pokręcił głową.

– Dzień dobry – usłyszał nagle dźwięczny kobiecy głos.

Odwrócił się i zobaczył, że do pokoju wchodzi młoda uśmiechnięta dziewczyna.

– Dzień dobry – mruknął Misiński. Poprawiał się na krześle, wskazał ręką komputer i zapytał: – Pani w sprawie tego ustrojstwa może?

– Tak jest.

– No, to proszę mi pokazać, jak się na tym smaży teksty –
rzucił redaktor i dopił zawartość piersiówki.

XLIV

Komisarz siedział przy biurku i wpatrywał się w zdjęcie młodej dziewczyny o brązowych włosach i dużych błękitnych oczach, z których spozierał dojmujący smutek. Piękne lśniąco włosy miała po matce, smutne oczy chyba po nim.

Westchnął, przypomniał sobie wigilijny wieczór, w który siedział sam.

W pewnym momencie chwycił telefon i zadzwonił do żony, która z nową rodziną oraz ich wspólną córką spędzała święta. Zamienili parę słów, całkiem uprzejmych. Potem zapytał, czy może rozmawiać z Kasią. W odpowiedzi usłyszał, że jeszcze nie, że jeszcze nie jest gotowa. „Napisz do niej najpierw”.

Łatwo powiedzieć – pomyślał, odkładając fotografię. Ale jak to zrobić? Od czego zacząć? I co właściwie napisać?

Ostatni raz widział córkę w osiemdziesiątym ósmym roku, w dniu rozprawy rozwodowej. Miała wtedy dwanaście lat, była dziewczynką, śmiertelnie na niego obrażoną. Teraz ma siedemnaście, jest piękną, smutną i zupełnie obcą mu młodą kobietą.

Rozważania przerwał dzwonek telefonu.

– Harwej – mruknął.

– Gabriel Witkowiak. – Usłyszał zachrypnięty głos Gangstera. Natychmiast wyprostował się na krześle.

– Że co?

– To ten pedał, który podobno zna ekipę od napadu na Markizę.

Harry sięgnął po długopis, zapisał na jakimś skrawku personalia przestępcy.

– Świetnie – mruknął. – Gdzie mieszka?

– Nie wiem.

– To wszystko, co masz?

– To wszystko? – oburzył się Gangster. – Kurwa, podrzucam ci zajebisty trop!

– Dobra, dobra.

– Podobno pracuje w Elektrowni Karolin.

– Podobno?

– Rozłączam się.

Harry nie zdążył podziękować, połączenie zostało urwane. Odłożył słuchawkę. Zerknął na zapisane nazwisko. Nic mu nie mówiło. *Jakiś króliczek* – pomyślał.

Wstał, schował do kieszeni dżinsowej kurtki papierosy i wyszedł na korytarz. Postanowił odnaleźć Katię. Zerknął na zegarek. Był dziesiąta.

– Serwus. – Usłyszał.

Podniósł wzrok. Obok niego stanął Mischu.

– Widziałeś Katię?

– W stołówce jest, na śniadanku.

Kiwnął głową i skierował się do stołówki. Dotarłszy na miejsce, odnalazł ją wzrokiem. Siedziała przy stoliku. Komisarzowi przyszło do głowy, że kobiety niesamowicie skupiają się na jedzeniu. Całkowicie się mu oddając.

Uśmiechnął się mimowolnie na jej widok. Czarna bluzka, jakieś czarne spodnie i czarne głany. Do tego włosy spięte w kitkę. Podeszedł do niej, przywitał się i usiadł.

Obdarzyła go serdecznym spojrzeniem, co sprawiło mu dużą przyjemność. Bardzo zależało mu na jej sympatii. Uważał, że stanowi materiał na dobrą policjantkę. Pracowita, zacięta, pełna pasji. Na pierwszy rzut oka widać było, że lubi swoją robotę.

– Mam dla ciebie zadanie – rzucił, przyglądając się, jak kroi parówkę, macza ją w musztardzie i wkłada do ust.

– Jakie? – zapytała, gdy przeżuła jedzenie.

– Gabriel Witkowiak, pracuje w Elektrowni Karolin – odpowiedział. – Mój uchol mówi, że jest powiązany z ludźmi,

którzy napadli na konwój Markizy.

Katia zerknęła na niego zaintrygowana.

– W jaki sposób powiązany?

– Podobno... – zaśmiał się, wypowiadając to słowo. – Podobno brał udział w niedoszłym napadzie na konwój.

– Piękna informacja – mruknęła posterunkowa i wbiła widelec w ostatni kawałek parówki. Zjadła go, wytarła dłonią usta i zagadnęła:

– Jakie masz dla mnie zadanie?

– Dowiedz się, co to za klient. Chciałbym z nim pogadać... po męsku.

Odłożyła na talerz sztucce i spojrzała na niego.

– Rozumiem. Mile widziane wszelkie słabe punkty.

Uśmiechnął się do niej i pstryknął palcami.

– Uwielbiam twoją inteligencję – oznajmił, machnął ręką i ruszył ku wyjściu.

Katia odprowadziła go wzrokiem. Szedł sprężystym krokiem, przykuwając spojrzenia obecnych w stołówce kobiet.

XLV

– Proszę – powiedział Kowalski, słysząc nieśmiałe pukanie.

Nic.

– Proszę – powtórzył zdziwiony brakiem reakcji i odwrócił się w stronę drzwi, które skrzypnęły głośno.

W progu stanęła nieznajoma dziewczyna o piegowatej twarzy.

Spojrzał na nią zaciekawiony. Nigdy wcześniej jej nie widział.

– Sierżant Kowalski? – Usłyszał przyjemny, dźwięczny głos.

– Tak, to ja – odparł, wstając od biurka. – W czym mogę pomóc?

Miała rude włosy spięte w warkocz. Ładna, bardzo szczupła, o bystrych oczach. Niemodnie ubrana. Skojarzyła mu się z pewną polonistką, z którą kiedyś spotykał się przez parę miesięcy.

– Cześć, Ala jestem, z techniki – powiedziała dziewczyna, uśmiechając się sympatycznie. – Przysłano mnie z zapisem rozmowy telefonicznej. Bardzo ważnej.

Wyciągnęła w jego stronę teczkę.

– Jakiej rozmowy? – zapytał, odbierając dokument opatrzony napisem „Poufne”.

– Podobno do Majewskiego zadzwonił drugi uczestnik napadu.

Sierżant otworzył szerzej oczy.

– Żartujesz?

Zaśmiała się, potrząsając głową.

– Nie.

– Cudownie – powiedział, odwzajemniając uśmiech.

Wymienili się spojrzeniami, w których można było dostrzec błysk obopólnego zainteresowania.

– Dziękuję.

– Polecam się na przyszłość. Do zobaczenia.

Gdy wyszła, Kowalski usiadł za biurkiem i zaczął czytać stenogram podsłuchanej rozmowy. Kluczowy fragment był podkreślony czerwonym mazakiem.

„– Szefie, to ja... To ja, Kamiński.

– Mówiłem wam, debilu, że nie dzwonić do mnie!

– No wiem, wiem, ale...

– A jak jesteśmy na podsłuchu?

– Szefie, bez przesady. Na jakim podsłuchu?

– Nie dyskutuj ze mną! Zakazałem dzwonić, więc macie się do tego zastosować.

– Szefie, ale dzisiaj w gazetach przecież napisali, że te głupie psy szukają nas w Kołobrzegu. Patałachy jedne, nie ma się czego bać.

[Śmiech].

– Rzeczywiści, to debile. Polska policja, żenada.

– Dziennikarstwo pisze, że zrobiliśmy napad doskonały.

– No czytałem, chyba przejdziemy do historii.

[Śmiech]

– No więc, szefie, nie ma strachu, że nas namierzają. Myślę, że...

– Kamiński! Ty nie jesteś tu od myślenia.

– Ale...

– Nie ma żadnego »ale«...

– Mam pilną sprawę!

– Jak masz pilną, powtarzam: pilną sprawę, to przyjedź, a nie wydzwaniał. Rozłączam się, cymbale!

– Nie, chwila! Proszę!

– Kamiński, jako były milicjant wiesz, że to niebezpieczne. Rozłączam się.

– Błagam, nie!

[W tle ktoś krzyczy: »Marek, Marek, kończ już«.]

– Szefie, jedna sprawa.

– Czego?

- Potrzebuję forsy.
- Kurwa, przecież umawialiśmy się, że forszę zabezpieczamy, oczekujemy i dopiero za jakiś czas dzielimy. A poza tym – odpaliłem ci sumkę.
- Za małą... Już wydałem ją...
- Kurwa mać! Już wydałeś?! Na co? Kiedy? Do Berlina na zakupy pojechałeś z babsztylem?
- Nie.
- To na co?
- Na syna, Tomaszka. Mówiłem przecież, że ma porażenie mózgowe. Ta choroba to studnia bez dna. Potrzebuję na leki, lekarzy, rehabilitację. Stara mi nie daje spokoju, ciągle mi brzęczy na temat pieniędzy... A to drugie też jest chore, cały czas chodzimy po psychologach...
- Jakieś lewe plemniki miałeś, chłopie.
- Chcę forsy!
- Dobra, przyjedź. Do wypożyczalni.
- Będę jutro przed południem.
- No trudno.
- Dziękuję.
- I nie dzwoń następnym razem, bo każę cię miastowym wywieźć do lasu.
- Nie będę”.

Skończywszy lekturę, Kowalski podniósł głowę i przymknął oczy. Na plecach czuł gęsią skórę. Śledztwo w końcu ruszyło z kopyta. Uwielbiał te momenty w policyjnej robocie.

- Pięknie – mruknął. – Mamy kolejnego króliczka.

Zamknął teczkę, wstał i wyprostował plecy. Zostało jeszcze dwóch – pomyślał.

Spojrzał na zegarek. Minęła siedemnasta. Postanowił zajść do Ramberta i zameldować mu o nowym sukcesie. Sięgnął po marynarkę.

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Kowalski, słucham – odezwał się.

– Cześć. – Usłyszał kobiecy głos, który przyprawił go o szybsze bicie serca. – Tu Ania, twoja ulubiona sąsiadka.

Przełknął ślinę.

– Cześć – wymamrotał.

– Panie sierżancie, melduję, że właśnie się rozebrałam, nalałam sobie lampkę winą i zaraz idę do wanny.

Kowalski poluzował krawat.

– Dziękuję za raport – odparł, siadając z powrotem na krześle.

– Czy mogę liczyć dzisiaj wieczorem na wnikliwe przesłuchanie?

– Tak.

– Takie dogłębne?

– Uhm.

– Na wskroś przewiercające?

– Przestań się nade mną znęcać, dziewczyno! – zajęczał sierżant.

– W takim razie czekam na brutalne najście mojej skromnej nagiej osoby, pa.

Połączenie zostało przerwane.

Kowalski odłożył słuchawkę, oparł się na krześle i przymknął oczy. Myślami przeniósł się do łazienki namiętnej sąsiadki i bez większych trudności wyobraził sobie scenkę, którą przed chwilą opisała swoim zmysłowym głosem.

Harry przeszedł przez aleję Niepodległości, przystanął i dopalił papierosa. Musiał przyznać, że Katia spisała się znakomicie. Swoimi sposobami wywęszyła, że Witkowiak, człowiek powiązany ze sprawcami napadu na konwój, lubi wieczorami odwiedzać park Marcinkowskiego, który jest miejscem schadzek homoseksualistów i z tego względu bywa nazywany przez poznaniaków „parkiem pedała”. Podobno był amatorem dwudziestoletnich chłopców. Gdy komisarz zapoznał się z tą informacją, wiedział, co ma robić. Odczekał do późnego wieczora, wsiadł do samochodu i pojechał do centrum miasta.

W myślach uśmiechnął się do Katii, zdusił niedopałek o ściankę śmietnika i wszedł do słabo oświetlonego parku. Idąc asfaltową alejką, minął dwóch młodych mężczyzn, którzy trzymali się za rękę. Gdy przeszedł na drugą stronę parku, wszedł na trawnik i stanął przy dużym rozłożystym drzewie. Harry oparł się o nie i wpatrywał się w słabo oświetloną ulicę i stojący przy niej dom. Według uzyskanych informacji to gdzieś tutaj powinien zaparkować klient.

Zapalił zapalniczkę i oświetlił tarczę zegarka. Dobiegała północ. Harry zatrzęsł się z zimna.

Po paru minutach na ulicy pojawił się samochód. Zaparkował tuż obok Harry’ego, który przylgnął do drzewa.

To było chyba czerwone audi. Światła zgasły. Otworzyły się drzwi.

Komisarz dostrzegł błysk, a potem ognek papierosa. Do jego uszu doszły też dźwięki piosenki Franka Sinatry „Killing me softly”.

Harry wbił ręce w kieszenie i czekał.

Piosenka amerykańskiego wokalisty przypomniała mu o intrygującym zdarzeniu sprzed jakichś dziesięciu lat. Siedział wówczas w Adrii, popijał piwo, gapił się na dziewczyny i kątem oka obserwował Boksera, bandziora o złamanym nosie, który flirtował z jakąś blondynką w miniówce. Wtedy też leciał Frank Sinatra, ale chyba jakaś inna piosenka, może „Strangers in the Night”? Po dwóch albo trzech godzinach klient pocałował namiętnie dziewczynę i wyszedł, Harry za nim. Ku jego zdziwieniu niespieszny spacer zakończył się właśnie na terenie parku Marcinkowskiego. Była piękna, letnia noc. Szybko okazało się, że Bokser przyszedł tu na schadzke z jakimś młodym mężczyzną. Harry był wprost zachwycony niespodziewaną sytuacją. Wszakże dla operacyjniaków takie odkrycie to prawdziwy dar niebios. Poczekał do momentu, w którym chłopak ukucnął przed bandziorem i zaczął z wielkim zaangażowaniem ssać jego penisa. Wtedy podszedł do nich rażnym krokiem, pogonił spłoszonego młodzieńca i złożył Bokserowi propozycję nie do odrzucenia. Bandzior nie zaprotestował, był tak przerażony, że od razu zgodził się zostać informatorem Harweja. Zresztą, do dzisiaj nim był.

Harry drgnął i odkleił się od drzewa. Do czerwonego auta podszedł jakiś mężczyzna, szczupły, wysoki, długowłose. Kierowca wysiadł i przywitał się z nim. Rzeczywiście, miał młodzieńczy, niezwykle ciepły głos. Pocałowali się i wsiedli razem tylnymi drzwiami.

Harry uśmiechnął się pod nosem. *Nic się nie zmienia w tej robocie* – pomyślał i pokręcił głową. *Cały czas operujemy na tym samym. Parszywa robota.* Samochód zaczął się trząść. *Ale i ekscytująca* – dodał w duchu.

Chwilę odczekał, rozpiął kurtkę i ruszył w stronę audi. Zapukał w szybę, otworzył drzwi i wyciągnął legitymację.

– Komisarz Harwej z Komendy Wojewódzkiej – mruknął. – Muszę porozmawiać z panem Gabrielem Witkowiakiem. Na

osobności. Usiądę sobie na ławce i poczekam.

Harry zrobił, jak powiedział.

Rozparłszy się wygodnie, wyciągnął paczkę papierosów i zapalił. Piosenka Sinatry i wspomnienia wzbudziły w nim apetyt na alkohol.

Westchnął, czując, że narasta w nim irytacja, że nie może się ostro napić. Tak jak kiedyś, tak jak lubił. Tak jak potrzebował.

Po paru minutach Witkowiak stanął przed nim. Światło nocnej latarni oświetlało zaczerwienioną i spoconą twarz wściekłego mężczyzny.

– Czego? – warknął.

– Synek skończył już osiemnaście lat? – zapytał Harry.

– Skończył.

– Jest pan pewien?

– O co chodzi?

– Panie Gabrielu, według moich informacji wziął pan udział w niedoszłym napadzie na konwój pieniędzy – oznajmił szorstkim głosem Harry, rzuciwszy wzrokiem na wybrzuszenie w okolicy rozporoka.

Uśmiechnął się.

– Że co? – syknął Witkowiak.

– Tylko bez takich – warknął komisarz. – Nie mam czasu na dyskusje o faktach. Przyszedłem po konkretną informację. Nie po pana. Jeśli mi jej pan udzieli, pójdę sobie, jeśli nie, pojedziemy razem na komendę. Jasne?

Cisza.

– Pytam się, kurwa, czy to jest jasne, luju jeden! Jasne?

Witkowiak chrząknął.

– Jasne – wymamrotał i wbił wzrok w policjanta. – O jaką informację chodzi? – zapytał łamiącym się głosem.

Harry uśmiechnął się, wstał i zgasił papierosa.

– W napadzie brały udział cztery osoby. Ty, Majewski, Kamiński i...

Urwał i zbliżył się do Wiktowiaka, szczerząc zęby.

– No właśnie, kim był czwarty klient?

Cisza.

Harry wyciągnął pistolet.

– Nazwisko, pseudonim człowieka.

Witkowiak posłał oficerowi przerażone spojrzenie.

– Ale ja się po tym napadzie wycofałem z tego. Nie mam z tym nic wspólnego!

– Gadaj!

– Kapiszon!

– Co?

– No taką ma ksywę!

– Nazwisko i imię?

– Bartek Radawski.

– Gdzie robi?

– Na taksówce.

– Jaki samochód?

– Czarna skoda, favoritka.

– Gdzie stoi?

– Na PKP!

Harry skinął głową i schował broń.

– Dobrze – odezwał się. – Gdzie on mieszka?

– Nie wiem.

– Kłamiesz mnie, chuju?

– Nie.

– No dobrze...

Nagle usłyszeli szelest w zaroślach. Obrócili się.

Przed nimi wyrosła umundurowana para młodych ludzi. Gruby chłopak z kozią bródką i przeraźliwie chuda, przygarbiona dziewczyna.

– Co tu się dzieje, panowie? – spytał radiowym głosem chłopak.

Harry spojrzał na nich surowym wzrokiem.

– Wszystko w porządku – odparł i pokazał im odznakę. –

Pracujemy – dodał i się uśmiechnął. – Zostawcie nas samych – rzucił. – Pan mi udziela ważnych informacji.

Młodzi pokiwali głowami, pożegnali się i zniknęli w zaroślach.

Harry schował broń i spojrzał na Witkowiaka.

– Proponowali ci skok na konwój Markizy?

Witkowiak drgnął.

– Nie.

– Nie?

– Nie. Nawet nie wiedziałem na sto procent, że to oni. Domyślałem się – po tych Koziegłowach.

– Dlaczego nie proponowali?

– Bo wiedzieli, że mnie to nie interesuje. Wtedy pojechałem z nim na robotę, bo byłem w podbramkowej sytuacji. Miałem straszne długi, potrzebowałem szybko pieniędzy... Potem nawet ucieszyłem się, że nic z tego nie wyszło... To jest jednak prawdziwy kryminał.

– Ale podobno chwaliłeś się jakiemuś chłopaczkowi, że znasz ekipę.

Wzruszył ramionami.

– Wie pan, jako to jest. Człowiek się najebie i gada różne bzdury, że zaciągnąć kogoś do łóżka.

Harry nabrał powietrza i wypuścił je powoli. Odwrócił się nagle, słysząc szum nadjeżdżającego samochodu. To była policyjna nyska. Zatrzymała się.

Witkowiak gwałtownie się obrócił i zadrżał. Mężczyźni przyglądali się nysce, Witkowiak z przerażeniem, Harwej z obojętnością.

– Niezły ruch mamy tutaj dzisiaj – mruknął Harry.

Gdy odjechała, komisarz mruknął:

– Idź do samochodu i spadaj stąd. Migiem.

Zapiął kurtkę, rozejrzał się po okolicy i ruszył przed siebie, w stronę alei Niepodległości. Poczul ssanie w żołądku. Miał wrażenie, że ktoś podsuwa mu butelkę whisky. Jego nozdrza

poruszyły się niespokojnie.

Przez chwilę zastanawiał się, jak spędzić sobotnią noc. *A może dla odmiany pójdę spać?* – pomyślał. Mijając popiersie Juliusza Słowackiego, zaszalutował. Sięgnął po paczkę papierosów i zanucił cicho „Killing me softly”.

XLVII

Piątego kwietnia, w poniedziałek, parę minut po jedenastej, Ostrowski przyłożył do ucha słuchawkę telefonu i po chwili odpowiedział, że zaraz zejdzie. Kowalski podniósł głowę znad dokumentów, w których tonęło jego biurko. Poranek był bardzo pracowity, aż za bardzo. Mnóstwo papierów, ciągle telefony w zupełnie innych sprawach. Przed chwilą na przykład cudem wykręcił się od przesłuchania alfonsa, którego zatrzymano wczoraj w nocy.

Zerknął na kolegę, w którego głosie wyczuł ekscytację.

– Co jest? – zapytał, sięgając do plastikowego pudełka po kawałek marchewki.

– Dzwonił dyżurny. Mówił, że przyszła jakaś babka w sprawie napadu.

– Co chce?

– Podobno ma jakąś informację. Zejdę do niej i pogadam.

– Masz moje błogosławieństwo.

Babka liczyła mniej więcej pięćdziesiąt lat. Miała krótkie brązowe włosy, przyjemną twarz i srebrne kolczyki w uszach. Ubrana była w niebieską kurtkę, obcisłe czerwone spodnie, czarne półbuty. Sierżant dostrzegł w jej oczach błysk podniecenia. Przywitał się i wprowadził ją do pierwszego wolnego pomieszczenia, w którym można by pogadać na spokojnie.

– Podobno ma pani jakąś ważną informację? – zagadnął, gdy usiedli przy stole.

Pokiwała energicznie głową.

– Tak jest – potwierdziła i dodała: – W sprawie napadu na konwój pieniędzy.

Ostrowski spojrział na nią i dał znak, żeby kontynuowała.

– Wróciłam przedwczoraj z Niemiec. Z Hamburga. Od córki, która tam mieszka. Byłam u niej na urlopie, wie pan.

– Rozumiem.

– Wczoraj miałam trochę wolnego czasu i przeglądałam sobie stare gazety, które mój mąż składa w sypialni. Zawsze go za to gonię, ale teraz to się przydało, bo mogłam szybko zorientować się, co się podczas mojej nieobecności wydarzyło w naszym mieście. Jestem z natury ciekawska, proszę pana, bardzo ciekawska.

Kobieta zerknęła na niego, uśmiechając się.

Ostrowski odwzajemnił uśmiech.

– To tak jak ja – powiedział. – Tak jak niemal każdy w tym budynku – zachichotał.

Rozmówczyni się rozpromieniła.

– No właśnie, bo mój mąż mówi, że jestem wścibska, a ja się z tym nie zgadzam. Odpowiadam mu, że się myli, bo ja jestem z natury ciekawska i uważam, że to jest dobra cecha, czyli nawet zaleta.

– Rozumiem.

– No więc właśnie. – Kobieta podrapała się po podbródku. – O czym to ja mówiłam?

– O przeglądaniu gazet.

– O tak, otóż to. Przeglądałam sobie wczoraj gazety i natrafiłam na artykuły o napadzie na konwój pieniędzy Markizy.

Ostrowski ściągnął usta i przysunął do siebie notes.

– Nawiasem mówiąc, uwielbiam ich czekolady. Są naprawdę przepyszne.

Sierzant chwycił długopis i pstryknął nim parę razy.

– Jadł pan?

– Nie – odparł krótko, ale gdy zobaczył, że odpowiedź nie przypadła do gustu rozmówczyni, dodał: – Ale mój partner uwielbia wyroby Markizy.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Jak to partner? – mruknęła zdziwiona. – Czy pan jest...?

Ostrowski zaśmiał się i pokręcił głową.

– Kolega z pokoju – rzucił.

– A, no chyba że. – Otaksowała go uważnym spojrzeniem. – Pan jest całkiem do rzeczy facet – oznajmiła. – Gdyby ściął pan te włosy, spodobałyby się pan mojej córce. Ale tej drugiej, która właśnie kończy studia. Biologiczne. Ładna i bystra dziewczucha.

– Bardzo mi miło, ale wróćmy do meritum. Natrafiła pani na artykuły...

– No tak. – Przerwała mu. – Czytam sobie ta artykuły, wpatruję się w rysopisy i coś mi świta, panie.

– Co takiego pani świta?

– No że widziałam ich. Widziałam te pyski.

Ostrowski zeszywniał.

– Gdzie? – zapytał, czując, że robi mu się sucho w ustach.

– U siebie.

– Gdzie u siebie?

– No w pracowni.

– W jakiej pracowni?

– No pracowni krawieckiej, bo ja, proszę pana, krawcową jestem.

Ostrowski poruszył się na krześle.

– I co oni robili w pani pracowni?

– Chcieli, żebym uszyła im stroje.

Ostrowski wbił w nią wzrok.

– Jakie stroje?

– Powiedzieli, że pracują w firmie ochroniarskiej Ares i szef kazał im uszyć sobie stroje do pracy. Przynieśli mi jeden na wzór.

Sierżant wypuścił powoli powietrze.

– Ile strojów?

– Trzy.

– Zrobiła je pani?

– Odmówiłam, bo akurat dostałam duże zamówienie od teatru.

– Ilu ich było?

– Dwóch.

– Dwóch? Nie trzech?

– Nie.

Ostrowski pstryknął parę razy długopisem.

– I wyglądali jak na rysopisach?

– Mniej więcej.

– Mniej więcej?

– No tak. Mniej więcej. Całkiem, całkiem. Głowy nie dają, ale podobieństwo dostrzegłam.

– Uhm. – Ostrowski przejechał dłonią po włosach. – Chwileczkę.

Chwycił słuchawkę telefonu, wykręcił numer i po chwili mruknął:

– Kowal, weź zdjęcia ekipy z napadu i przyjdź do gościnnego.

Po paru minutach do pomieszczenia wszedł Kowalski z zaintrygowaną miną. Przywitał się i podał koledze kopertę. Ten wyciągnął z niej zdjęcia przedstawiające Majewskiego, Radawskiego oraz Kamińskiego i rozłożył je na stole.

– Czy to któryś z tych mężczyzn? – zapytał, zagryzając usta.

Kobieta wbiła wzrok w fotografie i zaczęła się im bardzo uważnie przyglądać. Sierżanci wymienili się spojrzeniami.

– Poznaje pani któregoś? – zagadnął Kowalski.

– Tak – padła odpowiedź.

Sierżanci znieruchomieli na moment.

– Świetnie – mruknął Ostrowski. – Kogo?

– Tego. – Krawcowa pokazała palcem fotografię Kamińskiego.

– I... – Zawahała się. – I tego. – Dotknęła fotografię przedstawiającą Radawskiego.

Pokiwiała głową.

– Tak, to oni byli u mnie.

Zapadła cisza.

– Jest pani absolutnie pewna, że to właśnie oni chcieli złożyć zamówienia na uszycie strojów na wzór tych noszonych przez pracowników Aresa?

– Jestem absolutnie pewna – odparła.

Ostrowski się uśmiechnął.

– Znakomicie – powiedział, przenosząc wzrok na kolegę.

– Napad doskonały przestaje być doskonały – rzucił Kowalski i zaczął zbierać zdjęcia.

XLVIII

Dziewiątego kwietnia, w Wielki Piątek, późnym popołudniem rozradowany podkomisarz Kobiela wmaszerował do pokoju sierżantów.

– Serwus, miszczowie! – rzucił, zamachał szarą kopertą i spoczął na krześle.

– Co tam masz, kolego? – zapytał.

– Zajączka!

– Zajączka?

– Prezent od techniki! – odparł, po czym rzucił kopertę na biurko Ostrowskiego. Ten podniósł ją i wyciągnął z niej kilka fotografii.

Rozpiął bluzę, na której widniał napis „Pantera”, i zaczął przyglądać się zdjęciom.

– Fiu, fiu! – mruknął po chwili.

Kowalski podszedł do niego.

– Nasze króliczki w komplecie – powiedział.

– Otóż to – zawołał Miszczu. – Nasze króliczki spotkały się na działeczce i przy wódeczce omawiały sprawczkę.

Ostrowski wbił w niego wzrok.

– Niezły rap – zaśmiał się. – Powinieneś się przebranżowić i zacząć pisać rymy.

– Pomyślę o tym, chłopie.

– Gdzie to jest? – zapytał Kowalski.

Miszczu wyciągnął notes i przekartkował go.

– Ogródek działkowy, niedaleko osiedla Zwycięstwa. Przy skrzyżowaniu Lechickiej i Umultowskiej.

– O czym rozmawiali?

– Nie wiemy dokładnie. Podobno ostro się kłócili o forszę z napadu. Ten Majewski nie chce wypłacić im ich doli. Mówi,

że trzeba jeszcze trochę poczekać.

Cisza.

Ostrowski spojrział na Kowalskiego, który przejął od niego zdjęcia.

– Mówiłeś, że mamy komplet – odezwał się.

– No.

– Ale przecież tu nie ma czwartego, panowie!

Kowalski pokiwał głową, a Miszczu podrapał się po wąsie.

– Mówili coś o czwartym?

Podkomisarz westchnął.

– Otóż nie mówili.

Cisza.

Kowalski schował fotografie do koperty, podał ją Miszczowi, stanął na środku pokoju i złapał się pod boki.

– W takim razie szukamy dalej, panowie – mruknął po chwili.

– Howgh – potwierdził Ostrowski.

XLIX

Wieczorem tego samego dnia na biurku Kowalskiego wylądował zapis podsłuchanej rozmowy Majewskiego z kochanką o nieznannej tożsamości. Sierżant zrobił sobie kawy, zamknął okno i zanurzył się w lekturze.

„- Miau.

- Kto mówi?

- Miau

- Ola, to ty?

- A ktoś ci inny miauczy?

- Oczywiście, że nie!

- To dlaczego głupio pytasz?

- Cholera, kochanie, miałaś tu nie dzwonić! Przecież ci tłumaczyłem, że musimy na jakiś czas unikać jakiegokolwiek kontaktu!

- Wiem, ale się stęskniłam.

- Kwiatuszku, ja też się za tobą strasznie stęskniłem, ale tu chodzi o nasze bezpieczeństwo. O naszą wolność! O nasze wspólne plany.

- Ale jak jeden telefon może to wszystko zniszczyć?

- Skąd dzwonisz? Nie mów, że z domu.

- Z budki telefonicznej.

- Gdzie jesteś?

- W centrum miasta.

- Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze? Umówimy się na spotkanie.

- Koniecznie.

- Rozłączam się.

- Chcę się z tobą pieprzyć.

- Ja też o tym marzę!

- Chcę ci obciągnąć.
- Kochanie, nie rób tego. To niebezpieczne!
- Obciąganie? Ssanie twojej wielkiej, czerwonej, ospermionej pały? To jest niebezpieczne?"

Kowalski przełknął ślinę, czując, że rumieni się na całej twarzy. Wbrew własnej woli przypomniał sobie harce z Anią, która uwielbiała w czasie seksu mówić różne sprośne, wulgarne rzeczy.

Upił łyk kawy i wznowił lekturę.

„- To akurat nie.

- A co jest niebezpieczne?
- Telefonowanie na mój domowy numer.
- Wpadasz w paranoję.
- Nie sądzę.
- To nie jest film, kochanie.
- Oła, przez takie wydzwanianie mogą nas namierzyć!
- Moje współlokatorki wyjechały na wycieczkę, mógłbyś do mnie wpaść. Pozwoliłabym ci ze sobą zrobić, wszystko czego byś zapragnął. Wszystko. Spełniłabym każdą twoją fantazję. Każdą, słyszysz? Nawet najbardziej niegrzeczną.
- Przestań, jesteś okrutna.
- Nie jestem okrutna! Jestem twoją dziwką, która czeka, aż ją porządnie wyruchasz w każdą dziurkę.
- Rozłączam się! Jutro zadzwonię.
- Jak sobie chcesz.
- Pa!
- Pa!"

Kowalski wypuścił powietrze i odłożył dokument.

- Kim jesteś, Ola? - mruknął do siebie. - I co masz wspólnego z napadem?

L

Zaraz po świętach wielkanocnych, trzynastego kwietnia, we wtorek, Wydział Techniki Operacyjnej poinformował, że Majewski wybiera się z ciągle niezidentyfikowaną kochanką do Szwecji na urlop. W związku z tym podinspektorzy Rambert i Buryła podjęli decyzję o zatrzymaniu trzech członków napadu, Waldemara Majewskiego, Marka Kamińskiego i Bartłomieja Radawskiego.

Odprawę wyznaczono na czternastego kwietnia na godzinę dwunastą. Zaczęła się jednak trzy godziny później. Zwłoka spowodowana była wiadomością o eksplozji bomby w jednym z poznańskich pubów. Zaalarmowane kierownictwo Komendy Wojewódzkiej zebrało się w trybie pilnym i przez godzinę gorączkowo ustalało plan działania. W ciągu ostatnich kilku lat liczba tego typu zdarzeń wzrastała, wprawiając mieszkańców Poznania w przerażenie. Trzeba było w końcu przedsięwziąć jakieś stanowcze środki zaradcze. Z wiedzy operacyjnej wynikało, że eksplozja mogła być dziełem grupy bardzo groźnego wielkopolskiego gangstera o pseudonimie Wietnam, która pobierała haracze przede wszystkim na Starym Rynku. Właściciel lokalu, przed laty bramkostrzelny piłkarz Lecha Poznań, był bardzo hardym człowiekiem i nie miał zamiaru nikomu płacić za „ochronę”. W efekcie stracił dwie nogi.

Sprawa zelektryzowała przede wszystkim podinspektora Buryłę, który przy każdej okazji jak refren powtarzał swoją ulubioną kwestię: „Panowie, trzeba w końcu stworzyć w Polsce specjalne wydziały zajmujące się tylko i wyłącznie przestępczością zorganizowaną”. Marzyła mu się wielka rozprawa z poznańską gangsterką wzorowana na starych

dobrych westernach z Johnem Wayne'em czy Clintem Eastwoodem. Podobno Warszawa coraz poważniej myślała o powołaniu do życia tego rodzaju jednostki. Bardzo go to ucieszyło, odnosił bowiem wrażenie, że zarówno Komenda Główna, jak i Ministerstwo Sprawiedliwości lekceważy problem. „Jeśli nie weźmiemy się za to – mówił – to zrobią nam z Polski Dziki Zachód”.

Po wyjściu z gabinetu komendanta wojewódzkiego zwołał cały niemal Wydział Kryminalny i podnieconym głosem ogłosił mobilizację.

– Wszyscy ruszają na miasto i szukają informacji na temat wybuchów. Nie! Nie szukają! Polują! – To powiedziawszy, podniósł palec w górę i warknął: – A jeśli mi który, albo która, przyniesie spreparowane informacje, jak pewien osobnik w tamtym roku, to... – Tu urwał teatralnie, ciężko sapnął i niecierpliwym gestem dłoni zakończył krótkie, ale i nad wyraz dynamiczne posiedzenie.

Potem skinął na Harry'ego, Miszcza, Katię oraz Bertę i udał się z nimi do salki konferencyjnej, gdzie coraz niecierpliwiej oczekiwano ich przybycia. Było parę minut po piętnastej. Naczelnicy stanęli obok małej mównicy. Buryła przejechał rozognionym wzrokiem po twarzach zebranych.

– Potwierdzam – oznajmił. – Jutro zatrzymujemy króliczki. Całą naszą wspaniałą trójeczkę.

Dodał jeszcze kilka tyłu efekciarskich, co motywujących zdań, a potem oddał głos Rambertowi, który krótko i zwięźle przedstawił plan działania.

LI

Pół godziny po wyczerpującej odprawie naczelnicy zasiedli przed ponurym obliczem Bossa.

– A co z klientem, którego nazywacie Czwartym? – zapytał komendant, wbijając w nich wzrok.

Cisza.

– Panowie, nie słyszę odpowiedzi.

– Niestety, nie udało się go namierzyć.

– Pozwólcie, że rozwinę zdanie: „Niestety, nie udało się wam namierzyć tego najważniejszego”.

Rambert pokręcił głową.

– Najważniejszego? – dopytał niepewnie.

– Wszystko wskazuje, że to on zabił dziewczynę przecież.

– To prawda, ale... – Urwał.

Buryła chrząknął.

– Ale nie wiemy, jak była jego rola w samym napadzie – dodał. – Podejrzewamy, że Czwarty to ktoś... jakby... osobny, z innej... bajki.

Bossowski pokiwał głową.

– Niech będzie.

Zaciągnął się cygarem.

– Ale tak czy owak, nie uważacie, że w tej sytuacji zatrzymanie będzie błędem? Zatrzymując tylko trzech, automatycznie dajecie sygnał Czwartemu, żeby zniknął, ukrył się, rozplynął w powietrzu.

– Chyba nie mamy wyjścia.

– Dłaczego?

– Majewski szykuje się na wycieczkę z kochanką do Sztokholmu. Nie możemy ryzykować. Trzeba go jak najszybciej zwinąć, zanim zniknie nam z radarów.

Boss wypuścił dym z ust.

– Rozumiem. No trudno. Działajcie.

Naczelnicy wstali i skierowali się w stronę drzwi.

– Ale dlaczego do Sztokholmu, a nie do jakiegoś Paryża? –
Usłyszeli nagle.

– Bo to kraina rozpusty? – burknął Buryła i nacisnął klamkę
drzwi.

– No chyba że...

Ostrowski zaparkował pod blokiem Katii i pstryknął w figurkę He-Mena, którą zawiesił parę dni temu przy wstecznym lusterku. Wciągnął powietrze, po czym zerknął na zamyśloną Katię. Czuł się dziwnie, niezręcznie.

– Zaprosisz mnie do siebie? – zapytał, próbując się uśmiechnąć. Nie bardzo mu to wyszło.

– Dzisiaj nie.

Spodziewał się mniej więcej takiej odpowiedzi. Dziewczyna przez całą odprawę unikała jego wzroku. Cudem udało mu się namówić ją na podwiezienie pod dom.

– Dlaczego nie? – zagadnął.

Katia wzruszyła ramionami.

– Jutro mamy bardzo pracowity dzień przecież. Muszę odpocząć, wyspać się, nabrać sił. – Spojrzała na niego. – Ty zresztą też.

Pokiwał głową i zerknął na ścianę budynku oświetloną lampami jego samochodu. Dostrzegł na niej napis wymalowany niebieskim sprayem: „Life is full of zasadzka”. Przeszło mu przez głowę, że to jest pieprzona prawda. *A może to nie życie jest zbiorem zasadzek, a kobiety?* – pomyślał.

– Racja. Ale...

– Ale?

– Mam wrażenie, że ostatnio...

Urwał.

– Że co ostatnio?

– Że unikasz mnie. – W tym stwierdzeniu dało się wyczuć nieśmiałe pytanie.

Katia westchnęła.

– Damian...

– Tak?

– Chodzi o to, że...

– O co? – spojrzał na nią wyczekująco.

Odgarnął włosy i wypuścił głośno powietrze. Otworzył usta i natychmiast je zamknął. Wymienili się badawczymi spojrzeniami.

– Jeśli żałujesz, że doszło...

Katia się skrzywiła.

– Nie żałuję – odparła. – Tylko... po prostu...

Damian zrobił ruch ręką.

– Nie chcesz iść dalej, tak? – zapytał, czując przykry ucisk w przełyku.

Teraz ona wypuściła głośno powietrze i spojrzała na figurkę He-Mena.

– Chciałabym, żebyśmy zostali...

Zaśmiał się.

– Przyjaciółmi, rozumiem.

– Tak, właśnie.

Zagryzła usta i przerzuciła wzrok na niego.

– Co ty na to?

Co ja na to? Ostrowski uprzytomnił sobie nagle, że w takiej sytuacji był już kilka razy z paroma dziewczynami. Coś się zaczynało, a potem z powodu wątpliwości jednej czy drugiej strony dochodziło do nagłego zerwania znajomości. *Co ja na to?* – powtórzył w myślach, szukając jakiejś sensownej odpowiedzi. Nic mu jednak nie przychodziło do głowy. Bo co tu można powiedzieć?

– Myślę, że to jest dobry pomysł – mruknął.

Spojrzała na niego.

– Naprawdę tak myślisz? Czy tylko...

Czy tylko co? – zirytował się w duchu. A co ty naprawdę myślisz? I czego ode mnie chcesz? Mam zaprzeczyć czy się zgodzić? Dlaczego każda kobieta jest jak Pytia? Dlaczego żadna z was nie powie prosto i konkretnie, o co, kurwa,

chodzi. Zawsze trzeba się domyślać...

Wzruszył ramionami.

Przez chwilę milczeli, wpatrując się w pulpit samochodu. Do ich uszu doszedł nagle fragment znanej piosenki: „Nic, naprawdę nic nie pomoże / jeśli ty nie pomożesz dziś miłości”. Ostrowski wywrócił oczami i ściszył magnetofon. W jednej chwili poczuł, że nie chce mu się brnąć z kolejną dziewczyną w ślepą uliczkę.

Chrząknął i burknął:

– Myślę, że nie powinniśmy robić niczego na siłę. – Położył ręce na kierownicy. – Jeśli nie mamy pewności, że to dobry pomysł, to dajmy sobie spokój – powiedział.

Spojrzała na niego i kiwnęła głową.

– Masz rację – odparła i odpięła pas. – Dzięki za podwózkę.

Uśmiechnęła się, pocałowała go w policzek i wyszła z samochodu.

Gdy zniknęła mu z oczu, powiedział na głos:

– Mam rację i co dalej?

Znowu zerknął na napis na ścianie i westchnął. Po krótkiej chwili wbił wsteczny, wycofał auto i ruszył.

Jadąc do domu, przypomniał sobie scenę z przeszłości, która co jakiś wynurzała się z odmętów jego pamięci.

To była gdzieś na pierwszym albo drugim roku studiów. Poszedł na domówkę zorganizowaną przez fajną koleżankę z Akademii Sztuk Pięknych. Kiedy goście wyszli, oni kontynuowali imprezę, w końcu wylądowali w łóżku.

Na drugi dzień dziewczyna zagadnęła go przepitym głosem:

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego? – zapytał, zaniepokojony jej posępną miną.

– Jestem chora – wypaliła.

Wbił w nią przerażony wzrok. O kurwa – pomyślał, czując ukłucie w sercu. *Zaraziła mnie HIV-em, pierdolona.*

– Na co? – zapytał cicho w oczekiwaniu na wyrok.

– Jestem schizofreniczką. – Usłyszał.

Dziewczyna obrzuciła go uważnym spojrzeniem, czekając na reakcję.

On wtedy tworzył szeroko oczy, przełknął ślinę i po chwili drżącą ręką sięgnął po paczkę papierosów.

Ostrowski zaparkował samochód pod blokiem i wyłączył silnik. *To chyba był prawdziwy początek moich dziwacznych przygód z dziewczynami* – pomyślał, opierając głowę o zagłówek.

Posiedział parę minut w ciszy, a potem zerwał się i wysiadł z samochodu. Gdy uprzytomnił sobie, że nuci „Moją i twoją nadzieję”, wyrócił oczami. *Jestem sentymentalnym osłem* – skarcił się w myślach.

LIII

Po wejściu do domu Katia poczuła, że jej serce bije w nieco przyspieszonym rytmie.

Nie, to nie miało żadnego związku z Damianem. Niby dlaczego miałoby mieć? Po tamtej gorącej nocy Ostry zrobił się jej nagle odległy, obcy. Zbędny? Od zawsze tak miała. Po wszystkim robiła pospieszny w tył zwrot. Po chwili słabości, owszem, bardzo przyjemnej, uciekała.

Powiesiła na wieszaku kurtkę, zdjęła glany i zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Była blada, miała podkrążone oczy i tłuste włosy. I kilka pryszczycy. Westchnęła i pokazała sobie język.

Zdjęła buty, weszła do pokoju i włączyła telewizor. Gdyby nie późna pora, ustawiłaby go na cały regulator. Czuła silną potrzebę zagłuszenia swoich myśli.

Akurat zaczynało się Koło Fortuny. Wąsaty prezenter i piękna, szczupła hostessa wpatrywali się w białego lśniącego poloneza. Głos z offu oznajmił, że samochód warty jest sto dwadzieścia pięć milionów złotych i stanowi dzisiejszą nagrodę. Rozległy się oklaski. Po chwili zaczęła się rozgrywka.

Katia położyła rękę na czole, było gorące. Myślami wróciła na odprawę. Była trochę zaskoczona decyzją naczelników, żeby Kamińskiego zatrzymać bez udziału antyterrorystów. Tylko ona, Kowalski i ktoś z tamtejszej komendy. Duża odpowiedzialność. Otóż to, przestraszyła się odpowiedzialności.

Dlaczego ja się zawsze stresuję? – ofuknęła się w myślach. Był to jej refren, który bardzo często kierowała do siebie. *Dlaczego ja się zawsze stresuję? Dlaczego, dlaczego?*

Nagle przed oczami stanęła jej matka, która w nerwowych

sytuacjach siadała w kątku, wyciągała z kieszeni różaniec i zanurzała się w modlitwie. Katię zawsze niemiłosiernie wkurzało to mamrotanie kolejnych zdrowasiek. Tępe mamrotanie kogoś, kto przeraźliwie boi się życia. Dziewczyna pokręciła głową i westchnęła.

Idąc, zrzucała z siebie kolejne elementy garderoby. Miała wrażenie, że prześmierdłej całodniowym potem. Nalawszy do wanny wody, ułożyła się wygodnie i zaczęła głęboko i powoli oddychać. Musiała się uspokoić, nie mogła przecież sobie pozwolić na bezsenną noc.

Zanurzyła się i przytrzymała kilka sekund głowę pod wodą. *I tak przecież nie zasną.* Wypluła wodę. Przeniosła się myślami na odprawę. Do tego momentu, w którym Buryła przejął głos od Ramberta i zaczął mówić o specyfice zatrzymania Kamińskiego:

– Ale tu jest o tyle wyjątkowa sprawa, że nie skorzystamy ze wsparcia antyterrorystów.

– Dlaczego?

– Tam jest przecież dwójka chorych dzieci. Musimy być bardzo ostrożni. Jeśli coś tu się złego zdarzy, to będziemy mieli przechlapane. Dziennikarstwo podłapie i nas zgrilluje dokumentnie. Kapujecie? – No tak, kapowali, ale przecież... – Poza tym, ten cały Kamiński to jest dokumentna ofiara losu. Cherlawy pener. Zrobicie to na spokojnie, jak za starych dobrych czasów, kiedy zbóje nie stawiali oporu w czasie realizacji.

Znowu się zanurzyła. Na trochę dłużej. Potem dołała sobie zimnej wody. Przypomniała sobie dalszą część przemowy Buryły:

– Zapukacie, wejdziecie, przedstawicie się z uśmiechem, bardzo spokojnie założycie klientowi kajdanki i wyprowadzicie go. Dostaniecie wsparcie od miejscowych chłopaków, rozmawiałem już w tej sprawie z tamtejszym komendantem.

Gdy myślała zęby, doszedł ją z korytarza odgłos telefonu. Nie

chciało jej się odbierać, postanowiła go zignorować. Ale telefon dzwonił i dzwonił.

Kto to? – Zmarszczyła brwi, owinęła się ręcznikiem i wyszła z łazienki. *Może to Ula?* – powędrowała myślami do przyjaciółki, policjantki z Buku, z którą parę miesięcy temu zatrzymała seryjnego zabójcę kobiet. Ostatnio lubiła dzwonić do niej późnymi wieczorami. Najczęściej po pijaku. Chyba przeżywała kiepski okres. Nic dziwnego, romans z facetem, który okazał się gwałcicielem i mordercą, musi być jak bomba z opóźnionym zapłonem.

– Słucham – odezwała się, siadając na krześle.

– Cześć, Katia.

Drgnęła ze zdziwienia. To nie była Ula. To był Kowalski.

– Hej – odpowiedziała.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

– Raczej dzisiaj nie zasnę.

– Rozumiem. Ja chyba też nie.

– Dlaczego dzwonisz? – zapytała, kładąc stopę na krześle.

Jak on ma na imię? Chyba Paweł? Oparła brodę o kolano i wyobraziła wtedy sobie sympatyczną twarz kolegi z dochodzeniówki.

– Taki ostatni telefon przed akcją – powiedział. – Chciałem tylko powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Katia mimowolnie się uśmiechnęła.

– Dzięki – odparła.

– Nie, to ja dziękuję, że mogłem to komuś powiedzieć.

On się stresuje – przeszło jej przez myśl.

– Pa.

– Pa.

Połączenie zostało przerwane. Katia wstała i poszła do łazienki, żeby dokończyć mycie zębów.

CZĘŚĆ

CZWARTA

Nazajutrz parę minut przed szóstą na ulicy Jarochowskiego mieszczącej się na poznańskim Łazarzu pojawiło się kilka policyjnych samochodów.

Rambert wyszedł z poloneza, oparł się o niego i spokojnie obserwował komandosów, którzy wysypali się z transporterów i ruszyli w kierunku domu jednorodzinny zamieszkiwanego przez Waldemara Majewskiego. Wyjął z kieszeni paczkę gum, włożył jedną do ust i podszedł do otwartej furtki.

Gdy wszedł na teren posesji, usłyszał miauknięcie kota, który przebiegł mu drogę. Był czarny. Zaraz potem przeleciał mu pod nogami rudy, warczący nieśmiało kundel.

Chwilę później rozległ się odgłos granatu hukowego. Antyterroryści wtargnęli do domu.

Podinspektor przyspieszył kroku. Wbiegł po schodkach i wkroczył do środka.

– Sypialnia – ktoś krzyknął tubalnym głosem.

Jeden z zamaskowanych mężczyzny wskazał mu dłonią kierunek. Poczul lekki dreszczyk podniecenia jak za starych dobrych czasów, kiedy tego rodzaju akcje były dla niego chlebem powszednim. Lubił bycie naczelnikiem, czyli kimś, kto przede wszystkim pracuje za biurkiem, ale czasami tęsknił za robotą w terenie. Realizacja była chyba jednym z najbardziej ekscytujących czynności.

Wyjął z ust gumę, owinął ją w papierek i schował do kieszeni. Idąc wzdłuż korytarza, usłyszał podniesiony kobiecy głos.

– Co ty się wyprawia? Co wy tu robicie, do cholery?!

Nabrał powietrza i przekroczył próg sypialni, dużego oraz nowocześnie zaaranżowanego pomieszczenia. W środku,

pomiędzy łóżkiem a oknem wychodzącym na ogród, stała filigranowa, długowłosa brunetka, mniej więcej czterdziestoletnia. W jedwabnym szlafroku. Wbiła wściekły wzrok w Ramberta. Pod prawym okiem miała siniaka.

Po drugiej stronie łóżka stał mężczyzna w kajdankach. W samych slipkach. Znacznie młodszy od niej, w okolicach trzydziestki. Wysoki, dobrze zbudowany, z imponująco wyrzeźbionym brzuchem. Krótko ostrzyżony, o chłopięcej urodzie.

Rambert zmarszczył czoło. *Coś tu się nie zgadza* – pomyślał, omiatając chłopaka czujnym wzrokiem. Pamiętał doskonale postać Majewskiego, czterdziestoparoletniego mężczyzny o średnim wzroście, klasycznie uczesanego, z przedziałkiem na boku. Epatującego samczą pewnością siebie.

– Kim pan jest? – zapytał po chwili.

– A kim wy jesteście i co tu robicie?

Rambert podszedł do kobiety i pokazał jej swoją legitymację służbową.

– Podinspektor Jerzy Rambert, Komenda Wojewódzka – powiedział.

Kobieta przygryzła nerwowo usta.

– Pani Joanna Majewska? – zapytał.

– Zgadza się.

– Przyjechaliśmy po pani męża, Waldemara Majewskiego.

Zbladła i skuliła się jak przed uderzeniem.

– Mamy nakaz – dodał Rambert.

– Jak to?

– Podejrzewamy pani męża o wzięcie udziału w napadzie na konwój Markizy.

Majewska zrobiła wielkie oczy i usiadła na łóżku.

Naczelnik przerzucił wzrok na porozrzucaną w nieładzie pościel. Spojrzał na dywan, na którym leżało pudełko po prezerwatywach. Potem na zdjęcie małżeńskie zawieszony nad łóżkiem, przedstawiające młodziutkie, roześmiane małżeństwo

Majewskich.

Majewska sięgnęła po pudełko papierosów i zapaliła. Rambert zerknął na zakajdowanego mężczyznę slipkach, przy którym stało dwóch komandosów. Był całkowicie zdezorientowany. Drżał.

– Macie pecha – powiedziała Majewska. – Minęliście się z moim mężem.

Rambert patrzył na nią wyczekująco.

– Wyszedł o jakiejś pierwszej w nocy.

Zaciągnęła się mocno i wypuściła dym.

– A jak wyszedł, zadzwoniłam po Mateusza... – Urwała i wysunęła brodę w jego stronę. – Po... mojego... przyjaciela.

Rambert skinął głową i rzucił do komandosów:

– Rozkujcie pana...

Spojrzał na niego.

– Jak się pan nazywa?

Mężczyzna przełknął ślinę, pomasował się po uwolnionych nadgarstkach i powiódł wzrokiem po podłodze w poszukiwaniu spodni. Leżały zmięte pod kaloryferem. Założył je i zerknął spłoszonym wzrokiem na Ramberta.

– Mateusz Czapliński – powiedział.

– Jest pan przyjacielem pani Majewskiej?

– Tak.

– Zna pan jej męża?

Czapliński sięgnął po koszulkę, która leżała na czarnym skórzanym fotelu ustawionym w rogu sypialni. Nałożył ją na siebie.

– Nie – powiedział. – To znaczy – poprawił się – nie znam go osobiście. Tylko z opowiadań Asi.

Spojrzał na kobietę, która uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Proszę się ubrać – powiedział Rambert. – Pojedzie pan z nami na komendę.

– Ale ja nic nie zrobiłem, nic nie wiem – krzyknął. – Jestem tylko fryzjerem!

Podinspektor się uśmiechnął.

– Chodzi o rutynowe przesłuchanie – odparł. – O nic pana nie podejrzewamy. Proszę się nie martwić.

Spojrzał na komandosów.

– Zabierzcie pana – rzucił. – Poczekajcie na mnie na zewnątrz.

Zamilkł, zerknął na Majewską, która odprowadziła wzrokiem swojego przyjaciela. Dostrzegł w jej oczach błysk pożądania. Nie zdziwił się. Chłopak miał świetne ciało, musiał elektryzować kobiety.

Gdy wszyscy wyszli, usiadł na fotelu.

– Pani Joanno – odezwał się. – Co się wydarzyło w nocy?

Majewska nabrała powietrza i wypuściła je powoli.

Wstała z łóżka, z kieszeni szlafroka wyjęła papierosy. Znowu zapaliła. Oparła się o kaloryfer. Za plecami miała okno, z którego widać był ogród z kilkoma rozłożystymi drzewami. Na niebie pojawiła się sylwetka samolotu. Leciał bardzo wysoko, pozostawiając z tyłu charakterystyczną smugę.

Wypuściła dym i łypnęła podejrzliwie na Ramberta.

– Co będzie z Mateuszem?

– Nic. Ktoś go przesłucha i wypuści.

– Na pewno?

– Jasne. – Rambert poruszył się niecierpliwie w fotelu. – Co się wydarzyło w nocy? – powtórzył pytanie.

– Pokłóciliśmy się. To nasze ulubione zajęcie od jakiegoś czasu. Tym razem bardzo mocno. Wściekłam się na niego strasznie, w jego marynarce znalazłam fotkę jakiejś roznegliżowanej panienci z podpisem: „Dla mojego Misiaczka”. Niby nasze małżeństwo to fikcja, on ma te swoje dziwki, ja też nie zamierzam być zakonnica, ale to mnie wkurwiło. Zdjęcie jakiejś nagiej głupiej cipki. Rzuciłam w niego kapciem. Zaczęliśmy wrzeszczeć na siebie, potem się szarpać. W którymś momencie uderzył mnie...

Majewska urwała. Ostrożnie dotknęła dłonią twarzy, na

której widniał siniak. Spojrzała na oficera, jakby chciała sprawdzić, jak podziałała na niego ta scena.

– Nie powiem, od razu się opamiętał. Wykrztusił „przepraszam”, pobiegł do gabinetu i po jakimś kwadransie opuścił dom. Usłyszałam warkot silnika. – Wzruszyła ramionami. – I tyle.

– I tyle?

– Nalałam sobie wódki, napiłam się i zadzwoniła po Mateusza, którego poznałam jakiś miesiąc temu w salonie fryzjerskim. Czasami sypiamy ze sobą.

– Która to była godzina?

– Nie wiem. Druga, po drugiej?

Cisza.

– Powiedział pan, że podejrzewacie Waldka o napad na konwój... – Spojrzała na niego badawczo. – Chodzi o ten słynny napad, o którym gazety rozpisują się od paru tygodni?

– Tak.

– Podobno...

Kobieta ściągnęła usta.

Jej twarz zadrżała.

– Podobno ktoś ze sprawców... – westchnęła przeciągle – ... zamordował dziewczynę...?

– Tak. Ktoś ze sprawców zgwałcił ją i udusił.

Majewska się wzdrygnęła.

Odwróciła się w stronę okna.

– Czy to Waldek? – zapytała po chwili.

Rambert, który usłyszał w tym pytaniu cichą prośbę o zaprzeczenie, nabrał powietrza do płuc i położył dłonie na udach.

– Nie mogę mówić o szczegółach – mruknął, rozglądając się po sypialni.

Na jednej ze ścian dostrzegł subtelne erotyczne grafiki.

– Przepraszam, ale...

– Czy to Waldek ją zabił? – Nieoczekiwanie podniosła głos.

Rambert drgnął.

– Proszę odpowiedzieć, do cholery! – Odwróciła się i wbiła w niego wzrok.

– Czy to on zabił? Czy jestem żoną mordercy?

Pokręcił głową.

– Sądzymy, że nie.

Odetchnęła z ulgą i usiadła na łóżku.

Założyła nogę na nogę. Rambert mimowolnie spojrzał na jej ładne stopy. Miała paznokcie pomalowane na czerwono.

Teraz on wstał i oparł się o kaloryfer.

– Czy wie pani, gdzie może być małżonek?

Pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia – szepnęła. – Wyszedł bez pożegnania.

Rambert przybrał zatroskany wyraz twarzy. Nachylił się lekko w jej stronę.

– Pani Joasiu – odezwał się. – Musimy go znaleźć. Im szybciej to zrobimy, tym lepiej.

Spojrzała na niego sceptycznie.

– Tym lepiej?

Przytaknął.

– Zanim nie narobi kolejnych głupstw. – Przyłożył dłoń do dłoni i podrapał się po podbródku. – Zanim nie zostanie wysłany za nim list gończy. Zanim media nie zaczną publikować jego zdjęć...

Spojrzał na nią.

– Rozumie pani sytuację? I jej ewentualne konsekwencje?

Cisza.

– Rozumie pani?

W jej oczach zalśniły łzy.

– Tak – powiedziała zduszonym głosem. – Rozumiem.

– W takim razie proszę zastanowić się porządnie i powiedzieć, gdzie on mógł w środku nocy pojechać?

– Może pojechał do jakiegoś burdelu? – Spojrzała na niego i prychnęła: – Wiem, że korzysta.

– Coś innego przychodzi pani do głowy? – zapytał cierpliwie.
Zamyśliła się.

Rambert patrzył na nią uważnie. W pewnym momencie dostrzegł, że drgnęła i poruszyła parę razy nerwowo powiekami.

– Tak? – odezwał się surowo.

– Wiem, że jakiś czas temu kupił sobie w sekrecie mansardę – odezwała się Majewska, sięgając po raz kolejny po papierosa. – Myślał, że nie wiem. – Uśmiechnęła się ironicznie. Zapaliła, zaciągnęła się. – Może tam pojechał? – powiedziała, wypuściwszy dym.

Rambert zrobił krok w jej stronę.

– Jaki jest adres tej mansardy?

– Jeżyce.

– A konkretniej?

– Na Prusa.

– Pamięta pani dokładny adres?

Przygryzła usta.

– Tak – powiedziała, wpatrując się w swoje białe kształtne stopy.

– Proszę podać.

Podąła. Głuchym, smutnym głosem.

Rambertowi zrobiło się jej nagle żal. Spojrzał na nią serdecznie, westchnął, pożegnał się i wyszedł z domu.

Uderzył go powiew świeżego wiatru. Mimowolnie poruszył nozdrzami. W powietrzu poczuł intensywny zapach. Co to może być?

Tuż przy nogach przebiegł mu kot, a potem warczący pies. *Jest w tym jakaś metafora* – pomyślał gorzko i ruszył w stronę policyjnych samochodów. Zapaliwszy papierosa, wydał odpowiednie dyspozycje. Potem zasiadł za kierownicą poloneza i skierował się na Jeżyce. Jeden z transporterów pojechał za nim.

Kilkanaście minut później Rambert w towarzystwie dwóch

komandosów pojawił się na ulicy Prusa. Bardzo lubił jej mieszczańską architekturę. Po przejściu na emeryturę chciałby kupić gdzieś tutaj mieszkanie, wyremontować je i w tej specyficznej scenerii dożyć końca swoich dni, oglądając Antonioniego i czytając Johna le Carré.

Omiótł wzrokiem kilka efektowniejszych kamienic, po czym wszedł do klatki schodowej. Zrobiwszy parę kroków, zatrzymał się. Stanowczym gestem dłoni dał znać podwładnym, żeby zrobili to samo.

Kryjówka Majewskiego mieściła się na drugim piętrze, pod numerem piątym. Złapał się poręczy i nastawił uszu. Miał wrażenie, że słyszy jakiś chichot.

Po cichu wszedł na piętro i przystanął.

– Słyszysz?

– No?

– Ale jęczy!

To byli jacyś młodzi chłopcy.

– Suka pierwsza klasa.

– Ciekawe, jak wygląda?

– To chyba ta cycata blondynka, z którą widzieliśmy go ostatnio parę razy.

– O kuźwa, ale wyje!

– Co tam się musi dziać, stary.

– Dobra, chodźmy, bo się spóźnimy na autobus.

Nagle na korytarzu rozległ się odgłos zbiegających stóp i trzeszczenie drewnianych schodów.

– Idziemy – mruknął Rambert i zaczął się wspinać. Na pierwszym piętrze minęli dwóch chłopców ze sportowymi torbami, którzy na ich widok otworzyli szeroko oczy i bąknęli spłoszone „dzień dobry”. Gdy policjanci stanęli na drugim piętrze, usłyszeli trzask gwałtownie zamykanych drzwi od klatki schodowej.

Podinspektor spojrział na tabliczkę z numerem pięć. Przysunął się do drzwi. Po chwili usłyszał stłumiony odgłos

kobiecego pojękiwania oraz męskiego sapania. Chłopcy mieli rację, w mieszkaniu musiały się dziać niezwykle ekscytujące rzeczy. Komandosi zarechotali. Rambert skarcił ich, marszcząc groźnie brwi. Spojrzał na zegarek, było parę minut po siódmej.

Odczekał, aż kochankowe ucichną i zapukał. Nie było żadnej reakcji, więc zapukał raz jeszcze. Też nic. Zadzwoił. Parę razy, natarczywie. Usłyszał szelest kroków. Ktoś przystanął przy drzwiach. Rambert poczuł na sobie wzrok. Spojrzał na wizjer. Po drugiej stronie drzwi ktoś przeklął, a potem przekręcił zamek. Drzwi się lekko otworzyły, naprężając metalowy łańcuszek. W szczelinie pojawiła purpurowa od rumieńców, zasapana męska twarz. Bingo – ucieszył się w myślach podinspektor. Majewski. Mamy ptaszka.

– Słucham? – W głosie mężczyzny wybrzmiała z trudem skrywana irytacja.

– Waldemar Majewski?

– Nie!

– Na pewno?

Mężczyzna się skrzywił.

– Co jest grane? Kim pan jest?

– Podinspektor Jerzy Rambert, Komenda Wojewódzka – odparł oficer, machając mu przed oczami legitymacją. – Proszę otworzyć drzwi.

– O co chodzi?

– Proszę otworzyć drzwi.

– Ale dlaczego? – warknął Majewski. – Ma pan jakiś nakaz czy coś?

Za plecami Ramberta stanęli komandos.

– Otwieraj drzwi, luj! jeden – burknął jeden z nich, wprawiając Majewskiego w popłoch.

– Panie Majewski, musimy wejść – odezwał się Rambert.

Majewski przełknął ślinę, zamknął drzwi i po chwili otworzył je oścież. Stał w progu w slipkach i patrzył na nich coraz

bardziej przestraszonym wzrokiem.

Rambert omiół go spojrzeniem. Był to średniego wzrostu mężczyzna, całkiem dobrze zbudowany. Przystojny. Krótko obcięty, z eleganckim przedziałkiem. Na przedramieniu miał tatuaż z kotwicą. Na udach pojawiła się gęsia skórka.

– Proszę – mruknął i przesunął się w głąb mieszkania.

Policjanci ruszyli za nim. Przekroczywszy próg, rozejrzeli się wokół. Białe ściany, duże lustro, wieszak, puszysty dywan. Na krześle leżała czerwona damska bielizna.

– Kochanie, co się tam dzieje? – Z jednego z pokoi dobiegł ich zaniepokojony dziewczęcy głos.

– Nie wiem, kotku – warknął. – Mamy niezapowiedzianych gości.

– Że co?

Po chwili drzwi otworzyły się i mężczyźni ujrzeli szczupłą, bardzo ładną blondynkę. Miała na sobie czarny szlafroczek i czarne pończochy.

– O kurwa – mruknęła na ich widok.

Na moment zapadła cisza, w czasie której wszyscy zebrani zerkali na siebie badawczo.

Oczy Ramberta się zwężyły.

Odnosił niejasne wrażenie, że już gdzieś widział dziewczynę. Ten seksowny pieprzyk nad ustami, który skojarzył mu się ze słynnym znamieniem Cindy Crawford. *Tylko gdzie?* – ściągnął twarz, przetrząsając gorączkowo pamięć. *Gdzie to było?*

– O co chodzi? – wykrztusiła nagle dziewczyna.

Rambert przeniósł wzrok na Majewskiego, który zaczął nerwowo mrugać oczami.

– Jest pan zatrzymany w związku z podejrzeniem wzięcia udziału w napadzie na konwój pieniędzy Wytwórni Czekolady Markiza – oznajmił inspektor.

– Że co? – szepnął Majewski i złapał się za głowę. – Ale jak to?

Rambert przyglądał mu się z uwagą.

– Ale jak to? Skąd wy? Przecież to było...

W jego oczach malowało się bezgraniczne zdumienie. Sprawiał wrażenie człowieka, który w najśmielszych snach nie przewidywał takiego scenariusza.

Dziewczyna wbiła wzrok w Majewskiego.

– Mówiłeś, że zrobisz... – syknęła, urywając zdanie, jakby się nagle ugryzła w język.

Przeniosła wzrok na oficera, który zmarszczył czoło i zupełnie niespodziewanie doznał olśnienia. *Ta blondynka jakiś czas temu była brunetką* – pomyślał podekscytowany. Przypomniała mu się fotografia, którą parę tygodni temu oglądał w którymś z tygodników. Fotografia, na której pozował Maryl, prezes Markizy, oraz jego córka, brunetka, ładna dwudziestolatka. Uśmiechnięci, trzymający w dłoniach świąteczne czekolady.

Tak, to była córka Maryla! Aleksandra. Chyba.

Brzmiało to zbyt fantastycznie, filmowo, ale przecież cała historia w zgodnej opinii wszystkich przypominała hollywoodzkie widowisko.

– Za co niby go zatrzymujecie? – zapytała dziewczyna, blednąc na twarzy.

– Za wzięcie udziału w napadzie na konwój pieniędzy – powtórzył Rambert.

W tym momencie komandosi zbliżyli się do Majewskiego.

– Tego napadu? Sprzed paru tygodni? – szepnęła blondynka.

– Tego, o którym teraz głośno w telewizji i radiu?

– Tak.

– Waldek. – Spojrzała na Majewskiego. – To prawda? Brałeś w tym udział?

Majewski otworzył szeroko oczy i wypuścił głośno powietrze.

– Co ty mówisz? – szepnął. – Przecież...

– Co przecież? – syknęła.

Majewski chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Wbił wzrok w stopy i pokiwał głową.

– Nic – burknął.

Rambert obrzucił czujnym spojrzeniem dziewczynę.

– Mogę zobaczyć pani dowód osobisty?

Uniosła brwi.

– A dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Muszę panią wylegitymować. Została pani nakryta w łóżku z przestępcą, który poszukiwany jest przez policję.

Wypuściła głośno powietrze.

– Nie mam przy sobie dowodu – burknęła.

Rambert się uśmiechnął.

– Rozumiem, pani Aleksandro.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

– Pan mnie zna?

– Mam wrażenie, że tak.

Komandosi zerknęli zaskoczeni na naczelnika.

– Nazywa się pani Aleksandra Maryl, prawda?

Cisza.

– I jest pani córką prezesa Markizy, zgadza się?

Cisza.

Na czole dziewczyny pojawiły się krople potu.

– Prawda? – powtórzył podinspektor.

Westchnienie.

– Tak.

– No i w ten sposób sytuacja zrobiła się bardzo ciekawa – mruknął Rambert, mając wrażenie, że znalazł się na planie filmowym. Kiwnął głową komandosom, którzy złapali Majewskiego pod ramiona, i wyprowadzili z sypialni, a potem zerknął na córkę prezesa. – Proszę się ubrać – rzucił do niej. – Pojedźcie pani z nami na komendę.

Uniosła brwi.

– Ja też jestem zatrzymana?

– Ależ skąd – odparł Rambert odrobinę zniecierpliwiony. – Po prostu musimy panią przesłuchać na komendzie.

Równo o szóstej rano Kowalski zapukał do drzwi, do których przytwierdzona była tabliczka z napisem „M. i A. Kamińscy”. Nic. Minęło kilka sekund. Nic. Raz jeszcze zapukał. Też nic. Wypuścił powietrze i zadzwonił. Rozległ się nieprzyjemny dźwięk. Po chwili usłyszeli kroki.

– Kto tam? – To był zaspany kobiecy głos.

Kowalski skinął głową na Katię. Ta przysunęła się drzwi.

– Dzień dobry, proszę otworzyć – odezwała się. – Mamy pilną sprawę.

– Kim jesteście?

– Policja.

Zapadła cisza.

Po dłuższej chwili drzwi się otworzyły, w progu stanęła trzydziestoparoletnia kobiet w brązowym szlafroku frotté. Pulchna, niewysoka, o krótkich włosach. Była blada, miała worki pod oczami. Patrzyła na nich nieprzychylnym wzrokiem.

– Słucham, o co chodzi? – odezwała się zaczepnie.

Za jej plecami stanęło paroletnie dziecko, chyba dziewczynka.

– Dzień dobry, pani Aneto – powiedziała Katia, uśmiechając się życzliwie. – Jesteśmy z Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu.

– Z Komendy Wojewódzkiej? – zapytała Kamińska, otwierając szeroko oczy. – Z Poznania przyjechaliście? Tutaj, do nas?

Kiwnęli głowami.

– Ale dlaczego? O co chodzi?

– Jest małżonek? – zapytał Kowalski, wyciągając z wewnętrznej kieszeni odznakę.

Kobieta zaczęła pospiesznie oddychać. W jej oczach dostrzegli paniczny lęk.

– Możemy wejść?

– Czego chcecie od mojego męża?

Dziecko nagle zapłakało nagle i uciekło w głąb mieszkania. Kamińska obróciła się gwałtownie za nim.

– Paulinko – szepnęła, zakrywając drżącą dłonią twarz.

– Musimy wejść do środka – powiedział Kowalski, czując, że robi mu się zimno na plecach.

– Ale o co chodzi?

W głębi mieszkania coś stuknęło.

– Mamo, co się tam dzieje? – To był chłopięcy, lekko zdeformowany głos.

Kowalski skrzywił się i spojrzał na Katię, która nerwowo zagryzała usta.

– Proszę nas wpuścić – powiedział stanowczo, przykładając dłoń do drzwi. – Mamy rozkaz, żeby...

Kamińska otworzyła je szerzej i zrobiła im miejsce. Gdy weszli do środka, wskazała drzwi małego pokoju. Wbili w nie wzrok i usłyszeli zduszone przekleństwo. A potem dziecięcy płacz, z innej części mieszkania. Drzwi się otworzyły. W progu stanął zaspany mężczyzna w szortach, z nagim zarośniętym torsem. Miał okrągłą, pryszczatą twarz. Spojrzał na nich zwięzonymi oczami i podrapał się po głowie.

– Co jest grane? – zapytał zachrypniętym głosem.

– Marek Kamiński? – zapytał Kowalski.

– No tak.

Sierzant otworzył usta, ale natychmiast je zamknął, ponieważ w przedpokoju pojawił się jasnowłosy nastolatek o kulach. Był ubrany w ciemnozieloną piżamę. Zrobił nieporadnie parę kroków, przystanął obok matki i obrzucił policjantów przestraszonym spojrzeniem.

– Co się dzieje? – zawołał.

Kowalski mimowolnie zerknął na koleżankę, wziął oddech

i zwrócił się do Kamińskiego:

– Jest pan zatrzymany...

Urwał, czując, że za ramię łapie go Kamińska.

– Jaki zatrzymany?! Pod jakim zarzutem? – Żona przestępcy zaczęła krzyczeć. – Czy wyście już całkowicie oszaleli? Za co zatrzymany?

Kamiński zbladł i spojrzał przestraszony na Kowalskiego i Katię.

– Że co? – wymamrotał.

– Jest pan zatrzymany w związku z podejrzeniem wzięcia udziału w napadzie na konwój pieniędzy Wytwórni Czekolady Markiza – powiedział oficjalnym głosem Kowalski i skinął na Katię.

Posterunkowa podeszła do niego i sięgnęła po kajdanki. Kamiński spuścił głowę i podał jej dłonie, na które Katia sprawnie założyła kajdanki.

– Zabieracie mi męża? – szepnęła Kamińska, trzymając się za głowę. – Co z nami teraz będzie?

– Mamo, co oni robią? – krzyknął nastolatek.

Nagle z jednego z pokojów rozległ się krzyk:

– Mamo, co się tam dzieje?

Kowalski przełknął ślinę, czując, że serce zaczyna mu coraz szybciej bić. Wytarł pot z czoła i zwrócił się do Kamińskiej:

– Ma pani prawo do złożenia zażalenia do sądu i do kontaktu z adwokatem.

– Dlaczego zabieracie tatę?!

Kamiński zapadł się w siebie, a Kamińska podeszła do syna i przytuliła go do siebie.

– To jakaś pomyłka, Tomaszku – szepnęła. – Wszystko będzie dobrze, wyjaśnimy to.

– Ale dlaczego oni zabierają tatę?! – krzyczał chłopak, z trudem utrzymując równowagę.

Kowalski i Katia spojrzeli po sobie. Nagle rozległ się dzwonek. Wszyscy jak na komendę odwrócili się w stronę

drzwi. Kamińska podeszła do nich i otworzyła je.

– Pani sąsiadko, co tu się u was dzieje, co to za hałasy? Ktoś was napadł? – zaskrzeczał jakiś kobiecy głos.

Gdy po piętnastu minutach wyrwali się z domowego piekiełka i szli z Kamińskim do samochodu, przy którym czekali na nich miejscowi policjanci, Kowalski westchnął głęboko i spojrzał na Katię.

– Muszę się dzisiaj urżnąć – mruknął.

– Chyba wiem, o co ci chodzi – odparła Katia.

– Jeszcze tylko teraz piorun powinien pierdolnąć na to wszystko.

– Amen.

Aspirantka Blamowska stanęła przy kiosku i poprawiła miniówkę. Wydobyła z torebki szminkę i pomalowała usta. Potem złożyła je i spojrzała w lusterko. Zadowolona z efektu uśmiechnęła się. Spojrzała na zegarek. Minęła dziewiąta.

– No dobrze, dziewczyno – rzuciła do siebie. – Idziesz.

Omiotła wzrokiem postój taksówek. Gdy wypatrzyła favoritkę Radawskiego, rozpuściła włosy i ruszyła w jego kierunku, wkładając ręce do wiosennego płaszczyka. Odgłos szpilek, która założyła dzisiaj specjalnie dla tej akcji, sprawiał jej przyjemność. W ogóle była bardzo zadowolona. Cieszyła się, że Buryła zlecił jej tę robotę. Miała zamówić kurs u Radawskiego i sprowadzić go na ulicę Ugory, która leżała nieopodal Warty, tuż przy parku Szelańskim. To było dobre miejsce na spokojne zatrzymanie klienta. Realizacja o szóstej rano w jego mieszkaniu nie wchodziła w grę. Od dwóch dni gościł u siebie wieloosobową rodzinę. Trzeba było więc wykorzystać fakt, że jest taksówkarzem i bez żadnych podejrzeń można go skierować pod dogodny adres. Aspirantka pamiętała, że pod koniec lat osiemdziesiątych gdzieś w tamtej okolicy zatrzymano pewnego pedofila. Może dlatego Buryła zasugerował właśnie Ugory? Siła sentymentu? Dlaczego nie?

– Wolny pan jest? – zapytała, uśmiechając się zalotnie do czarnowłosego taksówkarza.

Miał szczupłą twarz, porośniętą parodniowym zarostem. Trochę brzydki, trochę ładny. Ubrany był w dżinsy i skórzaną czarną kurtkę. Na nogach miał oficerki.

Siedział w otwartym samochodzie, palił papierosa i przeglądał gazetę, chyba studiował wyniki sportowe. Podniósł głowę i zerknął na Blamowską, która dostrzegła

w jego oczach cień zainteresowania. Wyprostował się, złożył gazetę i położył ją na siedzeniu pasażera.

– Pewnie. Proszę wsiadać.

– Super!

Zgasił papierosa i spojrzął we wsteczne lustro, dokładnie lustrując apetyczną postać Blamowskiej.

– Gdzie jedziemy?

– Ulica Ugory.

– Ulica Ugory, niech będzie, proszę pani.

Radawski trzasnął drzwiami i uruchomił silnik. Coś trzasnęło w radiostacji, kobiecy głos zapytał, kto może podjechać pod Stare Zoo.

Ruszyli. Kierowca włączył radio. Z głośników poleciała piosenka Bryana Adamsa. Aspirantka przywarła do siedzenia. Pociągnęła nosem i poczuła zapach kawy, który sprawił jej przyjemność. Położyła ręce na udach i wbiła wzrok w plecy Radawskiego, który zawtórował słynnemu piosenkarzowi: „Don't tell me it's not worth fightin' for / I can't help it, there's nothin' I want more / You know it's true / Everything I do, I do it for you”. Wypuściła powietrze. Po chwili poczuła, że jest lekko poddenerwowana.

– A pani jakiej muzyki słucha? – zapytał nagle Radawski i na moment obrócił się w stronę Blamowskiej. Akurat przejeżdżali pomiędzy Collegium Novum a Teatrem Wielkim.

Policjantka zaśmiała się zaskoczona tym pytaniem.

– Hm... – Przeszesała dłonią swoje pachnące włosy. – Czego słucham? Prawdę mówiąc, mam mało czasu na muzykę.

– Aż tak pani jest zapracowana?

– No niestety.

– Nie wierzę! Na muzykę zawsze jest czas!

Znowu na nią zerknął.

– A gdzie pani pracuje? Nie, niech pani nie mówi, sam zgadnę, okej?

– Proszę bardzo – mruknęła, zagryzając usta. – Niech pan

strzela.

Mężczyzna przyciszył radio.

– No dobrze – powiedział. – Jest pani... – Po kilku sekundach namysłu pstryknął głośno palcami i zawołał: – Jest pani... księgową!

Śmiech.

– Pudło!

– Pudło? No dobra, drugie podejście.

– Słucham, słucham.

– Pracuje pani w sklepie... obuwniczym! Zgadza się?

Blamowska pokręciła głową.

– Znowu pudło.

– Hm... – Radawski zasepił się i zacisnął dłonie na kierownicy.

Aspirantka spojrzała przez boczną szybę na zewnątrz. Skręcali w Szelałowską. *Jeszcze jakieś dziesięć minut* – pomyślała.

– Już wiem. Pracuje pani w... banku.

Zachichotała.

– Zgadza się?

– Nie.

– Niemożliwe!

– A jednak.

– Hm...

– Najwyraźniej nie ma pan nosa do ludzi i ich zawodów.

Dwuznaczność wypowiedzianych przez nią słów rozbawiła ją.

– W takim razie poddaję się.

Blamowska zerknęła do tyłu i zobaczyła jadący jakieś sto metrów za nim czarny transporter. Serce zabiło mocniej.

– Proszę powiedzieć, kim pani jest z zawodu?

Chrząknęła.

– Zdziwiłby się pan.

Pokręcił energicznie głową.

– Ja się niczemu już nie dziwię – powiedział dumnym głosem

kierowca.

Właśnie dojeżdżali do skrzyżowania Szelałowska – Wilczak.

– No, no, no – wydeła wargi.

– Tu w prawo?

– Tak, i zaraz potem znowu w prawo. I potem do końca.

– Robi się.

Skęcili.

– Niech pani powie.

– Jak się zatrzymamy.

– Trzymam za słowo. – Radawski uśmiechnął się szeroko i pogłośnił radio. Usłyszawszy „Final Countdown” Europe, zagwizdał z werwą, miał całkiem niezły słuch.

Po chwili wjechali w Ugory.

– Do końca. Przy tamtym duży domu.

– Wedle rozkazu.

Ujechali jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów i się zatrzymali.

– Proszę bardzo, cali i bezpieczni.

– Doceniam to – odparła i sięgnęła do torebki po portfel.

Kątem oka dostrzegła, że tuż za nimi zaparkował transporter.

Chodźcie, chłopcy! Przełknęła ślinę i przerzuciła wzrok na Radawskiego. Podał jej kwotę za kurs i uśmiechnął się zalotnie. Wyjęła z portfela pieniądze.

Odbierając je, Radawski przymrużył oczy. Poruszył głową i zagadnął:

– Może dałaby się pani zaprosić na kawę albo jakieś wino?

– Niestety, nie dałabym się – odpowiedziała, otwierając drzwi.

– Dlaczego nie?

– To się wiąże z moim zawodem.

– Nie rozumiem?

Blamowska wskazała palcem komandosów, którzy właśnie otoczyli samochód. Radawski odwrócił głowę i dostrzegłszy grupę uzbrojonych i zamaskowanych mężczyzn, zbladł momentalnie.

– Co jest? – burknął.

Rozległo się pukanie w szybę. Zdezorientowany taksówkarz opuścił ją. Ich oczom ukazał się uśmiechnięty Miszczu.

– Dzień dobry.

– Co jest grane?

– Podkomisarz Kobiela, Komenda Wojewódzka. – Miszczu przedstawił się bardzo uprzejmie i pokazał odznakę. Podrapał się po wąsie i zapytał: – Pan Bartłomiej Radawski?

– Tak. Co tu się odpierdala?

– Jest pan zatrzymany pod zarzutem współudziału w napadzie na konwój pieniędzy Wytwórni Czekolady Markiza.

– Że co? Pojebało was?

– Otóż nie pojebało – odpowiedział policjant i spojrzał na Blamowską. – A pani niech opuści jak najszybciej ten pojazd. Tu się teraz odbywają czynności policyjne, proszę pani. – To powiedziawszy, mrugnął do niej okiem.

Aspirantka klepnęła Radawskiego po ramieniu.

– Sorry, chłopie, ale jestem policjantką – rzuciła i wyszła energicznie z samochodu.

Mężczyzna spojrzał na nią w bezgranicznym zdumieniu. Miszczu klepnął dłonią w dach i obrócił się w stronę szefa komandosów.

– Skujcie go – powiedział. – I zabierzcie do firmy.

Radawski westchnął ciężko.

– Kurewski świat – warknął.

Miszczu zerknął na niego, wbił ręce w kieszenie i mruknął, kiwając przy tym aprobująco głową.

– Zgadzam się z tym, chłopie.

LVII

Kowalski poklepał plik akt, który parę minut temu rzucił energicznie na stos, żeby lekko zaniepokoić przestępcę.

– Krótka piłka, panie Kamiński – powiedział stanowczym głosem. – Wziął pan udział w napadzie na konwój pieniędzy Markizy, który zakończył się zabójstwem młodej niewinnej kobiety. Paskudna sprawa, bardzo paskudna.

Kamiński nerwowo przygryzał usta.

– Muszę przyznać, że dawno nie mieliśmy sprawy tak pięknie udokumentowanej – mówił dalej sierżant. – Łącznie z zapisem podsłuchanej przez naszych ludzi rozmowy telefonicznej, w której przyznaje się pan do udziału.

Popatrzył uważnie na przesłuchiwanego, który kiwał się apatycznie na krześle i uderzył parę razy palcami o blat stołu. Skrzywił się. Sięgnął po jedną z teczek i wyciągnął z niej kilka kartek, na których zapisano parę fragmentów podsłuchanej rozmowy. Zaczął je odczytywać. Kamiński znieruchomiał i wbił wzrok w podłogę.

Po paru minutach Kowalski zamilkł.

– Pan Majewski miał rację, zakazując wam telefonicznego kontaktu – powiedział w końcu. – Niestety, złamał go pan i...

– Podniósł bezradnie rękę.

Cisza.

– No i... kłops.

Kowalski sięgnął po inną teczkę, z której wyciągnął zdjęcie. Popatrzył na nie, zrobił smutną minę, westchnął i podsunął je Kamińskiemu.

– Pani Ani Radzięda skończyłaby dzisiaj dwadzieścia sześć lat – rzucił.

Mężczyzna zadrżał.

- Chce pan coś powiedzieć?
- Nie mam z tym nic wspólnego.
- Z czym?
- Z jej śmiercią.
- Gadanie.
- Naprawdę!

Kowalski prychnął.

- Nie wierzę! - wycedził.

Kamiński podniósł zaczerwienioną twarz.

- To prawda, że wziąłem udział w napadzie - odezwał się łamiącym głosem - Ale nie mam nic wspólnego z jej śmiercią! Musi mi pan uwierzyć.

- Nic nie muszę.

- Nasz plan był taki, że po wszystkim wypuszczamy strażnika i kasjerkę. Całych, żywych, zdrowych. Nie jesteśmy bandytami. Chcieliśmy tylko pieniędzy.

- No ale dziewczyna nie żyje.

Kowalski nachylił się nad stołem.

- Ktoś ją zabił - warknął. - Ktoś z waszej ekipy. Zgwałcił, udusił.

Kamiński zadrżał i ukrył twarz w dłoniach.

Po chwili Kowalski usłyszał szloch. Popatrzył na płaczącego mężczyznę. Postanowił go trochę docisnąć.

- Przestań się pan mazgaić. Zabiliście dziewczynę. I odpowiecie za to!

- Ale to nie my! To nikt z nas! Naprawdę!

- A kto?

Kamiński umilkł, wytarł załzawione oczy i podniósł wzrok na sierżanta.

- To ten czwarty - powiedział. - To on ją zabrał ze sobą. Wbrew ustaleniom. Nie wiadomo, kurwa, gdzie. O tym, że została zabita, dowiedzieliśmy się z gazet.

Kowalski skinął głową i zerknął na drzwi, które otworzyły się powoli. W progu stał Ostrowski.

– Możesz na chwilę wyjść? – zapytał.

– Uhm.

Pięć minut później wrócił do pokoju, usiadł przy stole i pociągnął łyk kawy.

– Kim jest ten czwarty? – zapytał.

Cisza.

– Kim jest ten czwarty?

– Tak na niego mówiliśmy – mruknął Kamiński. – Po prostu: Czwarty.

– Rozumiem. Ale kim on jest? Jak się nazywa?

– Nie wiem.

– Nie pierdol pan! Imię i nazwisko klienta, do cholery!

– Naprawdę nie wiem.

– Jak to pan nie wie?

– No nie wiem. Wszystko nagrał Majewski, a on nas nie wtajemniczył w szczegóły. Faceta widziałem jeden jedyny raz.

– Kiedy?

– Wtedy, kiedy wparował do samochodu w kominiarce i zaczął wymachiwać bronią. To było w Koziegłowach.

Kamiński urwał. Dotknął dłońmi skroni.

– Proszę mówić dalej.

– Tak byliśmy umówieni. Że zatrzymamy się właśnie tam, on wejdzie uzbrojony i zrobi napad. Potem pojechaliśmy pod Owińska, gdzie według planu mieliśmy ich wypuścić. I tak się stało. Prawie.

– Jak to prawie?

Kamiński westchnął.

– Majewski kazał im wyjść. Oni wyszli. I wtedy Czwarty wycelował w strażnika broń i powiedział, że dziewczyna jedzie z nami. Byliśmy zaskoczeni. Strasznie. Nie chcieliśmy tego. No ale co było robić?

Krótką przerwę.

– Zajechaliśmy w okolice Suchego Lasu. Tam się rozstaliśmy z Czwartym, który zabrał dziewczynę ze sobą. Pamiętam, że

Majewski zapytał, co on z nią zrobi.

– I co odpowiedział?

– „Chuj ciebie to obchodzi”

Kowalski wypuścił powietrze, nachylił się nad stołem i przeszył Kamińskiego wzrokiem.

– Nazwisko czwartego klienta, poproszę.

Kamiński pokręcił głową i spojrzał na swoje buty. Zgarbił się i zamilkł na dobre. Do końca przesłuchania odpowiadał półsłówkami. Kowalski był bezsilny.

LVIII

Parę pokojów dalej Ostrowski mierzył się wzrokiem z Radawskim.

– Przypomnij mi, dlaczego tu, kurwa, jestem? – rzucił agresywnie przestępca.

– Chętnie – odparł uprzejmie sierżant.

– Zamieniam się w słuch.

– Zatrzymaliśmy cię w związku z podejrzeniem o napad na konwój pieniędzy Wytwórni Czekolady Markiza i podejrzeniem o współudział w zabójstwie Anny Radziędy.

Radawski uderzył pięścią w stół.

– Nie mam nic wspólnego z zabójstwem tej laski! – krzyknął.

– Rozumiem, że do napadu się przyznajesz? – zapytał.

Odpowiedzią było sapnięcie.

Policjant zerknął na niego i sięgnął po teczkę. Wyciągnął z niej plik fotografii, które przedstawiały ekipę Majewskiego na działce, i położył na stole. Postukał palcem jedną z nich.

– Pić wódki na działce nie można?

– To jest twoja odpowiedź, Radawski?

Cisza.

– Serio?

Cisza.

– Ty czegoś nie rozumiesz, chłopie – odezwał się Ostrowski, wzdychając ciężko. – W temacie napadu i przejęcia pieniędzy mamy na całą waszą trójkę kwity doskonałej jakości. Zeznania świadków, mnóstwo fotografii, podsłuchy, donosy – żaden obrońca, żaden sąd ich nie podważy. Nawet sam komendant nas pochwalił, co mu się nie zdarza. Mogę ci to wszystko za momencik zaprezentować, jeśli się uprzesz, choć według mnie to strata czasu – cmoknął, zabębnił palcami

w stół. – Ale tu chodzi o co innego.

Radawski łypnął na niego wzrokiem.

– O co? – mruknął.

Ostrowski zrobił poważną minę.

– O zabójstwo laski – wycedził.

Pokiwał głową.

– Komendant chce, żeby wam je przyklepać. Będzie to mocniej wyglądało.

– Pierdolisz.

– No właśnie chodzi o to, że nie pierdolę – odezwał się niewzruszonym głosem Ostrowski.

Na czole Radawskiego pojawiły się krople potu.

– To nie ja! – wychrypiał. – To nie my.

– Ale ja ci nie wierzę, chłopie.

Cisza.

– To nie ja.

– To jednak ty pierdolisz. Zrobiliście napad, wywieźliście gdzieś dziewczynę, zniknęliście, dziewczyna została znaleziona martwa. Zgwałcona, pobita, uduszona. Wniosek? To wasza sprawka. To wy jesteście gwałcicielami i zabójcami. Koniec, kropka.

Ostrowski ostatnie słowa wypowiedział bardzo głośno i wyraźnie. Na koniec uderzył pięścią w stół. Popatrzył na Radawskiego, który skulił się w sobie.

– Przyznajesz się do wzięcia udziału w napadzie na konwój?

– Tak.

– Powiedz to głośno i wyraźnie!

– Tak, przyznaję się do wzięcia udziału w napadzie na konwój pieniędzy.

– Pięknie... Ale mówisz, że to nie wy zabiliście dziewczynę, tak?

– Tak.

– A kto ją zabił?

– Nie wiem.

– Kto ją zabrał ze sobą?

Cisza.

– Kto?

Cisza.

Ostrowski wstał od stołu, rzucił, że zaraz przyjdzie, i wyszedł. Wrócił po dziesięciu minutach.

– Kamiński powiedział, że to zrobił czwarty klient – rzucił, siadając.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Ciekawe. Założmy, że to prawda...

– Kim on jest? Zdradź mi jego tożsamość.

Cisza.

– Gadaj.

Radawski przełknął ślinę. Miał rozbiegane oczy. Zaczął pocierać nerwowo dłońmi o kolana.

Boi się, herbatnik – pomyślał.

– Nie mam pojęcia – wymamrotał przestępca. – Widziałem go tylko raz, w dzień napadu, w kominiarce. To Majewski go nagrał.

– No dobrze, do tego jeszcze wrócimy. Powiedz mi teraz jeszcze jedną rzecz.

– Jaką?

– Gdzie Majewski ukrył pieniądze?

Radawski wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Sierżant westchnął.

– Ale ty jesteś oporny – westchnął.

Otworzyły się drzwi, w progu stanął Harry.

– I jak się rozmawia? – zapytał oficer, trzymając w kąciку ust niezapalonego papierosa.

Ostrowski pokiwał głową i wskazał przesłuchiwanego palcem.

– On mi nie chce powiedzieć, gdzie ukryli pieniądze z napadu – poskarżył się.

Harry wszedł do środka i zmierzył groźnym wzrokiem Radawskiego.

– Wyjdź na moment, ja sobie z nim pogadam przez chwilę, po męsku – rzucił i sapnął ciężko.

LIX

Aleksandra Maryl spojrzała na paczkę papierosów leżącą na środku ławy. Westchnęła głęboko.

– Mogę zapalić? – zapytała.

Rambert skinął głową.

– Jasne – odparł życzliwym głosem i sięgnął do wewnętrznej kieszeni po zapalniczkę.

Dziewczyna włożyła papierosa do ust. Gdy Rambert jej przypalił, odchyliła się na krześle i mocno zaciągnęła. Przez dłuższą chwilę milczała.

Naczelnik patrzył z uwagą na jej długie, smukłe dłonie ozdobione kilkoma złotymi bransoletkami. Była ubrana w białą elegancką koszulę z czarnym fontaziem, czarne spodnie na kant i czarne szpilki. Włosy spięta w koński ogon. Miała pobladłą twarz, lekko zaczerwienione oczy.

Naczelnik był bardzo ciekawy, jaką taktykę wybierze.

– O co pan pytał? – zapytała.

– Kiedy poznała pani Waldemara Majewskiego?

– A właśnie. – Znowu się zaciągnęła. – Rok temu. Mniej więcej.

– W jakich okolicznościach?

– Na imprezie.

– Jakiej imprezie?

Strzepnęła popiół do popielniczki.

– Tego dnia pracowałam jako hostessa na Targach Samochodowych. Dla poznańskiego dealera Audi. Wieczorem w Polonezie była impreza, którą zorganizowało paru prezesów. Zostałam zaproszona z kilkoma innymi dziewczynami. W którymś momencie zagadnął mnie fajny, przystojny, choć niezbyt wysoki facet...

– Waldemar Majewski?

– Tak. Wypiliśmy trochę szampana, potańczyliśmy...

Zamilkła na chwilę.

– Zaiskrzyło między nami, zaczęliśmy się spotykać...

Zamyśliła się. Po chwili na jej ustach pojawił się uśmiezek.

– To była ekscytująca odmiana w moim życiu – podjęła. – Do tej pory spotykałam się z rówieśnikami. To byli fajni chłopcy, ale strasznie dziecinni. A Waldek był prawdziwym mężczyzną. Szarmancki, opiekuńczy. Z temperamentem, z żyłką hazardzisty... Przyznaję, że różnica wieku, dwadzieścia lat, podniecała mnie. Dodawała pieprzyku całej tej... awanturze. Zadurzyłam się w nim na dobre.

– Nie przeszkadzało pani, że jest żonaty?

Uśmiechnęła się.

– Wręcz odwrotnie.

– Rozumiem.

– Naprawdę?

Podinspektor milczał.

Dziewczyna zdusiła niedopałek w popielniczce i obrzuciła policjanta spojrzeniem. Trwało to na tyle długo, że Rambert zagryzł nerwowo usta. W jej oczach dostrzegł coś bezczelnego. Co to było? Może pewność swojej erotycznej siły, dzięki której pewnie na co dzień manipuluje mężczyznami?

– Miałam wrażenie, że dostałam rolę w jakimś thrillerze erotycznym... To było niesamowite.

Wypuściła powietrze i przywarła głową do oparcia fotela. Rambert uderzył palcami o kolana. Zirytował się trochę. Może dlatego, że przypomniał sobie zenującą scenę, która miała miejsca kilkanaście lat temu podczas przesłuchania pewnej prostytutki.

Chrząknął i zerknął na dziewczynę surowym wzrokiem.

– No dobrze – mruknął. – Czy wiedziała pani, że Waldemar Majewski planuje napad na konwój pieniędzy Markizy?

– Nie – zaprzeczyła krótko i stanowczo.

– Nie?

– Nie.

Rambert spojrział na nią niedowierzająco.

– Jest pani tego absolutnie pewna?

– Oczywiście. – Podniosła głos i zaraz dodała: – Nic o ty nie wiedziałam!

– Rozumiem... A czy o jakichś innych jego ciemnych interesach pani wiedziała?

– A były takie?

Cisza.

– Nie wierzy mi pan?

Podinspektor nie odpowiedział.

– Pan mi nie wierzy!

Oczywiście, że jej nie wierzył. Ale to przeświadczenie wolał póki co zachować dla siebie. Może sprzedała ważne informacje pod wpływem namowy kochanka? Może wręcz podrzuciła pomysł? Tego nie wiedział, ale czuł, że jakoś jest zamieszana w „napad stulecia”. Podczas zatrzymania przecież ledwie powstrzymała się od oskarżenia Majewskiego o... Właśnie, o co?

Rambert podrapał się po nosie. *Co powiedziała?* – próbował sobie przypomnieć. *„Mówiłeś, że zrobisz...”*. *Jakoś tak. Mówiłeś, że zrobisz to – ostrożnie? Profesjonalnie? Bez śladu?*

No i z podsłuchów też można by wywnioskować, że coś wiedziała. Ale dla sądu to są śmieci. Jeśli się nie przyzna, Majewski okaże się rycerzem, nic jej nie będzie można udowodnić.

– Pan myśli, że ja byłam ich współniczką?

– Ich?

– No w radiu mówili, że sprawców napadów było trzech albo czterech.

Skinął głową.

– Więc uważa pan, że ja mam coś wspólnego z tą aferą? – Jej twarz nabiegła rumieńcami, oczy się zwięzły.

– Nic takiego nie powiedziałem – mruknął.

– Nie powiedział pan, ale pan tak myśli!

Nachyliła się nad ławą i wbiła w niego wzrok.

– Przecież tam dziewczyna zginęła! Boże święty, przecież...

Zadrżała.

Wzięła duży oddech i powoli wypuściła powietrze.

– I pan myśli, że ja mam coś z tym wspólnego!

W jej oczach pojawiły się łzy.

– Dopiero teraz powoli dochodzi do mnie, o czym ja się dzisiaj dowiedziałam. Dopiero zaczynam uprzytamniać sobie, że Waldek jest przestępcą, że wziął udział w napadzie, że...

Urwała nagle i złapała się dłonią za twarz.

– Czy on?

Rambert patrzył na nią i czekał, co za chwilę usłyszy.

– Czy to on ją zabił? – zapytała łamiącym się głosem.

Cisza.

– Niech pan zaprzeczy! Nie wierzę, że to on mógł to zrobić!

Cisza.

– To on?

Podinspektor pokręcił głową. *Może rzeczywiście się przestraszyła, że to on zgwałcił i zabił?* – przeszło mu przez myśl.

– Nie. To, ktoś, kogo jeszcze nie zatrzymaliśmy.

– Kto?

Rambert pokręcił głową.

– Zostawmy to.

Spojrzał na zegarek.

– Czy rozmawiała pani kiedykolwiek z Majewskim o Markizie? – zapytał.

– Niespecjalnie.

– Niespecjalnie? Co to znaczy?

Wzruszyła ramionami.

– Czasami powtórzyłam jakąś plotkę o kłótni między pracownikami... Albo o romansie... Takie bzdury.

– Uhm... A czy kiedyś wspomniała mu pani o konwoju pieniędzy?

Spojrzała na niego krzywo.

– To znaczy?

– Czy wspominała mu pani kiedykolwiek, jak wygląda przewóz pieniędzy na wypłatę z banku na Paderewskiego do siedziby firmy? Jakie są procedury, zasady, zwyczaje?

Spojrzał na nią pytająco.

– Nie – odparła. – Nigdy.

– Nie wypytywał pani o to?

– Nie przypominam sobie czegoś takiego.

– Nie przypomina sobie pani?

– No nie.

– Czyli może pani o tym zapomniała? Zapomniała, że była taka rozmowa? Przypadkowa?

– Nie. Waldek nie interesował się tym zupełnie. Był zajęty swoim biznesem. A poza tym ja o tych sprawach nic nie wiem. Absolutnie nic.

Dziewczyna spojrzała na zegarek. Poprawiła dłońmi sukienkę i spojrzała na oficera.

– Mogę już iść? – zapytała. – Muszę zadzwonić do taty i powiedzieć mu, co mi się przytrafiło.

Rambert wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki paczkę marlboro i wsunął papierosa do ust.

– Może pani, oczywiście – odezwał się. – Na dzisiaj to wszystko.

Aleksandra Maryl odetchnęła z ulgą i wstała z fotela. Obdarzywszy policjanta czujnym spojrzeniem, powiedziała „do widzenia” i opuściła gabinet.

Rambert zapalił, podszedł do parapetu, przejrzał stos tygodników i wziął do rąk numer, w którym zamieszczony był wywiad z Marylem. Jego tytuł, „Kraina słodkości”, brzmiał mu teraz trochę ironicznie.

Usiadł za biurkiem, zaciągnął się, spojrzał na radosną,

święteczną fotografię i przez chwilę zastanawiał się, jak zareaguje Maryl na wieści na temat córki, która okazała się kochanką człowieka, który ukradł mu pięć miliardów złotych.

Miszczu otworzył kłódkę i szarpnął drzwiami blaszanego garażu.

– Sezamie, otwórz się – szepnął i mrugnął do Katii.

Gdy weszli do środka, posterunkowa poczuła bardzo dobrze znany jej z dzieciństwa zapach. Zapach smarów, benzyny, trochę zatechniętego powietrza. Lubiła go. Dobrze się jej kojarzył. To były momenty, kiedy trzeźwy i uśmiechnięty ojciec zabierał ją na parę godzin do garażu mieszczącego się na obrzeżach Poznania i z ekscytacją zdradzał jej tajemnice mechaniki samochodowej. Katia uśmiechnęła się do swoich myśli. Przed oczami stanęła jej charakterystyczna sylwetka syreny 105, którą mama pieśczołtliwie nazywała Georginią. Nie wiadomo właściwie, dlaczego.

– Nigdy nie lubiłem tego zapachu – mruknął Miszczu, nieświadomie ściągając posterunkową do rzeczywistości.

Rozejrzeli się po zagraconej przestrzeni. Półki z narzędziami, drewniany stół, pilarka tarczowa, dwa rowery marki Jubilat, łopata, kilof, no i kalendarz z roznegliżowaną brunetką. Podkomisarz podszedł do kanału. Wyjął z kieszeni latarkę i spojrzał w dół. Przekręcił głową, jakby chciał złowić jakiś cichy, ulotny dźwięk.

– Słyszałaś? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Co?

– Mysz? Albo szczur?

– Nic nie słyszałam.

– No dobra, wchodzę.

Radawski w czasie przesłuchania powiedział Harry'emu, że podejrzuje, że szmal z napadu Majewski schował w swoim

garażu gdzieś w kanale.

– Schodź – mruknęła Katia, odnosząc wrażenie, że Mischu nie kwapi się do tego.

Podkomisarz cmoknął i przyświecając sobie latarką, zszedł do schodach na dół.

Katia przyglądała się koledze, który flegmatycznie przeszukiwał wnętrze.

– I co, jest mysz? – zapytała nie bez złośliwości.

– Wyobraź sobie, że nie!

– W takim razie jesteś bezpieczny.

Zachichotał, po czym ukucnął.

– Co tu się dzieje? – Usłyszała nagle. – Co pani tu robi?

W progu garażu stanął dwudziestoparoletni mężczyzna ubrany w skórę i trzymający pod pachą kask motocyklowy. Wpatrywał się czujnie w Katię.

Posterunkowa podeszła do niego i okazała mu legitymację.

– Posterunkowa Domagała, Komenda Wojewódzka – oznajmiła, taksując go wzrokiem. Był wysoki, dobrze zbudowany. Całkiem przystojny brunet. Miał pionową bliznę po prawej stronie czoła. Podobny do Clive’a Owena z filmu „Z zamkniętymi oczami”.

– Czego szukacie u pana Waldka?

Katia zmierzyła go wzrokiem.

– Prowadzimy czynności. Proszę stąd odejść.

– Skoro prowadzicie czynności, to nic tu po mnie – mruknął i odszedł wolnym krokiem, pogwizdując sobie jakąś skoczną melodię.

Katia wróciła do garażu i spojrzała ponownie na dno kanału.

– Ktoś tu był? – zapytał.

– Jakieś motocyklista.

– Motocyklista?

– Pytał, co my tu robimy. Pewnie sąsiad...

– Niewykluczone...

Zamilkł i za coś szarpnął. Rozległo się skrzypnięcie.

– Co się dzieje?

– Mamy to! – krzyknął. – Mamy forszę! Dużo forsy!

LXI

Parę godzin później sierżanci zaczęli razem maglować Majewskiego.

– Panie Majewski, apeluję o rozsądek – odezwał się Kowalski, gdy minęło pół godziny niezbyt konstruktywnej wymiany zdań. – Napad zakończył się jednak zabójstwem, co stawia was w tragicznej sytuacji.

– Nie mam nic wspólnego ze śmiercią kasjerki – odparł spokojnie Majewski. – I powinien potwierdzić to nawet strażnik. Gdy zatrzymaliśmy się w Owińskach, wypuściłem ich. Taki był plan. Zabieramy pieniądze, wypuszczamy grzecznie dziewczuchę i dziadka, a potem jedziemy w siną dal.

Przez twarz Kowalskiego przemknął grymas uśmiechu. Uwielbiał przesłuchiwać przestępców. Wsłuchiwanie się w ich opowieści, poznawanie ich punktów widzenia od zawsze go elektryzowało.

– Dlaczego pan się uśmiecha? Mówię, jak było!

– Nie. Było tak, że zabiliście dziewczynę.

– Przecież mówię, że nie mam z tym nic wspólnego. Kiedy widzieliśmy ją po raz ostatni, żyła. To nie my, to...

Ostrowski założył ręce za głowę.

– No właśnie, kto? – odezwał się. – Kto ją zabił?

Cisza.

Majewski ściągnął twarz.

– Kto ją zabił?

– Nie wiem, kurwa – warknął. – Nie było mnie przy tym.

– W jakich okolicznościach widział ją pan po raz ostatni? – zapytał szorstko Kowalski.

Majewski długo się namyślał na odpowiedź. Sierżanci patrzyli na niego uważnie.

– Pojechaliśmy do Suchego Lasu, tam wysiedliśmy z transportera, podpaliliśmy go i uciekliśmy własną bryką, która była nieopodal zaparkowana.

– Wtedy widział pan ją po raz ostatni?

– Tak.

– Żywą?

– Tak jest.

Ostrowski chrząknął. – A teraz pytanie za sto punktów – mruknął.

Majewski wbił w wzrok w jego bluzę, na której widniała zakrwawiona czaszka.

– No?

– Kim jest czwarty z was? Ten, który zabrał dziewczynę i najprawdopodobniej ją zgwałcił i zabił.

Cisza.

– Kto to jest?

– Nie wiem.

– Czekamy na prawdziwą odpowiedź, inaczej zrobimy wszystko, żebyście beknęli za jej śmierć...

Kowalski popatrzył na Majewskiego.

– Prawdę mówiąc – powiedział – komendant bardzo chciałby całej waszej czwórce to przyklepać, żeby sprawa zakończyła się wielkimi wyrokami.

Pokiwał głową i przeniósł wzrok na Ostrowskiego, który przejął pałeczkę.

– Zdaje się, że stary poczuł krew. Będzie rzeź. Zrobi wszystko, żeby proces poprowadziła jakaś sędzia, która zije nienawiścią do mężczyzn.

Cisza.

– Napad zakończył się zabójstwem dziewczyny i taki jest fakt. – Przerwał ją Kowalski. – Kwestia, kto za nie beknie.

Majewski spojrział przestraszony na sierżantów.

– Panowie, nie mogę zdradzić jego nazwiska, bo kiedy on się o tym dowie, zajebie mnie! – oznajmił. – Wywiezie do lasu,

przewierci kolana wiertarką i zakopie na żywca. Kurwa jego mać.

Cisza.

– Już wolę zgnić w więzieniu.

Ostrowski pokręcił głową i wstał od stołu. Sięgnął po torbę, z której wyjął numer „Catsa”, szwedzkiego pisma pornograficznego. Znalazł je dzisiaj w kiblu na czwartym piętrze, gdzie mieścił się Wydział Kryminalny.

Usiadł ponownie i położył na stole kolorowy magazyn. Majewski zerknął zaciekawiony na okładkę przedstawiającą długowłosą kobietę o bujnym nagim biuście.

– Nie sądzę, żeby chciał pan gnić w więzieniu – oznajmił sierżant. – Za bardzo pan lubi życie, podróże, kobiety... – Urwał, po czym uśmiechnął się i mruknął: – Ruchanie pięknych lasek...

Uśmiechnął się z ironią i wbił wzrok w mężczyznę, który nagle zmarkotniał i spojrzał w bok.

– Pan będzie gnął w pierdłu, a tamten klient będzie zażywał sobie życia, pieprzył fajne dziewczyny, bawił się, jak gdyby nigdy nic?

Cisza.

– Jeśli wskaże nam pan nazwisko, my go przymkniemy na długie lata. Będzie pan bezpieczny – oznajmił Ostrowski.

– Gwarantujemy to panu – potwierdził Kowalski.

Majewski pokręcił głową.

– Nie mogę, nie mogę.

Sierżanci wymienili się spojrzeniami.

– To jest pana ostatnie słowo?

Milczenie.

– Skoro tak – mruknął Kowalski, dźwigając się z krzesła. – To trudno. Nie będziemy pana naciskać. Nic na siłę... Pójdziemy teraz przesłuchać Kamińskiego. On nam zdradzi nazwisko Czwartego i dzięki temu zapewni sobie łagodniejszy wymiar kary.

Ostrowski również wstał.

– To rozsądny człowiek.

– To prawda, tak jak pan Radawski zresztą, który powiedział nam, że pieniądze z napadu zostały ukryte na działce przy Lechickiej.

Majewski drgnął i spojrzał na nich zaskoczony.

Ostrowski podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał na korytarz:

– Zabierzcie go – rzucił. – Nie chce gadać.

Westchnienie.

– Dobra, spokojnie. Pogadajmy.

Ostrowski spojrzał na niego surowym wzrokiem.

– O czym?

– O napadzie.

– O napadzie my już wszystko wiemy. Teraz chcemy wiedzieć, kto jest czwartym sprawcą napadu?

Cisza.

Sierzanci przyglądali się mu uważnie, kiedy zaczął się bardzo intensywnie zastanawiać nad odpowiedzią. *Pęknie czy nie pęknie? Powie czy nie powie?*

Po kilkunastu sekundach, które trwały w nieskończoność, mruknął, drapiąc się za uchem:

– Chcę pogadać z adwokatem.

Policjanci wydali pomruk rozczarowania.

LXII

Po przesłuchaniach, w trakcie których nie udało się niestety ustalić tożsamości Czwartego, w gabinecie podinspektora Ramberta odbyła się narada.

Był późny wieczór. Wszyscy marzyli już tylko o kolacji, kąpeli, ciepłym łóżku. I z trudem powstrzymywali się od ziewania.

– To jest ewidentnie jakaś gruba ryba – powiedział Ostrowski.

– Masz jakiś pomysł?

– Może to zbój z miasta? Nowy ostry zawodnik?

– Dlaczego nowy? Może to ktoś nam znany?

– Może.

Sierżant spojrzął po zebranych.

– Na pewno ma rozbuchane libido, nad którym nie panuje – odezwał się ponownie. – To jego słaby punkt, a dla nas punkt zaczepienia.

– Może uwielbia ryzyko? – mruknął Kowalski, nie odrywając wzroku od notatek.

– Jakiś bezczelny, arogancki typ – dorzucił Miszczu.

– Uważam, że powinniśmy skupić się teraz na bardzo dokładnym przeczesaniu półświatka pod kątem przestępstw seksualnych. Może nasz klient to seryjny gwałciciel? Wydaje mi się, że taka hipoteza jest całkiem kusząca.

Cisza.

– Tak to widzę – dopowiedział Ostrowski. – Operacyjni ze wszystkich naszych jednostek powinni wytypować nam grupę tego rodzaju klientów. Może któryś trafi. W punkt. Albo obok?

Rambert zerknął na Buryłę, który próbował pozbyć się plamy na krawacie, a potem przeniósł wzrok na Harry'ego.

– Co ty na to? – zapytał.

Komisarz skinął głową.

– Dobry pomysł – mruknął i zamilkł. Ewidentnie pograżył się w swoich myślach.

– Jakies inne pomysły? – zapytał Rambert.

Kowalski podniósł rękę.

– Według mnie najsłabszym ogniwiem jest Kamiński – oznajmił. – Jeśli odpowiednio popracujemy nad nim, pęknie i zdradzi nam tożsamość Czwartego.

– W jakim sensie najsłabszy? – zagadnął Rambert.

– Ma chore dzieci – powiedział sierżant, wyciągając z kieszeni lizaka w kształcie kulki. – Jedno ma lekki autyzm, drugie porażenie mózgowe. To mógłby być punkt wyjścia przesłuchania. No wicie, o co mi chodzi? Prosta, ale skuteczna gra na emocjach: „Pomożesz nam, my pomożemy tobie i twojemu dziecku. Nie pomożesz, to... kiepsko to widzę”.

Kowalski zamilkł i włożył lizaka do usta.

Zebrani przyglądali się mu się z zainteresowaniem.

– Wcześniej należałoby pogadać z żoną i zachęcić ją, żeby przemówiła mężowi do rozsądku – odezwał się po chwili namysłu. – To można pięknie poprowadzić. Biedny dzieciak, zdesperowana żona, zagubiony rzezimieszek.

– Kowal, jaki ty jesteś cyniczny – parsknął Miszczu i mrugnął do Katii, która w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– Dobry pomysł – stwierdził Rambert.

Dotknął oprawek okularów i zakomenderował:

– Zrobimy tak. Kowalski i Domagała pojedą jutro do Obornik do Kamińskiej i z nią pogadają. Potem doprowadzimy do spotkania Kamińskich, a następnie Harry przycisnie klienta. Powinno się udać.

– Dobrze! – skomentował Buryła i ziewnął, zapominając zasłonić dłonią twarz.

Reszta też ziewnęła i apatycznie wyszła na korytarz.

Redaktor Misiński popijał kawę i przeglądał wczorajszy numer swojej gazety. Jego uwagę przykuł wielki czerwono-biały nagłówek: „Koszmarna przygoda najczęściej zdarza się latem”. Przerzucił stronę, żeby zobaczyć, kto to napisał. Nazwisko nic mu nie mówiło. *Pewnie jakiś stażysta – pomyślał, wydymając wargi, ale mimo to zaczął czytać.*

Autor, powołując się na ustalenia FBI, informował w leadzie, że „statystyczny gwałcień to człowiek w wieku od 20 do 40 lat, będący pierwszym dzieckiem w rodzinie i mający od lat senne sadystyczne wizje”. *No może.*

Artykuł dotyczył zdarzenia z minionego weekendu. Na basenie na ulicy Chwiańkowskiego „doszło do zbiorowego gwałtu”. *Co się dzieje z tym światem? Za komuny tego nie było.* „Szesnastoletnia dziewczyna została zaatakowana przez trójkę uczniów ze szkoły zawodowej. Wyniesiono ją w pobliskie zarośla. Sprawców...”

Zadzwoń telefon.

Misiński sapnął, odłożył gazetę i sięgnął po słuchawkę. Po kilku sekundach się wyprostował. To był podinspektor Buryła, który poinformował go o zatrzymaniu trzech sprawców napadu na konwój pieniędzy. Misio wysłuchał relacji do końca i pogratulował koledze „gigantycznego sukcesu”.

– Daliście koncert, chłopcy – krzyknął do słuchawki. – Stawiam wszystkim członkom grupy po flaszkę – dodał z błyskiem w oku. – Po flaszkę na głowę. – Zaznaczył.

Zamilkł, posłuchał, a potem zapytał:

– A co z Czwartym?

Pokiwał głową.

– Rozumiem. Ukłony.

Odłożył słuchawkę, potargał swoją siwą grzywę i zasiadł przed komputerem.

Pomyślał chwilę i wystukał tytuł: „Brawurowa akcja poznańskiej policji”.

Znieruchomiał na sekundę i zaczął pisać. Po wystukaniu kilku zdań zorientował się, że komputer nie reaguje na jego działania.

– Co jest?! – burknął i uderzył ponownie w klawiaturę.

Wbił wzrok w ekran. Nic. Nie mógł odnaleźć migającego kursora.

Spurpurowiał na twarzy. Uderzył pięścią w stół, strącając ku swojej wściekłości kubek na podłogę.

– Co za badziewie – ryknął i wstał od biurka. – Nawet tekstu nie można spokojnie na nim napisać!

Szarpnął klamkę i wyszedł na korytarz, trzaskając drzwiami.

Rambert wrócił do domu krótko przed północą. Wykąpał się szybko, nałożył dresy i zasiadł przed telewizorem. Nie mógł się jednak skupić na filmie. Myślami cały czasami wracał do przesłuchania Aleksandry Maryl. Gdzieś w tyle głowy słyszał jej głos, widział jej twarz, palce, w których trzymała papierosa.

W pewnym momencie uprzytomnił sobie, że tak jak prezes Markizy, tak on sam tak naprawdę nic nie wie o własnych córkach. O ich pragnieniach, marzeniach. O tym, co robią na co dzień. O różnych głupstwach, które pewnie czasami popełniają. Przejęło go to i napełniło smutkiem. A potem przypomniał sobie minę byłej żony, kiedy jej powiedział, że odchodzi, bo chce być z kimś innym.

Westchnął. Poszedł do salonu, otworzył barek, nalał sobie szklaneczkę whisky, zdjął z półki „Żegnaj, laleczko” Chandlera i wrócił do łóżka. Upił spory łyk. Oparł się o poduszkę, otworzył książkę na ostatnich, ulubionych stronicach, i zaczął czytać.

Końcowy akapit przeczytał parę razy: „Zjechałem windą na parter i wyszedłem schodami ratusza. Dzień był chłodny i bardzo pogodny. Wzrok sięgał daleko... ale nie tak daleko, jak daleko odeszła Velma”.

Poczuł ukłucie w sercu. Odłożył książkę, dopił alkohol i zgasił światło.

Wyobraźnia ponownie podsunęła mu obraz Aleksandry Maryl. Tym razem zobaczył, jak bierze papierosa do ust, zaciąga się i wypuszcza dym. A potem patrzy na niego tym swoim prowokującym spojrzeniem.

Zamknął oczy, próbując odepchnąć wspomnienie pięknej

dwudziestolatki.

W pewnym momencie myślami zawędrował do niesławnego przesłuchania sprzed wielu lat. Był wtedy młodym milicjantem, któremu trafiło się przesłuchanie pięknej prostytutki podejrzewanej o okradzenie jakiegoś ważnego polityka. Rambert, który był wówczas chyba sierżantem, nie mógł się skupić na zadawaniu pytań i słuchaniu odpowiedzi, ponieważ jego wzrok cały czas prześlizgiwał się na jej obfity i mocno odkryty biust.

Gdy dziewczyna po kilkunastu minutach opuściła pomieszczenie, zorientował się, że z ławy zniknął portfel wypchany świeżą wypłatą. Poczul łomotanie serca, zaklął wściekle i rzucił się w pogoń za nią. Złapał ją na ulicy, na jakiś skrzyżowaniu. Zaprzeczyła, że zabrała pieniądze. Pozwoliła się przeszukać. Nie miała ich przy sobie. Wrócił do komendy głęboko zawstydzony.

To była niezła nauczka, nigdy więcej nie dał się oczarować kobiecemu biustowi. Podczas przesłuchania.

CZĘŚĆ

PIĄTA

– Ten Kamiński to taki drobny cwaniaczek – zagadnął Kowalski, gdy zbliżali się służbowym polonezem do Obornik Wielkopolskich.

Katia ściągnęła słuchawki z uszu i zerknęła na niego zaciekawiona.

– Poprzytałem trochę tu i tam.

– No i?

Sierzant spojrział w tylne lustro i sprawnie wyprzedził traktor.

– Króliczek wyleciał z milicji za złodziejstwo – odpowiedział po chwili.

Katia uniosła brwi ze zdziwienia.

– Złodziejstwo?

Kowalski pokiwał głową.

– Okazało się, że facet miał brzydki zwyczaj okradania miejsc przestępstw.

– Żartujesz?

– Nie. Taki sposób na dorobienie sobie do pensji psa.

– Jak wpadł?

– W bardzo śmieszny sposób.

Polonez wjechał na drewniany wąski most przerzucony przez Wartę. Zamilkli na chwilę. Rzeka, przecinająca wzdłuż zieloną przestrzeń, błyszczała w słońcu.

– Któregoś razu grupka milicjantów wpadła na chatę do pewnego Cygana, który trudnił się paserstwem – podjął Kowalski. – Wśród zarekwirowanych rzeczy był złoty łańcuch, strasznie wypasiony, podobno mnóstwo forsy kosztował. Po jakimś czasie wyszło na to, że ten łańcuch jest własnością tego Cygana, całkowicie legalną. Wezwano go na komisariat

po odbiór. Facet przyszedł. Bierze łańcuch, marszy czoło, próbuje go włożyć na szyję, ale nie może. „Co jest? – mówi. – Ktoś mi mój łańcuch skurczył!” Zaczął się strasznie pieklić. „Przed waszą śmieszną konfiskatą mogłem go założyć na łeb, a teraz nie. Ktoś mi skurczył łańcuch, złodzieje!”.

Katia się zaśmiała.

– I kto mu skurczył łańcuch? Kamiński?

– Otóż to. Przeprowadzono małe śledztwo, które wykazało, że to nasz Mareczek podpieprzył kawałek łańcucha i odsprzedał jakiemuś paserowi. Wkrótce potem powychodziły inne jego małe przekręty, no i wyrzucono go z firmy.

Zaśmiali się.

Po paru minutach dojechali na miejsce. Zaparkowali przed blokiem.

– Nie cierpię blokowisk – mruknął sierżant, zamykając samochód.

– A ja lubię.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Czuję się w nich bezpieczna?

– Bezpieczna?

– Nie wiem, dlaczego, ale tak to czuję – odpowiedziała, gdy wchodzili po schodach.

Zapukali. Drzwi otworzyły się momentalnie. Kamińska stała w progu, trzymając w rękach miotłę. Spojrzała na nich podejrzliwym wzrokiem.

– Dzień dobry – powiedzieli.

Katia zrobiła krok do przodu.

– Jesteśmy z Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu – odezwała się.

Kobieta ściągnęła twarz.

– Poznają – szepnęła. – Zatrzymaliście mojego męża. Co z nim? Czego jeszcze chcecie?

– Możemy wejść?

– Po co?

Katia zerknęła na Kowalskiego, który chrząknął i spróbował się uśmiechnąć.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panią o tym, jak pomóc pani mężowi wyjść najlepiej z całej tej nieprzyjemnej sprawy.

– Chcecie pomóc?

– No tak.

– Akurat!

– Jeśli pani nas wpuści i zdecyduje się na rozmowę, wymyślimy coś wspólnie.

– Może nam pani zaufać – odezwała się Katia.

Kobieta pokiwała głową i zrobiła im miejsce.

– Proszę wejść.

Wkroczyli do mieszkania, które już na pierwszy rzut oka wydawało się zaniedbane.

Na korytarzu stała dziewczynka, trzymając w ręczce lalkę Barbie. Patrzyła na nich w dziwnym skupieniu. Kamińska przytuliła ją do siebie i pogłaskała po jasnowłosej główce.

– Cześć – powiedział Kowalski i wyciągnął w jej stronę rękę. – Jak masz na imię?

Dziewczynka jęknęła i wybiegła pospiesznie z przedpokoju.

– Ma na imię Paulinka.

– Ładnie.

– Zapraszam do dużego pokoju.

Wszedłszy, odruchowo rozejrzeli się po nieprzewietrzonym pomieszczeniu. Wrażenie zaniedbania się pogłębiło. Stary dywan, miejscami postrzępiony. Brzydka szafa, z której wystawała rura od odkurzacza. Segment zawalony jakimiś tandetnymi ozdobami. Na ławie leżało kilka pobrudzonych talerzy i talerzyków. W kącie stał wielki radziecki telewizor, zapewne marki Rubin. Na jasnobrązowej wersalce walały się jakieś kartony.

– Kawy, herbaty?

– Nie, dziękujemy.

Katia i Kowalski usiedli w niezbyt wygodnych fotelach.

Kamińska spoczęła na wersalce. Przez kilka minut zerkali na siebie niepewnie.

– No więc? – zagadnęła ich gospodyni, nerwowo poruszając nozdrzami.

– Cóż – odezwał się Kowalski. – Pani mąż jest podejrzany o współudział...

– To już mówiliście. – Przerwała mu zirytowana.

Sierżant spojrział na nią rozumiejącym wzrokiem.

– Niestety, napad zakończył się zabójstwem niewinnej dziewczyny... – Kowalski urwał i spojrział na kobietę, która zadrżała i schowała twarz w dłoniach. – Co zmienia znacząco kwalifikację tego czynu...

Do pokoju weszła Paulinka. Omiotła wzrokiem matkę i policjantów. Włożyła palec do buzi, a potem schowała się za telewizorem.

Kowalski położył dłonie na kolanach.

– Nie jest dobrze – podjął. – Ale można to zmienić.

Kobieta się rozplakała.

Kowalski zerknął na Katię.

– Proszę posłuchać, jest nadzieja. Naprawdę.

Kamińska po chwili podniosła zapadniętą, bladą twarz. Miała czerwone, zmęczone oczy.

– Nadzieja? – prychnęła. – Jaka nadzieja? Klepiemy biedę, mamy dwójkę ciężko chorych dzieci, a wy mi jeszcze na dodatek zabieracie męża do więzienia. I to na długo zapewne!

Cisza.

– Gdzie tu pan dostrzega nadzieję? Z czego ja będę żyła? No z czego? Zalegamy z czynszem od paru miesięcy...

Kobieta pociągnęła nosem. W oczach pojawiły się łzy. Przetarła je drżącą ręką.

Kowalski nabrał powietrza.

– Myślmy, że dobry adwokat dowiedzie, że pani mąż był tam tylko pomocnikiem, który nie miał nic wspólnego z zabójstwem. Prawdę mówiąc, uważamy, że zabójstwa

dokonał ktoś spoza tej ekipy...

Cisza.

– I to wbrew woli pani męża, Majewskiego oraz Radawskiego... – Zamilkł na chwilę. – Chodzi o to, żeby... żeby...

Zerknął na nią.

– Proszę spojrzeć na mnie i uważnie posłuchać. Dobrze?

Spojrzała na niego.

– Pani mąż musi zdradzić nam tożsamość czwartego sprawcy, którego zgodnie z prawdą obciążymy winą za zabójstwo. Rozumie pani?

Kiwnął głową wymownie.

– Musi go wskazać.

Cisza.

– Rozumie pani? Inaczej pan Marek zostanie oskarżony również o współudział w gwałcie i zabójstwie.

Cisza.

Kobieta wyprostowała się i zaczęła się uważnie przyglądać sierżantowi, który kontynuował:

– Według mnie było tak. Pani mąż, człowiek dobry, choć pogubiony życiowo, wziął udział w napadzie na konwój, ponieważ, po pierwsze, chciał zdobyć pieniądze na utrzymanie rodziny, i, po drugie, miał prawo przypuszczać, że będzie to akcja pozbawiona przemocy. Oni mieli prosty plan. Zabrać pieniądze, nikomu nie robiąc krzywdy, i zniknąć. Niestety, z jakiegoś powodu weszli we współpracę z niebezpiecznym człowiekiem, który w sposób bandycki pokierował tą akcją, zaskakując wszystkich.

– Pani Anetko – odezwała się Katia. – Ten bandzior pozostaje na wolności i cieszy się zrabowanymi pieniędzmi... Śmieje się z was... Ma za nic to, że zgotował wam taką tragedię... To zły człowiek, bardzo zły. Trzeba...

Kamińska spojrzała na nich.

– Dlaczego mi to mówicie? Czego ode mnie oczekujecie?

– Czego oczekujemy? – odezwał się Kowalski. – Oczekujemy od pani następującej rzeczy. Porozmawia pani z mężem i przekona go do tego, aby podał tożsamość tego bandziora. Jeśli pani mąż to zrobi, sytuacja znacznie się poprawi. Jeśli nie, na długie lata pójdzie do więzienia z łatką zabójcy młodej niewinnej dziewczyny. I to będzie dla was koniec, niestety. Rozumie pani?

Kiwnęła głową, że tak.

Katia wstała.

– Przepraszam na chwilę, muszę do łazienki.

Wbiła ręce w kieszenie i wyszła na korytarz.

Wróciła po paru minutach.

– Pani Aneto – odezwała się, siadając z powrotem w fotelu. – W łazience widziałam nowiutką pralkę... Prawdę mówiąc, jestem trochę zdziwiona.

Kowalski zaciekawiony zerknął na koleżankę.

Kamińska zeszywniała.

– Marek kupił ją w marcu – powiedziała łamiącym się głosem.

– Pewnie za pieniądze z napadu – rzuciła Katia surowo.

Kobieta zaczęła chlipać.

– Czy to jedyny sprzęt, który kupiliście po napadzie? – zapytała posterunkowa chłodnym głosem.

Kamińska wyciągnęła z kieszeni spodni chusteczkę. Wydmuchała nos. Przetarła wilgotne oczy. Pokręciła głową i odpowiedziała szeptem.

– Nie.

– Co jeszcze kupiliście? – Katia była nieubłagana.

– Jeszcze... lodówkę...

– To wszystko?

– Tak... Chociaż nie... Kupiliśmy jeszcze trochę ubrań dzieciom, bo stare... bo stare się już podarły...

Po tych słowach Kamińska wybuchła płaczem.

Policjanci, czując, że im serce podchodzi do gardła, patrzyli

na nią z coraz większym trudem. Chcieli już opuścić to mieszkanie, odetchnąć świeżym powietrzem, wsiąść do samochodu i pomknąć do Poznania.

Zza telewizora dobiegł ich cichutki płacz Paulinki.

Uspokoiwszy się trochę, Kamińska spojrzała na nich nieszczęśliwym wzrokiem.

– Zabierzecie nam to wszystko? – zapytała.

– Zgodnie z prawem musimy – powiedział Kowalski. – Dzisiaj przyjadą tu z nakazem nasi ludzie i przeszukają mieszkanie.

– Czyli zabierzecie nam to wszystko?

Kowalski westchnął.

– I nie będziemy mieli pralki ani lodówki? Tak? Zabierzecie nam ubrania dzieci? Ogołocicie ze wszystkiego?

– No cóż...

Kamińska zacisnęła zęby i popatrzyła na nich ponurym wzrokiem. Jej piersi falowały niespokojnie. Twarz jeszcze bardziej pobladła i zapadła się w sobie.

– Pozostało mi teraz palnąć w łeb – dzieciakom i sobie... – wykrztusiła.

Kowalski złożył dłonie i przystawił je do podbródka.

– Pani Aneto – powiedział życzliwym głosem. – Przymknijmy oko na te rzeczy, odpowiednio wypełnimy protokoły. W zamian prosimy o jedno: niech pani porozmawia z mężem i wytłumaczy mu, że musi ujawnić tożsamość czwartego sprawcy. Dobrze? Pod tym warunkiem. Pani nam pomoże i my pani pomożemy. Jakoś to będzie.

Kamińska wstała z wersalki.

– Przepraszam na chwilę – szepnęła i wyszła.

Wróciwszy, zapytała ich:

– Kiedy mam to zrobić?

Kowalski uśmiechnął się nieznacznie.

– Jutro.

Przed klatką, po której krążył niespokojnie tygrys, stało dwóch mężczyzn. Obaj byli w średnim wieku, obaj byli ubrani bardzo zwyczajnie i obaj trzymali w rękach kaszkiety.

– O co ci chodzi, Mechanik? – zapytał jeden drugiego.

– Szukam słabych punktów komisarza Harweja z wojewódzkiej. Harry’ego, jak go nazywają.

– I jak ci idzie?

– Tymczasem średnio.

– Aha.

– Pomożesz mi?

Cisza.

Tygrys położył się na betonie i ziewnął szeroko. Obok niego wylądował jakiś mały ptaszek i zaszcebiotał hałaśliwie. Drapieżnik nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Zamknął oczy.

– Nie bardzo.

– Dlaczego?

– Nie czuję takiej potrzeby.

– Wiesz, że dobrze płacę.

– Wiem, doceniam to.

– I mimo tego nie chcesz mi pomóc, Marcel?

Cisza.

– Masz wobec niego jakieś zobowiązania?

– Muszę już iść.

Marcel nałożył kaszkiet, podał rękę rozmówcy i ruszył w stronę wyjścia.

Mechanik westchnął. Potem poszedł w kierunku wybiegu dla Kingi, popularnej poznańskiej słonicy. Z uśmiechem na twarzy obserwował gromadkę dzieciaków, które głośno

zagadywały zwierzę. Gdy się już napatrzył na ten wdzięczny widok, usiadł na ławce, wyciągnął twarz w stronę słońca, które właśnie wyjrzało zza chmur, i przymknął oczy.

LXVII

– Mamy go – mruknął Buryła.

– Poczekaj – szepnął Rambert, podchodząc do lustra weneckiego, które oddzielało ich od pokoju przesłuchań.

Kowalski przyłożył ręce do ust, a Ostrowski zaczął drapać się nerwowo po łokciu. Mężczyźni w nabożnym skupieniu wpatrywali się w Anetę Kamińską, która właśnie wstała od stołu i podeszła do swojego męża kiwającego się na krześle, jakby cierpiał na chorobę sierocą.

Wytała dłonią zażawione oczy i ukucnęła przy nim.

– Rozumiesz? – zapytała łamiącym się głosem.

Nie odpowiedział.

– Rozumiesz?

Cisza.

– Pomyśl o rodzinie, o naszych dzieciach! – krzyknęła nagle.

– Jeśli im nie powiesz, wylecimy na bruk, a ty zgnijesz w więzieniu!

Kamiński położył głowę na blacie.

– Przecież nie jesteś prawdziwym przestępcą! Wszystko można odkręcić. Powiedz, co chcą wiedzieć, i jakoś dojdziemy z tym wszystkim do ładu.

Kobieta szarpnęła go za ramię.

– Słyszysz, co do ciebie mówię? – wysyczała.

Spojrzał na nią. Był blady i roztrzęsiony. Nerwowo przełykał ślinę.

– Słyszysz?

Kiwnął głową.

– Słyszę – szepnął.

– Zrobisz to?

Mężczyzna westchnął głęboko i powiedział:

– Zrobię to.

– Na pewno?

– Na pewno – warknął i uderzył czołem o blat stołu.

Kamińska przymknęła z ulgą powieki, wypuściła z ust powietrze, po czym zerknęła w kierunku policjantów.

– Piękna robota – odezwał się Buryła i zatarł ręce. – Piękna.

Rambert spojrział na sierżantów.

– Ostrowski, wyprowadź panią z pokoju, a ty Kowalski, przesłuchaj klienta i ładnie wszystko zapisz – zakomenderował.

– Tak jest – odpowiedzieli jednocześnie sierżanci i wyszli na zewnątrz.

LXVIII

Parę minut później Kowalski mruknął „dzień dobry”, położył na stole opasłą teczkę z charakterystycznym czerwony paskiem i usiadł naprzeciwko Kamińskiego.

– Napije się pan kawki? – zapytał, patrząc na niego współczująco. – Może herbaty? Pewnie zaschło panu w gardle?

Mężczyzna pokiwał apatycznie głową.

– Nie, dziękuję.

– No dobrze. – Sierżant chrząknął, po czym wyjął z wewnętrznej kieszeni munduru notes oraz długopis. – W takim razie zaczynamy.

Mężczyzna się wyprostował.

– Pani Marku, nie przedłużajmy, dobrze? Obaj wiemy, o co chodzi. Oczekujemy, że zdradzi pan nam tożsamość czwartego sprawcy napadu, który zabił kasjerkę i w związku z tym... – Kowalski urwał na chwilę, wziął oddech i dokończył agresywnie: – ...wpierdolił was, za przeproszeniem, w straszne bagno.

Kowalski wbił wzrok w przesłuchiwanego, który nagle skulił się w sobie i zadrżał.

– To jest jedyna szansa na uniknięcie zarzutu o współudział w zabójstwie – odezwał się lodowatym głosem. – Inaczej się z tego nie wykaraskacie.

Zabębnił palcami o blat stołu.

– Tak to wygląda.

– On mnie zajebie!

– Nie. Tak jest tylko na filmach. Pan nam go wskaże, my go zawiniemy i historia się skończy. Ma pan moje słowo.

Zerknął na Kamińskiego.

– Zaczynamy?

Kiwnięcie głową.

Sierżant wypuścił z ulgą powietrze, nachylił się nad magnetofonem i wcisnął klawisz „record”. Wypowiedział kilka formułek, podał datę, godzinę, po czym spojrzał na przesłuchiwanego.

– Panie Kamiński, proszę powiedzieć, kto był czwartym uczestnikiem napadu na konwój Markizy w dniu 3 marca bieżącego roku.

Cisza.

– Proszę powiedzieć.

– Kowboj – odezwał się cichym głosem Kamiński.

– Kto?

– Kowboj.

Kowalski otworzył zdumiony usta i mimowolnie spojrzał w stronę naczelników, którzy stali za lustrem weneckim.

– Ten znany poznański gangster?

– Tak.

– Czyli Marek Wojnarowski?

– No chyba tak, nie bardzo kojarzę jego imię i nazwisko.

– Jest pan pewien, że to Kowboj?

– Uhm.

– Podpisze pan protokół z taką informacją?

– Tak.

Kowalski odchylił się na krześle, z trudem ukrywając ekscytację. Jego policzki pokryły się rumieńcami. Jak ja kocham tę robotę – pomyślał i nieświadomie zatarł ręce.

LXIX

Parę godzin później podinspektor Rambert przesłuchiwał w swoim gabinecie Waldemara Majewskiego.

– Jak się nazywa czwarty uczestnik napadu? – zapytał, zerkając na magnetofon marki Kasprzak, który postawił na skraju biurka.

– Nie wiem.

Rambert się uśmiechnął.

– Na pewno pan nie wie?

– Na pewno.

Naczelnik sięgnął po filiżankę. Wypiwszy kilka łyków, wyciągnął z szuflady kasetę i umieścił ją w kieszonce magnetofonu.

– No dobrze – mruknął, wcisnął „play” i popatrzył na Majewskiego, który zastygł w bezruchu.

„– Panie Kamiński – rozległ się spokojny, choć stanowczy głos sierżanta Kowalskiego. – Proszę powiedzieć, kto był czwartym uczestnikiem napadu na konwój Markizy w dniu 3 marca bieżącego roku.

– Kowboj.

– Kto?

– Kowboj?

Pauza.

– Ten znany poznański gangster?”

Rambert przyglądał się uważnie Majewskiemu, który z każdą sekundą robił się coraz bardziej błydy na twarzy.

„– Tak.

– Czyli Marek Wojnarowski?

– No chyba tak, nie bardzo kojarzę jego imię i nazwisko.

– Jest pan pewien, że to Kowboj?

- Uhm.
- Podpisze pan protokół z taką informacją?
- Tak”.

Podinspektor wyłączył nagranie i sięgnął po paczkę cameli leżącą na salaterce.

- Poczęstuje się pan?
- Tak, poproszę – odpowiedział cicho Majewski.

Mężczyźni zaciągnęli się w milczeniu.

Naczelnik dotknął kciukiem koniuszka nosa.

- I co pan na to? – zagadnął.

Majewski strzepnął popiół do popielniczki. Na jego twarzy widać było, że bije się z myślami.

– Kolega powalczył o mniejszy wyrok, myślę, że skutecznie – powiedział Rambert. – A pańska zatwardziałość może ten wyrok powiększyć. Napad, zabójstwo, odmowa współpracy... Żle to wygląda...

Cisza.

- Potwierdza pan, że Czwarty to Kowboj?

Skinienie głową.

- Tak czy nie?

– Tak.

Oficer odczekał chwilę, zdusił na wpół wypalonego papierosa i chwycił długopis. Pstryknął nim.

– Dobrze – odezwał się i zerknął na Majewskiego, z którego niemal całkowicie zeszło powietrze.

- Jak go pan poznał? – zagadnął.

Po krótkim namyśle padła odpowiedź:

- Przez wspólnych znajomych. Trzy, może cztery lata temu.

– Gdzie?

– Nie pamiętam. Na jakiejś imprezie. Może w Novotelu...

– Tym nad Malta?

– Tak.

– Jesteście zaprzyjaźnieni?

– Nie! Po prostu raz na jakiś czas widzujemy się na wódeczce

i dziewczynkach.

– W takim razie niech pan powie, jak to się stało, że zaczęliście współpracować.

Majewski oparł łokcie o blat stołu i schował twarz w dłoniach.

Po kilku chwilach podniósł głowę i oparł się na krześle. Chrząknął.

– Spotkaliśmy się kiedyś na jakichś imieninach – zaczął mówić. – Przysiadł się do mnie Kowboj. Zaczęliśmy gadać. Po którymś kielichu powiedziałem, że planuję ze swoimi ludźmi napad na konwój pieniędzy.

Urwał i pokręcił głową.

– Co mnie do tego podkusiło, to nie wiem – mruknął i zdusił niedopałek w popielniczce.

Zamilkł.

– To był wielki błąd – szepnął. – Największy błąd mojego życia.

Spojrzał na naczelnika.

– I jakoś tak poszło w tej naszej pijackiej rozmowie, że postanowiliśmy razem zrobić skok.

Pokręcił głową.

– No i, kurwa, dograłem się.

Spojrzał na swoje dłonie.

– To miał być zwyczajny napadzik! Trochę emocji, ździebko nerwów, dużo forsy, no i „happy end” na koniec... A wyszło, jak wyszło...

Westchnął.

– Ten popierdoleniec wszystkich nas zaskoczył! – krzyknął nagle. – Tego nie było w planie. Byliśmy umówieni, że w Owińskach wypuszczamy dziewczynę oraz strażnika i potem jedziemy dalej.

Pokiwał głową.

– A on nagle wyskoczył z busa i powiedział, że jednak bierzemy dziewczynę. To znaczy, on ją bierze.

– Właśnie, co było dalej?
– Pojechaliśmy do Suchego Lasu. Tam czekało na niego bmw. Wziął swoją dołę, dziewczynę i zniknął. Tyleśmy go widzieli.

– To wszystko?

– To wszystko... No może poza jednym.

– To znaczy?

– Wycelował w nas bronią i warknął: „Nie znam was, wy mnie nie znacie. A jeśli się dowiem, że puściliście z ryja parę, zajebię was”. Coś w ten deseń. Aż całą naszą trójkę zmroziło. Najbardziej posrał się Kamiński. Jak zresztą mogliśmy przekonać się na załączonej kasecie, kurwa jego mać.

Pół godziny później Rambert zakończył przesłuchanie.

Odsapnął chwilę, wypił świeżą kawę i zadzwonił do Bossowskiego, którego poinformował o aktualnym stanie śledztwa. Odłożywszy słuchawkę, wstąpił do Buryły. Po krótkiej dyskusji podjęli decyzję o zatrzymaniu Kowboja na terenie jego rancza w poniedziałek o szóstej rano.

Harry całym sobą chłonał widok nagiej Patrycji, która ujeżdżała go coraz szybciej i coraz głośniej. Westchnienia, jęki, kląskanie nagich i spoconych ciał przewiercały go na wskroś. Wyciągnął przed siebie ręce, żeby złapać jej bujne rozkołysane piersi.

W tym momencie nagle trzasnęły drzwi. Komisarz drgnął i zdziwiony odwrócił głowę.

Obok Patrycji przystanął Kowboj i złapał ją za kitkę.

– Zatrzymaj się, kurwo – warknął.

Dziewczyna zamarła.

Harry chciał się poderwać, ale gangster powstrzymał go gestem dłoni, po czym wyciągnął pistolet, przyłożył go do głowy przerażonej dziewczyny i strzelił.

Harry zerwał się i krzyk ugrzązł mu w gardle. Omiótł niespokojnym wzrokiem swój zaniedbany pokój i wypuścił powietrze.

Te sny mnie kiedyś zabiją – pomyślał i wstał z łóżka. Idąc korytarzem, miał wrażenie, że coś trzyma go za szyję. Wszedł do łazienki, wysikał się, wstąpił do kuchni, żeby napić się kranówki, i wrócił do łóżka.

Próbował zasnąć, ale kiepsko mu to wychodziło. Leżał i patrzył na sufit, a oczami wyobraźni widział Patrycję. Słyszał jej śmiech, patrzył w wesołe oczy. Zrobiło mu się bardzo przykro.

Po godzinie zmorzył go sen. Śniło mu się, że zasypia i jednocześnie myśli o tym, że nie zamknał mieszkania, co wzbudzało w nim narastający lęk przed wtargnięciem kogoś obcego i groźnego. Potem wszystko zniknęło, dźwięki, obrazy. Nastąpił spokój.

Obudził się w południe. Wstał z przepeconego łóżka, poszedł do kuchni, gdzie wypalił papierosa. Otworzył lodówkę, w której znalazł zaschnięty żółty ser i spleśniałe wędliny. Oraz dwie butelki wina. *To Patrycja kiedyś je przyniosła* – pomyślał, czując, że coś go w środku rozdziera.

Godzinę później siedział w barze mlecznym Kuchcik. Jadł jajecnicę, zastanawiając się, jak zorganizować sobie sobotnie popołudnie. Nie miał żadnych konkretnych pomysłów. Dni wolne od pracy były dla niego czymś kuriozalnym. Potem pojechał na cmentarz Miłostowski. Stał przed grobem Patrycji i wbił wzrok w jej roześmiany wizerunek. Znowu się oddał wspomnieniom. Jej dźwięczny śmiech wypełnił jego głowę. Zapalił znicz, przetarł oczy i skierował się ku wyjściu.

Jadąc samochodem w stronę centrum, myślał o Kowboju. Ktoś mu kiedyś opowiedział, że widział, jak gangster wszedł ze swoimi ludźmi do jakiejś poznańskiej knajpy.

Wydzierając się jak debile, wleźli do środka. Spoliczkowali kelnerki, potem na przeprosiny pokleпали je po dupach, i usiedli przy barze. Kowboj położył przed sobą kłamkę, przywołał barmana i powiedział:

– Przyszła szlachta, żeby się zabawić na koszt firmy. Polej.

Wypili kilka kolejek i zaczęli demolkę.

Podobno tej nocy zgwałcili jakąś nastolatkę, którą spotkali gdzieś w okolicy.

Harry zacisnął ręce na kierownicy. Zerknął na tylne lusterko i zobaczył swoją ponurą minę. Poczuł, że ogarnia go złość. Zaczął przypominać sobie te wszystkie opowieści, z których wyłaniał się portret Kowboja jako sadysty i gwałciciela.

Nakręcał się. Coraz bardziej. Chciałbym go zabić – pomyślał nagle, zapalając papierosa.

Znalazłszy się na Dąbrowskiego, stwierdził, że nie chce wracać do domu. Postanowił pojechać na komendę. Będąc na miejscu, odgrzebał szkic notatki służbowej, którą sporządził mniej więcej rok temu. Pewna młoda początkująca

prostytutka została zgwałcona przez Kowboja na jego ranczu, w czasie jakiejś imprezy. Zgłosiła to na policję, ale potem wycofała oskarżenie. Sprawa rozeszła się po kościach. Zresztą, nikt się palił, żeby coś z tym zrobić. „Kurwy nie można zgwałcić”, osądzili koledzy ku jego zażenowaniu. Pamiętał, że miała na imię Monika.

Harry zadzwonił do znajomego alfonsa i wypytał go o nią. Otrzymał informację, odłożył słuchawkę, wypalił papierosa i opuścił budynek.

Parę minut po dwudziestej drugiej siedział w Novotelu. Popijał kawę i wypatrywał Moniki, która miała się tutaj dzisiaj pojawić. W końcu doczekał się jej.

Była wysoką, szczupłą dziewczyną o ładnej, choć trochę pochmurnej twarzy. Szła seksownym krokiem przez korytarz, raz po raz odgarniając z czoła swoje długie błyszczące włosy. Miała na sobie czarną miniówkę, czerwone szpilki i białą bluzeczkę z dużym dekoltem. Sięgnęła do torby, z której wyjęła paczkę papierosów.

Harry dopił kawę i po chwili stanął przed nią. Nie poznała go. Zamienili parę słów, po czym wsiedli razem do windy i udali się do pokoju położonego na piątym piętrze. Gdy weszli do środka, dziewczyna położyła torebkę na krześle i obrzuciła komisarza zalotnym spojrzeniem.

Pięknie pachniała. Podeszła do niego i złapała go za sprzączkę pasa.

– Czego chcesz? – mruknęła. – Co lubisz?

Harry złapał ją za rękę i wtedy uprzytomnił sobie, że jego pomysł, aby z nią pogadać o gwałcie, jest poronionym pomysłem. *Czemu to miało służyć?* – zapytał się skonsternowany sam siebie.

Zerknął na Monikę.

– Dzisiaj jednak niczego nie chcę – wymamrotał.

prostytutka uniosła brwi w zdziwieniu. Komisarz wyciągnął z kieszeni kurtki portfel, wręczył jej pieniądze i wyszedł.

Wróciwszy do domu, rzucił się na łóżko i próbował sobie przypomnieć opowieść Moniki, którą mu opowiedziała łamiącym się głosem.

„W pewnym momencie szepnął mi do ucha, żebyśmy poszli w ustronne miejsce. Poszliśmy do sypialni. Zza barku wyjął jakiś alkohol, chyba szampan. Rozlał do kieliszków i podał mi jeden. Gdy wypiliśmy, puścił jakąś muzykę, typową pościelówę. Usiadł na łóżku i zdjął koszulę. Kazał mi tańczyć i jednocześnie się rozbierać. Potem pieprzyliśmy się kilka razy. Na różne sposoby.

Po godzinie nagle coś się w nim zmieniło.

Uderzył mnie w twarz, bardzo mocno. Chciałam zaprotestować, wyszczerzył zęby i uderzył ponownie. Kutas mu się wtedy nagle napreżył. Pogłaskał się po nim i pchnął mnie na łóżko. Upadłam na plecy. Uwalił się na mnie, wszedł we mnie i zaczął mnie pieprzyć. Ale bardzo agresywnie. Strasznie mnie bolało. Krzyknęłam, a on chwycił mnie za szyję. Myślałam, że mnie udusi. To była makabra. Pieprzył mnie i dusił. Czułam, że to go podnieca.

Po jakichś piętnastu minutach skończył. Spojrzał na mnie.

– Przystań ryczeć. Sam przecież tego chciałaś – burknął. – Wiedziałaś, że jestem Kowboj, że lubię na ostro. Zgodziłaś się. Nawet mnie zachęcałaś do tego.

Zapłakałam.

– Przystań, dziwko. Słyszysz? Zakładaj gacie na dupę i spierdalaj stąd.

Gdy wychodziłam, warknął:

– Spróbuj o tym komuś powiedzieć, dziwko niedojebana”.

Harry zacisnął pięści, czując, że zalewa go fala gorąca. Wstał z łóżka i pomaszerował do kuchni. Usiadł na krześle i zapalił papierosa. Nie pomogło. Był rozdygotany. Przełknął ślinę, wyciągnął z lodówki butelkę wina, otworzył ją i nalał do szklanki. Powąchał. Zamknął na chwilę oczy. Wypuścił powietrze. Pokręcił głową. Zapalił kolejnego papierosa. Wbił

wzrok w szklankę wina. Zadrżał.

Nagle gdzieś u góry rozległ się stukot, tak jakby ktoś ubijał mięso na kotlety. Harry zachichotał.

– Weź ty się jebnij, ćwoku! – Nocną ciszę rozdarł wrzask któregoś z sąsiadów, chyba nawet wiedział, którego. – O tej porze napierdalasz kotlety? Ocipiałeś?

Harry zaczął się śmiać.

Uspokoiwszy się, wylał wino, zapalił trzeciego papierosa i zaciągnął się głęboko. *Jakoś przetrwamy* – pomyślał.

Dziewiętnastego kwietnia, w poniedziałek, o bladym świetle przed ranczem Kowboja zaparkowały trzy czarne transportery i dwa polonezy. Kowalski odpakował lizaka i włożył go do ust. Ostrowski wyciągnął kluczyk ze stacyjki i zerknął na kolegę:

– Kojak – skwitował.

Kowalski wywrócił oczami.

– Skup się – warknął i spojrzął na zegarek.

– Piąta pięćdziesiąt osiem – powiedział. – Zaczynamy.

Wysiedli z samochodu i podeszli do Arnolda, szefa antyterrorystów, który wpatrywał się w imponującą posesję, ogrodzoną wysokim murem skrytym za zielonymi tujami.

Mężczyźni skinęli sobie głowami. Sierżant ponownie spojrzął na zegarek.

– Szósta – rzucił. – Wchodzicie.

– Z przyjemnością – powiedział Arnold i odszedł w stronę swoich podwładnych, którzy zgromadzili się przy jednym z czarnych busów.

Dał im znak ręką. Jeden z komandosów podszedł do bramy i w kilku sprawnych ruchach otworzył ją na oścież.

– A mama mówiła, żeby zawsze zamykać na cztery spusty – mruknął Ostrowski.

Uzbrojeni mężczyźni wbiegli na teren posesji i otoczyli dom. Trzyosobowa grupka stanęła przy wejściowych drzwiach. Gdy je sprawnie wyważono, sierżanci ruszyli przed siebie po zwirowej drodze. Za nimi podążyło dwóch techników.

Po chwili rozległ się wybuch granatów hukowych.

– Policja! Policja! Na głębę!

– Uwielbiam te dźwięki – szepnął Ostrowski. – To jest prawdziwa poezja.

Otrzepli z przyzwyczajenia buty i przekroczyli próg. Przeszedłszy parę metrów wzdłuż korytarza, znaleźli się w bardzo obszernym pomieszczeniu.

Ostrowski zagwizdał.

– Czyżbyśmy weszli na plan zdjęciowy do „Dynastii”? – mruknął, wodząc wzrokiem po bardzo pretensjonalnie i tandetnie zaaranżowanym wnętrzu.

Kowalski zmroził go wzrokiem.

– Czy ty musisz dzisiaj tyle napięprzać? – prychnął.

Ostrowski umilkł urażony.

Po paru minutach podszedł do nich Arnold. Ściągnął kominiarkę, przejechał ręką po zmierzwionych włosach i pokręcił głową.

– Pusto – oznajmił. – Nikogo tu nie ma. Nawet chomika.

– Szefie, rybki są na górze – zawołał ktoś z półpiętra i zarechotał.

Arnold zarechotał.

Sierżant ściągnął twarz.

– Jak to?

– Przykro mi.

Sierżanci obrzucili się wzajemnie ponurymi spojrzeniami.

Zapadła niezręczna cisza.

– Zwijamy się, co? – rzucił Ostrowski po chwili.

Kowalski rozgryzł głośno lizaka i podrapał się po głowie.

– Jeszcze nie – odpowiedział po chwili namysłu.

– Dlaczego nie?

– Chcę wykorzystać okazję.

– Do czego?

Kowalski zerknął na techników, którzy właśnie podeszli do rzeźbionego kominka i zaczęli wpatrywać się w figurkę nagiej czarnowłosej kobiety.

– Zlecę im przeszukanie domu. Kto wie, może Kowboj ma gdzieś u siebie kasetę z zabójstwem Grandowskiego?

– Nie wierzę, że ta kasetka istnieje. – Ostrowski wzruszył

ramionami.

– To nie jest kwestia wiary – burknął Kowalski. – To po prostu trzeba sprawdzić.

– Dobrze, panie profesorze.

Niestety, dwugodzinne przeszukania skończyły się fiaskiem.

Policjanci skrzywili się, opuścili ranczo, wsiedli do samochodów i pomknęli w kiepskich humorach na Kochanowskiego.

Kowboj odprowadził wzrokiem odjeżdżającego mercedesa i uśmiechnął się do siebie. Wciągnął powietrze, rozejrzał się po okolicy i wszedł z powrotem do domu. Wbił ręce w kieszenie i zrobił kilkanaście kroków. W lędźwiach czuł jeszcze rozkosz, jakiej zaznał z Milady, namiętą rudowłosą prostytutką, która po kilku godzinach ostrego seksu opuściła posesję.

Otworzył drzwi i znalazł się w salonie. Dużym, przyjemnie urządzonej pomieszczeniu. Było tu to, co lubił. Skórzane, bardzo wygodne meble, barek, telewizor, kominek, no i widok na jezioro. Gdy tu przyjechał parę dni temu, obiecał sobie, że wróci tutaj na wakacje. Popijanie łyskacza na tarasie, klepanie po dupach opalonych lasek i gapienie się na wielkie jezioro. Piękna sprawa. W sam raz jako rozgrzewka przed Hiszpanią czy jakimś innym Cyprem.

Spojrzał na Gagarina, jednego ze swoich najbardziej zaufanych przybocznych, łysego mięśniaka w dresach, który siedział w fotelu, trzymając nogi na ławie, i wpatrywał się w ekran telewizora.

Zrobił po cichu parę kroków i przystanął.

Na ekranie pojawił się Bogusław Linda. W zajebistej kurtce. Przebiegł przez drewniany mostek. W rękach trzymał karabin. Stał pod szarą ścianą. Żując gumę, rozejrzał się wokoło. „Wypierdalać” – mruknął i posłał dwie serie. Faceci wskoczyli do samochodu i odjechali z piskiem opon. Linda zerknął na leżącego na ziemi mężczyznę o twarzy Janusza Gajosa. Wypluł na niego gumę i wszedł do budynku. Kolejne ujęcie przedstawiało biegnącego z pistoletem Marka Kondrata.

– Się kurwa, strzelają – mruknął.

Gagarin drgnął i natychmiast ściągnął nogi z ławy.

– Zaraz się będą strzelać – powiedział. – A właściwie jeden drugiemu rozpierdoli łeb. To znaczy Linda Kondratowi.

– Pamiętam, pamiętam. „W imię zasad, skurwysynu”.

– Dokładnie. – Gagarin wyszczerzył zęby. – „Pierdolisz moją kobietę”.

Mężczyźni zaśmiali się z uznaniem. Zamilkli i przez chwilę wpatrywali się z zaciekawieniem w ekran.

Linda właśnie zaszedł od tyłu drogę Kondratowi.

„A kto umarł, ten nie żyje” – powiedział.

Kondrat się odwrócił.

Aktorzy zmierzyli się wzrokiem.

„Franz, nie wygłupiaj się – powiedział Kondrat przestraszony głosem. – Przecież jesteśmy przyjaciółmi, znamy się prawie dwadzieścia lat. Co ty myślisz, że to ja strzelałem? To nie ja, to ten świr. Ja tylko wykonałem wyrok na skurwysynie. Błagam, Franz, uspokój się”.

Kowboj i Gagarin zmarszczyli brwi, kiedy Linda wymierzył w Kondrata, a ten przyklęknął i położył na podłodze broń.

„Sam mówiłeś, że trzeba zrobić porządek – kontynuował Kondrat. – No. Myślisz, że zdradziłem? Ja nikogo nie zdradziłem. Ciebie nie zdradziłem, Franz. Parę razy chcieli ci stuknąć, nie pozwoliłem im. Franz, na co miałem czekać? Zrobiłem to samo, co ty. Na sądy miałem czekać? Skoczyłem do gardła skurwysynom”.

– Teraz będzie dobre! – zawołał Gagarin.

Kowboj zaklaskał i oblizał usta.

„Pierdolisz” – mruknął Linda.

„Nie, przysięgam ci, mówię prawdę, Franz” – zaklinał się Kondrat.

Linda pokręcił głową.

„Pierdolisz moją kobietę” – powiedział.

Kondrat otworzył szeroko oczy, jakby nie zrozumiał, o czym teraz jest mowa.

„Dlaczego?” – wydukał.

– W imię zasad, skurwysynu! – zawołali gangsterzy jednocześnie, a Linda otworzył serię, masakrując głowę Kondrata.

– Dobra, wyłącz to gównno – burknął Kowboj.

Gagarin sięgnął po pilot i wypełnił polecenie.

– Polej mi.

Gagarin polał.

Stuknęli się kieliszkami i wypili. Jednocześnie sięgnęli po ogórki, które leżały na talerzyku pośrodku ławy. Gdy Gagarin znów odkręcał butelkę, otworzyły się drzwi.

W progu stanął młody, przystojny mężczyzna. Był ubrany w czarną skórę, miał rozwiane włosy, w rękach trzymał kask.

– Mam informację – powiedział, drapiąc się po szyi.

Kowboj spojrzał na niego i zmarszczył czoło.

– Dobrą czy złą?

– Prawdę mówiąc, chujową.

– Gadaj!

Chłopak wypuścił powietrze.

– Psy najechały na ranczo – oznajmił.

Kowboj zdrętwiał.

– Ożeż ty w mordę – szepnął Gagarin i zerwał się z fotela.

– Kiedy? – zapytał Kowboj, wstając z sofy.

– Klasyk. O szóstej rano.

Kowboj podszedł do przeszklonych drzwi wychodzących na taras i spojrzał na ogród oświetlony latarenkami. Położył prawą dłoń na glocku.

– Wiadomo dlaczego? – zapytał po dłuższym milczeniu.

– Jeszcze nie. Ale uruchomiliśmy ludzi, którzy mają odpowiednie dojścia.

– A to kurwy – warknął Kowboj i poruszył karkiem.

Wziął głęboki oddech, odwrócił się i podszedł do sofy. Usiadł, dał znać Gagarinowi, żeby polał wódki. Wychyliwszy pięćdziesiątkę, położył głowę na oparciu.

– Pewnie rozkuli ludzi od Majewskiego – odezwał się. – Sypnęli mnie.

Oparł się o zagłówek fotela.

– Trzeba będzie postraszyć skurwysynów grypsami, żeby odwołali swoje wyjaśnienia.

Zamilkł i przymknął oczy. Czuł, jak adrenalina zaczyna ożywiać jego ciało.

Przypomniał sobie nagle swojego dziadka, ślusarza z zawodu, który kiedyś powiedział mu w przypiływie złości, że przez swoją „niepohamowaną naturę” w końcu się doigra i skończy w jakimś dole. To było po krwawej bijatyce, w którą wdał się w czasie zabawy dożynkowej. „Słyszysz, gówniarzu? – wydarł się dziadek, który zazwyczaj panował nad sobą doskonale. – Ktoś się kiedyś zaweźmie na ciebie i odpłaci ci pięknym za nadobne. Skończysz marnie, psiakrew!” *Może, ale jeszcze nie teraz* – pomyślał, zaciskając pięści. *Jeszcze nie teraz.*

– Dobra – powiedział, prostując się. – Jutro stąd spierdalam. Spojrzał na chłopaka.

– Wracaj do Poznania – rzucił. – Wiesz, co masz robić.

Ten skinął głową, mruknął coś pod nosem i opuścił salon.

– Nalej.

Gagarin nalał. Kowboj wypił i przymrużył oczy, rozkoszując się ciepłą falą wyzwoloną przez alkohol. Pierdolony napad – pomyślał z irytacją. *Zachciało mi się kilku miliardów. Mam za swoje, kurwa jego mać.*

Kowboj musiał przyznać w duchu, że jego „niepohamowana natura” zbyt często ściągająca na niego kłopoty. Sapnął i położył nogi na ławie. Przez chwilę głośno oddychał.

– Miałem nosa z tym wyjazdem z miasta – warknął.

– Ano – mruknął Gagarin i zerknął z niepokojem na szefa.

Po trwającej kilka minut ciszy zapytał:

– Może obejrzymy „Robocopa”? Mam kasetę!

LXXIII

We wtorek rano Katia energicznie zerwała się z łóżka. Zrobiła kilkadziesiąt pompek, umyła zęby, wypila kawę i poszła pobiegać nad Jezioro Maltańskie. Gdy po godzinie solidnego truchtu poczuła pokusę, żeby się zatrzymać, wcisnęła „play” na swoim walkmanie, i natychmiast przyspieszyła.

Ostre riffy Sepultury, której album podarował jej parę tygodni temu Damian, zadziałały jak solidny zastrzyk adrenaliny. „Obscured by the sun – darł się męski głos. – Apocalyptic clash, / Cities fall in ruin / Why must we die?”

Dajesz – rzuciła w myślach do siebie, przymknęła oczy i zaczęła odliczać: 30, 29, 28, 27... Doszedłszy do zera, zwolniła. Pot spływał jej po czole. Czuła przyjemne zmęczenie w udach. Uwielbiała to.

Zerknęła na trampki, przy jednym z nich rozwiązała się sznurówka. Zatrzymała się i ukucnęła, żeby ją zawiązać. Gdzieś w oddali popiskiwały mewy krążące nad jeziorem.

– Proszę pani. – Usłyszała nagle. – Przepraszam! Halo!

Wyprostowała się.

Parę metrów dalej, tuż przy zwirowym wjeździe do parku, stał mężczyzna w czapce z daszkiem i uśmiechał się do niej sympatycznie.

Średni wzrost, zwyczajnie ubrany, z parodniowym zarostem. Niebrzydki. Choć ta czapka psuła efekt całości.

Spojrzała na zegarek. Była siódma rano. Przesadziła trochę z czasem, powinna być już wykąpana i powoli szykować się do wyjścia do pracy.

Podeszła parę kroków do przodu.

– Słucham? – odezwała się, wbijając wzrok w mężczyznę.

Włożył ręce do kieszeni. Przygryzł usta.

– Chyba się zgubiłem – zaśmiał się nerwowo; w ogóle sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

– A gdzie pan chce trafić?

– Do hotelu Novotel.

Uniosła brwi. *Facet w czapce z daszkiem idzie do Novotelu na piechotę?* – przeszło jej przez głowę. Wzruszyła ramionami.

– Musi pan wrócić na Warszawską i iść w stronę Swarzędza – odparła, wycierając pot z zaczerwienionej twarzy.

Wymienili się spojrzeniami.

– Wrócić? – powtórzył, drapiąc się po szyi.

Mężczyzna rozejrzał się w okóło.

– A daleko to?

– Nie.

Nagle za plecami Katia usłyszała warkot silnika. Przed oczami mignął jej jakiś szary dostawczy samochód. Nie zdążyła rozpoznać marki, bo ktoś ją złapał od tyłu, przyłożył do twarzy coś śmierdzącego i popchnął gwałtownie. Poczowała nudności, zaczęło jej się kręcić w głowie. Próbowwała się szarpnąć, ale bezskutecznie. Resztkami świadomości zanotowała, że upada na twarde podłoże.

Miszczu zerknął na zegarek, było parę minut po jedenastej.

– Gdzie ona jest? – mruknął do siebie. – Chyba nie zasnęła?

Wstał. Wyszedł z pokoju i zaczął szukać jej w różnych pomieszczeniach Wydziału Kryminalnego. Nigdzie jej nie było. Nikt dzisiaj jej nie widział.

– Zaginiona w akcji – mruknął do siebie, kiedy przystanął na korytarzu.

Nagle przed samym jego nosem energicznie otworzyły się drzwi od damskiej toalety. Odchylił się i mrugnął okiem do sekretarki, która uśmiechnęła się na jego widok.

– Nie zmiążdżyłam ci nosa, kochany? – rzuciła wesoło, chowając do torebki szminkę.

Pokręcił głową, odprowadził ją wzrokiem i wszedł do łazienki.

– Furia, jesteś tam? – zawołał. – Katia!

Drzwi znowu się otworzyły, do środka wkroczyła księgowa, niewysoka, otyła kobieta w białej garsonce. Dostrzegłszy podkomisarza, zmarszczyła wzrok.

– Co ty tu, chłopie, robisz? – burknęła.

– Szukam Katii.

– Jakiej znowu Katii?

– Starszej posterunkowej z kryminalnego, nigdzie jej nie ma. Nie przyszła do pracy. Nie wiem dlaczego.

Księgowa uniosła gniewnie brwi.

– Jeśli nie przyszła do pracy, to nie ma jej też tutaj! Trochę logiki.

Miszczu sapnął zirytowany.

– A poza tym, to jest damska toaleta, a ty w ogóle nie przypominasz mi damy.

– Dobra, dobra, już wychodzę.

Policzki księgowej nabiegły krwią.

– Czy wam, faceci, już do reszty się przewracało w dupach?

Co za niewyżyte babsko – warknął w duchu Miszczu. *Tylko mnie nie dotykaj tymi spoconymi rękami.*

– Co tu się dzieje?!

Podkomisarz wywrócił oczami.

Kurwa mać, zlot czarownic w babskim kiblu – jęknął. *Katia, pamiętaj, że poległem tu dla ciebie.*

Do toalety weszła aspirantka Blamowska. Miszczu bał się jej, ale i fascynował jej bujnym ciałem. Parę razy miał z nią sny erotyczne.

– Co ty tu robisz, Kobiela? – zapytała, łąpiąc się za biodra.

– Szukam, Katii, do cholery!

– W damskim kiblu? Wypieprzaj stąd, pókim dobra, zbroczeni jeden!

Miszczu pokręcił głową.

– Już mnie nie ma – wycedził i chwycił za klamkę.

– I żebyśmy cię tu więcej nie widziały. – Usłyszał.

– Jesteście złe kobiety! – mruknął i trzasnął drzwiami.

Przeklinając pod nosem, ruszył wzdłuż korytarza.

– Kobiela, poczekaj – to był głos Blamowskiej.

Zatrzymał się.

– Czego?

– Co z tą Katią? – zapytała. – Miała coś dla mnie drobnego zrobić, właśnie sobie o tym przypomniałam. Gdzie ona jest?

– No też chciałbym wiedzieć. Muszę się z nią pilnie skontaktować, a nikt jej dzisiaj nie widział. Zaczynam się bać, że coś się jej stało.

Berta pomyślała chwilę.

– Dobra, spróbujemy jej poszukać, dam ci znać – oznajmiła.

Miszczu skinął głową i wrócił do siebie.

Postanowił zając się tymczasem papierkową robotą. Musiał naskrobać trochę zaległych notatek służbowych.

Po półgodzinie zadzwonił telefon. Odebrał.

– Rzeczywiście, nikt jej dzisiaj nie widział w robocie – powiedziała Blamowska zaniepokojona.

Może ją zmogło jakieś straszne choróbsko? – pomyślał Miszczu, przerywając połączenie.

Wyjął z szuflady zeszyt i odnalazł domowy numer Katii. Podniósł słuchawkę, wykręcił numer. Nic. Nikt nie odbierał. Wykręcił raz jeszcze. Nic. Po drugiej stronie żadnej reakcji. Normalny, jednostajny sygnał. Poczłł niepokój. Zerwał się z krzesła i szybkim krokiem poszedł do sekretariatu.

– Czy Katia ma dzisiaj wolne? – zapytał.

Odpowiedź brzmiała: nie.

Sapnął i wyszedł na korytarz. Wracając do siebie, natknął się na Harry'ego, który zagadnął go o Katię.

– Nie wiem, szukam jej wszędzie – odparł, czując coraz większe poirytowanie.

– Jak ją odnajdziesz, przyślij ją do mnie.

– Jasne – prychnął.

Wszedłszy do pokoju, usłyszał dzwonek telefonu. *Może to ona?* – pomyślał z nadzieją. *Na pewno jest chora, właśnie się obudziła albo wróciła od lekarza.*

Ale to nie była Katia, to był Buryła.

– Co się dzieje z Katią? – zahuczał naczelnik. – Miała być u mnie pół godziny temu!

Podkomisarz wyjaśnił zwierzchnikowi sytuację.

Ten skwitował to jednym krótkim zdaniem:

– Znajdź jak najszybciej!

Odłożył słuchawkę. Pomyślał chwilę i poszedł raz jeszcze do sekretariatu, żeby zapytać o numer rodziców Katii. Okazało się, że takowy był zapisany w dokumentach.

– Dzień dobry pani, nazywam się Adam Kobiela – odezwał się, gdy po drugiej stronie linii usłyszał głos dojrzałej kobiety, trochę płacziwy. – Jestem kolegą z pracy Katii.

Chrzęknął parę razy i jednocześnie zastanowił się, jak zagaic

o córkę, żeby nie wywołać przy tym niepokoju u matki.

– Zdaje się, że Katia ma dzisiaj wolne – mówił. – Muszę ją zapytać o parę służbowych spraw. Dzwoniłem do niej parę razy, ale nie odbiera. Czy wie pani może, gdzie ona jest? Wyjechała?

– Nic mi nie wiadomo o tym, żeby Katia miała dzisiaj wolne, proszę pana. – W głosie kobiety wybrzmiała lekka pretensja wymieszana z niepokojem. – A rozmawiałam z nią wczoraj późnym wieczorem.

– Rozumiem.

– Czy coś się stało? – zapytała matka, podnosząc głos. – Nie ma Katii? Nie przyszła do pracy? Przecież ona mi... To jest, proszę pana...

Miszczu przerwał jej delikatnie.

– Proszę się nie denerwować – powiedział. – Przepraszam, nie powinienem dzwonić. Właśnie koleżanka mi mówi, że Katia wzięła sobie wolne. Wszystko jest w porządku. Pewnie sobie gdzieś poszła albo pojechała w ramach odpoczynku. Należy jej się, jest bardzo pracowita.

– Ale jak to wzięła sobie...

– Dziękuję pięknie, pozdrawiam serdecznie – odłożył słuchawkę i wytarł spocone czoło.

Dziwna osoba – pomyślał. Ciekawe, jak się Katia z nią dogaduje? Przecież one są jak ogień i woda.

Odchylił głowę i zerknął na sufit. Przymknął oczy i spróbował się skupić. Za oknem usłyszał odgłos wyjącego wściekle motoru. Nie lubił motorów i motocyklistów. Nagle coś go tknęło. Przeniósł wzrok na drzwi, za którymi ktoś rechotał. Ściągnął twarz.

Przypomniał sobie scenę z garażu, o której powiedziała mu Katia. Gdy on siedział w kanale i szukał ukrytych pieniędzy, Katia zamieniła parę słów z jakimś facetem. Zagadnął ją, co tu robią. Wymienił imię Majewskiego. Odpowiedziała mu coś na odczepnego, nie zdradzając szczegółów. *Czy się*

przedstawiła z imienia i nazwiska? – zastanawiał się gorączkowo. Pewnie tak, pewnie okazała mu legitymację. Taki jest obowiązek.

Poczuł, że po plecach spływa mu zimny pot. Zadrżał.

– A jeśli...? – szepnął do siebie.

Przejechał dłonią po ustach.

– Nie, to niemożliwe. Nie można wpadać od razu w paranoję.

Zasepił się i po chwili namysłu znowu chwycił słuchawkę.

– Podaj mi, kochana, adres domowy Katii – powiedział, sięgając po zeszyt i długopis.

Kiwnął głową i podziękował. Odłożył słuchawkę.

Wstał, założył kurtkę, zbiegł po schodach, wyszedł z budynku i po paru minutach jechał ulicą Poznańską w stronę centrum. Włączył radio, ustawił jakiś poznański program. Właśnie skończyła się rozmowa z Buryłą na temat napadu na konwój.

– Czyżby nastąpiła powtórka z rozrywki? – zawołał dziennikarz. – Czyżby poznaniacy powtórzyli wyczyn Anglików z 1963 roku? Nie kojarzycie, państwo, o czym mówię? Już wyjaśniam! W sierpniu 1963 roku piętnastoosobowy gang napadł na pociąg relacji Londyn–Glasgow wiozący pieniądze. To była bardzo precyzyjna operacja przestępcza. Nic dziwnego, że ówczesne media okrzyknęły ją „napadem stulecia”. – Dziennikarz się zaśmiał. – Sądząc po nagłówkach lokalnych gazet, nasi dzielni przestępcy postanowili powtórzyć wyczyn. A teraz piosenka! Wyobraźcie sobie, że chłopcy z Sex Pistols nagrali piosenkę z Ronaldem Biggsem, czyli jednym z członków grupy, która napadła na pociąg. Serio! Posłuchajcie, przenosimy się do 1978 roku. „No One Is Innocent”!!!

– Debile – burknął podkomisarz i wyłączył radio.

Po parunastu minutach zaparkował pod blokiem Katii. Zerknął na ścianę, na której widniał napis „Life is full of zasadzkas” i wysiadł z samochodu.

Gdy stanął pod drzwiami, zapukał. Nic. Zadzwoił. Nic.

– Katia! – zawołał i uderzył pięścią parę razy w drzwi.

Odczekał dłuższą chwilę. Nic.

Westchnął i wyjął z pederastki, którą zabrał ze sobą, zestaw do otwierania drzwi. Dawno tego nie robił, więc się porządnie natrudził, zanim wszedł do środka. Był ciekawy, jak Katia mieszka. Okazało się, że mieszkanie to schludnie urządzona kawalerka. Na korytarzu stała duża czarna szafa sięgająca niemal do sufitu. Po przeciwnej stronie wisiało duże lustro, pod nim tkwiła półka na buty, na której dostrzegł trzy pary głąnów. Uśmiechnął się.

W rogu stał wieszak, a na nim siwy polar oraz skórzana kurtka. Przy drzwiach prowadzących do pokoju wisiał czerwono-czarny telefon. Podkomisarz zerknął na szarą wykładzinę. Była czysta.

Przekroczył próg i wszedł do pokoju. Pociągnął nosem, poczuł przyjemny znajomy zapach. No tak, na parapecie leżały skórki po pomarańczy. Omiótł wzrokiem pomieszczenie. Typowa aranżacja. Tapczan, ława, fotel, dwie puffy. W rogu niewielki telewizor. Szafa.

Nad tapczanem wisiały poroża jelenia.

– Hm – mruknął, wpatrując się w nie ze zdziwieniem.

Ona poluje? – przeszło mu przez głowę. *Nie, to pewnie w spadku po jakimś dziadziusiu.*

Przeniósł wzrok na regał na książki. Podeszedł do niego i przejechał wzrokiem po tytułach. Kilka pozycji o sztukach walki, podręcznik z medycy sądowej, album z końmi. „Vademecum myśliwego” Stanisława Godlewskiego.

– Ożeż ty w mordę – mruknął. – Ona chyba naprawdę jest myśliwym.

Obok stało „Milczenie owiec” Thomasa Harrisa. Wziął je do ręki, przekartkował. Na jednej z pierwszych stron zobaczył dedykację: „Furii, która kiedyś stanie się główną bohaterką amerykańskiego filmu”. Uśmiechnął się i odłożył książkę na

miejsce. Nie zdziwiłbym się – stwierdził w duchu.

Zerknął na adapter, który stał na drewnianym stoliku. Na talerzu tkwiła płyta Pink Floydów, „Wall”. Miszczu przypomniał sobie, że Katia czasem nuciła „We don't need no education”.

Usiadł na tapczanie. Pod nogami miał skórę dzika. *Gdzie ty jesteś, miszczyni?* – pomyślał i się zasepił. Właśnie uprzytomnił sobie, że zdążył ją szczerze polubić od października zeszłego roku, kiedy pojawiła się w komendzie. Energiczna, silna, bystra. *Gdzie ty jesteś? Gdzie ty jesteś?*

Wstał i wyszedł na korytarz. Skierował się do kuchni. Na stole zauważył miskę wypełnioną mlekiem i płatkami, dwa banany, słoiczek miodu. Na krześle leżały spodnie, czarny tizert oraz błękitna flanelowa koszula.

Miszczu przypomniał sobie, że Katia miała w zwyczaju biegać wokół Jeziora Maltańskiego przed pracą. Sięgnął po szklankę, nalał do niej wody z kranu i się napił. Podeszedł do okna, które wychodziło na sąsiedni szary blok.

Nagle rozległ się dźwięk telefonu. W pierwszym odruchu chciał odebrać, ale ostatecznie zrezygnował. Pomyślał sobie, że to może być jej matka, która zaniepokoiła się po rozmowie z nim i postanowiła zadzwonić do córki, żeby przekonać się, co się dzieje.

Poszedł do łazienki. Na pralce leżała czysta bielizna. Popatrzył na nią przez chwilę i nagle uświadomił sobie, że Katia nie budziła w nim pożądania. Owszem, była ładna, widział to, ale nigdy nie budziła w nim kosmatych myśli, jak wiele innych koleżanek z pracy, nawet tych mniej od niej atrakcyjnych. Podrapał się po podbródku. Po prostu lubił ją jak kumpelę, na której można polegać, z którą można kraść przysłowiowe konie. Nawet jak go irytowała tą swoją zaciętością, to czuł przyjemność z obcowania z nią. Pokręcił głową. Umył ręce i wyszedł.

Pokręcił się jeszcze parę minut po mieszkaniu, westchnął

przeciągle i opuścił kawalerkę. Schodząc po schodach, nabierał coraz mocniejszych przekonania, że Katii naprawdę przydarzyło się coś złego. Że to skojarzenie z motocyklistą był słuszne. *Może ludzie Kowboja obserwowali dom Majewskiego po zatrzymaniu całej trójki?* – pomyślał. *Może było tak, że klient wystraszył się, że któryś z nich go sypnie, i postanowił mieć oko na sytuację?*

Przystanął przed blokiem i zapalił papierosa. Wsłuchując się w szum samochodów, próbował na spokojnie rozważyć możliwe scenariusze tego, co mogło się wydarzyć.

Może miała wypadek i zawieziono ją do szpitala? A może dostała nagle jakąś informację i pojechała to sprawdzić, nikogo o tym nie powiadamiając?

Podkomisarz przypomniał sobie, że przecież tak wyglądało zatrzymanie Kramerskiego, seryjnego gwałciciela i zabójcy. Któregoś razu Katia dostała telefon od dziewczyny, która się z nim spotykała. Przesłuchała ją szybko i przytomnie i dowiedziała się, że para się spotykała na seks w jakiejś dziurze zabitej dechami, o której policja nic nie wiedziała. Dziewczyny pojechały tam, w niedzielę wieczorem, no i natknęły się na niego. Doszło do walki, którą szczęśliwie wygrały.

Kurwa mać – warknął w myślach Miszczu. *Tylko nie to, tylko nie to.*

Zdusił niedopałek. W tym momencie z klatki schodowej wyszła jakaś starsza pani z psem. Ukłonił się jej grzecznie, a gdy zniknęła za zakrętem, podbiegł do niej i zapytał, czy widziała dzisiaj rano Katię.

Staruszka pokiwała głową.

– A tak, przed szóstą minęłyśmy się w tym miejscu – odparła. – Ona szła pobiegać nad Maltę, a ja wychodziłam na spacerem z Maksiem. – Wskazała brodą podszczekującego jamnika.

Miszczu podziękował, wsiadł do samochodu i ruszył

z piskiem opon. Serce zaczęło mu coraz szybciej bić. Nie wyglądało to dobrze.

Postanowił podjechać nad Maltę i pokręcić się po okolicy.

Komisarz Harwej siedział w kawiarni na Dąbrowskiego i wpatrywał się w widokówkę przedstawiającą berlińską Bramę Branderburską.

Wychodząc z domu, zerknął do skrzynki na listy. Całe szczęście, że to zrobił. W środku znalazł tę kolorową przesyłkę od żony. Owszem, była lakoniczna – „Przesyłamy pozdrowienia prosto z pięknego Berlina” – ale podpisana była także przez Kasię, jego córkę. Gdy zobaczył jej podpis, drobny, jakby nieśmiały, poczuł ukłucie w sercu. To od kilku lat pierwsze słowo, jakie przesłała mu od siebie. „Kasia”.

– Można? – usłyszał nagle i zaskoczony podniósł głowę.

Przed nim stał sześćdziesięcioletni, niewysoki mężczyzna o drobnej posturze. W rękach trzymał kaszkiet. To był Mechanik, znany poznański gangster, którego mijał czasami tu i ówdzie. Znali się, także oficjalnie. Podczas przypadkowych spotkań kiwali sobie głowami.

– Proszę – odpowiedział i schował pocztówkę pod gazetą.

Odruchowo zerknął na zegarek. Było parę minut po jedenastej. *Czegoś chce* – pomyślał.

Mechanik rozpiął kurtkę i usiadł.

– Słyszałem, że szukacie Kowboja – odezwał się, kładąc kaszkiet na wolnym krześle.

Harry spojrział na niego, krzywiąc usta w lekkim grymasie.

– Jest w tym trochę prawdy – mruknął.

Mechanik położył dłonie na stole. Otworzył usta, ale w tym momencie podeszła do nich kelnerka.

– Co dla pana?

– Nic.

Dziewczyna uśmiechnęła się i odeszła bez słowa.

– Podobno odwiedziliście wczoraj ranczo Kowboja i pocałowaliście klamkę? – zagadnął Mechanik, gładząc się po wąsikach.

Mężczyźni zmierzyli się wzrokiem.

– Mniej więcej – powiedział komisarz, wsypał cukier do kawy i zamieszał. – A dlaczego pytasz? – zapytał po chwili, przybierając obojętny ton.

– Ja nie pytam, ja stwierdzam fakt.

– No dobrze, a w jakim celu stwierdzasz ten akurat fakt?

– Przygotowuję grunt.

– Grunt pod co?

– Pod dobry uczynek.

Harry upił parę łyków i zerknął na rozmówcę,

– Dobry uczynek – powtórzył, z trudem ukrywając zaniepokojenie.

– Tak właśnie.

Zapadła cisza.

Harry spojrział przez okno na ulicę. Po torowisku jechał właśnie tramwaj wypełniony po brzegi ludźmi. Nagle zatrzymał się gwałtownie. Jakiś pijak wbiegł na pasy i się przewrócił. Młody chłopak pomógł mu wstać. Oficer przeniósł wzrok nieco dalej i zatrzymał go na stacjonarnym rowerze, który pełnił funkcję szlifierki. Jego właściciel, rencista o imieniu Lolo, klęczał przed nim i coś majstrował przy kołach.

– Co to za uczynek? – zapytał Harry.

– Przekazanie informacji.

– Aha.

– Bardzo cennej dla was.

– Hm...

– Jesteś zainteresowany?

W co on sobie pogrywa? – pomyślał komisarz i spojrział nieufnie na Mechanika.

– Co to za informacja? – zapytał.

– Dotyczy miejsca pobytu Kowboja – powiedział gangster i ułożył dłonie w piramidkę.

Harry zastygł w bezruchu.

Mechanik rozchylił lekko usta, jakby zadowolony z reakcji, jaką wywołał na swoim rozmówcy.

Do czego on zmierza? – zastanawiał się komisarz. Próbował zdusić podniecenie, które zaczęło go ogarniać, ale nie był w stanie. Na karku poczuł mrowienie.

– Zamieniam się w słuch – mruknął.

Mechanik nachylił się nad stolikiem i szepnął do ucha Harry'emu parę wyrazów, które złożyły się na adres, o jakim marzyła niemal cała Komenda Wojewódzka. Harry wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki notes i pospiesznie zanotował dane. Pstryknął długopisem.

– Dlaczego mi to zdradzasz? – zapytał, zdając sobie sprawę, że nie otrzyma na to pytanie szczerzej odpowiedzi.

Mechanik położył dłoń na dłoni i przyjrzał się swoim równo obciętych paznokciom.

– Bo to zły człowiek jest – odparł poważnym głosem. – Bardzo niebezpieczny.

Westchnienie.

– I dla was, i dla nas, panie komisarzu. – Zamilkł. – Dlatego trzeba go unieszkodliwić.

Patrzyli na siebie przez parę chwil. W końcu Harry dopił kawę i zaczął się zbierać.

– Tam jest taka altanka, trochę jak z filmu – rzucił nagle Mechanik, kiedy komisarz nakładał na siebie kurtkę.

– Że co?

– Nic.

Harry skinął głową i opuścił kawiarnię.

Katia napięła wszystkie swoje mięśnie i próbowała odepchnąć mężczyznę, który przygwoździł ją do mokrej, zimnej ziemi. Był jednak zbyt silny. Napierał na nią coraz mocniej, dysząc przy tym przeraźliwie. Złapał ją za ręce i usiadł na brzuchu. Stęknęła z bólu. Nachylił się nad nią. Odwróciła ze wstrętem głowę, czując jego nieprzyjemny oddech. *To tylko sen!* – zaklinała rozpaczliwie w myślach. *To tylko sen!*

Raz jeszcze napięła mięśnie i zagryzła mocno usta. Znowu bezskutecznie. Zabójca przydusił ją całym swoim twardym, umięśnionym ciałem i zaczął ocierać się o nią. Gdy przez spodnie wyczuła jego wzwód, przeraziła się. Złe obrazy z przeszłości przeleciały jej przy głowę, przyprawiając ją o dreszcze.

– Zaraz cię zerżnę. – Usłyszała. – Za chwilę.

Zamknęła powieki, próbując rozpaczliwie się obudzić. Ale sen nie chciał ulecieć. Zadrzała. *Co robić?*

Rozwarła powieki i wbiła wzrok w twarz oprawcy. Miał zamglone oczy, z ust ciekła mu ślina. Dyszenie zamieniło się w charkot. Nagle poczuła spokój. Przemogła się i otworzyła usta.

– Zrób tak, żeby nie bolało – szepnęła, walcząc z obrzydzeniem.

Wyszczrzył zęby, sapnął i puścił jej rękę.

– Zrobię tak, jak chcę, dziwko – zamruczał. – Tylko tak lubię.

Przybliżył swoją twarz do jej twarzy i wysunął język. Katia zamknęła oczy. Na policzku poczuła coś mokrego. Raz, dwa, trzy – policzyła i z całej siły czołem uderzyła go w nos. Zignorowała straszliwy ból i w nagłym przypiływie sił zrzuciła

z siebie cielsko napastnika.

Zerwała się błyskawicznie z ziemi i rąbnęła go pięścią w skroń. Upadł na ziemię. Ryknęła i kopnęła go w brzuch. Potem w twarz i znowu w brzuch. *Zajebię cię, śmieciu* – krzyczała w myślach. Strach mieszał się z adrenaliną.

Nabrała powietrza. Chciała raz jeszcze go kopnąć, ale wtedy rozległ się jakiś huk. Znieruchomiała. To był grzmot. Dopiero wtedy doszło do niej, że wokół trwa burza. Pada deszcz, wieje porywisty wiatr. I grzmi. Błysnęło w oddali. I znowu grzmot.

Zrobiło jej się bardzo zimno, zaczęła drżeć. Rozejrzała się wokoło.

– Gdzie ja w ogóle jestem? – szepnęła, uświadamiając sobie, że nie wie, jak się tu znalazła, jak doszło do tej sytuacji.

Miała niejasne wrażenie, że skądś zna tę okolicę. Przeszedł ją prąd po plecach. Koniec. Ciemność. Otworzyła oczy.

Cięcie.

Po kilkunastu sekundach zorientowała się, że to był jednak sen. Koszmarna migawka z wydarzeń sprzed paru miesięcy, kiedy razem z koleżanką zatrzymała w trakcie walki seryjnego zabójcę.

Przełknęła ślinę. *Kurwicy można dostać od tych snów* – pomyślała. Wypuściła powietrze i pozwoliła swoim zmysłom wrócić do rzeczywistości.

Leżała na materacu przykryta starym kocem. W jakimś małym, ascetycznym pomieszczeniu. O szarych brudnych ścianach. Z jednym stolikiem i dwoma krzesłami. Z sufitu zwisała żarówka, która dawała słabe światło.

Usiadła i zrzuciła z siebie koc. Przypomniała sobie scenę znad Jeziora Maltańskiego. Żołądek podszedł jej do gardła.

Było wcześniej rano, przed siódmą. Kończyła biegać, ktoś ją zawołał. Jakiś facet. Zapytał ją o coś, chyba o drogę. Zaczęli rozmawiać. Wtedy... Fala ciepła przepłynęła przez jej ciało... Wtedy poczuła, że ktoś ją łapie od tyłu, przykładając coś do twarzy i wrzuca do środka jakiegoś samochodu. Chwilę potem

straciła przytomność.

Katia poruszyła nozdrzami. To był chyba chloroform. Strach opanował jej ciało. Zaczęła drzeć. Zacisnęła pięści i położyła je na udach.

Uspokoiwszy oddech, wstała z materaca i raz jeszcze omiotła pomieszczenie. Na wysokości głowy dostrzegła dwa zakratowane okienka.

Podeszła do drzwi.

– Jest tam kto? – krzyknęła i zaczęła uderzać w nie pięścią. – Wypuście mnie!

Cisza.

Przyłożyła głowę do odrapanych, brudnych drzwi.

Nic.

Załomotała w nie obiema dłońmi.

– Wypuście mnie stąd! – warknęła. – Słyszycie?!

Cisza.

– O co wam chodzi, co jest grane?

Nic.

Kopnęła z wściekłością drzwi i zaraz potem przyłożyła do nich głowę.

Tym razem coś usłyszała. Kroki. Ktoś szedł pewnym krokiem i nucił jakąś melodię. Ktoś przystanął.

Odsunęła się od drzwi i wbiła w nie przestraszony wzrok.

Zazgrzytał zamek. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc przy tym niemiłosiernie. Katia zamarła.

W progu stanął mężczyzna w kominiarce, za czarnym grubym pasem tkwił pistolet, chyba glock. Spojrzawszy na nią czujnie, uśmiechnął się. Zasłonił twarz, więc może nie chce zabić? – pomyślała przytomnie i jednocześnie poczuła skurcz w brzuchu. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

Mężczyzna zrobił krok do przodu.

– Katia Domagała, starsza posterunkowa, Wydział Kryminalny Komendy Wojewódzkiej – odezwał się nagle spokojnym głosem. – Zgadza się?

LXXVII

Mężczyzna sięgnął po pistolet.

– Zgadza się? – zapytał, nie spuszczając jej z oczu.

Katia nie odpowiedziała. *Co tu się wyprawia? Co to za koleś?*
– myślała gorączkowo.

Nieoczekiwanie stanął jej przed oczami Wiktor Grandowski, uśmiechnięty młody dziennikarz, który został uprowadzony przez gangsterów. To skojarzenie zmroziło ją. *O co mu chodzi? Dlaczego ja? Przecież ja nic nie wiem.*

– Pani posterunkowa nie jest zbyt rozmowna – mruknął. – A szkoda. Bo nie chciałbym sięgać po inne środki perswazji.

Spojrzała mu w oczy. Biła z nich bezwzględność. To były bez wątpienia oczy zabójcy.

– Zgadza się? – powtórzył, tym razem bardzo nieprzyjemnie.

Skinęła głową.

– Nie słyszałem odpowiedzi.

– Zgadza się – mruknęła, kuląc się w sobie.

Instynktownie spojrzała na drzwi, były otwarte w połowie.

– Grzeczna dziewczynka – ucieszył się mężczyzna i rozejrzał się po pomieszczeniu. Sięgnął po krzesło i ustawił je przed Katią. Usiadł na nim okrakiem, kładąc ręce na oparciu. – Musisz mi odpowiedzieć na parę pytań – powiedział i wskazał jej pistoletem drugie krzesło. – Usiądź.

Zrobiła to, czując, że ze strachu zbiera jej się na wymioty.

– Dlaczego tu jestem? – zapytała niepewnym głosem. – O co chodzi?

Pokręcił głową.

– To ja tu zadaję pytania. Rozumiesz?

Nie odpowiedziała.

– Rozumiesz?

– Tak.

– To dobrze. Powtórzmy więc. Ja zadaję pytania, ty udzielasz odpowiedzi.

Oblizał usta i przez chwilę przyglądał się jej z wielką intensywnością.

– Co wiecie o napadzie? – zapytał.

– Jakim napadzie?

Pokiwał teatralnie głową.

– Cipuś, nie pogrywaj sobie ze mną – powiedział i spojrzął na swoje buty.

Unióś na moment nogi, a potem uderzył pistoletem o prawe udo. Katia podążyła za jego wzrokiem. Zamaskowany mężczyzna miał na nogach brązowe kowbojki z metalowymi czubkami.

Ściągnęła twarz. Coś jej się skojarzyło. *Kowboj?* Wszystkie operacyjne opisy gangstera podkreślały, że miał wielką słabość do tego rodzaju butów. Nawet Harry parę razy o tym mówił. *To nie może być przypadek.*

Zagryzła usta i natychmiast przestraszyła się, że bandzior zobaczył ten mimowolny odruch, znak, że go rozpoznała. Chyba. *Czy to on?*

– Chodzi ci o napad na konwój pieniędzy Markizy? – zapytała.

– Dokładnie o ten – potwierdził. – Ale – zamachał bronią – my jeszcze nie przeszliśmy na ty, moja droga.

– Przepraszam.

– Przyjęte.

Wypuścił powietrze i poruszył kominiarką. Najwyraźniej było mu pod nią za gorąco.

– Dziennikarstwo pisze, że polujecie na Czwartego – mruknął. – Na czwartego uczestnika napadu.

Spojrzał na nią wyczekująco.

Skinęła głową.

– Tak.

– Znacie jego tożsamość?

– Nie.

– Nie kłam mnie, kurwa, lalka!

Na jej plecach pojawiły lodowate krople potu.

– No mówię, że nie – odparła łamiącym się głosem. – Cały czas szukamy.

– Z jakim skutkiem?

– Chujowym.

Sapnął niepocieszony i rozejrzał się po pomieszczeniu.

Katia wpatrywała się w niego uważnie, oddychając głęboko. *Wdech i wydech* – myślała. *Wdech i wydech*. Trochę pomagało.

Wstał z krzesła, stanął przed nią i się nachylił.

– Złapaliście trzech klientów – powiedział. – Żaden z nich nie sypnął?

Pokręciła głową.

– Żaden z nich się nie rozpruł? Ten wasz pierdolony Harry nie potrafił z nich nic wyciągnąć?

– Nie.

– Pierdolisz, suko!

– Nie – szepnęła i ze zdziwieniem uprzytomniła sobie, że wbrew drzeniu ciała już nie odczuwa strachu. Miała wrażenie, że ktoś ją przed chwilą zamroził. Znieczulił.

– Oni się boją tego Czwartego – powiedziała. – Śmiertelnie.

Zerknęła na niego i wzruszyła ramionami.

Spojrzał na nią nieufnie. Pomyślał chwilę i nagle przyłożył broń do jej skroni. Strach znowu wrócił.

– Daję ci ostatnią szansę na prawdziwą odpowiedź.

Katię ogarnęło przerażenie, otworzyła usta i ku swojemu własnemu zdziwieniu wydukała:

– Nie wiemy, kim jest czwarty sprawca. Naprawdę.

Mężczyzna cmoknął i przejechał lufą glocka pod jej podbródkiem.

– Nie wierzę ci... – warknął i zacisnął szczęki.

Katia zamknęła oczy, czekając na najgorsze.

Zadrżała. *Wdech i wydech*. Drżenie się pogłębiało. *Powiem mu, co wiem* – postanowiła, nie mogąc wytrzymać napięcia.

LXXVIII

Twarda sztuka – pomyślał Kowboj, wychodząc po stromych schodach z piwnicy, w której przetrzymywali dziewczynę. *Gdyby taką udało się zwerbować, można by dużo osiągnąć.* Zamknął drzwi, ściągnął przepoconą kominiarkę i ruszył w stronę salonu. *Cipka była przerażona, ale do końca zgrywała odważną* – stwierdził w duchu ze zdziwieniem. Pokręcił głową, włożył glocka za pasek i podłubał w uchu.

Był taki moment, kiedy pomyślał sobie, że pękła i zacznie mówić, ale koniec końców wzięła się w garść i zhardziała na powrót. Czym mu zaimponowała. Musiał to niechętnie przyznać.

Ostatnio słyszał w radiu jakiegoś profesorka, który mówił, że w przyszłości kobiety przejmą władzę nad światem. Podobno są bardziej zdyscyplinowane, konsekwentne i wykształcone. Oraz mniej podatne na wszelkiego rodzaju uzależnienia.

– Gównu prawda – mruknął. – Ale coś w tym jest.

Usiadł na sofie obok Gagarina i zerknął na ekran telewizora, na którym Chuck Norris toczył widowiskową walkę.

– Jutro ją docisnę – oznajmił, szczerząc zęby. – A potem... – Urwał, zarechotał i zrobił obleśny gest, na który Gagarin zareagował również rechotem.

Założył ręce za głowę i się zamyślił.

– Nie, nie – odezwał się po chwili. – Nie ma tak dobrze...

Westchnął.

– Jutro przesłucham ją na ostro. Wezmę wiertarkę, pomacham nią trochę przed jej zaciętą buźką i zobaczymy, czy zmieni zdanie w temacie.

Gagarin włożył do ust ogórka i zamlaskał głośno.

– Wiertarka – najskuteczniejszy wykrywacz kłamstw –

stwierdził.

– Nie inaczej.

Kowboj sięgnął po butelkę i rozlał wódkę do kieliszków.

– Po przesłuchaniu wyrzucisz ją wieczorem w krzaki nad Maltą i... – zerknął na rozmówcę – i wypuścisz dyskretnie informację, że to Wietnam ją porwał. Kapujesz?

– Kapuję.

Stuknęli się i wypili.

– A jeśli dziewczyna powie jutro, że ci gamonie rozpruli się i wydali twoje nazwisko?

Kowboj się skrzywił.

– Wtedy trzeba będzie uruchomić plan E, kurwa jego mać.

– Plan E?

– Ewakuacja, gamoniu!

– Ano tak.

– Mam kilka miejsc na taką okazję – powiedział Kowboj, kładąc nogi na ławie. – Ale szkoda by było... Lubię ten pierdolony Poznań... Żal byłoby wyjeżdżać.

Westchnął i pograżył się w myślach.

– To był błąd – powiedział po chwili.

– Ale co?

– Współpraca z Majewskim i jego dwoma czereśniakami. Nie wiem, co mnie podkusiło. Powinienem to przewidzieć.

– Ale kto mógł powiedzieć, że klient weźmie do roboty takich szmaciarzy?

– Polej, nie dyskutuj.

– Już się robi.

– I pogłośnij to pudło, bo nic nie słyszę, kurwa jego mać!

Katia nie mogła zasnąć. Serce waliło jak opętane, ciało raz po raz popadało w drżenie. Co chwilę przewracała się z boku na bok, czując, że mózg zaraz eksploduje z wielkim hukiem. *To koniec – pomyślała. Zabiją mnie!*

Chciało jej się płakać. Nie, chciało jej się wyc, ale głos uwiązł w gardle. Nie była w stanie niczego z siebie wydusić poza cichutkim pojękiwaniem. Włożyła pięść do ust i zagryzła ją.

Zwinęła się w kłębek. Napięła wszystkie mięśnie i spróbowała przenieść się myślami do jakiejś innej rzeczywistości. Wyobraziła sobie, że jedzie konno. Uwielbiała to. Rzadko miała okazję, ale jak już się zdarzało, oddawała się temu całkowicie. Na studiach przyjaźniła się z dziewczyną, której rodzice prowadzili stadninę. Raz w miesiącu odwiedzała ją i wtedy mogła zażywać jeździeckich szaleństw.

Po paru minutach przyjemne obrazy się rozwiały.

Ale Katia nie dawała za wygraną. Włożyła głowę pod poduszkę i zaczęła powoli oddychać, przywołując wspomnienia z zawodów karate. Jeździectwo lubiła, ale sztuki walk kochała. Te wszystkie rytuały, duch uczciwej rywalizacji, wyczerpujące treningi, adrenalina przed zawodami. Musiała przyznać, że miała szczęście do trenerów. To byli porządni faceci, mądrzy, poukładani. Potrafili zaszcześcić w niej miłość do sportu.

Przez jej głowę przepływały kolejne, mniej lub bardziej przyjemne, sceny z przeszłości. Świadomość zaczęła się wyciszać i w końcu zanurzyła się we śnie. W którymś momencie przyśniła się jej finałowa walka z „Krwawego sportu”. Gdy publiczność zerwała się, żeby uczcić zwycięstwo Franka Duxa nad Chongiem Li, ze zdziwieniem ujrzała samą

siebie – wznosząc oklaski. Miała jakieś dziewiętnaście lat. Była ubrana w czarny dres. Na głowie miała czerwoną sportową opaskę. Włosy spięte w cebulę. Uśmiechała się. Nagle Chong Li, grany przez Bolo Younga, wstał, stanął w rogu ringu i wbił w nią wzrok. „You are dead” – warknął i przejechał palcem przez gardło. Zamarła.

Wtedy nastąpiło cięcie. Coś przeniosło ją w zupełnie inne rejony. Siedziała w jakiejś knajpie i patrzyła na pogrążonego w smutku Ostrego. Damian palił papierosa i popatrywał na nią. W końcu zdusił niedopałek w popielniczce, obrzucił ją dojmującym spojrzeniem i szepnął: „Czyli kochasz Harry’ego? No dobrze, ja się usuwam”. Odsunął krzesło, zasalutował, założył kurtkę i skierował się w stronę drzwi.

Poczuła ukłucie w serce, chciała pobiec za nim, ale coś przeniosło ją do zupełnie innego miejsca. Siedziała w samochodzie z Harrym. Na zewnątrz było ciemno i zimno. Deszcz uderzał o szyby. Z oddali dochodziło ujadanie psów. Harry palił w milczeniu papierosa. Gdy skończył, zerknął na nią. „Miłość jest niemożliwa – odezwał się. – Człowiek potrafi w pełni oddać się tylko pożądaniu. Tylko pożądaniu. Rozumiesz? Istnieje tylko ślepa siła, którą ktoś kiedyś nazwał pożądaniem”. *Tylko?* – powtórzyła w myślach i poczuła, że wilgotnieją jej oczy. *Tylko pożądanie? Nic więcej?*

Znowu cięcie. Zapadła ciemność. *Co tu się odpieprza?*

Potrząsnęła głową i po chwili jej oczom ukazała się piękna rozległa górzysta przestrzeń porośnięta zielenią. Lasy, polany, domki, ścieżki... Widok wydał się jej znajomy. Karkonosze? Tak, to Karkonosze, jej ulubione góry. Idzie z Rudą, koleżanką z liceum, asfaltową drogą, która prowadzi na jakąś górę. Jest gorąco, wokół nie ma nikogo. Mają na sobie luźne białe tiszerty, czerwone szorty i białe tenisówki. Wyglądają jak siostry. Ruda jest potwornie zmęczona, ma bąble na stopach, co chwilę przystaje. Ma już dość wycieczki. „Wracajmy, złapmy stopa” – marudzi.

To były wakacje, 1987, chyba lipiec. Na dwa tygodnie wybrały się do ciotki Rudej, sympatycznej czterdziestolatki, prawniczki z zawodu, która mieszkała w Cieplicach ze swoim facetem. Miały wtedy po dziewiętnaście lat. Któregoś razu wybrały się na zamek w Chojniku i... Katia poczuła, że przez jej ciało przepływa fala ciepła. Jęknęła cicho i z niepokojem przyglądała się dalszemu ciągowi sennego wspomnienia...

– Kejti, nie mam siły, nie idę dalej, czekamy na jakieś auto – powiedziała nagle Ruda, zeszła z drogi, usiadła na wielkim kamieniu i zwiesiła głowę.

– Masz coś do picia? – mruknęła nagle.

– Nie.

– Zaraz zejść, nie żartuję.

Katia spoczęła obok niej.

Zapadła cisza. Dziewczyny siedziały w milczeniu przez kilka minut, przyglądając się swoim brudnym butom. Nagle usłyszały warkot silnika. Po chwili zza zakrętu wyłoniła się biała dacia. Ruda rozpuściła swoje bujne i długie włosy i zerwała się na równe nogi. Podeszła do drogi. Uśmiechnęła się promiennie i zamachała ręką.

Samochód zwolnił i zatrzymał się tuż przy niej. Za kierownicą siedział mężczyzna, opuścił szybę i się wychylił.

– Cześć, dziewczyny! – rzucił wesoło, wpatrując się w nie życzliwie.

– Dzień dobry! – zawołała Ruda.

Katia podeszła do niej i spojrzała na kierowcę. Miał około pięćdziesiątki, wyglądał całkiem sympatycznie. Okulary, lekki siwy zarost, na głowie czapka z daszkiem.

– Gdzie chcecie jechać? – zapytał.

– Do Cieplic.

– Mniej więcej mam po drodze.

– Mniej więcej?

Facet ściągnął czapkę i podrapał się po głowie.

– No tak, muszę najpierw skoczyć do Przesieki.

– Hm, trochę inny kierunek... – mruknęła Ruda i spojrzała na Katię, która wzruszyła ramionami.

– Trochę tak...

Omiótł je wzrokiem i zabębnił palcami o kierownicę.

– Wiecie co, dziewczyny, zabierzcie się ze mną, podjedziemy razem do Przesieki, wezmę stamtąd, co mam wziąć, i pojedziemy do Cieplic, przy okazji załatwię tam parę spraw.

Ruda wyszczerzyła zęby.

– Super, prawda Kejti?

– Dobry plan – potwierdziła Katia.

– To wsiadajcie.

Dziewczyny wsiadły, Ruda usadowiła się na fotelu pasażera, Katia usiadła z tyłu. Ruszyli. Z radia sączyła się wesoła muzyka. Właśnie leciała piosenka C.C. Catch „Heartbreak Hotel”.

– A pan, gdzie jedzie? – zapytała Ruda.

– Jaki pan, jaki pan? – rzucił mężczyzna wesoło. – Radek jestem!

– Miło nam, Radek!

– He, he!

– Dlaczego musisz jechać do Przesieki?

– Kupiłem tam niedawno domek, za bezcen – odparł. – Muszę zawieźć sprzęt, który pożyczyłem od znajomego.

– Domek, ale fajnie!

– No, też się cieszę, dostałem w spadku trochę forsy i postanowiłem kupić sobie trochę ziemi z domkiem. Remontuję go.

– Superowo! A masz wodę? Strasznie mi się pić chce!

– Pod nogami jest butelka z mineralną.

– Genialnie!

Ruda przyłożyła butelkę do ust i wzięła łapczywego łyka. Woda poleciała jej po brodzie. Parę kropeł spadło na koszulkę. Zaśmiała się i uderzyła mokrą dłońią o opalone udo.

Radek spojrzał na nią przeciągle i przełknął ślinę.

– Może chcecie zobaczyć moją skromną posiadłość? – zapytał, uśmiechając się.

– Czemu nie?!

– Mam fajny barek – dodał. – Alkohole z całego świata! Mogę was poczęstować.

– Radek, kurde mol – zawołała Ruda. – Ale jesteś numer! Chętnie, prawda, Kejti? – Zerknęła na zasępioną koleżankę. – Hm?

– Myślałam, że mamy inne plany? – mruknęła Katia, przyglądając się widokom za oknem.

– Jesteśmy na wakacjach przecież, nie musimy przywiązywać się do planów! Prawda, Radek? No powiedz jej, że trzeba wyluzować trochę.

– No jasne, że tak.

Godzinę później siedzieli w całkiem ładnie zaaranżowanym salonie i kończyli butelkę czerwonego wina.

– To mówisz, Radek, że jesteś policjantem? – powiedziała Katia, która pod wpływem wina zrobiła się rozmowna.

– Tak – odparł mężczyzna i sięgnął po kolejną butelkę. – Pracuję w kryminalnym.

– Wow! – zawołała Ruda. – Pewnie jesteś komisarzem?

– Sierżantem.

– Też zajebicie!

– Ano.

Radek napełnił kieliszki i zerknął na Rudę, która nagle zamilkła. Siedziała na sofie, głowę oparła na ramieniu, oczy miała zamknięte. Pochrapywała cicho.

– Koleżanka zasnęła – powiedział.

– Ona tak zawsze po winie.

Stuknęli się kieliszkami, wypili trochę.

– Pokazać ci resztę domu?

– Pewnie.

Wstali z foteli i ruszyli w stronę korytarza. Po kilkunastu minutach znaleźli się w kuchni. Radek włączył radio, otworzył

szafkę i wyciągnął z niej butelkę wina.

– Przywiozłem je z Francji – oznajmił z dumą. – Domowej roboty, dzieło mojego kumpla, fantastyczny smak – spojrzał na nią. – Należę ci. I sobie zresztą też.

– Fajnie, ale kto nas odwiezie do domu? – Katia zmarszczyła brwi. – Zdaje się, że już trochę wypiełeś?

– To żaden problem. Zadzwonię po kogoś, kto was grzecznie odstawi do cioci.

– No dobrze. Pójdę zobaczyć, co z Rudą. – To powiedziawszy, Katia wyszła z kuchni i skierowała się w stronę salonu. Będąc w korytarzu, poczuła, że musi skorzystać z ubikacji, która mieściła się obok kuchni. Zawróciła więc. Gdy stanęła w progu, otworzyła usta, żeby zagadnąć Radka, i natychmiast je zamknęła. Facet z zacięciem wtórował Whitney Houston, której głos wydobywał się z głośników radia, i wsypywał do kieliszka jakiś proszek. Zmarszczyła brwi i zamarła. Radek schował saszetkę do kieszeni spodni i zamieszał palcem wino.

Katia przyglądała mu się z niedowierzaniem. Nagle poczuła na sobie jego zaniepokojony wzrok.

– Co z Rudą? – zapytał, purpurowiejąc w jednej chwili.

– Co ty robisz? – zapytała Katia.

– Nic. Właśnie nalałem ci wina.

– Czego tam dosypałeś?

– Niczego. Coś ci się przewidziało, maleńka.

– Tylko nie „maleńka”!

Radek podniósł ręce w górę w geście ugody.

– Dobrze, już dobrze.

– Czego tam dosypałeś, kurwa?

Katia poczuła, że serce wali jej jak młotem. Rozejrzała się po wnętrzu kuchni, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Mężczyzna zaśmiał się nerwowo i zrobił dwa kroki w jej kierunku.

– Nic takiego. To tylko taka oranżadka, która sprawiłaby, że... No wiesz...

Wysunął język i przejechał nim po ustach.

– ...byłabyś bardziej kontaktowa...

Katia cofnęła się, widząc, że facet zaczyna ciężko oddychać. W jego oczach dostrzegła narastające podniecenie. W okolicach rozporka zobaczyła wybrzuszenie.

O kurwa – jęknęła w myślach.

Zrobiło jej się słabo.

– Chyba że chcesz bez tego, suko – powiedział drżącymi ustami i ruszył w jej kierunku. – Chcesz?

Katia zadrżała i po chwili poczuła, że facet zatrząskuje ją w swoich objęciach.

– Co tu się dzieje?! – nagle rozległ się krzyk Rudej. – Co ty robisz, kurwa?!

Mężczyzna drgnął, rozluźnił uchwyt i wybełkotał coś niezrozumiale.

– Puść ją, chuju!

Katia instynktownie wykorzystwała moment nieuwagi i uderzyła go z całej siły dłonią w krocze. Radek syknął z bólu i zgiął się wpół. Sapnęła, odsunęła się lekko w bok i zaczęła go uderzać kolanem w to samo miejsce, zagryzając przy tym mocno usta. Przez chwilę miała wrażenie, że traci nad sobą kontrolę.

Ruda wrzeszczała wniebogłosy. Gdy Radek upadł na kolana, Katia znieruchomiała. Łapiąc oddech, wbiła wzrok w przerażoną Rudą.

– Spierdalamy stąd! – krzyknęła. – Słyszysz?

Ruda kiwnęła posłusznie głową i wybiegła pospiesznie na korytarz. Po drodze potknęła się i zaklęła głośno.

Katia wytarła usta, obrzuciła wzrokiem stękającego mężczyznę, który wił się z bólu na podłodze, i ruszyła za przyjaciółką.

Gdy znalazła się na korytarzu, Ruda właśnie otwierała wyjściowe drzwi. Wybiegły na zewnątrz i pomknęły w stronę samochodu niedoszedłego oprawcy.

Cięcie.

Katia otworzyła oczy. Miała wrażenie, że krzyk cały czas wydobywa się z jej gardła. Usiadła na łóżku i objęła ramionami kolana. Przetarła wilgotne oczy, które po chwili przyzwyczyły się do ciemności lekko nadgryzanej przez światło przeciskające się przez szparę w drzwiach. Była cała spocona.

Przyłożyła głowę do kolan, próbując odpędzić sen, który kiedyś naprawdę się wydarzył. Jak przez mgłę widziała dwie dziewczyny, które wskoczyły do samochodu, uruchomiły silnik i z piskiem opon ruszyły przed siebie.

– Co ty robisz, gnoju? Zostaw go!

Kowboj, mający znowu dwanaście lat, drgnął i wypuścił z rąk kota, który miauknął przeraźliwie i natychmiast zniknął z pola widzenia. Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył, że w jego kierunku biegnie zwałisty, brodaty mężczyzna w sutannie i wymachuje swoją masywną pięścią. Ksiądz Stanisław, „Rumcajs”. *Musiał mnie wypatrzeć z okna – stwierdził w duchu. Trzeba było gdzieś schować się z tym śmierdzącym kotem.*

Zacisnął pięści. Splunął. *No nic, utnę mu później te jebane wąsy* – postanowił w myślach i zerwał się do biegu. Po paru krokach ku swojej wściekłości wywrócił się na beton. Nogi zaplątały mu się w ogrodowym wężu.

– Ty sadysto, ty potworze!!! – Rumcajs był już przy nim. Chwyił go za rękę, pociągnął gwałtownie i podniósł. Dysząc ze wściekłości, złapał go za ucho, szarpnął mocno i warknął: – Ty łajdaku, zaraz się z tobą porachuję! – Pchnął go na ścianę. – Ty diable rogaty! – Sięgnął po sztchetę leżącą na starej beczce. – Taki młody, a już taki rozbestwiony! – Nakręcał się coraz bardziej. – Ja ci zaraz pokażę. Ja ci zaraz... Szatanie ty jeden!

Wzniósł dłoń, w której trzymał sztchetę z wystającym gwoździem.

– Dawaj łapę – rzucił groźnie.

Kowboj, które wtedy nosił ksywę Szaber, bo uwielbiał kraść owoce z okolicznych sadów, pokręcił głową.

– Nie.

– Dawaj łapę, bo cię zaprowadzę na milicję, wszarzu jeden.

Szaber zagryzł usta i po chwili namysłu wysunął przed siebie

lewą dłoń.

Ksiądz pokiwał głową, przejechał językiem po ustach i się zamachnął.

Chłopiec poczuł potworny ból, który rozszedł się po całym ciele.

– Otwórz oczy – usłyszał.

Otworzył.

– I spójrz na swoje łapsko.

Spojrzał. Zamiast dłoni miał krwawiący kikut. Podniósł okaleczoną rękę i wbił w nią wzrok. Zamrugał parę razy. Zakręciło mu się w głowie. Spojrzał w dół. Dłoń leżała na trawie, obok psiej kupy.

– To twoja pierwsza kara, chłopcze – powiedział ksiądz, ciężko sapiąc. – Jeśli się nie poprawisz, jeśli nie zejdziesz ze ścieżki zła, będziesz smażył się w piekle. Wiecznie. Będzie cierpiał wieczne męki. Rozumiesz mnie? Rozumiesz?

Ksiądz nachylił się nad nim i zbliżył swoją spoconą twarz.

– Rozumiesz mnie?

Obnażył zęby i zacharczał obrzydliwie. Szaber poczuł na policzku krople śliny. Zdrętwiał...

... i otworzył oczy.

Nagle przejście z jednej przestrzeni do drugiej wprawiło Kowboja w stan dezorientacji. Potrzebował chwili, żeby zdać sobie sprawę, gdzie jest. Wypuścił powietrze z ust. Leżał nieruchomo przez jakiś czas. W końcu nadstawił uszu.

Padało. Bardzo intensywnie. Krople deszczu bombardowały okienne szyby, parapety, gzymsy. Gdy uderzył piorun, drgnął. Nagle przypomniała mu się dziewczyna z napadu. Kiedy ją gwałcił w lesie, też zagrzmiało parę razy.

Wstał z łóżka, narzucił na nagie umięśnione ciało szlafrok i wyszedł na korytarz. Wszedł do łazienki, oddał mocz, umył ręce, obmył twarz i poszedł do salonu. Nalał sobie whisky, wypił trochę i podszedł do szklanych drzwi, który wychodziły na taras.

Alkohol rozlewał się po ciele, przyprawiając go o gęsią skórkę. W oddali błysnęło, po chwili znowu rozległ się grzmot. „Dlaczego, dlaczego?” – szlochała dziewczyna, kiedy zaczął w nią wchodzić. „Dlaczego, dlaczego?”.

Dopił whisky i odstawił na stolik. Zamknął oczy i pokręcił karkiem. Oczami wyobraźni ujrzał moment, w którym podniecony do granic chwycił dziewczynę za gardło i zaczął z całej siły dusić. Gdy jej ciało przestało stawiać opór, poczuł, że jego kutas zrobił się twardy jak stal.

– Dlaczego? – mruknął.

Otworzył oczy i zobaczył, że na ośrodku ogrodu, w świetle księżyca i lamp ogrodowych, stoi lis i patrzy w jego kierunku. Kowboj wyszczerzył zęby. *Bo to przyjemne* – pomyślał. *Bardzo przyjemne.*

Lis odwrócił się i zniknął w ciemnościach. Gangster otworzył drzwi i poczuł zapach wody skrytej w ciemnościach. Podniósł szklaneczkę, podszedł do barku, nalał wódki i wypił jednym haustem. Alkohol pobudził jego wyobraźnię.

A gdyby tak przestuchać teraz tę policyjną dziwkę? – pomyślał, czując, że jego penis staje na baczność.

Zarechotał i wyszedł tanecznym krokiem na korytarz.

CZĘŚĆ

SZÓSTA

Kowboj otworzył oczy i ujrzał stojącego nad sobą Gagarina. Przetarł zaropiałe oczy.

– Która jest godzina? – zagadnął podrażnionym głosem.

– Przed szóstą.

– Dlaczego mnie budzisz o tej porze, do kurwy nędzy?

Gagarin wysunął język i zagryzł go.

– Psy szczekają – odpowiedział niepewnie.

Kowboj uniósł brwi.

– Że co?

– Psy szczekają.

– No i co z tego? Mają dupy, to szczekają. Ochujales?

Gagarin pokręcił energicznie głową.

– Coś tu nie gra, szefie. – Wskazał kciukiem okno, z którego widać było duże drzewo. – One nigdy się tak się zachowywały.

– Wkurwiłeś mnie – oznajmił Kowboj i głośno wypuścił powietrze.

Usiadł na sofie i natychmiast się wykrzywił, czując ból głowy. *Przesadziłem z gorzałką* – pomyślał.

Odrzucił koc, wstał, sięgnął po butelkę pepsi i wziął solidnego łyka. Podrapał się po brzuchu, wyciągnął z kolorowej paczki parę chipsów i podszedł do okna. Lekko uchylił firankę i zaczął chrupać chipsy. Naraz zdrętwiał.

– Kurwa – syknął, blednąc. – Czarni przyjechali!

– Ożeż ty w dupę!

Kowboj odskoczył od okna.

– Skąd wiedzieli? – warknął i zerknął na Gagarina. – Ktoś mnie sprzedał.

Ściągnął twarz w ponurym grymasie.

– Idź do piwnicy po tę policyjną dziwkę – zakomenderował. –

Będzie naszym ubezpieczeniem.

• • •

Kowalski stał w lekkim rozkroku i przypatrywał się scenerii, której główny element stanowił nieduży, choć całkiem ładnie skonstruowany dom.

Biały, parterowy, z płaskim dachem, otoczony niewysokimi zielonymi drzewkami. Był oddalony o jakieś trzydzieści metrów od miejsca, w którym ekipa realizacyjna zatrzymała swoje samochody.

– Ładna hawirka – mruknął Miszczu, który stanął obok sierżanta, zapinając jednocześnie rozporek. – Kto jest właścicielem?

– Wiesław Barnaba.

Podkomisarz skinął głową, słysząc nazwisko znanego poznańskiego biznesmena, który przyjaźnił się z poznańskim półświatkiem.

– Wiesio ma niezły gust.

– Niezgorszy – dodał Ostrowski, podchodząc do nich.

Kowalski przeniósł wzrok dalej i dostrzegł za „ładną hawirką”, bardziej z prawej strony, niewielkie jeziorko. Wciągnął powietrze. Spojrzał w lewą stronę. Nieopodal drogi gruntowej zauważył altankę, niewielki domek, z brudnymi ścianami, o spadzistym dachu obłożonym papą.

– Dlaczego on tej posiadłości nie opłotał? – odezwał się zafrasowany Miszczu.

– A cholera go wie.

– Podobno rzadko tu bywa.

Policjanci zamilkli i zaczęli przyglądać się grupce antyterrorystów, którzy zbliżali się do altanki.

Kowalski zerknął na zegarek, była piąta pięćdziesiąt pięć. Zaczęło mu się udzielać podniecenie.

• • •

Z płytkiego snu wybudziło ją szczekanie psów. *Co się dzieje? – pomyślała. Dlaczego one tak hałasują?*

Zerknęła w stronę okienka i po chwili zmarszczyła czoło. Miała wrażenie, że słyszy charakterystyczny tupot biegnących nóg. *Czy ja mam omamy?*

Wstała z materaca, podeszła do ściany i cała zamieniła się w słuch. Spojrzała na zegarek, była piąta pięćdziesiąt sześć. Sięgnęła do kieszeni po frotkę i związała sobie włosy w kitkę.

Nagle zamarła. W okienku mignęły jej czarne buty antyterrorystów. Na ten niespodziewany widok załomotało jej serce.

W pierwszej chwili chciała krzyknąć, ale ostatecznie ugryzła się w język. *Czyżby nasi namierzili klientów? Podekscytowana spojrzała na drzwi. Ale jak? Jakim cudem?*

Czujnym wzrokiem omiotła pomieszczenie. Podeszła do niewielkiej ławy, która stała na dokręconych drewnianych nogach. Położyła ją białym na podłodze. Wykręciła nogę i tak uzbrojona podeszła do drzwi. Przyłożyła do nich głowę. Ktoś szedł korytarzem.

Wypuściła powoli powietrze i przylgnęła do ściany. Zacisnęła dłoń na nodze.

W zamku zazgrzytał klucz. Katia poczuła przebiegający po plecach prąd. Uniosła ręce i zamarła w oczekiwaniu. Drzwi uchylły się lekko.

• • •

Kto mnie sprzedał? – myślał gorączkowo Kowboj, wkładając z tyłu za pasek pistolet. Co za kurwa to zrobiła? Na biały tiszert nałożył dżinsową kurtkę, potem chwycił plecak i zarzucił go na ramię. Jak tylko się stąd wydostanę, znajdę i zajebię.

Podszedł do lustra, ściągnął z wieszaczki klucze z breloczkiem Harleya i schował je do kieszeni. Spojrzał w okno, z którego widać było trzy kojce. Zamknęte w nich psy

stały nastroszone, szczerzyły kły i ujadają.

Wypuścił gniewnie powietrze. Sięgnął po butelkę whisky stojącą na nocnym stoliku. Wziął solidny haust. *Na pohybel czarnym i czerwonym* – pomyślał. Otarł dłonią usta. *I niebieskim* – dodał w duchu i wyszedł z sypialni.

Idąc wzdłuż korytarza, zagwizdał melodię z „Gangu Olsena”. Nie czuł strachu, raczej podekscytowanie. Na swoim koncercie miał już kilka takich obław i zawsze udawało mu się szczęśliwie spierdolić.

• • •

Katia wbiegła na szczyt schodów, szarpnęła za klamkę i otworzyła drzwi. Przekroczyła próg. Omiotła wzrokiem przestrzeń, głośno sapiąc.

Znalazła się w korytarzu. Po prawej stronie dostrzegła wyjściowe drzwi; w odległości jakichś dziesięciu metrów. Obróciła się w lewo. Korytarz wiódł w głąb domu. Nagle drgnęła.

Miała wrażenie, że słyszy pogwizdywanie. Spojrzała na zegarek, była piąta pięćdziesiąt siedem. Na końcu korytarza zza zakrętu wyłonił się Kowboj.

Poczuła, że zalewa ją fala gorąca. Zaskoczony gangster wbił w nią wzrok. Gdy oprzytomniał, wyszczerzył zęby i sięgnął po broń.

– Witaj, lala – rzucił zawadiacko i wymierzył w nią glocka.

• • •

Kowalski zrobił kilkanaście kroków i spojrzał na zegarek. Wybiła szósta. Zerknął na Arnolda i kiwnął głową. Dowódca przyłożył do ust krótkofalówkę i dał swoim ludziom znak do rozpoczęcia akcji. Po chwili rozległ się odgłos wyważanych drzwi. Antyterroryści wtargnęli do środka, wznosząc przeraźliwie głośne okrzyki. Niebawem doszedł ich wybuch granatów hukowych.

– Policja! Gleba! Policja! Gleba!

Z pobliskich drzewek zerwała się chmara ptaków i szczebiocząc, poleciała w górę.

– Wsi spokojna, wsi wesola – mruknął Ostrowski.

Psy znowu zaczęły ujadać. Kowalski się uśmiechnął.

– No nic – rzucił. – Czas popracować trochę.

Policjanci ruszyli żwawym krokiem przed siebie.

• • •

– Spróbuj zrobić coś głupiego – powiedział hardym głosem. – To cię zajebię na miejscu. Słyszysz? Słyszysz, dziwko?

Odczekał chwilę, przywarł plecami do ściany i odbezpieczył pistolet.

– Słyszysz, kurwa?

Po chwili usłyszał westchnięcie i ciche: „tak”. Wyszczerył zęby, zrobił dwa kroki do przodu i spojrzał w prawą stronę. Na widok przestraszonej i rozedrganej policjantki uśmiechnął się szeroko. Pomachał palcem, kręcąc głową.

– Miło cię widzieć – rzucił i zabrzączał kajdankami.

– Wysuń łapki – powiedział. – Musimy cię skuć, bo jesteś groźna dziewczyna.

Po krótkim wahaniu spełniła polecenie.

Gdy ją zakuwał, spojrzeli na siebie krzywo.

– Idziemy – mruknął.

Przeszedłszy kilka kroków, skręcili w prawo.

– Stój – warknął po kolejnych kilku krokach.

Złapał ją za szyję.

Syknęła.

– Niepokorna sunia, ja bym cię nauczył posłuchu. – Przyciągnął Katię do siebie. Ich twarze niemal się ze sobą stykały. – Żałuję, że jednak w nocy cię nie odwiedziłem – szepnął i odepchnął ją od siebie.

Wbił wzrok w pomarańczowy dywanik. Odwinął go stopą, odsłaniając w ten sposób właz. Złapał metalowy uchwyt

i pociągnął go. Zawiasy głośno skrzypnęły.

– Schodź – rzucił i nagle gwałtownie obrócił się w stronę drzwi.

Na górze rozległ się okropny hałas. Zaraz potem wybuchły granaty hukowe.

– Policja! Gleba! Policja!

Kowboj zacisnął szczęki.

– Słyszysz? Złaż do środka – burknął i popchnął ją kolanem.

– Słyszę – nie pchaj mnie.

– No właśnie, żebyś cię popchnął, i to nie raz, dziwko! – warknął.

Katia podeszła bliżej i zajrzała w głąb otworu, który spowijała ciemność. Wzięła głęboki oddech i stanęła na schodku.

– Szybciej – ponaglił ją gangster.

• • •

Sierzanci weszli do środka domu i spojrzeli na otwarte drzwi prowadzące do piwnicy.

– Mamy go! – usłyszeli naraz triumfalny głos Arnolda.

Ostrowski zerknął na Kowalskiego.

– Mają go – uśmiechnął się

– A co on robił o tej porze w piwnicy?

– Może rower naprawiał?

Parsknięcie.

– Sprawdźmy.

Zeszli po schodach na dół, zrobili parę kroków i po chwili znaleźli się w małym pomieszczeniu. Na podłodze na brzuchu leżał nieprzytomny łysy mężczyzna. Miał potężne bary, był ubrany w spodnie typu moro, czarną koszulkę i oficerki. Nad nim stało trzech antyterrorystów z bronią gotową do strzału.

– Kogo macie? – zapytał Kowalski.

– No jego mamy – odparł Arnold.

– Żyje?

– No żyje, słyhać oddech.

– Kto to jest?

– No Kowboj, chyba...

Kowalski podszedł do mężczyzny, ukucnął i obrócił go na plecy.

– To nie jest on.

– Jak to nie? – zdziwił się Arnold.

– Ktoś go nieźle pierdolnął w ryło, zobaczcie – rzucił Miszczu.

Policjanci wbili wzrok w ciemnoniebieski ślad po uderzeniu w okolicach skroni.

– Kto to jest? Ktoś go zna?

Ostrowski podszedł do leżącego ciała i nachylił się nad nim.

– Kojarzę go – powiedział. – Ale nie pamiętam jego ksywy. Coś na „ch”.

– Może „Chujek”? – mruknął Miszczu.

Arnold omiótł wzrokiem pomieszczenie. Chwycił butelkę wody stojącą na parapecie i otworzył ją. Stał nad mężczyzną i zaczął go polewać. Ten po chwili zamrugał oczami, otworzył je i potrząsnął głową.

– Kto ty jesteś, człowieku? – zapytał Arnold.

Mężczyzna usiadł i przetarł dłonią mokrą twarz.

– Gagarin – odparł.

Policjanci parsknęli.

– Tylko bez jaj – oburzył się Arnold.

– No Gagarin jestem, taka ksywa.

Śmiech.

Miszczu spojrział na Ostrowskiego.

– Rzeczywiście, na „ch”.

– Gdzie jest Kowboj? – zapytał Kowalski, robiąc poważną minę.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Dziewczyna zajebała mi w czachę i padłem.

Kowalski uniósł brwi.

– Jaka dziewczyna?

– Taka jedna policjantka.

Policjanci spojrzeli po sobie zdumieni.

Na chwilę zapadła dokumentna cisza.

– Jak wyglądała?

– Niska, chuda, z kitką. Harda jak skurwysyn.

Cisza.

Ktoś chrząknął, ktoś wypuścił przeciągle powietrze.

– To Katia – szepnął Miszczu. – To musiała być Katia.

– Co jej zrobiliście? – warknął Kowalski, wyciągając broń z kabury.

– Nic.

– Nie pierdol!

– Nie pierdolę, prawdę mówię, szczerą.

– Gdzie ona jest?

– No mówię, że nie wiem. Jebła mi po głowie i tyle wiem!

Cisza.

Gagarin pomacał się po posiniaczonej twarzy.

– Mogę wstać? – zagadnął, spoglądając na Kowalskiego.

– Wstawaj.

Gdy dźwignął się z podłogi, Arnold zakuł go w kajdanki.

Kowalski podszedł do niego i podnosząc głowę, spojrział mu prosto w oczy.

– Dlaczego porwaliście dziewczynę?

Gagarin wzruszył ramionami.

– To Kowboj, ja tu tylko sprzątam.

Na korytarzu rozległy się głośne, pospieszne kroki. Do pomieszczenia wpadł zadyszany antyterrorysta.

– Na górze czysto – oznajmił.

Cisza.

– Znowu nam spierdolił! – warknął nagle Miszczu, ściągając na siebie pochmurne spojrzenia kolegów.

• • •

Harry zaciągnął się mocno papierosowym dymem i zerknął na sierżantów, którzy zniknęli w środku budynku.

Obrzucił czujnym spojrzeniem okolice. Po lewej stronie dostrzegł altankę, którą dzieliło od domu jakieś trzydzieści metrów po przekątnej. Ta z kolei był oddalona o mniej więcej dziesięć metrów od drogi gruntowej.

Zatrzymał wzrok na altance. Właśnie wyszli z niej antyterrorysty.

Ruszył w ich kierunku.

– I co? – zagadnął, kiedy się zrównali.

– Nic, czysto – usłyszał w odpowiedzi.

– Dokładnie sprawdziliście?

– Tak – oparł jeden z nich – Pusto. Nic tam nie ma. Poza krzesłem, stołem, narzędziami i motorem.

Harry popatrzył na niego z zaciekawionym.

– Motorem? – powtórzył.

– Zajebisty harley. Dziwne, że ktoś trzyma go właśnie tam, a nie w garażu albo piwnicy. Bryknąłbym się.

Jego koledzy zarechotali.

Komisarz pokiwał głową.

– Dzięki.

Zaciągnął się ponownie, wypuścił dym i znalazłszy pod drzewem zardzewiałe wiadro, wrzucił do niego niedopałek. Podrapał się po nieogolonym policzku, przejechał językiem po zębach i skierował się w stronę altanki. Patrząc na nią, próbował sobie przypomnieć kilka zagadkowych słów, które wypowiedział Mechanik, zdradzając mu sekretne miejsce pobytu Kowboja.

Jak to szło? Spojrzał na swoje buty i wyteżył pamięć. *Coś o filmie...* Kopnął kamień, który wylądował parę metrów dalej, w dużej kałuży. *Wczoraj musiało tu niezłe popadać* – przeszło mu przez głowę.

Wciągnął głęboko powietrze. Zapach lasu mieszał się z zapachem jeziora, które zaczęło błyszczeć

w intensywniejącym słońcu. Uśmiechnął się i uniósł głowę. W oddali zobaczył kołującego ptaka. Może to jastrząb? Pewnie tak.

Zrobił parę kroków i nagle się zatrzymał. Przypomniawszy sobie słowa Mechanika. Brzmiały tak: „Tam jest taka altanka, trochę jak z filmu”.

O co mu chodziło? – pomyślał zirytowany i sięgnął po papierosa. Zatrzymał się. Znowu zapalił. Wypuszczając dym, stwierdził, że to był jakiś głupi żart gangstera.

Odwrócił się plecami do altanki i zaczął iść w stronę domu, spoglądając na srebrzącą się toń jeziora. Nieświadomie sięgnął po trzeciego albo czwartego dzisiaj papierosa.

• • •

Gdy dotarli do końca długiego i pachnącego zgnilizną tunelu, stanęli przed drabinką, która prowadziła na górę.

Kowboj spojrzał na Katię i oblizał usta.

– Pięknie wyglądasz – mruknął i podszedł do niej tak blisko, że poczuła zapach alkoholu wydobywający się z jego ust. – Jak zresztą każda przestraszona i zmęczona cipka.

Naparł na nią i popchnął ku ścianie. Katia obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

– Wyruchałbym cię – szepnął.

Zabiłabym cię, troglodyto – warknęła w duchu i przylgnęła do zimnej ściany.

Dotknął się po kroczu i sapnął.

– Chyba nie masz na to czasu, kolego – powiedziała, patrząc mu prosto w twarz. – Zaraz tu będą czarni – prychnęła.

Kowboj spiorunował ją wzrokiem. A potem uderzył dłonią w policzek.

– Bądź grzeczna, suko! – szepnął, obnażając swoje białe, mocne zęby. – Bądź grzeczna.

• • •

Jastrząb cały czas kołował nad posesją. Przyglądając mu się, Harry przypomniał sobie scenkę z dzieciństwa.

Miał wtedy jakieś dwanaście lat. Był na wakacjach u dziadków mieszkających w środku lasu. Wyszedł na podwórko, po którym latały kury. Usiadł na szczeblu drabiny opartej o oborę i przyglądał się dwóm małym kotkom. Nagle usłyszał jakiś straszny harmider. Podniósł głowę i zobaczył odrywającego się od ziemi jastrzębia, który trzymał w szponach kurę. Chwilę potem rozległ się strzał. To dziadek, pijany jak bela, wybiegł z domu i próbował zabić drapieżnika. Strzelił jeszcze parę razy, ostro przy tym przeklinając, ale niecelnie.

Harry uśmiechnął się do wspomnień, wrzucił niedopałek do kałuży i ruszył w stronę samochodów, które stały pod wielkim rozłożystym orzechem. Nagle za plecami usłyszał warkot uruchamianego silnika, chyba motoru. Zesztywniał na moment.

– Co jest? – mruknął pod nosem i odwrócił się w stronę altanki.

Gdzieś w tyle głowy znowu usłyszał Mechanika: „Tam jest taka altanka, trochę jak z filmu”. *O co mu chodziło?* – myślał gorączkowo. *Bo jednak o coś mu chodziło!*

Gdy silnik zawył głośno, Harry wyciągnął pistolet i rzucił się biegiem przed siebie. Przebiegłszy ze trzydzieści metrów, dostrzegł motor, chyba harleya, który wjechał na drogę gruntowną. Siedziały na nim dwie osoby.

Podkomisarz przymrużył oczy. Ciemnowłosa dziewczyna obejmowała kurczowo wyższego o głowę mężczyznę.

– Stój! – krzyknął, czując, że serce zaczyna łomotać jak oszalałe. – Stój, bo strzelam!

Motor zakołysał się na nierównej powierzchni. Komisarz wystrzelił w górę.

– Stój!!! – wrzasnął, aż zabolowało go gardło – Stój, bo strzelam!
Motocyklista odwrócił się. *To Kowboj! Zobaczycywszy*

Harry'ego, sięgnął za pasek, zza którego wyciągnął pistolet. Ten rzucił się w stronę altanki. Przywarłszy do ściany, usłyszał strzał. Kula świsnęła tuż przy jego głowie.

Odczekał chwilę, zastanawiając się gorączkowo, kim jest dziewczyna. Wziął głęboki oddech. Gdy usłyszał, że Kowboj przygazował, wychylił się zza ściany. I znieruchomiał.

W stronę pędzącego motoru jechał traktor z przyczepą, zajmując całą powierzchnię drogi. Komisarz ruszył energicznym krokiem w ich stronę, starając się mierzyć w motocyklistę. Motor zwolnił.

W tym momencie dziewczyna wrzasnęła i pociągnęła Kowboja, przechylając się w prawą stronę. Maszyna zawyla wściekle i upadła na porośnięte chwastami pobocze. Harry przystanął zdezorientowany. Po krótkiej kotłowaniu dziewczyna zerwała się z ziemi i zaczęła biec w stronę traktora, który parę sekund wcześniej stanął w miejscu.

– To jest Katia – szepnął, rozpoznając charakterystyczny chód młodszej koleżanki.

Gdy zniknęła za kołem traktora, rozległ się strzał. Komisarz przeniósł wzrok na Kowboja celującego na klęczkach w dziewczynę.

– Nie strzelaj – ryknął przerażony. – Odłóż broń, Kowboj!

Gangster obrócił się i skierował w jego stronę lufę pistoletu. Harry instynktownie nacisnął spust. Raz i drugi. Kowboj szarpnięty strzałami padł na ziemię.

Harry wziął głęboki oddech i podbiegł do niego. Zobaczywszy jego szkliste oczy i powiększającą się czerwoną plamę na białym tiszercie oraz krwawą dziurę w czole, zadrżał. Schował broń do kabury, przymknął powieki, nachylił się i położył dłonie na udach. Po chwili ktoś trącił go w ramię. Wyprostował się i zobaczył Katię. Miała bladą i brudną twarz, ręce skute kajdankami. Z trudem łapała powietrze.

– Zabiłeś gnoja? – zagadnęła po chwili, wbijając wzrok w ciało Kowboja.

Przełknął ślinę i skinął głową. Miał wrażenie, że coś go ściska za gardło.

Naraz usłyszeli wołanie.

– Harry! Katia!

Odwrócili się za siebie. W ich kierunku pędzili komandosi. A za nimi biegła reszta: Kowalski, Miszczu i Ostrowski.

Komisarz i posterunkowa obrzucili się spojrzeniami. Katia zaszlochała i przytuliła się do starszego kolegi. Harry położył rękę na jej mokrych rozczochranych włosach i poczuł, że w oczach ma łzy.

Nazajutrz, późnym popołudniem, Katia pojechała do przychodni, żeby spotkać się z psycholożką i porozmawiać o ostatnich dramatycznych zajściach. Zrobiła to niechętnie. Nie miała najmniejszej ochoty, żeby zagłębiać się w zakamarki swojego umysłu. Stało się, co się stało, po co to rozgrzebywać? Człowiek od tego robi się słaby, nadwrażliwy. Miękki. *Jak ojciec* – przeszło jej przez głowę.

Wysiadła z tramwaju, przeszła niespiesznym krokiem kilkaset metrów, mijając grupki studentów, którzy wracali do akademika, i weszła do niewysokiego, białego budynku. *Najważniejsze, że udało się przeżyć* – pomyślała i uprzytomniła sobie, że ma się całkiem dobrze. Że stres, gigantyczny stres, uleciał, zostało tylko zmęczenie.

Ostatnie kilkanaście godzin spędziła w swoim własnym łóżku. Leżąc, drzemiąc, gapiąc się w sufit, kręcąc się z boku na bok. Przez jej głowę przetaczały się różne sugestywne obrazy, niespokojne fale dźwięków. Widziała Kowboja, który wbija w nią swój wzrok zabójcy. Czuła jego śmierdzący wódką oddech. Słyszała wybuch granatów hukowych.

Zwieńczeniem koszmarów była scena na motorze. Gdy harley upadł na ziemię, Katia otworzyła oczy i odetchnęła z ulgą.

Przeleżawszy nieruchomo parę minut, wstała z łóżka i stwierdziła ku swojemu zdziwieniu, że ma się jednak całkiem nieźle. Tak jakby sen wszystko przemielił i wyrzucił gdzieś na zewnątrz. Przypomniała sobie wówczas powiedzenie wuefisty z liceum: „Co was nie zabije, to was wzmocni, dziewczuchy”. Może to i prawda? Gdy brała zimny prysznic, nabrała pewności, że tak właśnie jest.

– Tyle pieniędzy, pani kochana? – Katia oderwała się od swoich myśli i zobaczyła stojącą przy okienku apteki sędziwą, przygarbioną kobiecinę. – Przecież to jest majątek! Skąd ja mam wziąć na to wszystko pieniądze?

Katia obrzuciła ją współczującym spojrzeniem, a potem podeszła do recepcji, gdzie sprawdziła numer gabinetu lekarki, która miała ją przyjąć.

Znalazłszy się po chwili w małej, kameralnej poczekalni, usiadła na niewygodnym plastikowym siedzisku i kątem oka przyjrzała się oczekującym. Młoda dziewczyna z dredami i chustą na głowie oraz elegancka kobieta po czterdziestce. *Ciekawe, z czym przychodzą?* – westchnęła i przeniosła wzrok na swoje niezbyt czyste glany. Nie lubiła tego rodzaju przestrzeni. Cichych, dziwnie pachnących, naznaczonych napięciem, wypełnionych markotnymi ludźmi.

Poruszyła się niespokojnie. Naraz zapragnęła wstać i wyjść stąd natychmiast. Przygryzła usta. Wtedy otworzyły się drzwi, w progu stanęła filigranowa blondynka z jakąś kartą w ręku.

– Pani Domagała? – zapytała niskim, przyjemnym głosem.

Kobiety spojrzały po sobie pytająco.

Katia poczuła ucisk w żołądku i pokręciła głową.

– Nie ma pani Domagały?

Cisza.

– Rozumiem...

Lekarka wysunęła lekko język i zajrzała do karty.

– W takim razie zapraszam panią Dudkiewicz.

Czterdziestolatka ubrana w niebieską spódnicę i garsonkę uśmiechnęła się niewyraźnie i wmaszerowała do gabinetu. Drzwi zatrzęsnęły się głośno.

Katia odetchnęła z ulgą. Poprawiła kitkę, wstała z siedzenia i pospiesznym krokiem opuściła przychodnię. Znalazłszy w pobliżu budkę telefoniczną, zajrzała do notesu i wykręciła numer Uli. Po krótkiej wymianie zdań Katia mruknęła:

– Stara, przygarnij mnie na parę dni, co? Dostałam wolne,

muszę wyjechać z miasta, żeby odsapnąć i nabrać sił.

Cztery godziny później przyjaciółki usiadły przy stole w kuchni. Ula otworzyła butelkę porzeczkowego wina. Gdy upiły parę łyków, Katia wzięła duży oddech i zaczęła opowiadać o swoich ostatnich dramatycznych zajściach. Skończywszy, położyła dłonie na blacie.

– Postawisz flachę? – zapytała, szczerząc zęby.

Ula otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– Chcesz wódki?

– Muszę to zapić czymś mocniejszym.

– Co racja, to racja.

Po chwili na stole wylądowała butelka doskonale zamrożonej Stolicznajej.

– Prezent od pewnego prezesa – zagadnęła Ula, mrugając okiem.

Rozlała alkohol do pięćdziesiątek, uniosła swoją.

– Za co pijemy?

– Nie wiem, wymyśl coś.

Krótki namysł.

– Za fajnych facetów, silne kobiety i bardzo mocne alkohole!

– Za silne kobiety.

– Tak jest, za silne kobiety!

LXXXIII

Podinspektor Buryła omiótł wzrokiem bankietową salę, w której od paru godzin bawili się naczelnicy wydziałów kryminalnych wszystkich polskich komend wojewódzkich. Czknął i szybko zakrył usta dłonią. W głowie czuł szmer, w jelitach niebezpieczne ruchy, a w gardle dziwny ucisk. *Przesadziłem* – pomyślał i od razu przypomniał sobie małżonkę, który podwoziła go na pociąg, ucałowała serdecznie, a potem spojrzała głęboko w oczy, pogroziła palcem i mruknęła ostrzegawczo: „Tylko nie przesadz z gorzałą i żarciem”. Obruszył się, bo przecież właśnie zamierzał nie przesadzić, ale wiadomo, że „żona, jak to żona, nic jej nigdy nie przekona”, więc przytulił ją mocno i wskoczył do wagonu. „Bo będziesz żałował w nocy” – rzuciła jeszcze za nim, pomachała i poszła w stronę parkingu. *Przesadziłem* – powtórzył i zerknął na zegarek, minęła druga w nocy. *Moja wina*.

Postanowił pożegnać się i wrócić do swojego pokoju, ale właśnie któryś z naczelników wstał, wznosił kieliszek i zaintonował: „Jeszcze po kropelce, jeszcze po kropelce, / Póki wódka jest w butelce”. Reszta biesiadników, wśród których były tylko dwie kobiety, podchwyciła skoczną nutę, wstała, uniosła kieliszki i zahuczała: „Pijmy aż do rana, pijmy aż do rana, / I śpiewajmy: dana, dana”.

Buryła, chcąc nie chcąc, dołączył, choć oczami wyobraźni widział groźny palec ukochanej małżonki. Rozległy się oklaski, śmiechy, wzniesiono toast – „na pohybel czarnym i czerwonym” – wypito następną kolejkę i wrócono do rozmów.

Jeden z kolegów poklepał podinspektora po ramieniu, przywitał się, usiadł obok i zagadał. Zaczęli rozmawiać.

W pewnym momencie pojawiło się pytanie o Grandowskiego i Kozaka. Buryła ziewnął, odpowiedział pokrótce i rzucił na koniec:

– Jakkolwiek to brzmi, cały czas szukamy Spielberga.

– Spielberga? Szukacie Spielberga? – zainteresował się korpulentny mężczyzna siedzący naprzeciwko. Inspektor Wiesław Pietrzak, naczelnik z Kalisza. Miał lekko przymglone oczy, purpurowe policzki i wąsik à la Hitler.

Buryła zerknął na niego, dłubiąc wykałaczką w zębach.

– Tak, Wiesiu. I to nawet pilnie – rzucił.

Pietrzak zrobił poważną minę i pokiwał głową.

– Polej, to ci powiem, gdzie znajdziesz Spielberga.

Buryła uniósł brwi.

– Mówisz poważnie? – zapytał.

– Polej wódeczkę.

Buryła sięgnął po butelkę i nalał koledze wódki.

– Sobie też.

Posłuchał, nalał, zakręcił butelkę i odstawił ją na bok.

Mężczyźni podnieśli kieliszki, stuknęli się i wypili. Buryła popił oranżadą i wbił wzrok w kolegę.

– Gadaj, gdzie jest Spielberg.

Pietrzak wytarł wąsik i nachylił się w stronę kolegi.

– W Hollywood – ryknął do ucha poznaniaka, po czym zarechotał.

Buryła w jednej chwili spurpurowiał na twarzy i zmierzył wściekłym wzrokiem dowcipnisią.

– W Hollywood siedzi, robi filmy i zarabia grubą mamonę! Ha, ha, ha!

Buryła wywrócił oczami i spojrzał na zegarek. *Czas już na mnie* – stwierdził w myślach poirytowany.

– Nie złapiesz go, Bury, za chudy w uszach jesteś!

– Ale jesteś, kurwa, dowcipniś. Jak brat bliźniak Benny’ego Hilla.

Buryła pokręcił zniesmaczony głową i spojrzał na mężczyznę,

który usiadł obok rechoczącego Pietrzaka. To był podinspektor Andrzej Biedrys, naczelnik z Wrocławia. Wysoki, przystojny, gładko uczesany na bok, przed czterdziestką. Trzeźwy.

– Z czego tak rżycie, panowie? – zapytał, nakładając sobie na talerz sałatki warzywnej.

– Bury szuka Spielberga – zachichotał Pietrzak. – To mu powiedziałem, gdzie go znaleźć.

Biedrys spojrzał na niego.

– Znasz Spielberga?

– Każdy go zna przecież!

– Co mu powiedziałeś?

– Gdzie go znajdzie.

– No i gdzie go znajdzie?

Pietrzak zerknął na Biedrysa i podniósł ręce.

– W Hollywood – prychnął. – Podobno kończy kręcić „Park jurajski”.

Buryła wywrócił oczami i spojrzał na Biedrysa.

– Taki żarcik, rozumiesz?

Pietrzak ugryzł kawałek śledzia i rozlał wódkę.

– Pijta – mruknął. – Bo wam humoru nie staje.

Biedrys podziękował za alkohol, Buryła też.

– Pijta!

– Spierdalaj, Wiesiu, na drzewo.

– To się sam napiję! – Pietrzak wychylił kielicha, uderzył nim o blat stołu.

– Idę odcedzić ziemniaki – mruknął, wstał, klepnął siedzącego przy sąsiednim stoliku łysego mężczyznę i zagadnął go głośno:

– Idziesz, Czesiu?

– Idę, idę – padła odpowiedź.

– No to chodź. Odcedzimy i zajaramy.

Biedrys dokończył sałatkę i odsunął od siebie talerz. Przywołał ręką kelnerkę i poprosił o kawę.

– Dla mnie też – powiedział Buryła.
– Szukasz Spielberga? – zagadnął Biedrys.
– A pytasz poważnie?
– Tak.
– To szukam. Znasz go?
– Nie wiem, czy mówimy o tym samym.
– Szukam pomagiera gangusów, który bawi się kamerą VHS.
Buryła zrelacjonował szczegóły śledztwa.
– Opisz go.
– Wysoki, krótkie włosy, okrągła twarz, okulary na ryjku. Ma chyba dwadzieścia parę lat.
Biedrys pokiwał głową.
– To ten sam – mruknął.
Buryła wbił wzrok w kolegę.
– Jesteś pewien?
– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.
Buryła się rozpromienił.
– Kuźwa jego mać – szepnął, czując, że serce zaczyna mu szybciej bić.
Zabębnił palcami o blat stołu.
– Gdzie go znajdę? – zapytał.
– A po ci on?
– Przewijał się w sprawie Grandowskiego. Pewne słyszałeś o tej historii. Podobno nagrał jego zabójstwo. Szukamy kasety. Mamy nadzieję, że dzięki niej udowodnimy, że to nie Kozak go zlikwidował.
– Słyszałem, chujowa sprawa.
– Kłamliwe kurwy.
– W takim razie szczęście się do ciebie uśmiechnęło – oznajmił Biedrys. – Nie wiem, jak bardzo, ale jednak. Spielberg siedzi w naszym Areszcie Śledczym.
Buryła otworzył szeroko oczy.
– Co ty mówisz, tej?! We Wrocławiu?
– Tak jest.

– Za co?

Do stołu podeszła kelnerka i postawiła dwie filiżanki kawy. Uśmiechnęła się i odeszła. Biedrys sięgnął po cukiernicę i posłodził kawę. Zamieszał, oblizał łyżeczkę i odstawił ją na talerzyk.

Buryła patrzył na niego uważnie.

– Podrywał bogate mężatki – odezwał się Biedrys. – Napalone pięćdziesiątki. Nagrywał ukrytą kamerą swoje harce z nimi i potem je szantażował. Skrzywdził tak siedem albo osiem kobiet. Zarobił na tym procederze całkiem niezłą forszę.

Buryła poluzował krawat, rozparł się na krześle i zabębnił palcami o stół.

– No ładnie – mruknął. – A jak wpadł?

– Trafił w końcu na bardzo ostrą babkę, która się strasznie wkurwiła i zawiadomiła policję. Zgarnęliśmy gościa jakiś miesiąc temu. Sprawa w toku. W jego mieszkaniu znaleźliśmy dużo kaset z domowym porno. Klient uwielbia nagrywać, jak pieprzy kobiety. W trakcie seksu co jakiś czas zerka w oko kamery i szczerzy do niej swoje kły. Paskudny typek.

Buryła upił łyk kawy.

– Tylko seks był na tych kasetach? – zapytał.

– Tylko.

– Przejrzeliście je bardzo dokładnie?

– Oczywiście.

– Hm...

Biedrys spojrzał na Buryłę.

– Myślisz, że mógł trzymać kasetę z zabójstwem u siebie w mieszkaniu? – zagadnął.

– Nie mam pojęcia. Może tak, może nie? Gdzieś ją musi trzymać. Chyba.

– Musi? Może ma ją Kowboj? Według mnie na sto procent ma ją Kowboj. Taki materiał powierzyć komuś innemu? Mocno wątpię. To zbyt wrażliwe dane.

– Może i masz rację.

- Jestem pewny, że mam rację.
- Nie załamuj mnie – mruknął Buryła.

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni długopis. Pstryknął nim i wyjął serwetkę z porcelanowego stojaka.

- A gdzie mieszka ten cały Spielberg? – zapytał.
- W Szczecinie.
- A dokładnie?

Buryła zanotował adres, złożył serwetkę i schował ją w kieszeni. Spojrzał na zegarek, minęła druga. *Dżery pewnie nie śpi* – pomyślał. *Zadzwonię do niego*. Pożegnał się z kolegami, zapiął marynarkę i skierował się ku wyjściu.

Gdy przekraczał próg, usłyszał, jak ktoś wznosi kolejny toast. Tym razem za „nowe porządki”. *Uciekam stąd!* – krzyknął w duchu i przyspieszył kroku.

LXXXIV

Na drugi dzień w samo południe sierżanci Kowalski i Ostrowski zameldowali się we wrocławskim Areszcie Śledczym. W niewielkim pomieszczeniu o odrapanych ścianach czekał na nich Spielberg. Wysoki dwudziestoparoletni mężczyzna, niebrzydki, umięśniony, o lekko zaokrąglonej twarzy. Na nosie miał modne okulary. Z oczu biła pewność siebie. Na ich widok rozparł się demonstracyjnie na krześle. Prawą nogę założył na lewe kolano.

Policjanci rozpięli kurtki i usiedli naprzeciwko niego.

– Czego chcecie, psy? – zagadnął drwiąco.

Zmierzyli się wzrokiem.

– Dzień dobry, panie Maćku – odezwał się Kowalski po chwili, ignorując zaczepkę.

Mężczyzna się skrzywił. *Czyżby nie lubił swojego imienia? Za mało spektakularne w zestawieniu z amerykańską ksywą?* – pomyślał Kowalski.

– O co chodzi? – mruknął Spielberg. – Podobno przyjechaliście z Pyrlandii? Czego chcą ode mnie pieski z królestwa kartofli?

Ostrowski się zaśmiał. *Cwaniak z pekaesu* – przeszło mu przez głowę.

– Pogadać, chłopie – odparł.

– Nie jestem dla ciebie żadnym chłopem!

Długowłosy sierżant podniósł dłonie w przeproszającym geście.

– Dobra, nie jesteś żadnym chłopem – przytaknął.

– Chcieliśmy pogadać w bardzo ważnej sprawie – powiedział Kowalski i sięgnął do torby, z której wyjął szarą teczkę.

Spielberg zmarszczył brwi.

– Naprawdę jesteście z Poznania? – zapytał, ale tym razem poważnym głosem.

– Tak.

Kowalski wydobył z teczki kopertę, a z niej plik zdjęć. Przyjrzał się im wnikliwie, podrapał za uchem i obrzucił przeciągłym spojrzeniem Spielberga. Ten wyprostował się jak na komendę. Ostrowski wpatrywał się w niego uważnie. Kowalski położył przed przestępcą pierwszą fotografię, która przedstawiała uśmiechniętego Wiktora Grandowskiego.

Spielberg wbił w nią swój wzrok. Oczy mu się lekko zwężyły.

– Kto to jest? – zapytał.

Kowalski chrząknął.

– Dziennikarz z Poznania – odparł. – Zamordowany w zeszłym roku. Nie słyszałeś?

Wzruszenie ramion.

– Może i słyszałem.

– Musiał pan słyszeć. To była bardzo głośno sprawa na całą Polskę. To jednak zabójstwo dziennikarza.

Cisza.

Spielberg pociągnął nosem.

– Ale po chuj mi to pokazujecie? – burknął. – Co ja mam z tym wspólnego?

– Znasz go? – zapytał Ostrowski, pukając w fotografię.

– Nie.

Sierzant wyciągnął z kieszeni katany camele. Otworzył je, wysunął z nich tanią zapalniczkę i rzucił na stół.

– Nigdy go nie widziałeś? – zapytał zaczepnie.

– No mówię, że nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

Kowalski przyglądał się koledze, który z każdą minutą robił się coraz bardziej hardy. Na twarzy, w gestach, w słowach. To było coś nowego. Ostrowski pokiwał głową i położył na stole

drugie zdjęcie. Widniała na nim postać Kozaka, który pozował na tle swojej służbowej szafki.

– A tego pan zna? – zapytał.

Spielberg pochylił się nad stołem. Patrzył długo na wąsatą twarz komisarza. Wypuścił powietrze. Sierżanci spojrzeli po sobie.

– Może gdzieś kiedyś go widziałem – powiedział niepewnie. – Ale nie kojarzę na sto procent – dodał.

Kowalski westchnął.

– Rozumiem – powiedział uprzejmie, a potem podsunął Spielbergowi zdjęcie jego własnego autorstwa, na którym rozchichotany Kozak trzyma kieliszek wódki.

Ostrowski sięgnął po camele. Podsunął ją Kowalskiemu, ten pokręcił odmownie głową. Zapalił papierosa i poszukał wzrokiem popielniczki. Zbliżył ją do siebie i się zaciągnął.

– Chyba musisz go kojarzyć, bo byliście razem w Suchym Lesie na takiej jednej imprezie. Gorącej – powiedział. – Robiłeś na niej zdjęcia. Czasami nawet dość ostre.

Skinął na Kowalskiego. Ten położył na stole kolejną fotografię. Przedstawiała Kozaka krzyżującego penisy z Kowbojem.

– Jak z dobrego niemieckiego pornola – mruknął Ostrowski.

Zerknął na kolegę i zapytał:

– Lubisz, Kowal, pornosy? Czerpiesz z nich przyjemność?

Kowalski chrząknął, próbując się nie roześmiać. *Ale się wczuwa w rolę* – pomyślał.

– Nie bardzo – odpowiedział.

– Hm... Ja tam lubię przekartkować. Fajnie jest czasami popatrzeć na ładną gołą cipkę. – Ostrowski cmoknął i wysunął brodę w stronę Spielberga.

– Podczas wywoływania musiałeś mieć niezłą zabawę – zachichotał. – Może nawet zwałeś sobie konia, co? Przyznaj się. Sami swoi tu siedzą.

Twarz Spielberga nabiegała krwią.

– Dla odświeżenia pamięci dodam, że chodzi o imprezę w hoteliku o wdzięcznej nazwie Felicja – wtrącił Kowalski usługowym tonem. – A Suchy Las leży pod Poznaniem.

Ostrowski spojrział na spalonego w połowie papierosa i zdusił go w popielniczce.

– Ten drugi z gołym chujem to Kowboj, poznański gangster, dla którego biegałeś trochę – powiedział. – Robiłeś fajne materiały, dzięki którym Kowboj mógł szantażować różnych ludzi, na przykład policjantów czy biznesmenów. Na tej pamiętej z kilku powodów imprezie robiłeś fotki i kręciłeś film.

Urwał i przez chwilę przyglądał się Spielbergowi. Położył obydwie ręce na blacie stołu.

– Prawdę mówiąc, słowo „impreza” nie pasuje tu za bardzo. To przecież była regularna orgia. Gangstersko-biznesowo-policyjna. Pojawił się na niej tenże Grandowski jako kelner. I ukradł twój film.

Cisza.

– Czym, rzecz jasna, wkurwił Kowboja. No i nie tylko, oczywiście. Ten fakt wiążemy z jego zamordowaniem. Nie wiem, czy doszła do ciebie wiadomość, że znaleźliśmy już jego ciało. Prawdę mówiąc, domykamy sprawę. Potrzebujemy już tylko kropki nad i.

Na czole Spielberga zaświeciły się krople potu.

– Chodzi o to, Maciek, że wiemy, że masz film, na którym nakręciłeś zabójstwo dziennikarza – wycedził.

Cisza.

Kowalski poczuł gęsią skórkę. Przez chwilę miał wrażenie, że słyszy Harry’ego.

– Chcemy go, kurwa, dostać w swoje łapki.

Kowalski zerknął na Spielberga. Pęknie czy nie?

– Więc pytam cię grzecznie, gdzie go masz?

Spielberg przetarł ręką czoło.

Wziął głęboki oddech i zaczął się nerwowo śmiać.

– Pojechało was? – Podniósł nagle głos. – Jaki, kurwa, film, jakie zabójstwo? Nic nie mam, o niczym nie wiem! Spierdalajcie, psy.

Policjanci patrzyli na niego nieporuszeni. Zapadła cisza. Na jakieś pół minuty.

– Owszem, byłem na tej imprezie – odezwał się w końcu Spielberg, oddychając głośno. Wysunął głowę do przodu. Zmarszczył brwi i uniósł je w górę. W oczach malował się niepokój i zdenerwowanie. – Owszem, robiłem foty – warknął. – Kręciłem trochę kamerką, ale to wszystko. Lubię to. Takie mam hobby. Stąd ksywa. – Wzruszył ramionami. – Ksywa „Spielberg”. – Przełknął ślinę. – Po tamtej imprezie szwendałem się trochę po Polsce. Potem pomieszkałem trochę we Wrocławiu, a jeszcze potem zawinęła mnie policja za te niby szantaże i siedzę tu sobie grzecznie... za niewinność. Nic nie wiem. Nic.

Cisza.

– Nic nie zrobiłem.

Cisza.

– Macie coś na mnie?

Wypuścił powietrze. Rozparł się na krześle i obrzucił czujnym wzrokiem policjantów. Chyba odpowiedział sobie w myślach negatywnie na to pytanie, bo uspokoił się trochę. Na jego ustach pojawił się nieznaczny uśmiezek.

– Macie coś na mnie? – powtórzył pytanie.

Cisza.

– Jak nie macie, to...

Wyszczерzył beczelnie zęby.

Ostrowski chrząknął.

– Jeśli nam pomożesz i...

Spielberg machnął zniecierpliwiony ręką.

– Nie pomogę, bo nic nie wiem. A nawet jak bym wiedział, to bym wam, kurwa...

Nie dokończył zdania, bo w zamku zgrzytnął przekręcany

klucz. W progu stanął niewysoki mężczyzna o ziemistej, zmęczonej cerze. Na jego widok Spielberg się uśmiechnął.

– Idzie moja papuga. – Zaklaskał rękami i spojrzał butnie na policjantów.

Kowalski westchnął. *No to koniec zabawy w Harry'ego* – pomyślał sarkastycznie.

– Panowie, na dzisiaj wystarczy tych pogaduszek – odezwał się prawnik, wycierając chustką spocone czoło. – Bardzo proszę o opuszczenie tego... lokalu.

Sierżanci obrzucili ponurym spojrzeniem Spielberga, mruknęli „do widzenia” i wyszli na korytarz.

Godzinę później wsiedli do samochodu i ruszyli z powrotem do Poznania. Przez całą drogę powiedzieli do siebie raptem parę słów. Skupili się na muzyce i wiadomościach. Podczas ostatnich pięćdziesięciu kilometrów słuchali kabaretu „Sześć dni z życia kolonisty”. Niestety, Bohdan Smoleń oraz spółka nie zdołali podreperować ich kiepskich humorów.

Harry otworzył gwałtownie oczy, słysząc swój własny zduszony jęk. Wypuścił powietrze i usiadł na łóżku. Przez chwilę skupiał się na uspokojeniu wewnętrznego dygotu. Omiótł wzrokiem zabałaganiony pokój, którego bardzo nie lubił. Tak jak zresztą całego mieszkania. Skrzywił się, po czym zerknął na zegar ścienny. Było parę minut po osiemnastej.

Coś mu się śniło, ale nie pamiętał dokładnie co. Miał wrażenie, że ostatni ujrany przed przebudzeniem obraz przedstawiał Kowboja. Kowboja, który strzela do jakiejś kobiety. Patrycji? Może Katii?

Przejechał dłońmi po napuchniętej twarzy, ściągnął przepoconą koszulkę i rzucił w kąt pokoju. Postanowił jak najszybciej wyjść na zewnątrz. Nie chciał tu być.

Wstał i wyjął z szafy czyste ubranie. Poszedł do łazienki, wziął krótki prysznic, ubrał się, założył na ramię skórzaną torbę, która podarowała mu kiedyś pewna smutna studentka polonistyki, i czym prędzej opuścił mieszkanie.

Po kilkunastu minutach zaparkował przed Merkurym. Idąc w stronę wejścia, rozglądał się za Cyganką, który wystraszyła się jego przyszłości. Miał zamiar poprosić ją grzecznie, choć stanowczo, żeby mu powiedziała, czego się tak przestraszyła. Nigdzie jej jednak nie dostrzegł. Może nie chciała go spotkać?

Wszedł do środka, udał się do restauracji i zamówił sobie kawę. Przez chwilę trwał w bezruchu. Gdy kelner przyniósł mu filiżankę, posłodził, upił parę łyków i wyciągnął zeszyt. Zdecydował, że napisze list do córki. Cały czas to odkładał na później. Źle się z tym czuł. Musiał w końcu się przełamać. Pstryknął parę razy długopisem i napisał „Droga Kasiu”.

Zagryzł usta. Westchnął. W głowie miał pustkę. Nie miał pojęcia, co dalej.

Westchnął. Odłożył długopis. Nagle za plecami usłyszał charakterystyczny męski głos. Odwrócił się. W jego kierunku szedł uśmiechnięty Mechanik. W rękach trzymał kaszkiet. Harry się wyprostował.

Gangster stanął przed nim i podał mu dłoń.

– Dzień dobry – powiedział serdecznie jak do dobrego kumpla.

Harry poczuł od niego zapach przyjemnych perfum. Omiótł go badawczym wzrokiem i sięgnął po paczkę marlboro.

– Czy my się właśnie zaprzyjaźniamy? – rzucił sarkastycznie.

Sześcioletni gangster się zaśmiał.

– Po prostu wymieniamy się informacjami.

– Przychodzisz do mnie z informacją?

– Mogę przysiąc się na chwilę?

– Proszę.

Mechanik usiadł, założył nogę na nogę.

– Normalna sprawa, zwyczajny biznes. Ludzie zajmują się tym od zawsze. Policjanci i... – uśmiech – ...złodzieje cały czas ze sobą kooperują. Tak to wszystko jest skonstruowane.

Po chwili podeszła do nich kelnerka. Młoda, wysoka, szczupła o kruczoczarnych włosach. Gangster zamówił kawę i lampkę koniaku.

Gdy dziewczyna się oddaliła, spojrzął na Harry'ego.

– Ale nie, nie zaprzyjaźniamy się – powiedział. – Bo to jednak nie jest „Casablanca”. Mimo wszystko cały czas przebywamy w rzeczywistości, chociaż niekiedy ta rzeczywistość przypomina scenariusz filmowy. Tak przynajmniej twierdzą czasami podnieceni pismacy.

Harry nie przerywał mu. *Niech sobie gada – pomyślał. Może coś mu się wymysknie.*

– Taki Misiński na przykład – kontynuował Mechanik. – Jak on się podniecił tym napadem! „Napad doskonały”, „Napad

stulecia”! Wybrał sobie kilka mocnych scenek, podkoloryzował je, wyrzucił to, co nudne i żmudne, i wyszła mu amerykańska opowieść. „Napad doskonały”. Pokręcił głową z politowaniem i przyjrzał się swoim dłoniom.

– Bardzo pouczający wykład – mruknął Harry. – Powinieneś zostać krytykiem filmowym.

Mechanik prychnął.

– Kiepski pomysł, intelektualiści to tania siła robocza. Ja sobie dywaguję w wolnych chwilach, w tych nielicznych przerwach od prawdziwej pracy.

– Do czego zmierzasz?

Mechanik spojrzał na Harry’ego.

– Jak się masz, Harwej?

– A jak się mam mieć?

– No właśnie zastanawiam się nad tym. – Mechanik zrobił wymowną winę, złapał się za płatek ucha. – W końcu zabiłeś człowieka. I co by nie mówić, to jest jednak duża sprawa.

Komisarz ściągnął twarz i wbił wzrok w filizankę. U nasady czoła pojawiły się krople potu. Starł je niezgrabnym gestem.

– Mam się dobrze – odburknął i wypuścił głośno powietrze.

Mechanik cmoknął i pokiwał głową, jakby z aprobatą.

– Pochwalam to.

Harry zerknął na gangstera, marszcząc czoło.

– To był zły człowiek – powiedział Mechanik bardzo poważnym głosem. – Niezrównoważony, narcystyczny typek, który nie potrafił zapanować nad swoimi brzydkimi skłonnościami. – Wyglądał na szczerze oburzonego. – Kiedyś podczas zakrapianej rozmowy chciał nam puścić nagranie wideo, które przedstawiało... – westchnął. – Gwałt na jakiejś dziewczynie... Prawdziwy gwałt! Rozumiesz?

Oficer patrzył na niego wyczekująco.

– To był szkodnik. Zarówno jeśli chodzi o porządek społeczny, jak i interesy... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – miasta. Nasze interesy. Starych,

porządnych gangsterów. – Wypuścił powietrze. – Poza tym nie godzę się na przemoc wobec kobiet. Jako człowiek rodzinny, kiedy słyszę o gwałtach, od razu wyobrażam sobie matkę, żonę i córki w takiej straszliwej sytuacji. I nie mogę tego znieść spokojnie.

Harry zastanawiał się, czy on tak naprawdę myśli, czy tylko gra takiego szlachetnego feministę. Naraz przypomniał sobie, że Mechanik ma cztery córki, podobno piękne dziewczyny. Podobno hołubił je strasznie. *Chociaż kto wie? Może wcale się nie zgrywa? Może to prawdziwe oburzenie? Z gangusami nigdy nie wiadomo.*

Podeszła kelnerka, trzymając w dłoniach tackę. Gdy nachyliła się nad stolikiem, Harry poczuł zapach jej pięknych błyszczących włosów. Ściągnął twarz i wstrzymał oddech. Wbrew swojej woli wyobraził sobie, że wtula się w nie. Jego nozdrza zadrżały. Dziewczyna postawiła filiżankę kawy i lampę koniaku i zerknęła na komisarza. Miała zmysłowe usta.

– Mogę coś panu podać? – zapytała.

Harry pokręcił głową. Kelnerka uśmiechnęła się i ruszyła do stolika w rogu sali, przy którym siedziało jakieś większe towarzystwo. Komisarz wpatrywał się w nią przez chwilę. Mechanik spojrzał na niego i chrząknął.

– Wracając do meritum, Harwej.

– Uhm.

– Przychodzę z ważną nowiną, która ostatecznie zamknie temat Kowboja i Kozaka. Temat niefortunny, niepotrzebny.

Na moment zapadła cisza.

– Zamieniam się w słuch.

– Otóż Niki zdecydował się wyznaczyć prawdę.

– Jaką prawdę?

Gangster uniósł lampkę, powąchał ją i skosztował koniaku.

– Na temat tego, kto naprawdę zabił biednego Grandowskiego – odparł.

Harry patrzył na niego z uwagą.

– I jaka to jest prawda?

– On ci ją przedstawi, proszę go jutro odwiedzić. Zapewniam, że będzie do dyspozycji w tym zakresie.

Harry ujrzał oczami wyobraźni Nikiego, żołnierza Kowboja, który z wyglądu przypominał trochę słynnego Nicka Cave'a, charyzmatycznego, mrocznego wokalistę.

– A dlaczego akurat Niki? Co z Bejzbolem?

Mechanik westchnął i spojrzął na zegarek.

– No cóż, Bejzbol nie był jednak skory do współpracy.

Cisza.

– Podejrzewam, że już nie żyje...

Harry przeszył go wzrokiem...

– Że co?

Mechanik rozłożył ręce.

– Mówią na mieście, że o tej porze powinien już nie żyć...

Oficer zerknął na zegarek. Było parę minut po dwudziestej.

– Co ty pieprzysz, przecież on siedzi na Młynie?! – syknął zdezorientowany.

Mechanik wzruszył ramionami.

– Mówię, co słyszałem...

Znowu upił koniaku.

– Może to bzdura? – powiedział. – Może?

Harry sapnął i rozejrzał się po lokalu. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić z tą informacją. Mechanik to poważny facet, nie lubi gadać po próżnicy. To nie w jego stylu. Mówi zawsze konkretnie, z rozmysłem, ostrożnie. Może to prawda? – pomyślał i spojrzął na gangstera, którego oczy wydały mu się naraz zimne, nieludzkie, martwe.

Poczuł gęsią skórkę. *Kurwa mać, to jest prawda!* – syknął w duchu. *Bejzbol został zamordowany. Trzeba to sprawdzić! Trzeba to sprawdzić!* Skrzywił się.

– Muszę już lecieć – oznajmił.

Postanowił pójść na Młyńską, gdzie mieścił się poznański

Areszt Śledczy.

Mechanik uśmiechnął się

– Proszę sprawdzić, co z Bejzbolem – powiedział. – Sam jestem ciekaw, czy to bzdura, czy nie... Kto wie, może coś w tym jest. Nawet nie pamiętam teraz, gdzie o tym usłyszałem. W tym wieku człowiek jest taki roztrzepany. – Westchnął.

Harry prychnął w odpowiedzi.

– I proszę nie dziękować – mruknął Mechanik.

Harry uniósł brwi.

– Dziękować? Za co?

Mężczyźni popatrzyli na siebie.

– Przecież to Bejzbol zabił Patrycję.

Cisza.

– Dziewczynę Kowboja i... I pana.

Cisza.

Harry zeszywniał.

– Z tego, co wiem, bardzo ją pan lubił. I strasznie przeżył jej śmierć.

Harry wstał. Założył kurtkę i przysunął krzesło do stolika.

– Proszę koniecznie przesłuchać Nikiego. Jutro. On panu powie, kto zabił pismaka.

Komisarz skinął głową.

– Mam jeszcze jedno pytanie. – Usłyszał. – Może zbyt wścibskie, z góry przepraszam.

– Jakie?

– Zabiłeś wcześniej już kogoś?

Harry zacisnął szczęki, obdarzył Mechanika krzywym spojrzeniem i bez słowa skierował się w stronę wyjścia. Godzinę później siedział w gabinecie zaprzyjaźnionego naczelnika Aresztu Śledczego i w napięciu czekał na funkcjonariusza, który lada chwila miał wrócić z obchodu. Zamarł, gdy ten przybiegł zdyszany z wieścią, że Bejzbol nie żyje.

– Klient leży na pryczy i nie oddycha – oznajmił drżącym głosem mały gruby mężczyzna, wbijając wzrok w swojego szefa, który zrobił się czerwony i zerwał się z krzesła jak oparzony.

– Że co?! – wrzasnął.

Harry poczuł, że robi mu się gorąco.

– Bejzbol zdechł – wymamrotał funkcjonariusz.

– Ale że co?

– Leży na pryczy i się nie rusza. Żadnej krwi, żadnych śladów walki. Po prostu leży i nie żyje. Jak gdyby nigdy nic. No nie żyje.

Harry spojrział na naczelnika, który zaczął nerwowo drapać się po czole.

– Może zszedł na zawał? – dodał funkcjonariusz.

– Jak to na zawał? – zapytał naczelnik, zaciskając szczęki. Uderzył otwartą dłońią w stół i warknął: – Ja zaraz zejdem na zawał!

– No nie wiem. Leży na pryczy i tyle. Nie powiesił się, nie podciął sobie żył. Nic z tych. Po prostu leży martwy.

– Wezwałś lekarza?

– Tak.

Naczelnik jęknął. W jego rozbieganych oczach malowała się czarna rozpacz.

Zatruli klienta – pomyślał Harry.

LXXXVI

W poniedziałek rano konwojenci przetransportowali bladego jak trup Nikiego do Komendy Wojewódzkiej. Tam przekazano go Mischowi, który w milczeniu zaprowadził bandytę do pokoju przesłuchań i zostawił samego na jakieś pół godziny.

Gdy mężczyzna wyglądający teraz bardziej na przestraszonego łobuza z poprawczaka niż na żołnierza jednego z najgroźniejszych poznańskich gangsterów zaczął niespokojnie wyłamywać palce, do pomieszczenia wszedł Harry. Miał podkrążone oczy, bladą twarz. Usiadł przy stole i wypuścił głośno powietrze.

– Cześć, Niki – mruknął.

Niki skinął mu głową. Mrugając niespokojnie powiekami, patrzył na komisarza, gdy ten wyjmował z kieszeni kurtki paczkę dumontów.

– Zapalisz?

– Chętnie.

Niki włożył papierosa do ust. Harry nachylił się nad nim i ku swojemu zadowoleniu poczuł woń strachu. Przybliżył do jego twarzy zapalniczkę. Gdy papieros zapalił się, wrócił do poprzedniej pozycji. Przez chwilę przypatrywał się ciekawie, jak gangster wypuszcza kłęb dymu.

Chrząknął.

– Moje kondolencje – mruknął.

Niki spojrzał na niego pytająco.

– Z powodu straty kumpla.

Przestępca przymknął oczy.

Spuścił głowę i zadrżał.

– Mechanik wczoraj mi powiedział, że zmieniłeś zdanie i chętnie powiesz prawdę – odezwał się komisarz. – Na temat

śmierci Grandowskiego.

Cisza.

– To się zgadza?

Niki drgnął i zaciągnął się mocno.

– Tak czy nie? – zapytał Harry.

Niki wypuścił dym.

– Tak – odpowiedział cicho.

Harry wyprostował.

– Cudownie – mruknął. – W takim razie cały zamieniam się w słuch. Nawijaj.

Wbił w niego swój ponury wzrok.

Niki skulił się, zdusił peta w popielniczce i spojrzał na buty, stare, brudne adidas.

Po kilkunastu sekundach zebrał się w sobie i zaczął opowiadać.

LXXXVII

Tego samego dnia, wczesnym popołudniem, sierżanci Kowalski i Ostrowski pojechali na polecenie inspektora Buryły do Szczecina, żeby przeszukać mieszkanie Spielberga.

Zahaczyli o tamtejszą Komendę Wojewódzką, pogadali z naczelnikiem dochodzeniówki, napili się kawy, wzięli klucz i ruszyli w stronę osiedla Kaliny.

Mieszkanie Spielberga było obszerną kawalerką, całkiem zadbaną. Ładna tapeta, duże łóżko z seksowną pościelą, stolik nocny z kilkoma numerami „Playboya”, kilka sztucznych kwiatków, regał, skórzany fotel.

Regał był wypełniony mnóstwem kaset wideo. Ostrowski z zachwytem przejrzał tytuły naniesione czerwonym mazakiem na białych grzbietach: „Predator”, „Rok w piekle”, „Zaginiony w akcji”, „Tango i Cash”, „Amerykański ninja”, „Kickboxer”, „Mad Max”, „Wejście smoka”, „Terminator”, „Krwawy sport”, „Nico”, „Liberator”...

– Piękna kolekcja – mruknął.

Po półgodzinnym przeszukaniu usiedli w kuchni przy stole.

– Masz coś?

Kowalski spojrział na Ostrowskiego i pokręcił głową.

– Nie, a ty?

– Nic.

Zamilkli na chwilę.

– Napiłbym się z tego wszystkiego – mruknął Ostrowski.

– Ja też – przytaknął Kowalski.

– I popił to piwem.

– Dokładnie.

Westchnęli jednocześnie.

Ostrowski spojrział na piekarnik i się uśmiechnął.

- Co się tak szczerzysz?
- Przypomniałem sobie takie jedno zdarzonko z przeszłości.
- Jakie znowu zdarzonko?
- Miałem kiedyś w dzieciństwie chomika.

Kowalski spojrział na niego.

- Pasjonująco się zaczyna.

Ostrowski niezrażony mówił dalej.

- Trzymałem go w akwarium, z którego bardzo często uciekał. Uwielbiałem to, bo wówczas mogłem bawić się w Indianina, który poluje na bizona. Zazwyczaj akcja poszukiwawcza trwała krótko, parę minut. Ale któregoś razu sprawa się przedłużyła do jakiejś godziny. Zacząłem płakać. W końcu mama wstała z fotela i przyłączyła się do poszukiwań. Po paru minutach znalazła go.

Ostrowski wskazał piekarnik. - W środku piekarnika.

- Upieczonego czy żywego?
- Żywego, ale mało brakowało, bo mama chciała tego wieczoru upiec szynkę.

Kowalski spojrział na niego, wywrócił oczami i mruknął:

- Te twoje historyjki, Ostrowski. Powinieneś zostać scenarzystą hollywoodzkim. Twój suspens poruszyłby nawet martwych.

- Prawda?

Cisza.

- Zbieramy się, nic tu po nas.

- Zbieramy się - zawtórował Ostrowski i podszedł do zlewu. Odkręcił wodę, umył ręce i sięgnął po ścierkę, która tkwiła w uchwycie piekarnika. Wytarł ręce i odłożył ją. Zrobił to niedbale, więc upadła.

Westchnął i schylił się po nią.

- Taki sam piekarnik mieliśmy - powiedział i otworzył go.

Drzwiczki skrzypnęły.

Kowalski zerknął niecierpliwie na zegarek.

- Wychodzimy, chłopie.

Ostrowski zajrzał do wnętrza.

– Zaraz.

– Co ty robisz?

– Zaglądam do środka.

– Po co?

– Tak dla jaj.

Ostrowski zagwizdał.

– Ty!

– Co?

– Nic. Blachy do ciasta.

– Ale śmieszne! Wstawaj, głupku, wychodzimy.

Rozległ się brzęk.

– Ty, tu naprawdę coś jest – powiedział nagle Ostrowski.

W jego głosie zabrzmiało podniecenie. Kowalski spojrzał na kolegę i uniół brwi. Ostrowski trzymał w dłoniach kasetę wideo.

– Upolowałaś chomika – mruknął.

Poszli do pokoju, włączyli telewizor i odtwarzacz. Umieścili w kieszeni kasetę, cofnęli się dwa kroki i wbili wzrok w zaśniewany ekran.

Przez minutę nie pojawił się żaden obraz.

– Nic tu nie ma – mruknął Kowalski, wzruszając ramionami.

– Jak to nic nie ma? – zaperzył się Ostrowski. – To po co on to ukrył?

– Po nic.

– Kiepska odpowiedź.

Przez kilka minut w milczeniu wpatrywali się w zaśniewany ekran.

– Nie spuszczaaj z niego oka, pójde na chwile do łazienki przypudrować nosek – powiedział w pewnym momencie Kowalski ironicznym głosem i wyszedł z pokoju.

Gdy wrócił, Ostrowski siedział w fotelu, ziewał szeroko i przeglądał „Playboya”.

– I co? – zapytał.

– I nic.

– No mówiłem!

Ostrowski prychnął i odłożył pismo.

– No dobra – powiedział. – Dokończymy ją oglądać w Poznaniu. Zwijamy się stąd.

Dźwignął się z bardzo wygodnego fotela i podszedł do telewizora. Gdy wyciągnął przed siebie dłoń, żeby go wyłączyć, nagle coś zatrzeszczało. Sierżant znieruchomiał. Kowalski podszedł do niego i wbił wzrok w ekran, na którym nagle pojawił się obraz. To był jakiś amatorski materiał.

Po chwili jednocześnie otworzyli szeroko oczy. W kadrze zobaczyli twarz zapłakanej młodej kobiety. Była naga. Siedziała na pościelonym łóżku i z coraz większym przerażeniem wpatrywała się w punkt umiejscowiony za obiektywem kamery.

– Boisz się, suczko? – odezwał się głos z offu.

Sierżanci zeszywnieli.

– Nie bój się, będzie fajnie, zabawimy się!

W kadrze pojawił się półnagi Kowboj. Znakomicie zadbane czterdziestolatek, umięśniony, mocno wytatuowany. Na plecach widniała sylwetka wampira wykrzywającego złowrogo długie zakrwawione zęby.

Zdjął spodnie, a potem majtki. Ze sterczącym penisem zaczął iść w kierunku dziewczyny, która rozszlochała się na dobre. Podszedł do niej. Przystanął. Złapał się pod biodrami, wysunął w jej kierunku podbrzusze. Trącił dłonią penisa.

– Possij go – mruknął. – Od tego zacniemy.

Sierżanci spojrzeli na siebie oniemieli. Kowalski przełknął ślinę i przetarł spocone czoło.

– O kurwa! – mruknął Ostrowski.

Gdy Kowboj zaczął bardzo brutalnie gwałcić dziewczynę, wyłączyli kasetę. Po paru minutach milczenia Kowalski podszedł do telefonu, wykręcił numer i poinformował swojego rozmówcę o znalezisku.

LXXXVIII

W gabinecie komendanta wojewódzkiego zebrało się czterech mężczyzn. Bossowski, Rambert, Buryła i Harwej. Ten ostatni skończył właśnie relacjonować przesłuchanie Nikiego. Bawiąc się papierosem, czekał na reakcje.

– Wierzysz mu? – zapytał komendant, marszcząc czoło.

Harry pokręcił głową.

– To nie kwestia wiary.

– A czego?

Komisarz nachylił się i sięgnął po torbę. Po chwili wydobył z niej kasetę VHS i położył na ławie. Komendant i naczelnicy wbili w nią w wzrok.

– Co to jest?

– Dowód na jego prawdomówność.

– Co ty pierdolisz, chłopie?

– To jest film, który nagrał Spielberg. Przedstawia zabójstwo Grandowskiego.

Po tych słowach, wypowiedzianych smutnym głosem, zapadła cisza.

– Żartujesz sobie?

Harry pokręcił głową.

– Nie.

– Skąd ją masz? – zapytał Buryła.

– Od Mechanika.

– Od Mechanika?

– Tak. Przyniósł mi dzisiaj.

– Tak sam z siebie?

– Uhm.

Bossowski potarł palcami usta.

– Co on tak ciebie ostatnio dopieszcza? – odezwał się

nieprzyjemnym głosem. – Zostaliście parą?

Harry uśmiechnął się szeroko i przywarł plecami do oparcia sofy.

Rambert spojrzał na komisarza.

– Uważaj na siebie – powiedział. – To mi wygląda bardzo podejrzanie.

– Jak pomoc ojca chrzestnego – dodał Buryła. – „Pewnego dnia, choć może nigdy, poproszę cię o przysługę”.

Bossowski sięgnął po cygaro, powąchał je i odłożył na ławę.

– Coś chciał w zamian?

– Nie.

– Co on knuje?

– Nie wiem.

– Dawaj kasetę.

Komendant wyjął ją z opakowania i włożył do odtwarzacza. Oficerowie stanęli naprzeciwko telewizora. Gdy pojawił się zaśnieżony obraz, zastygli w bezruchu. Po kilku sekundach na ekranie pojawiła się twarz Wiktora Grandowskiego. Była niemiłosiernie poobijana, zakrwawiona. Policjanci jednocześnie przełknęli ślinę.

„Jebaniec, twardy jest” – padło z offu.

Dziennikarz zadrżał i spojrzał prosto w kamerę.

W jego oczach malowało się zwierzęce przerażenie.

„Mów, co wiesz, pismaku” – ktoś warknął.

Chłopak pokręcił głową.

„Mów, co wiesz! Mów, co masz!”.

„Nie”.

„Nie?”.

„Nie”.

„Jak nie powiesz, to cię zajebię!”.

Wiktor zaszlochał.

„I tak mnie zajebiesz – odpowiedział z trudem. – I tak mnie zajebiesz”.

„Patrzcie, kurwa, jaki mądry”.

W kadrze pojawił się Kowboj. Ciężko dyszał, miał zaczerwienione oczy. W dłoni trzymał pistolet. Wbił wzrok w kamerę.

„Nie kręć mnie, debilu – burknął i przyłożył lufę do skroni dygoczącego Grandowskiego, który wyglądał teraz jak mały, zagubiony chłopiec z jakiegoś przerażającego horroru. – Mów!”.

Grandowski spuścił głowę. Jego ciałem wstrząsały spazmy.

„Mów, dziennikarska kurwo, bo inaczej pokażę ci, co to znaczy prawdziwe cierpienie!”.

Kowboj odbezpieczył pistolet.

„Mów!”.

Buryła otworzył szeroko oczy i spojrzał na Ramberta, który nerwowo zagryzał usta. Harry westchnął i wrócił na sofę. Bossowski przysłonił dłonią oczy.

Wiktor podniósł głowę. Kamera zrobiła zbliżenie na jego zmasakrowaną twarz. Nagle coś się w niej zmieniło. W oczach pojawił się błysk pogardy.

„Pierdol się, gnido” – warknął dziennikarz.

Rozległ się strzał. Obraz się zachwiał mocno. Kamerzysta obrócił się niezgrabnie i uchwycił zdziwione twarze Nikiego i Bejzboła.

„Wyłącz to, kurwa, debilu” – warknął Kowboj, wbijając wzrok w kamerzystę.

Po chwili nagranie się urwało. Na ekranie zaczęło śnieżyć.

Po długotrwałym milczeniu Buryła chrząknął i chciał coś powiedzieć, ale zadzwonił telefon. Bossowski podszedł do biurka. Podniósł słuchawkę i posłuchał chwilę. Mruknął „dziękuję” i odłożył ją. Zerknął na Ramberta.

– Sierzanci znaleźli w mieszkaniu Spielberga kasetę, na której Kowboj gwałci jakąś młodą dziewczynę – rzucił.

Oficerowie spojrzeli na niego.

– Jeszcze jedno śledztwo, a nasza komenda zamieni się w studio filmowe – burknął Harry, wkładając papierosa do

ust.

– Ludzie powariowali z tym wideo – powiedział komendant i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Na samego siebie taki dowód sprokurować?

– Szkoda tylko, że Kowboj nie żyje – odezwał się Buryła. – Mielibyśmy na niego cudowny materiał.

Ktoś prychnął. Rambert popatrzył na kolegów i przetarł okulary. Milczał. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

Znowu zapadła cisza. Przerwał ją Boss, który usiadł za biurkiem, położył dłonie na blacie, chrząknął i powiedział:

– Panowie, nie ma co się teraz podniecać. Najważniejsze jest to, że Kozaka można oczyścić z zarzutu zabójstwa.

Nikt nie zareagował, więc wzruszył ramionami. Podrapał się po szyi i dodał:

– Nasz chłopak nie zabił. Cieszymy się z tego, cholera jasna!

Redaktor Misiński oderwał wzrok od swoich notatek oraz gazetowych wycinków, odchylił się na krzesło i spojrzał w sufit. *Wychodzi na to, że ten napad nie był wcale taki perfekcyjny – pomyślał. Prawdę mówiąc, w ogóle nie był perfekcyjny. Pomysłowy może, ale realizacyjnie – do bani.*

Przerzucił wzrok na komputer, który mrugał do niego zaczepnie białym kwadracikiem kursora. Wypuścił głośno powietrze, sięgnął po kubek, z którego wydobywał się zapach mięty i wziął parę łyków.

Zerknął przez szybę na korytarz i zobaczył Pisarza, który stał przed zagniewaną dziewczyną i żywiłowo gestykulował. W pewnym momencie dziewczyna pokazała mu środkowy palec i ruszyła przed siebie. Pisarz patrzył na nią przez dłuższą chwilę. W końcu machnął ręką i zniknął w jednym z pomieszczeń.

Dzieci, dzieci – pomyślał Misiński i przypomniał sobie nagle swoją byłą żonę, z którą rozszedł się jakieś piętnaście lat temu. W bardzo niemiłych okolicznościach.

Wzdrygnął się, upił łyk herbaty. Przywarł do poręczy krzesła i się zamyślił. Wczoraj rozmawiał z Miszczem z wojewódzkiej na temat napadu. Operacyjniak wręcz nabijał się ze sprawców.

– Jaki „napad stulecia”? – mówił trochę rozeźlony. – Jaki „napad doskonały? Nie rozśmieszaj mnie, chłopie!

– Ale że o co wam chodzi, chłopaki? – dopytywał się zbity z tropu. – Przecież był plan, przygotowania, cięcie kabli, przebieranki, kradzież forsy... Brzmi to niezłe.

– Teoretycznie tak, ale...

– Ale co?

– Z tymi kablami to mieli wielkiego farta. Ten, kto ciął, mógł zginąć. Amatorszczyzna po prostu.

– No dobra. A samochód? Namierzyli, kupili, przerobili.

– E tam! Wcale nie był, jak to napisaliście w tych swoich wypracowaniach, „łudzaco podobny”.

– Nie?

– No nie! Gdyby ktoś spojrział czujnym wzrokiem, od razu by zdemaskował ślady kiepskiej podróby.

– A mundury?

– A widziałeś je?

– Nie.

– No więc właśnie, Miśku! Gdybyś je zobaczył i porównał z oryginałami, od razu byś powiedział, że są nieudolną kopią.

– Hm...

– Chłopie, oni nawet nie mieli identyfikatorów!

– No cóż...

– Wiesz, co ci jeszcze powiem w tym temacie?

– No nie wiem.

– Oni przypominali bardziej Gang Olsena niż profesjonalną grupę przestępczą!

Misio zamilkł wtedy. Trochę mu było przykro, że Miszczu w tak bezceremonialny sposób odzierał napad na konwój pieniędzy z romantyczno-sensacyjnej otoczki.

– Wiesz, co ci powiem o tych przeciętych kablach jeszcze?

– Co niby?

– Posłuchaj. Przesłuchujemy Majewskiego. I pytamy go o to... Misiu, nie unoś brwi, tylko posłuchaj. „Nie bał się pan, że pomylicie kable i was prąd kopnie?” „Ale ja nie przecinałem kabli, kazałem to zrobić temu matołowi Kamińskiemu” – prychnął. „Nie bał się pan, że go prąd pierdolnie?” „Najwyżej by go pierdolnął”. „Straciłby pan człowieka”. „Jakiego człowieka? To zwyczajny pomagier był, chłopiec na posyłki, a czasami i do bicia. Bywało, że debila musiałem zdzielić po pysku, taki bywał głupi”.

Miszczu wbił wzrok w Misińskiego, który zarechotał obrzydliwie.

Redaktor pokręcił głową i wrócił do rzeczywistości. Do swojego redakcyjnego pokoju. *W sumie to smaczna anegdota* – pomyślał i uśmiechnął się do siebie, czując, że wraca mu humor. To uwielbiał najbardziej w milicyjno-policyjnych opowieściach. Anegdoty. Mięiste scenki, krwiste epizody, jędrne powiedzonka. *Anegdoty są esencją życia* – przeszło mu przez głowę.

Sięgnął po piersiówkę i wypił parę łyków. Zmarszczył brwi, ułożył dłonie w piramidkę i przyłożył jej do ust. Gdy artykuł ułożył mu się w głowie, zaczął pisać. Zajęło mu to piętnaście minut. Skończywszy, odchylił się i spojrzał na ekran monitora. *Jeszcze tylko tytuł i fajrant* – pomyślał. Zastanowił się, uniósł dłonie i wystukał tytuł: „Profesjoniści kontra przebierańcy”. Zatarł ręce i zapisał tekst w odpowiednim katalogu.

Nagle przypomniał sobie o Aleksandrze Maryl, córce prezesa Markizy, która w jego wyobraźni urosła do rangi *femme fatale* rodem z czarnego kryminału.

Sięgnął po telefon. Gdy usłyszał głos Miszcza, zapytał:

– A co z dziewczyną? Przyznała się do współpracy?

Podkomisarz poinformował go, że Marylównie najprawdopodobniej nie zostaną postawione jakiegokolwiek zarzuty. Do niczego się nie przyznaje, twierdzi, że nic nie wiedziała, a ekipa Majewskiego zgodnie potwierdza tę wersję.

Redaktor pokiwał głową, podziękował i odłożył słuchawkę.

– No więc mówię, że to *femme fatale* – mruknął do siebie.

Wziął łyka z piersiówki i wyszedł z pokoju. Postanowił pojechać do Collegium Novum, żeby posłuchać profesora Tadeusza Ziomeckiego, który w bardzo ciekawy sposób opowiadał o literaturze. Ten naukowiec był wielkim fanem amerykańskich filmów sensacyjnych. Podobno do szuflady pisał pastisze obrazów, w których brał udział Sylwester

Stallone. Jego wykłady były bardzo inspirujące dla wszystkich tych, którzy myśleli o karierze pisarskiej.

W czasie jazdy tramwajem wpadł na pomysł, żeby napisać powieść opartą na napadzie na konwój pieniędzy Markizy. Zapalił się strasznie do tego. Wysiadając na przystanku Święty Marcin, zdecydował: *Ale w mojej wersji to będzie naprawdę napad doskonały. Napad stulecia. Opiszę go tak, żeby potem cwaniaki ze świata filmu zrobiły z niego dobre sensacyjne kino.*

Wykład Ziomeckiego poświęcony był Allanowi Edgarowi Poemu.

– Według mnie Poe wymyślił Hollywood – zaczął profesor. – Dlaczego? Dlatego, że sformułował prawo, które stało się filozofią „fabryki snów”. Jakie to prawo? Opowieść to równanie matematyczne, którego celem jest wywoływanie konkretnych emocji. Snucie historii sprowadza się do skutecznego manipulowania uwagą publiki.

Ciekawe – pomyślał Misiński i podkreślił w sporządzonych przez siebie notatkach dwa słowa „emocje” oraz „manipulacja”. *Trochę jak propaganda.*

Po wykładzie poszedł do Merkurego, wypił dwa piwa, popił pięćdziesiątką, zamówił taksówkę i ruszył do domu. W trakcie jazdy przyszedł mu do głowy pewien koncept. Pomysłodawczynią napadu będzie *femme fatale* – zdecydował w duchu i uśmiechnął się do siebie.

Dotarłszy na miejsce, przebrał się w dresy, wyciągnął z lodówki piwo i zasiadł przed maszyną do pisania. Wkręcił papier.

– No dobrze, jedziemy z tym koksem – mruknął.

Wziął dużego łyka, potrząsnął głową i wystukał wielkimi literami: „Dziewczyna doskonała”.

Uśmiechnął się do siebie, zjechał na dół strony i wpisał motto z piosenki, którą zaśpiewała Shirley Bassey na potrzeby jego ulubionego filmu o Jamesie Bondzie: „Diamonds are

forever, they are all I need to please me / They can stimulate and tease me / They won't leave in the night / I've no fear that they might desert me / Diamonds are forever, hold one up and then caress it".

Gdy skończył, zanucił melodię, wstał i mruknął:

– Elegancko, bardzo elegancko.

Dwa dni po odnalezieniu kasety przedstawiającej śmierć młodego dziennikarza sierżant Kowalski stanął przed drzwiami Grandowskich i głośno wypuścił powietrze. *Który to już raz przychodzę tutaj?* – zastanowił się. *Piąty, szósty?* Spojrzał na swoje buty i pokręcił głową. *Ostatnio przyniosłem wieść o odnalezieniu martwego syna. Dzisiaj o jego przedśmiertnym cierpieniu* – pomyślał.

Gdy zapukał, przeszło mu przez głowę, że nie nadaje się na policjanta, że powinien wybrać jakiś inny zawód. *Za mocno to wszystko przeżywam. Powiniennem zostać na uczelni i robić doktorat...*

Drzwi się otworzyły. W progu stanęła Gabriela Grandowska, matka zamordowanego dziennikarza. Błada, ładna, z nienagannym makijażem. Miała na sobie dzinsy i białą koszulę.

Rozpoznawszy sierżanta, zmarszczyła brwi.

– To pan – mruknęła.

W rękach trzymała kieliszek z czerwonym winem.

– Przychodzę nie w porę? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– No akurat pan zawsze jest nie w porę, bo po śmierci mojego syna.

Kowalski przełknął ślinę, nie wiedząc, jak zrozumieć jej słowa. Kobieta się zreflektowała.

– Przepraszam, plotę dzisiaj trzy po trzy. Proszę wejść.

Weszli do salonu i usiedli na fotelach. Grandowska upiła trochę wina i odłożyła kieliszek na ławie.

– Co pana sprowadza? – zapytała.

– Jest pani mąż? – zagadnął Kowalski, odpinając płaszcz.

– Nie.

Założyła nogę na nogę. Była boso, paznokcie u stóp miała pomalowane na czerwono.

– Szkoda, bo chciałem...

Machnęła zniecierpliwiona ręką.

– Pokłóciliśmy i wyjechał do swojej rodziny. Na parę dni, a może na zawsze – odpowiedziała beznamiętnym głosem.

Kowalski chrząknął nerwowo. Grandowska sięgnęła po kieliszek i opróżniła go. Dotknęła palcem ust. Kowalski dopiero uświadomił sobie, że ma ładne, pełne usta.

– Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję.

– Przychodzi pan pewnie w sprawie mojego syna? – powiedziała.

– Tak.

– Czy coś jeszcze jest do dodania? Myślałam, że już wszystko wiemy.

Sierzant pokręcił głową. Przed oczami stanęła mu postać pobitego Wiktora. Usłyszał strzał. Wzdrygnął się. Grandowska patrzyła na niego uważnie.

– Jakie wieści pan przynosi? – zapytała.

– No cóż... – zaczął sierżant i natychmiast urwał.

Zdjął płaszcz i położył go sobie na kolanach.

– Wie pani, co? Może jednak poproszę o trochę wina, jeśli...

– Jasne.

Grandowska podniosła się z fotela, podeszła do barku, wyjęła z niego butelkę wina i jeden kieliszek. Kowalski patrzył na nią jak na niecodzienne zjawisko. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, odniósł wrażenie, że zupełnie nie pasuje do... swojej roli. Do męża, do tego mieszkanka, do Poznania. Tak jakby coś się wydarzyło w jej życiu, co spowodowało, że wpadła w pułapkę i utkwiała w niej na bardzo długo.

– Proszę – podała mu kieliszek wypełniony do połowy czerwonym winem.

– Dziękuję.

Upili trochę i spojrzeli na siebie.

– Niech pan w końcu to wykrztusi, do cholery.

Kowalski zaczerwienił się i odstawił kieliszek.

– No tak... dzięki pewnej informacji znaleźliśmy kasety wideo, na której... na której... zostało nagrane zabójstwo pani syna. Zabił go Kowboj, poznański gangster, ten sam, który niedawno zginął w czasie zatrzymania.

Grandowska wbiła w niego zdumiony wzrok. Zdrętwiała. Policzki nabiegły krwią. Lewą ręką dotknęła skroni. Po chwili z jej prawej dłoni wysunął się kieliszek i upadł z brzękiem na ławę, a potem na podłogę. Na białym dywanie pojawiła się czerwona plama.

Kowalski poczuł ucisk w żołądku. Nagle przypomniał mu się fragment tekstu, który usłyszał kiedyś w radio i który głosił, że nie można „zwać nikogo szczęsnym, nim bez cierpień dojdzie mety”.

Z jakiegoś powodu ta archaiczna zbitka utkwiała mu przed laty w głowie. Praca w policji regularnie potwierdzała prawdziwość posępnego aforyzmu. *Nikt z nas nie jest szczęśny – pomyślał. Nikt.*

Podinspektor Rambert nalał sobie szklaneczkę whisky i usiadł w fotelu. Myślami był jeszcze na górczyńskim cmentarzu i wpatrywał się w milczeniu w zdjęcie uśmiechniętej kobiety zamieszczone na marmurowej płycie. Po raz kolejny przypominał sobie moment, w którym dowiedział się o jej tragicznej śmierci. Miłości swojego życia, dla której zostawił żonę.

Coś ścisnęło go za serce i wypił od razu całą whisky. Poczul drapanie w gardle, zakaszłał i odstawił szkło. Kochał żonę, ale na punkcie Magdy, trzydziestoletniej prawniczki, którą poznał przypadkowo w sądzie, wprost oszalał. To było silniejsze od niego. Nie mógł oprzeć się jej urokowi. Po długiej wewnętrznej szamotaninie postanowił odejść od Hani i związać się oficjalnie z Magdą, która dzień później zginęła w wypadku samochodowym.

Oparł się głową o oparcie. Trwał tak przez parę minut, próbując nie myśleć o niczym. Ale nie potrafił nie myśleć o niczym. Myślał o Magdzie, a raczej wbrew własnej woli wyobrażał ją sobie. Żywą, radosną, mówiącą coś do niego. Lubił patrzeć, jak pali papierosy. Miała piękne, smukłe dłonie, zazwyczaj ozdobione czerwonymi paznokciami.

Nagle wyobraził sobie, że jest jednym z aniołów z „Nieba nad Berlinem” Wima Wendersa. Staje przed samym sobą, siedzącym w fotelu przy biurku tak jak teraz, i wsłuchuje się w swoje niewypowiedziane bardzo smutne myśli. Westchnął i zamknął oczy.

Po chwili ciszę przerwał nieprzyjemny dźwięk telefonu. Wyprostował się i sięgnął po słuchawkę.

– Słucham – mruknął.

– Dżery? – Usłyszał nagle tubalny głos.

Znał go, ale w pierwszej chwili nie potrafił go zidentyfikować.

– Tak jest – odparł.

– Nie przeszkadzam?

Już wiedział. To był zaprzyjaźniony naczelnik dochodzeniówki z komendy w Koninie.

– Nie przeszkadzasz – mruknął, przecierając zaczerwienione oczy. – Co słyhać?

– Dzwonię, bo jestem wściekły, Dżery.

Rambert chrząknął.

– Jestem wściekły jak skurwysyn!

Rzeczywiście, w jego głosie dawało się wyczuć z trudem opanowywaną wściekłość.

– Co się stało?

Oficer po drugiej stronie linii sapnął głośno.

– Wiesz, co się stało, chłopie?

– Cały zamieniam się w słuch.

– Ukradli nam dwa zabójstwa!

– Ukradli wam zabójstwa?

– Ano! I do tego dwa! Dajesz wiarę? Dajesz wiarę?

Rambert zerknął na zegarek. Minęła dwudziesta druga.

– Wyjaśnij, o co chodzi – powiedział.

– Jakiś miesiąc temu zatrzymano Mariusza Szukalskiego, seryjnego zabójcę, kojarzysz?

– Jasne.

Naczelnik z Konina chrząknął, napił się czegoś, syknął i mówił dalej:

– Przypomnę ci, że początkowo zarzuty były skromne, parę zabójstw. Ale klientowi musiał zasmakować wikt więzienny i w związku z tym postanowił zagwarantować sobie dożywanie. Zaczął przyznawać się do kolejnych czynów. Taki się obudził w nim gawędziarz-erotoman, że nabił na swoje konto ze trzydzieści zabójstw, które miały miejsce na terenie całego kraju.

Pauza na parę łyków, pewnie czegoś mocniejszego.

– Nie dziwię mu się, na jego miejscu też bym tak zrobił. Przecież to kompletny debil, który nie nadaje się do samodzielnego życia. Też bym tak zrobił, powtarzam, ale dziwię się tym ćwokom z Bydgoszczy, którzy go teraz słuchają i we wszystko potulnie wierzą. Rozumiesz to?

Cisza.

– Rozumiesz?

Rambert wstał z fotela i nalał sobie kolejną porcję whisky.

– Bo ja nie, kurwa jego nieuczesa. Na rekord chyba idą, wszystko łykają, co tylko im zaśpiewa! Wszystko...

Rambert usiadł, upił łyka i postawił szklaneczkę na podłodze.

– Gieniu. – Przerwał. – Gieniu, do czego zmierzasz?

Sapnięcie.

– Zmierzam do tego, że ten pokurcz Szukalski przyznał się do dwóch zabójstw dokonanych na moim terenie, co według nas jest wierutną bzdurą. Wierutną! Mogę ci to przeliterować, jeśli chcesz!

– To ciekawe.

– Skandaliczne, chciałeś chyba powiedzieć?

Rambert ponownie wstał, podszedł do biurka, wyjął z szuflady kalendarz i zanotował w nim kilka słów. Siadając, zapytał:

– Co to za zabójstwa?

– W 1990 roku dziesięcioletnia dziewczynka i dwa miesiące temu piętnastolatka. Sąsiednie wioski. Od Konina jakieś trzydzieści kilometrów.

– Złapaliście kogoś? – zapytał po chwili.

Cisza.

– Hm?

Westchnienie.

– No, niestety nie. Mamy jakieś typy, ale żadnych dowodów.

Rambert wypuścił głośno powietrze.

– To może rzeczywiście Szukalski to zrobić? – rzucił, bawiąc się długopisem.

– Nigdy w życiu!

– Dlaczego?

– Uważamy, że to ktoś z okolicy.

– No cóż...

– W ciągu tygodnia mamy przekazać im akta. Krótko mówiąc, zabierają nam sprawę i z tego, co widzę, to chcą ją zamknąć. Jak Szukalski skończy się przyznawać do kolejnych mordów, a podobno już jest na finiszu, to zaczną się wizje lokalne. Zrobią to pewnie tak, żeby się wszystko w papierach zgadzało, i w efekcie prawdziwy zabójca pozostanie na wolności.

Cisza.

Młaśnięcie.

– No i może znowu kogoś... zabije.

– Hm...

– No taka jest prawda, zrozum to, człowieku!

– Gieniu, bardzo ci współczuję...

– Mnie współczujesz? Mnie? To przecież nie o to...

– Gieniu, daj mi skończyć, do cholery!

– Proszę.

– Wiem, co to znaczy, stracić sprawę, nad którą się pracuje, ale... – Rambert urwał na chwilę. – Ale nie mogę ci pomóc. No bo niby jak?

– Dżery, jesteś szycią w Komendzie Wojewódzkiej, na litość boską. Pogadaj z Bossowskim, niech zadzwoni do Głównego. Niech wymyślą coś sensownego i powstrzymają tych tandeciarzy z Bydgoszczy!

– Mogę tak zrobić, ale jeśli wy nic i nikogo nie macie, a oni mają klienta, który się grzecznie przyznaje do wszystkiego, to sprawa jest przesądzona. Przecież to rozumiesz?

– Rozumiem.

– No to...

– Rozumiem, że tu się nie liczy prawda, tylko kwity na prawdę!

– Cóż...

– Dobra, Dżery, nie zabieram ci więcej czasu. Tylko pamiętaj to, co teraz powiem. A powiem ci, jak będzie. Szukalskiemu przyklepią nasze trupy, ktoś weźmie nagrody. Szukalski pójdzie do pierdła, prawdziwy zabójca znowu uderzy, znowu ktoś zginie, zapewne jakieś niewinne dziewczę, i wtedy okaże się, że Szukalski nie ma z tym nic wspólnego. Że ktoś po raz kolejny dał dupy, bo chciał mieć szybki sukces!

Cisza.

– Dalej. Parę osób osra się ze strachu, a potem zleci ze swoich stołków. Zapamiętaj to! Zapamiętaj! Tak właśnie będzie, nie inaczej!

Sapanie.

– Pierdolona wierchuszka. Tam się, kurwa, nic nie zmienia.

Połączenie się urwało.

Rambert drgnął, a potem powoli odłożył słuchawkę.

Wyciągnął nogi przed siebie, ułożył dłonie w piramidkę i przymknął oczy. Obyś, Gieniu, nie wykrakał czegoś złego – pomyślał.

Po parunastu sekundach wyprostował się, sięgnął po płachtę „Expressu Poznańskiego”, przekartkował ją i znalazł artykuł o napadzie na konwój pieniędzy Markizy.

„Nieznany jest los nagrody (500 milionów), które dyrekcja Fabryki Czekolady Markiza obiecała jako nagrodę za wskazanie sprawców napadu – pisała niejaka efka. – Nie otrzyma jej żadna osoba prywatna. Być może nagroda zostanie przekazana na »polepszenie kondycji finansowej poznańskiej policji«”.

Rambert odłożył gazetę i spojrzał na butelkę whisky, która stała na stoliku. Poczuł ochotę na jeszcze jedną szklaneczkę.

– Nic innego mi dzisiaj nie pozostało – mruknął i z trudem dźwignął się z fotela.

Katia wyłączyła telewizor, ściągnęła koszulkę i rzuciła ją na tapczan. Gdy wyszła na korytarz, pozbyła się biustonosza, który wylądował na krześle. Zakluczyła drzwi wejściowe, omiotła wzrokiem swoje odbicie w lustrze i weszła do łazienki. Włączyła magneton, który stał na półce zawieszanej na pralką. Upewniła się, że w kieszonce tkwi „Fire”, jej ulubiony ostatnio album, i wcisnęła „play”. Marnej jakości głośniki wykrztusiły głos Nosowskiej: „Your creeping body / Lies on the carpet now / Head’s full of wine / Trembling hands / And these empty eyes”.

Stała nad wanną, chwyciła słuchawkę prysznicową i zaczęła myć głowę. Po wszystkim zawiązała sobie turban, założyła szorty, świeżą koszulkę i wyszła do kuchni. Usiadła przy stole, położyła nogi na krześle i zerknęła na zegarek. Mijała północ. Była już trochę senna, ale nie miała zamiaru kłaść się spać. Od czasów porwania jej przez ludzi Kowboja co noc nawiedzały ją koszmary, które jeszcze długo po przebudzeniu trzymały mocno za gardło. Bała się ich. Były zbyt realistyczne. Wczoraj po raz pierwszy napiła się sama wódki na uspokojenie. O jakiejś drugiej w nocy.

Wypuściła powietrze, spuściła nogi na podłogę. Podeszła do lodówki i wyjęła z niej butelkę Żytniej. Nalała odrobinę do szklanki i wypija. Skrzywiła się i oparła głowę o ścianę.

Przez kilkanaście minut trwała nieruchomo i nasłuchiwała. Na podwórku trwała jakaś słowna przepychanka. Wydawało jej się, że rozpoznaje właścicieli poszczególnych głosów. W końcu doszło do rękoczynów, ktoś z sąsiadów otworzył okno i zaczął wrzeszczeć, że właśnie dzwoni po policję. Chuligani odkrzyknęli bardzo wulgarnie, ale zamilkli po

chwili.

Katia nalala sobie raz jeszcze. Gdy zakręcała butelkę, rozległo się pukanie do drzwi. Uniosła brwi zaskoczona. *Kto to może być?* Nie ruszyła się z miejsca. Nie miała najmniejszego zamiaru otwierać. *Może to Jeremi?* – pomyślała.

Jeremi to był pięćdziesięcioletni hipis, alkoholik, który czasami pukał do niej i pytał, czy napije się z nim. Katia zawsze mu odmawiała, grzecznie, choć stanowczo, ale wracał i ponawiał propozycję, średnio raz na miesiąc.

Bo kto inny o tej porze? Wypiła i zamknęła oczy. Ciepło alkoholu rozpływało się po całym ciele. *To nawet całkiem przyjemne* – stwierdziła w duchu i się uśmiechnęła.

Znowu pukanie.

– Spieprzaj, kimkolwiek jesteś – mruknęła.

Ktoś zapukał po raz trzeci.

Katia westchnęła, wyszła na korytarz, podeszła do drzwi i zerknęła przez wizjer. Otworzyła szeroko oczy i jednocześnie poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

Na korytarzu stał Harry. *Co on tu robi?* Katia zagryzła usta.

Komisarz zamachał ręką do wizjera.

– Słyszę cię – powiedział. – Otwórz.

Przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi.

Harry wszedł do środka i spojrzał na młodszą koleżankę, która miała zdezorionowaną minę. Dostrzegł to.

– Przepraszam, że cię nachodzę – szepnął. – Szykujesz się do łóżka, a ja cię... – Zakasłał. – Wybacz.

Miał zaczerwienione oczy, potargane włosy. Był w rozsypce. Mimowolnie pociągnęła nosem, ale nie wyczuła zapachu alkoholu. Tylko kobiece perfumy.

– Nie przepraszaj, nie ma za co – powiedziała i wskazała ręką drzwi do dużego pokoju. – Wejdz. Rozgość się.

– Dziękuję.

Harry ukucnął, żeby rosznurować buty.

– Daj spokój, wchodź, nie krępuj się.

Harry wstał i wszedł do pokoju. Rozejrzył się po nim, ściągnął kurtkę i usiadł na wersalce.

Katia zatrzymała się w progu.

– Chcesz coś do picia? – zapytała.

Harry spojrział na nią spłoszonym wzrokiem.

– Kawy.

– Będzie kawa – odpowiedziała i wyszła do kuchni.

Po dziesięciu minutach wróciła do pokoju. Miała rozpuszczone włosy. W rękach trzymała dwa kubki kawy. Postawiła je na ławie i usiadła w fotelu.

– Po tym chyba tak łatwo nie zaśniemy? – powiedziała, uśmiechając się.

– I tak kiepsko sypiam... – mruknął Harry. – Dziękuję.

Sięgnął po kubek i upił parę łyków.

Katia wpatrywała się w niego zaintrygowana. Wyciągnęła z kieszeni frotkę i związała włosy w koński ogon. Napiała się kawy.

Przez chwilę trwała cisza.

– Co się stało, Harry? – zapytała w końcu.

Komisarz odstawił kubek i popatrzył na nią.

– Mogę zapalić?

– Pewnie.

Oficer wyciągnął z kieszeni kurtki papierosy i zapalniczkę. Wysunął rękę w jej stronę.

– Masz ochotę?

– Nie, dziękuję.

Kiwnął głową.

Zapalił papierosa, zaciągnął się łapczywie i wypuścił dym.

– Mam prośbę – mruknął.

– Jaka?

– Żebyś nie mówiła do mnie „Harry”... – Zerknął na nią przeproszająco. – Gdy jesteśmy sam na sam.

Katia zmarszczyła brwi.

– Dlaczego? – zapytała zaskoczona.

– Bo wtedy czuję się jak postać z kreskówki – odburknął komisarz.

Cisza.

– Mów mi „Tomek”.

Tomek?

Katia pokiwała głową, nie spodziewając się zupełnie takich słów ze strony... Harry’ego. W jej odczuciu ten pseudonim doskonale wyrażał jego osobowość. Silną, intrygującą, jakby rzeczywiście trochę nie z tego świata. *Tomek? Przecież ty, chłopie, nie jesteś żadnym „Tomkiem”.* Zdezorientowana wypuściła powietrze.

– A jednak bym zapaliła – powiedziała, kładąc nogi na ławie.

Podał jej papierosa i podsunął zapalniczkę.

Nachyliła się i nagle poczuła jego zapach. Mieszanina mięty, tytoniu, kobiecych perfum i czegoś jeszcze. Czegoś niepochwytanego, nieokreślonego.

Ciekawe, czy pieprzył kogoś przed chwilą? – pomyślała i poczuła, że przechodzi ją przez plecy dreszcz.

Poruszyła nozdrzami, a potem się zaciągnęła. Wypuściwszy dym, omiotła go wzrokiem i zapytała:

– Dlaczego tu jesteś?

A on w odpowiedzi uśmiechnął się szczerze. Spojrzał jej prosto w oczy i westchnął ciężko.

XCI

Było dobrze po pierwszej w nocy, gdy Ostrowski wszedł do klatki schodowej bloku, w którym mieszkał. Stanąwszy przed drzwiami, wyciągnął z kieszeni klucze. Nagle znieruchomiał i gwałtownie spojrzął w prawą stronę.

Na widok dziewczyny siedzącej na schodach poczuł bolesne ukłucie w sercu.

– Cześć, Damian – odezwała się przyjemnym, lekko zachrypniętym głosem, który zawsze kojarzył mu się z głosem Tany Tikaram.

Omiótł ją wzrokiem. Miała długie, jasne włosy, czarne oczy, najwyraźniej zapłakane. Ubrana była w czarny rozpięty płaszcz, pod nim dostrzegł białą koszulę. I zarys dużych, pełnych piersi.

Wstała. Schodząc, zastukała obcasami długich, czarnych kozaków. W rękach trzymała torebkę, zapewne jakąś markową i drogą. Wyglądała przepięknie. Jak niemal zawsze. Właśnie, „niemał”.

Ostrowski zadrżał, przypominając sobie, w jakich sytuacjach wyglądała fatalnie, rozpaczliwie, okropnie. Patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Smutek bijący z oczu wyostrzał jej niepokojącą urodę.

– Cześć – wymamrotał.

Przełknął ślinę.

– Co ty tu robisz? – odezwał się szorstko. – Czego chcesz?

Dziewczyna zbliżyła się do Ostrowskiego. Ten cofnął się o krok. Cudownie pachniała. Ścięgnął twarz.

– Wpuścisz mnie? – zapytała, obrzucając go powłóczyстым spojrzeniem. – Na chwilę? Chciałabym z tobą pogadać.

– Nie!

- Proszę.
- Idź sobie!
- Damian, nie bądź taki.
- Wypierdalaj!

W jej oczach pojawiły się łzy.

Ostrowski poczuł, że miękną mu nogi.

- Tylko pogadać – szepnęła.

Pieprzona aktorka – pomyślał ze wściekłością.

Przeczesała dłonią włosy.

- Tylko pogadamy i sobie pójdę – powiedziała. – Nikt tak jak ty nie potrafi mnie wysłuchać. I wesprzeć.

Zbliżyła się jeszcze bardziej do niego. Poczuł jej ciepły oddech.

- Nikt mnie nie rozumie tak, jak ty.

Dotknęła swoją dłonią jego dłoni. Z wielką trudnością powstrzymał się od warknięcia.

- Jestem trzeźwa – dodała głucho i wbiła wzrok w buty. – Gdybyś chciał wiedzieć, nie piję od pół roku.

Ostrowski zastygł w bezruchu.

- Po co mi to mówisz?

- Bo wiem, że to dla ciebie ważne.

Nie odpowiedział.

- Trzymam się jakoś, ale...

Urwała, przymknęła na chwilę oczy.

- Dzisiaj obudziłam się zlane potem... Miałam sen, że znowu zaczęłam pić i zawiozłeś mnie na detoks, do Kościana... Przez parę godzin nie mogłam się podnieść z łóżka... I nagle usłyszałam gdzieś w środku twój kojący głos i zatęskniłam za tobą... Muszę z tobą pogadać, inaczej złamię się dzisiaj i...

Ostrowski wypuścił nerwowo powietrze, przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Zrobił ręką zapraszający gest.

- Wejdz, Asia.

Dziewczyna uśmiechnęła się i przekroczyła próg mieszkania. Ostrowski spojrział na jej sylwetkę i pociągnął nosem. Był

ciekaw, czy wyczuje alkohol. Gdy uprzytomnił sobie, co robi, poczuł, że przez jego ciało przechodzi dreszcz. Wbił ręce w kieszenie i ruszył za nią.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

OD AUTORA

Przecieram oczy ze zdumienia, kolejny tom „Dekady” ukończony; mam wrażenie, że to sen. Uszczypnijcie mnie...

Biorę zatem głęboki oddech i powoli stawiam ostatnią kropkę nad „i”.

Główną osią „Fatum” stał się napad na konwój pieniędzy Swarzędzkiej Fabryki Mebli (10 sierpnia 1993 roku). W grę wchodziło ponad pięć miliardów złotych. Policjanci biorący udział w śledztwie stwierdzili, że to było szalenie filmowe przestępstwo. Kiedy wysłuchałem ich opowieści – pierwsza odsłona miała miejsce w knajpce nad Jeziorem Maltańskim jakieś dwa lata temu – stwierdziłem, że koniecznie muszę tę historię wykorzystać. No i wykorzystałem, napisałem sobie heist movie po poznańsku. Panowie, dziękuję!

A słowa te kieruję do Karola Hirscha, Wiesława Kaczmarka i Włodzimierza Osessa. Oraz niezawodnego Marka Bronickiego, który poznał mnie z nimi.

„Fatum” to powieść, uprzedzam więc: mocno udramatyzowałem historię, stworzyłem nowe postaci, dodałem trupa, wplotłem mnóstwo fikcyjnych wątków, scen itd. Jeśli zatem chcecie dowiedzieć się, jak naprawdę to wszystko wyglądało, zerknijcie do książki Jerzego Jakubowskiego „Policjant. Okrutne zbrodnie, głośne śledztwa”; znajdziecie tam rzetelną rekonstrukcję śledztwa, polecam (strony 176–180)! Albo do poznańskich gazet, które na bieżąco pisały o tym „filmowym” przestępstwie.

Z redaktorskiego obowiązku dodam, że w powieści zacytowałem fragment tekstu Krzysztofa Smury „Koszmarna przygoda najczęściej zdarza się latem” oraz efki „Miliardy w banku, złodzieje za kratkami”.

Za research prasowy dziękuję Piotrowi Rogackiemu – to była bezcenna pomoc.

Mam nadzieję, że przeznaczeniem „Fatum” będzie satysfakcja moich czytelniczek i czytelników.

À propos, chciałbym serdecznie uściskać wszystkie przesympatyczne „instabookerki” i podziękować za przychylność, motywację, wsparcie, zagrzewanie do wytężonej pracy. Ściskam również dłoń kolegom z sieci, którzy życzliwie towarzyszą mojej pisarskiej pracy. Niech żyją media społecznościowe!

Dziękuję też Miłosławowi Czarneckiemu, który swoim czujnym okiem dochodzeniowca przeczytał tekst i zasugerował kilka pożytecznych poprawek.

Oczywiście, wszystkie błędy są moimi błędami i biorę za nie odpowiedzialność.

Na koniec pozwolę sobie gorąco wyciąłować żonę, Ritkę. W milczeniu, bo słowa nie są w stanie oddać tego, co Ci zawdzięczam. Zresztą dobrze wiesz, że nie lubię dużo mówić na co dzień.